

JORDYN TAYLOR

Dziewczyna

z Paryża

IUVI

JORDYN TAYLOR



Dziewczyna
z Paryża

PRZEŁOŻYŁA
PATRYCJA ZARAWSKA



Tytuł oryginału
The Paper Girl of Paris

Copyright © 2020 by HarperCollins Publishers
Text copyright © 2020 by Jordyn Taylor
Published by arrangement with HarperCollins Publishers.

Copyright © for the Polish translation by Patrycja Zarawska, 2020
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo IUVI, 2020

Opracowanie redakcyjne i DTP
Pracownia Edytorska „Od A do Z” (oda-doz.pl)

Redakcja
Katarzyna Kierejsza

Korekta
Alicja Laskowska

Skład i łamanie
Anna Cupiał

Projekt okładki
Studio Karandasz

Wydanie I, Kraków 2020

ISBN 978-83-7966-066-7

www.iuvi.pl
www.facebook.com/WydawnictwoIUVI
biuro@iuvi.pl



Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Rozdział 1. Alice

Rozdział 2. Alice

Rozdział 3. Adalyn

Rozdział 4. Adalyn

Rozdział 5. Alice

Rozdział 6. Adalyn

Rozdział 7. Alice

Rozdział 8. Adalyn

Rozdział 9. Alice

Rozdział 10. Adalyn

Rozdział 11. Alice

Rozdział 12. Adalyn

Rozdział 13. Alice

Rozdział 14. Adalyn

Rozdział 15. Alice

Rozdział 16. Adalyn

Rozdział 17. Alice

Rozdział 18. Adalyn

Rozdział 19. Alice

Rozdział 20. Alice

Rozdział 21. Alice

Podziękowania

Dla Tima

Rozdział 1

Alice

Język ojczysty mojej rodziny to układna rozmowa o błahostkach. Dowiedziałam się tego dawno temu, kiedy zaczęłam sama odwiedzać przyjaciół. Inni ludzie w swoich domach łatwo przybierają żartobliwy ton, jak gdyby wkładali wygodne domowe dresy, ale w rezydencji Prewittów prowadzimy uprzejme konwersacje, jakbyśmy stale paradowali w zapiętych na ostatni guzik niedzielnych strojach. Pod pewnymi względami to dobrodziejstwo. Dzięki temu prawie nigdy się nie kłócimy, czego większość nastolatków nie może powiedzieć o swoich rodzicach. Ale może to być również przekleństwem – tak jak wtedy, kiedy siedzieliśmy w duchocie ściśnięci na tylnym siedzeniu taksówki.

– Więc co państwa sprowadza do Paryża?

Taksówkarz uśmiechał się do nas w lusterku wstecznym. Pewnie pomyślał, że go nie dosłyszeliśmy, kiedy odezwał się po raz pierwszy. Ale słyszeliśmy go doskonale, głośno i wyraźnie. Wiem o tym, ponieważ gdy zadał pytanie, zauważyłam, że wszyscy troje zeszywnieliśmy jak na komendę.

Przejazd przebiegał jednak całkiem nieźle, zważywszy na okoliczności. Tata i ja niczym wzorowi uczniowie słuchaliśmy wykładu historycznego, który facet wygłosił na temat Sacré-Coeur, słynnej bazyliki wznoszącej się w oddali na wzgórzu. Kiwaliśmy głowami we właściwych momentach i składaliśmy nieszczerze obietnice, że gdy tylko będziemy mogli, wybierzemy się tam, żeby podziwiać zachód słońca. Przez cały czas każde z nas dwojga trzymało rękę na kolanie mamy, jakby była przesyłką, z którą należy się ostrożnie obchodzić.

Taksówkarz wciąż patrzył na nas wyczekująco. Pewnie się zastanawiał, dlaczego dobrze ułożona rodzina z New Jersey tak nagle zamilkła. Utknęliśmy w korku na bulwarze Haussmanna, gdzie bariery drogowe kierowały cały ruch samochodowy na jeden pas. Sygnalizacja świetlna najwyraźniej nie chciała nas przepuścić, dlatego miałam okazję dobrze się przyjrzeć górującym nad miastem trzem kopułom, widocznym w oddali ponad skrzyżowaniem. Kierowca powiedział, że w całym Paryżu tylko jeden punkt przewyższa bazylikę Sacré-Coeur – szczyt wieży Eiffla. Dałabym wszystko, żeby się teraz znajdować w którymś z tych dwóch miejsc albo właściwie gdziekolwiek, byle nie tu, i nie musieć opowiadać obcemu człowiekowi o przedziwnym powodzie, który sprowadził naszą trójkę do Paryża na lato.

Tata odchrząknął.

– Sprawy rodzinne – rzucił krótko.

Mama poruszyła się lekko na siedzeniu.

Światło zmieniło się wreszcie na zielone i w milczeniu potoczyliśmy się dalej.

Skręciliśmy ze słonecznego bulwaru w bok i zaczęliśmy meandrować cienistymi uliczkami, odbijającymi zygzakiem w nieoczekiwanych kierunkach. Zakrawało na absurd, że żadne z nas nie miało zielonego pojęcia, dokąd zmierzamy, ale tak wyszło – babcia zawsze lubiła niespodzianki i miała skłonności do teatralnych rozwiązań. Była w naszej rodzinie anomalią. Sięgnęłam do kieszeni dżinsowych szortów i dotknęłam dziwnego mosiężnego klucza, zastanawiając się, co, u licha, moja babcia zamyślała przed śmiercią.

Przy każdym wyboju na drodze w mojej głowie tłukły się pytania, jak metalowe śrubki w szklanym słoiku. Dlaczego babcia po tylu latach wciąż miała własne mieszkanie w Paryżu? Wyjechała z Francji po drugiej wojnie światowej, żeby wyjść za dziadka, i już nie wróciła za ocean. Nigdy nawet o tym nie rozmawiała. W ciągu szesnastu lat, przez które miałam szczęście ją znać, ani razu nie słyszałam wzmianki o jej dzieciństwie. W mieszkaniu babci nie było starych fotografii, żadnych pamiątek – niczego takiego. Dopiero gdy zmarła, uświadomiłam sobie, jakie to dziwne, ta potężna wyrwa w jej osobistej historii. Babcia nie wzbraniała się przed opowiadaniem o czasach, kiedy rzuciła pracę, by uczestniczyć w marszach protestacyjnych na rzecz praw obywatelskich, ani o tym, jak ona i dziadek

pewnego razu palili trawkę na dachu kamienicy, nigdy nie przyszło mi więc do głowy, że może skrywać coś innego. Z jakiegoś powodu mój umysł po prostu przyjął, że życie babci zaczęło się, kiedy po raz pierwszy postawiła stopę na amerykańskiej ziemi.

Jechaliśmy jednokierunkową ulicą, z dwóch stron obrzeżoną rzędami jednakowych kamienic w kremowym kolorze, z białymi okiennicami i maleńkimi balkonami francuskimi. Na poziomie ulicy cisnęły się w nich restauracje i kawiarenki, pełne ludzi cieszących się spokojnym sobotnim porankiem. Na skrzyżowaniu dostrzegłam na ścianie tabliczkę z napisem: *Rue de Marquis, 9^e Arr.* Wcześniej nasz kierowca wyjaśnił, że *Arr* to skrót od *arrondissement* i słowo to oznacza w Paryżu dzielnicę. Jest ich w tym mieście dwadzieścia, a mieszkanie babci mieściło się w dziewiątej. I oto byliśmy na miejscu. Serce zabiło mi mocno. Jeśli mama lub tata zauważyli tabliczkę z nazwą ulicy, nie dali tego po sobie poznać.

Taksówkarz skręcił. Znaleźliśmy się u wylotu ulicy w kształcie półksiężyca, zakrzywiającej się ostro w lewo, tak że nie było widać końca. Nie zauważyłam przy niej sklepów, jedynie okazałe mieszkalne budynki z lekko wklęsłymi fasadami, dopasowanymi do krzywizny drogi. Nie były identyczne, tak jak tamte, które mijaliśmy przed chwilą; dostrzegłam szeroką kamienicę o czarnych okiennicach, a zaraz za nią wąziutką, w ogóle bez okiennic. Wreszcie taksówka zatrzymała się przed wiekowo wyglądającym domem o pożółkłej fasadzie, wkliniowanym pomiędzy sąsiadów niczym ukruszony ząb.

– *Numéro trente-six* – oznajmił kierowca.

Tata zapłacił za kurs w euro, które pobraliśmy w banku, i nasza trójka wygramoliła się na chodnik przed numerem 36. Przyglądając się budynkowi przez okrągłe szylkretowe okulary, doszłam do wniosku, że wygląda na najstarszą kamienicę w tym kwartale. Tynk miał popękany, a z pomalowanych na szmaragdową zieleń podwójnych drzwi odpadała płatkami farba. Tata podszedł do elektronicznej klawiatury koło wejścia, a ja i mama zostałyśmy w pobliżu krawężnika. Objęłam ją na wysokości ramion i poczułam, jaka jest koścista pod obszernym szarym swetrem, który miała na sobie pomimo upału. Normalnie byłaby ubrana w letnią sukienkę odsłaniającą nogi z dobrze zarysowanymi mięśniami,

wyrzeźbionymi dzięki wędrowaniu po górach rozciągających się za naszym domem, tyle że te go też od jakiegoś czasu nie robiła.

– Nigdy nie wiadomo, mamo. Może będzie fajnie.

Owinęła się ciasniej kardiganem i wlepiała wzrok w niesprecyzowany punkt na budynku. Wykrzywiła się albo uśmiechnęła. Trudno to było stwierdzić.

– Zobaczymy, Alice.

Biedna mama. Najpierw straciła babcię, co było ciężkie do przeżycia samo w sobie, ale potem przeczytaliśmy testament i mama dowiedziała się, że z jej własną matką wiążą się sekrety, o których nie mieliśmy pojęcia. I to nie były jakie. Przez ostatecznie dwa miesiące mama nie mogła się pozbierać, ledwie dawała radę zwlec się z łóżka i wybrać do pracy. Tata musiał jej przypominać, że jeśli się nie weźmie w garść, piątoklasiści nie będą mieli nauczycielki angielskiego. Zawsze robiłam, co się dało, żeby ją rozweselić, gdy każda z nas wracała ze swej szkoły, na przykład piekłam ciasteczka albo znajdowałam coś głupiego do oglądania na Netflixie – cokolwiek, żeby oderwać jej myśli od babci. Zdaje się, że moje wysiłki nie przynosiły szczególnego skutku... ale i tak wiedziałam, że wciąż będę się starała. Wyglądało na to, że przynajmniej tyle mogę zrobić, wzięwszy pod uwagę, że to ja zostałam właścicielką paryskiego mieszkania.

– Wchodzimy! – obwieścił triumfalnie tata, przytrzymując otwarte drzwi. Dobrze, że prawnik babci dołączył do testamentu notkę z kodem otwierającym zamek.

Korytarz wyglądał równie staro jak elewacja budynku, z odłazającą tapetą, zakurzonym żyrandolem i płytkami podłogowymi, które może kiedyś były białe, kilkadziesiąt lat temu. Wewnątrz panowała względna cisza, jeśli nie liczyć słabych odgłosów kroków dobiegających z górnych kondygnacji. Miałam wrażenie, że lada chwila babcia wyskoczy z okrzykiem: „Niespodzianka!”

– Kto pamięta, do którego mieszkania zmierzamy? – rzucił tata. Przybrał optymistyczny ton, jaki zazwyczaj miał zarezerwowany dla potencjalnych nabywców nieruchomości. Zdaje się, że każde z nas usiłowało pocieszyć mamę na swój sposób.

– Pod piątkę – wyrwałam się z odpowiedzią.

Drewniane schody skrzypiały i jęczały pod naszymi stopami. Mama nie reagowała na żadną z radosnych uwag taty o balustradzie czy sztukateriach

przy suficie i zastanawiałam się, czy tata nie zaczyna żałować, że nas zabrał do Paryża na najbliższe sześć tygodni.

Wyjazd miał nam pomóc w dojściu do siebie po trudnych kilku miesiącach.

– Wy dwie i tak macie letnie wakacje, a Todd wręcz zmusza mnie do wzięcia porządnego, długiego urlopu teraz, kiedy mamy za sobą tamtą rezydencję przy Willow Street – oznajmił tata pewnego wieczoru przy kolacji. (To było już po otwarciu testamentu). – Możemy pojechać w trójkę i sprawdzić to miejsce. Ja popracuję nad nim, żeby je przysposobić do zamieszkania, a wy, dziewczyny, pokręcicie się, poznacie nowe miasto. Jak wam się podoba ten pomysł?

Serce uderzało mi tym mocniej, im wyżej się wspinaliśmy, aż byłam pewna, że wszyscy słyszą jego stukot odbijający się echem od ścian. Wciąż nie mogłam otrząsnąć się z szoku, że babcia zostawiła paryskie mieszkanie mnie, a nie mamie, chociaż to prawda, że byliśmy sobie bardzo bliskie i widywałam się z nią znacznie częściej niż mama, ponieważ mieszkała niedaleko mojego liceum – jej dom było widać z okien pracowni naukowej na drugim piętrze. Zaglądałam do niej zawsze w drodze ze szkoły, siadałyśmy przy kawie i chlebku bananowym i rozmawiałyśmy o wszystkim, co nam przyszło do głowy, od mojego nieistniejącego życia miłosnego po ostatnie wydarzenia w klubie brydżowym, w którym spędzała sobotnie popołudnia. No i oczywiście był jeszcze tamten okres w pierwszej klasie, kiedy mama tak często chodziła do lekarza, że to babcia odbierała mnie ze szkoły i codziennie gotowała dla mnie obiad. Od początku łączyła nas szczególna więź.

Pamiętam pewien chłodny, deszczowy dzień w lutym, kiedy siedziałam przy jej stole jadalnianym i wodziłam palcem po brzegu kubka w grochy, w którym zawsze podawała mi kawę.

– Babciu – zapytałam smętnie – co to znaczy, jeśli wciąż nie mam partnera na wiosenny bal?

Babcia uniosła jedną ze swych przerzedzonych białych brwi.

– Co to z n a c z y? – upewniła się.

– Tak.

Prychnęła.

– To znaczy, że jeszcze się nie zebrałaś, żeby kogoś zaprosić.

Kark i czoło miałam mokre, zanim dotarliśmy do drzwi z przymocowaną do nich zardzewiałą piątką. Najwyraźniej w budynku nie było klimatyzacji, a mieliśmy koniec czerwca. Tata wspinał się pierwszy, mama zamykała tyły. Wszyscy troje przez chwilę odzyskiwaliśmy oddech. I wreszcie przyszła pora.

– Chcesz otworzyć? – zaproponowałam mamie. Chciałam, aby poczuła, że to mieszkanie należy do nas obu.

– Nie, dzięki – odparła. – Otwieraj, śmiało.

Wyjęłam klucz drżącymi palcami. Pasował do dziurki i przekręcił się z satysfakcjonującym pstryknięciem, po czym pchnęłam lekko drzwi, by się otworzyły.

Pierwszym wrażeniem był zapach przypominający starą książkę: stęchły i zleżały, niemniej zachęcający, jak gdyby od dawna nieruszany tom cieszył się, że może wreszcie rozprostować skrzypiący grzbiet. Staliśmy w progu sieni o wyłożonych boazerią ścianach i wysokim suficie, było jednak zbyt ciemno, by wyrobić sobie pojęcie o znajdujących się dalej pomieszczeniach.

– H-halo?

Nie wiem, czemu to powiedziałam. Wiedziałam, rzecz jasna, że nikogo tam nie ma, że nikt nie zaglądał do mieszkania od długiego czasu. Gdy weszłam do środka, pod stopami poczułam dziwną miękkość, a kiedy spojrzałam w dół, okazało się, że fioletowe conversy, które kupiłam za pieniądze zarobione na korepetycjach, toną w grubej warstwie kurzu. Kurz zalegał wszędzie: na drewnianej ławce koło drzwi, na stojącym w kącie wieszaku ubraniowym, przypuszczalnie wisiał też w stęchłym powietrzu, które wdychałam.

Mama zakaszłała w rękaw swetra.

– Wiecie, chyba zostanę na zewnątrz.

– Nie chcesz się trochę rozejrzeć? – Raźno zatoczyłam ręką w półmroku.

– Może zaczekamy tutaj, a ty się rozglądaj. – Tata wziął mamę za rękę.

Mama nie miała nic przeciwko tej opcji, zatem nie pozostało mi nic innego, jak zagłębić się w ciemność.

– Prawie nic tu nie widać... Au.

Posuwając się po omacku w głąb pokoju, uderzyłam kolanem o coś twardego. Stół. Ostrożnie macałam otoczenie, aż cienki pasek światła podpowiedział mi, gdzie jest okno. Z niewielkim wysiłkiem udało mi się

rozsunąć sztywne zasłony i do pokoju niczym fala przyływu wdarło się jasne czerwcowe słońce. Usłyszałam stłumiony okrzyk taty i nie było to nic w stylu fałszywego entuzjazmu sprzedawcy nieruchomości. Obejrzałam się i szczęka mi opadła.

– O... mój... Boże.

Można to było określić tylko w jeden sposób: przenieśliśmy się w czasie. Mieliśmy przed sobą w pełni umeblowane mieszkanie, którego nikt nie ruszał od... kto wie jak dawna. Stałam w jadalni, spoglądając ponad długim, eleganckim drewnianym stołem. Po prawej stronie widziałam kredens ze srebrnymi świecznikami i z zastawą stołową. Ściany były niemal całkowicie zasłonięte dużymi obrazami w ozdobnych, złożonych ramach. Wszystko to przypominało plan filmowy, tyle że było prawdziwe i w swoich czasach musiało być bardzo cenne, co skłoniło mnie do przemyśleń, jak też babci się tutaj żyło. Zawsze mówiła, że przybyła z dziadkiem do Ameryki bez grosza przy duszy, że oboje musieli się zadowalać jednym posiłkiem dziennie.

Tata w końcu przekonał mamę, żeby się zapuściła w głąb mieszkania. Przy pierwszym kroku pośliznęła się w kurzu i o mało nie upadła; na szczęście tata w porę ją podtrzymał.

– Patrz na tę jadalnię, Diane!

– Widzę ją, Mark.

– Nie jest tak źle, co?

– Mów za siebie.

Tak bardzo chciałam powiedzieć coś, co by poprawiło sytuację, ale dobrze wiedziałam, że nie ma takich słów, otworzyłam więc podwójne drzwi i weszłam do drugiego zaciemnionego pokoju. Podążając za kolejnym paskiem światła, dotarłam do zasłon, po czym rozsunałam je na boki i moim oczom ukazała się wystawna bawialnia. Było tu jeszcze więcej dzieł sztuki, zapewne kosztownych, oraz drewniane pianino, które pewnie do tej pory zdążyło się zupełnie rozstroić. Zrobiłam rundkę po pokoju, zachwycając się ogromnym kominkiem i spoczywającym na jego obudowie lustrem. Dźgnęłam palcem jeden z tapicerowanych foteli przy oknie i w powietrzu zatańczyła chmura kurzu. Mieszkanie zdecydowanie cieszyło się z moich odwiedzin.

Ostrożnie, by nie wzbijać obłoków kurzu zalegającego na każdej powierzchni, obeszałam wszystkie pomieszczenia, żałując, że moje oczy nie

potrafią patrzeć w dziesięciu kierunkach naraz. Rodzice nie ruszyli się z sieni, zaglądając jedynie tu i tam przez drzwi. Zwiedziłam kuchnię i kwadratowy pokój z biurkiem i regałami bibliotecznymi sięgającymi od podłogi po sufit. W korytarzu odchodzącym z sieni w drugą stronę otworzyłam szafę i ujrzałam przedziwny widok: kilkanaście płaszczy wciąż wiszących porządnie na wieszakach, niczym stojące w rzędzie duchy. Poczułam ciarki na karku. Mieszkanie przestało być dla mnie składnicą meblowych antyków – teraz miało w sobie coś ludzkiego. Co mogło sprawić, że rodzina opuściła tę luksusową siedzibę, nie zabierając z sobą żadnych rzeczy? I czy to rzeczywiście była rodzina babci?

– Hej, Alice, chodź, rzuć na to okiem! – zawołał tata.

Oboje wciąż byli blisko drzwi wejściowych, obok stojącego pod ścianą stolika. Na całej jego długości rozmieszczono zdjęcia w ramkach i tata właśnie brzegiem koszulki wycierał z nich kurz. Mama wpatrywała się w te, które już oczyścił. Zachowywała prawie kamienną twarz, jeśli nie liczyć mięśnia drgającego w szczęce.

– Z-znaleźliście coś ciekawego? – zapytałam.

– Nie rozumiem – wymamrotała mama.

Fotografie były czarno-białe. Najdalsza po lewej przedstawiała młodą dziewczynę siedzącą na nadmorskiej promenadzie. Przytrzymując się brzegu ławki, wychylała się nieco na siedzeniu, jakby chciała dać do zrozumienia, że wolałaby się znajdować na piasku, zamiast pozować w sukience do zdjęcia. Miała lśniąco jasne włosy i piegi na nosie, a przy tym wyglądała niewiarygodnie znajomo.

– Mamo, czy to ty?

Ale to było niemożliwe. Zdjęcie zrobiono kilkadziesiąt lat przed jej przyjściem na świat. W tle uwieczniono na nim mężczyzn w sięgających wysoko, staroświeckich spodenkach kąpielowych i kobiety w strojach plażowych wyglądających jak sukienki. I ludzi z parasolami od słońca, na litość boską. Więc to oznacza...

– To babcia – stwierdził tata.

Dopadło mnie zniecka: poczułam ucisk w gardle, do oczu napłynęły mi łzy, zaparowały okulary. Pośpiesznie doprowadziłam się do porządku, żeby mama nie widziała mnie w tym stanie. Chciałam być teraz dla niej silna, ale ja też tęskniłam za babcią. Za jej kawą i bananowym chlebkiem. Za tym, jak śmiałyśmy się z jej opowieści o Ethel z klubu brydzowego,

która zawsze zasypiała w środku partii. Za tym, jak pokazywałam babci na Instagramie fotki gości, w których się kochałam, i za tym, jak bezlitośnie wystawiała im oceny. Ale przede wszystkim brakowało mi członka rodziny, przed którym mogłam się otworzyć. Z rodzicami rozmawiałam, śmiałam się i dobrze dogadywałam, lecz nigdy nie zwierzałam im się z u c z u ć. Za dużo mieli w sobie rezerwy, potrzebowałam do tego babci. Z trudem przełknęłam ślinę. Za każdym razem kiedy mnie nachodziły takie myśli, miałam poczucie winy – wiedziałam przecież, jak mama cierpi, i kochałam ją. Kochałam też tatę. Zanim założyłam z powrotem okulary, łzy zdążyły zniknąć.

Wróciłam do zdjęć. Na każdym była młoda albo mała babcia. Tu siedziała po turecku na trawie koło piknikowego obrusu, tam pozowała przed szkołą ubrana w tunikę i podkolanówki.

– Więc uważacie, że to mieszkanie jest...

Następna fotografia odpowiedziała na moje pytanie. Znowu babcia – siedziała przy długim drewnianym stole i bez wątpienia był to ten sam mebel, który widziałam w sąsiedniej jadalni. Rozpoznałam wiszące za nią obrazy. Babcia tutaj mieszkała. To był dom jej dzieciństwa – jej dostatniego dzieciństwa. Nie wiedziałam, czego innego się spodziewałam, ale ta prawda wydała mi się tak dziwaczna, że ledwie ją mogłam ogarnąć. Może rodzina opuściła to miejsce, uciekając przed wojną. Ale jeśli tak, dlaczego nikt nie wrócił do domu? Co się z nimi stało?

W głowie kłębiły mi się dziesiątki nowych pytań, kiedy zauważyłam tę dziewczynę. Na zdjęciu z pikniku leżała na brzuchu i kartkowała książkę. Na fotce sprzed szkoły pozowała wraz z babcią ubrana w podobny strój. Nie wydawała mi się znajoma, lecz miała ciemne oczy i ciemnie kręcone włosy, tak jak ja, tyle że była o wiele ładniejsza. To obiektywny fakt. Wyglądała jak gwiazda filmowa, podczas gdy siebie określiłabym jako ciamajdę, którą można by uznać za urocą, tylko jeśli się zmruży oczy i przechyli głowę w lewo.

– Mamo – odezwałam się łagodnie – czy babcia wspominała, że miała siostrę?

– Nie – odparła mama. – Wygląda na to, że o wielu rzeczach mi nie mówiła.

Nie ulegało to jednak wątpliwości. Musiały być siostrami. Dalej w szeregu fotografii znajdował się profesjonalny portret babci, tej

dziewczyny i dwojga dorosłych, zapewne ich rodziców. Kobieta, doskonale zadbane, miała w uszach diamentowe kolczyki, a na szyi wisiołek z dużym kamieniem szlachetnym. Mężczyzna najwyraźniej mniej się przejmował własnym wyglądem – garnitur miał o kilka rozmiarów za duży jak na swoje szczupłe ciało, spostrzegłam też, że u lewej ręki brakuje mu trzech ostatnich palców.

Tata uściskał mamę za ramię.

– Widziałaś kiedyś swoich dziadków na zdjęciu?

– Nie – odburknęła, wyrrywając się mu się spod ręki. – Wiem tylko, że zmarli, zanim się urodziłam.

Wpadłam na pewien pomysł. Znalazłam z tyłu ramki otwarcie, wysunęłam z niej fotkę i odwróciłam ją. I rzeczywiście, z tyłu widniał podpis: *Maman, Papa, Chloe, et Adalyn. 1938*. Chloe to było imię babci, co oznacza, że jej siostra musiała mieć na imię... Adalyn.

Nie zetknęłam się dotąd z takim imieniem. Do mojej klasy chodziło pięć Emily, cztery Hannah, trzy Ashley i trzy Samantha, nikt jednak nie miał na imię Adalyn. Podobało mi się, bardziej niż Alice, które według mnie brzmiało myszowato i sztywno. Ciemnowłosa dziewczyna miała w sobie coś, co sprawiało, że trudno było od niej oderwać wzrok. I nie chodziło tylko o to, że wyglądała ładniej niż którakolwiek ludzka istota, jaką widziałam w życiu. Raczej o jej szczególne spojrzenie, jakby analizowała osobę robiącą jej zdjęcie.

– Miała na imię Adalyn – powiedziałam, podając mamie fotografię.

Wsunęła ją z powrotem w ramkę, ledwie rzuciwszy okiem. Tata przeciągnął sobie dłonią po rzednących włosach. Zawsze tak robił, gdy coś go przerastało i zastanawiał się, co powiedzieć.

– Może powinniśmy pójść coś zjeść – zaproponował. – Jak sądzisz, Diane?

– Nie mam nic przeciwko.

Poczułam się zawiedziona. Nie miałam jeszcze ochoty stąd iść. Chciałam się dalej rozglądać. Nie zajrzałam dotąd do żadnej z sypialni. Wiedziałam jednak, że tata ma rację. Dla mamy to było za dużo jak na jeden raz i ze względu na nią nie powinniśmy tkwić w tym mieszkaniu zbyt długo. Nie chciałam być samolubna. Obrzuciłam pomieszczenia ostatnim, przeciągłym spojrzeniem, obiecując sobie w duchu, że wrócę, gdy tylko

będę mogła. Następnym razem pewnie będzie lepiej, jeśli przyjdę sama – zostanę wtedy tak długo, jak zechcę.

Wyszłam za rodzicami na klatkę schodową i zamknęłam za nimi drzwi. Zasłony zostawiłam rozsunięte, żeby mieszkanie tonęło w blasku słońca.

Rozdział 2

Alice

Słońce wpadało przez okno nad moim łóżkiem w wynajętym mieszkaniu. Była ósma rano, a ja – w pełni rozbudzona – rwałam się do działania.

Przez długie trzy dni wraz z rodzicami snułam się po muzeach i innych atrakcjach Paryża. Zwiedziliśmy Luwr, Musée d’Orsay, wieżę Eiffla... i przez cały ten czas nikt ani słowem nie wspomniał o babci ani o jej mieszkaniu. Tata i ja zachowywaliśmy tryb rozmowy Prewittów jeszcze usilniej niż zwykle – komentowaliśmy znakomite malarstwo i zdumiewającą architekturę, desperacko żywiąc nadzieję, że rozpraszamy tym przygnębienie mamy. Wreszcie zeszłego wieczoru tata dostał mejla od ekipy sprzątającej – usunięto już kurz i śmieci, mogliśmy tam wrócić, gdy tylko zechcemy. Tamten facet powiedział, że w życiu nie widział czegoś takiego jak mieszkanie babci – *une capsule temporelle*, tak się wyraził.

Kapsuła czasu.

Przycisnęłam ucho do cienkiej jak papier ściany oddzielającej mój pokój od sypialni rodziców. Pewnie jeszcze spali. Cichutko umyłam zęby, ubrałam się w krótkie spodenki i T-shirt oraz włożyłam trampki. Nie wzięłam z sobą w podróż innych butów, ponieważ i tak noszę je do wszystkiego. Wymknąwszy się przez drzwi wejściowe, wysłałam do rodziców wiadomość, żeby nie wariowali z nerwów, gdy się obudzą i mnie nie zastaną. Jeśli się lepiej zastanowić, pewnie dobrze się stało, że nie spotkałam się dziś rano z mamą twarzą w twarz. To znaczy zapewniła mnie, że mogę wrócić do mieszkania, kiedy zechcę, o ile nie będzie musiała mi towarzyszyć, ale nie dało się właściwie powiedzieć, co naprawdę myśli. Było mi przykro, że nie jest nam łatwiej.

Po części czułam się winna, że ją dziś tak zostawiłam, ale przecież miała tatę, a po trzech dobach mieszkanie przy rue de Marquis pod numerem 36 przyzywało mnie z powrotem. Maszerując rażno po rue de Richelieu, odnosiłam wrażenie, że świat wokół mnie w niewyjaśniony sposób pojaśniał, jak gdyby ktoś podkreślił słońce. Mijając maleńki skwer, zauważyłam fontannę, wysoką pewnie na ponad cztery metry – wyrzucała wodę wdzięcznym łukiem w górę. Jak dotąd najbardziej podobało mi się w Paryżu to, że gdziekolwiek się człowiek obróci, dostrzegają coś nieopisanie pięknego wetkniętego w sam środek zwykłego kawałka miasta. W pakiecie z biletem lotniczym wynajęliśmy nieciekawe, ciasne dwupokojowe mieszkanie nad warsztatem naprawiającym telefony komórkowe, ale po drugiej stronie ulicy wznosił się zachwycający siedemnastowieczny kościół. Miasto było pełne właśnie takich niespodzianek.

Pierwszy przystanek zrobiłam sobie w kawiarence, którą znalazłam po drodze – lokalu tak maleńkim i tak pełnym aromatu, że kofeiny przypuszczalnie można się było nawdychać w powietrzu, nie trzeba było pić kawy. W przepływie śmiałości podeszłam do kontuaru i moim znośnym francuskim zamówiłam czarną kawę.

– *Un café noir, s’il vous plaît.*

To mój sprawdzony wybór, choć wiedziałam, że napój będzie gorzki. Ilekroć zaglądałam z koleżankami do Starbucksa, Hannah i Camila zamawiały latte o smaku dyniowym i mocha frappuccino z bitą śmietaną na wierzchu. Przyznaję, smakują całkiem nieźle – okej, smakują zniewalająco – lecz babcia nauczyła mnie doceniać kawę, która niczego nie udaje.

Barista wręczyła mi to, co zamówiłam, ale zupełnie nie tego się spodziewałam. Jednorazowa filiżanka miała trzy cale wysokości, była mniejsza od dziecięcego kubka. Kawa wyglądała jak błoto: brunatna i mętna. No i niewiele jej było.

Pociągnęłam łyk i zrozumiałam dlaczego. To była najmocniejsza kawa, jaką w życiu piłam. Smakowała jak ostro wlepiony policzek. Czy to dowcip przeznaczony dla Amerykanów? Kobieta rozpoznała mnie po akcencie? Jednak kiedy się rozejrzałam, dostrzegłam, że inni klienci też to piją, tak po prostu. Jak oni to robią? Byłam zbyt zakłopotana, by poprosić o coś innego, wzięłam więc napój w nadziei, że się do niego przyzwyczaję, tak samo jak nauczyłam się tolerować kolendrę. Co trzy przecznice upijałam kolejny łyk,

ale kawa nie robiła się lepsza, już raczej mocniejsza. Kiedy dotarłam na ulicę babci, zmusiłam się do przełknięcia wykręcających nos resztek, po czym triumfalnie wrzuciłam kubeczek do kosza.

Wspięłam się po schodach do mieszkania numer 5, przekręciłam klucz w zamku i pchnęłam drzwi. Wow – ekipa sprzątająca wykonała niewiarygodną pracę. Dostrzegłam szczegóły, które przedtem były ukryte pod pierzyną kurzu: wymyślnie rzeźbione pazurzaste nogi jadalnianego stołu i krzesel, wzory na orientalnych dywanach w bawialni, uśmiechnięte twarze babci i jej siostry na fotografiach przy wejściu. Tak jakby ktoś nastawił obiektyw i całe mieszkanie ukazało się w pełnej ostrości.

Wciąż nie mogłam uwierzyć, że babcia mi je zostawiła.

Mogłabym chodzić po nim w kółko i przyglądać się uważnie każdemu meblowi, lecz tak naprawdę chciałam dowiedzieć się jak najwięcej o babci i jej rodzinie. Odkąd odczytaliśmy testament, myślałam o tym mieszkaniu nieustannie, zamykałam oczy i odtwarzałam sobie w głowie sceny, a teraz byłam pewna, że babcia celowo coś przed nami tajiła. Przypomniałam sobie okazje, kiedy jej przeszłość o mało nie wyszła na jaw w rozmowie, a ona sprytnie zdołała nadać konwersacji inny bieg, zanim uświadomiłam sobie, co robiła.

Na przykład ostatnio w marcu, kiedy poprosiłam, żeby sprawdziła moją pracę domową z historii Europy, a zadano nam sporządzenie szczegółowej mapy niemieckich inwazji podczas drugiej wojny światowej. Myślałam, że babcię może to zainteresować, w końcu to były czasy jej młodości, lecz ona tylko pobieżnie rzuciła okiem na kartkę, po czym odłożyła ją na bok i spytała:

– Chodzisz na historię z tym chłopakiem? Czy już się dowiedział, jak się powinno całować kobietę?

Tak, na historię chodziłam „z tym chłopakiem”. Zamartwiałam się, że nigdy nie byłam na randce, aż Nathan Pomorski zaprosił mnie na wiosenną zabawę szkolną. Pocałował mnie podczas powolnego tańca, a raczej wessał się w dolną część mojej twarzy, przez co całe moje wargi wylądowały wewnątrz jego ust. To było straszne.

– Nie mam zamiaru tego sprawdzać – odpowiedziałam wtedy babci. – Już go powiadomiłam uprzejmie, że nie chcę się więcej spotykać, ale chyba do niego nie dotarło. Wciąż sterczy koło mojej szafki, żeby się przywitać.

Babcia hałaśliwie odstawiła kubek z kawą na stół.

– Więc powiedz mu, że całuje jak odkurzacz!

W tym momencie obie wybuchnęłyśmy śmiechem i praca domowa z historii poszła w zapomnienie.

Poprzednio nie zajrzałam wcale do sypialni, dlatego tym razem skierowałam się tam w pierwszej kolejności. Nietrudno je było znaleźć. Podążyłam dalej korytarzem, w którym ostatnio zerknęłam do szafy z okryciami, i zaraz dotarłam do dwojga drzwi – na jednych i drugich wisiała namalowana tabliczka. Jedna głosiła: „Chloe”, druga: „Adalyn”.

Bez zastanawiania się na pierwszy ogień wybrałam pokój babci. „Pokój babci” – co za dziwaczna myśl. Wciąż nie docierało do mnie, że tutaj mieszkała, że jej dłoń naciskała właśnie tę rozklekotaną mosiężną klamkę. Serce zabiło mi dziko na myśl, że w środku znajdę jakąś wskazówkę dotyczącą jej przeszłości.

O matko. Pokój wyglądał, jakby przeszło przez niego tornado. Drzwi szafy były szeroko otwarte, a ubrania porozrzucane chaotycznie po łóżku. Na podłodze poniewierały się przypadkowe buty i otwarte książki. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak to wyglądało, zanim sprzątacze przystąpili do pracy. Czy babcia zostawiła tak swoje rzeczy, pakując się do wyjazdu do Ameryki?

Mój wzrok przyciągnęły dwa maleńkie przedmioty na komodzie i nurtujące mnie pytania zupełnie zniknęły, a gardło znów się ścisnęło.

Łzy pojawiły się szybko, jakby czyjaś ręka złapała mnie za szyję i siłą wyciągnęła uczucia na wierzch. Przedtem, przy mamie, pośpiesznie otarłam łzy, lecz teraz pozwoliłam im swobodnie płynąć po policzkach. Z rozpaloną, mokrą od słonych strug twarzą – całkiem się rozkleiłam. Zazwyczaj nie płaczę przy kimś, wliczając w to samą siebie. Tym razem przemówiły do mnie leżące na komodzie nitka z igłą – malutki dowód na to, że babcia, moja babcia kiedyś żyła i oddychała w tym pokoju, w tym odległym kraju. Tuż po przybyciu do Ameryki pracowała jako szwaczka, zanim skończyła studia i została nauczycielką. Zawsze lubiła szyć, robiła nawet ubranka dla moich pluszaków, kiedy byłam mała. Wzięłam igłę z komody, potoczyłam ją w palcach i nagle, zdumiewająco – jakby ktoś zarzucił mi koc na ramiona – zaczęłam czuć się tu nieco bardziej jak w domu.

Wzięłam się w garść i wróciłam do rozglądania się. Na szczycie sterty ubrań spoczywała długa fioletowa suknia, której babcia najwyraźniej nie

chciała z sobą zabrać. Co dziwne, na piersi sukienki widniała żółta gwiazda, najwyraźniej naszyta później. Na gwieździe wyszyto napis: *zazou*. Ciekawe, co to miało znaczyć. Wiedziałam, że naziści podczas drugiej wojny światowej kazali Żydom nosić na ubraniach żółtą gwiazdę, ale przecież babcia była chrześcijanką.

Uważnie oglądałam porozrzucane ubrania, gładząc materiał i żałując, że nie ma tu babci, żeby mi wszystko wyjaśniła. Dlaczego to miejsce było takim sekretem i czemu zostawiła mi je w spadku? Dlaczego nie mamie? Czy chciała, żebym tu coś konkretnego znalazła? W poszukiwaniu wskazówek podeszłam do komody i w środku zobaczyłam tylko kilka zapomnianych pończoch. Uch. Babciu, daj mi jakiś znak! Jak głupia obejrzałam się przez ramię, by sprawdzić, czy coś nie pojawiło się za sprawą magii, ale pokój wyglądał tak samo, jak kiedy do niego weszłam.

Jeśli są tutaj tylko stare rzeczy, których babcia nie chciała z sobą zabrać, może powinnam zajrzeć do sąsiedniego pokoju – tego, który należał do Adalyn, tajemniczej bliskiej krewnej, o której do niedawna nie miałam pojęcia. Zrobiłam ostatnią rundkę po sypialni babci i wyszłam z powrotem na korytarz.

Drzwi pokoju drugiej dziewczyny uchyliły się z przeciągłym, cichym skrzypnięciem.

Pierwsze, co zobaczyłam w cętkowanym świetle słonecznym wpadającym z podwórka, to było zachwycające łóżko z baldachimem i rzeźbionymi słupkami. Kiedy byłam w pierwszej klasie, błagałam rodziców o takie łóżko, ale wtedy mama weszła w mroczną fazę i szybko nauczyłam się temperować własne zachowanie. Zanim zaczęła się druga klasa, chyba zapomniałam o swoim marzeniu z baldachimem i od tamtej pory pewnie nawet o nim nie myślałam.

Rozglądałam się po pokoju, zastanawiając się, w którą stronę najpierw skierować oczy. Gdyby ktoś wszedł do mojej obecnej sypialni, gdzie znalazłby najbardziej osobiste rzeczy? Niewątpliwie w szufladzie biurka. Właśnie tam trzymałam swoje żenująco marne wiersze, które nigdy nie miały ujrzeć światła dziennego. Tam również wrzuciłam otrzymany od Nathana adres jego obozu wakacyjnego w Kanadzie; prosił, żebym pisała do niego listy, ponieważ nie ma tam zasięgu sieci komórkowej, ale jakoś do tej pory się nie zebrałam.

Pośpiesznie ruszyłam do stojącego pod oknem biurka, lecz kiedy moje palce dotknęły już gałki szuflady, zawahałam się. Poczułam się jak wścibska szperaczka myszkująca w cudzych rzeczach. Gdyby mama kiedyś otworzyła szufladę mojego biurka i zobaczyła wiersze, które napisałam lata temu, podczas gdy ona przechodziła jedną ze swych faz, pewnie padłabym trupem na miejscu. Jednak, bądź co bądź, Adalyn nie mieszkała tu już od lat – właściwie kilkudziesięciu. Gdziekolwiek teraz była, wątpiłam, aby te rzeczy miały dla niej szczególne znaczenie.

Ciekawość we mnie zwyciężyła i pociągnęłam szufladę.

W środku leżały ołówki, czyste kartki, kilka zapodzianych monet i wsuwki do włosów. Oraz oprawiony w skórę czarny notatnik. Otworzyłam go, by zerknąć na pierwszą stronę, i od razu rzuciło mi się w oczy, akapit po akapicie, drobnutkie pochyłe pismo. W prawym górnym rogu widniała data: *30 mai 1940*.

Serce we mnie zamarło.

Chyba właśnie znalazłam dziennik Adalyn.

Wiedziałam, że to skończone wścibstwo, ale nie mogłam się oprzeć. Postanowiłam, że do sypialni pradziadków zajrzę później. Teraz potrzebowałam automatycznego tłumacza Google.

Sprawdziłam pozostałe szuflady, by się upewnić, że niczego nie pominęłam, z wyjątkiem jednej, która zaklinowała się tak mocno, że nie udało mi się jej wysunąć. Potem pomknęłam z powrotem do naszego wynajętego lokum, wcisnęłam do plecaka swój laptop i wyruszyłam na poszukiwanie kawiarni z darmowym Wi-Fi. Mogłam to oczywiście zrobić w wynajętym mieszkaniu, ale nie chciałam ryzykować, że mama zastanie mnie przy dzienniku i znowu się zdenerwuje. Na szczęście wkrótce znalazłam zaciszny kącik w pobliskiej kawiarni. W taki piękny słoneczny dzień w Paryżu wszyscy klienci restauracji i kawiarni walczą o stolik na zewnątrz, na chodniku. Gdy tylko podłączyłam się do internetu, przycisnęłam otwarty dziennik łokciem i zaczęłam wklepywać pierwszy wpis do tłumacza.

– Coś do jedzenia, *mademoiselle*?

Obok mnie stał kelner, czekając na zamówienie.

– Och, ee... – Zerknęłam na wiszącą na ścianie tablicę z wypisanymi kredą specjałami. – *Un pain au chocolat, s'il vous plaît*.

– A życzy sobie pani też coś do picia?

Tak, ale nie chciałam popełnić tego samego błędu co wcześniej, gdy próbowałam złożyć zamówienie po francusku. Tym razem zdecydowałam się trzymać angielskiego.

– Poproszę czarną kawę.

– *Un café?*

– Tak, dziękuję.

Wróciłam do dziennika. Szło mi opornie; czasami trudno było rozszyfrować niektóre litery, a mój kulawy francuski nie wystarczał, by trafnie odgadnąć, o jakie słowo chodzi. W końcu otworzyłam drugą zakładkę w translatorze – tu tak długo wpisywałam różne możliwe wersje, aż wyskoczył mniej więcej pasujący angielski odpowiednik. Okulary wciąż mi zjeżdżały z nosa, tak się garbiłam nad kartką.

Po chwili kerner przyniósł moje zamówienie. Ciasto francuskie na oko zapowiadające się na niebo w gębie oraz... o nie. Kolejna filiżanka naparstek. Jak to się stało, że znowu do tego dopuściłam?

– *Un pain au chocolat et un café, mademoiselle.*

Postanowiłam, że w końcu kiedyś do tego dojdę. Teraz tylko podziękowałam kelnerowi i wróciłam do pracy. Ilekroć udało mi się przebrnąć przez szczególnie gęsto zapisany fragment, nagradzałam się kęsem *pain au chocolat*. Smakołyk cudownie rozpuszczał się w ustach.

Wreszcie skończyłam pierwszy wpis z dziennika. Rozciągnęłam zdrętwiąłą szyję i rozruszałam nadgarstki. Pociągnęłam maleńki łyżeczek kawy – Jezu Chryste, jaka mocna – i wzięłam się do czytania.

Nigdy dotąd nie prowadziłam dziennika.

Teraz zaczynam, bo wydaje mi się to jedynym sposobem na uporanie się z wydarzeniami ostatnich kilku tygodni. Jeśli tego nie spiszę, za jakiś czas mogę nie wierzyć w to, co widziałam na własne oczy.

Znalazłam ten pusty notatnik, kiedy szukałam bandażu, żeby owinąć sobie stopy. Wujek Gérard powiedział, że po tym, co przesłam, zasługuję na to, żeby zatrzymać ten notes. Więc teraz piszę, siedząc na strychu gospodarstwa wujka Gérarda – a dokładniej na materacu, który w najbliższym czasie będzie dzielił z Chloe. Kto wie, jak długo to potrwa? Moja siostra narzeka na ciasnotę naszej kwatery (jak zresztą narzeka na

wszystko), lecz dla mnie ten ponury stryszek to jedyne miejsce, gdzie mogę usłyszeć własne myśli. W domu jest strasznie tłoczno – oprócz wujka Gérarda są mama, papa i czworo ich przyjaciół, którzy też wyjechali z Paryża – poza tym trudno znieść nerwową atmosferę, jaka się wytworzyła.

Gdzie zacząć tę nieszczęsną historię? W maju Niemcy najechały Francję. W szkole nam powtarzali, że nie ma powodów do obaw, że Hitler nigdy nie przekroczy Linii Maginota. Mylili się.

Po wydarzeniu potoczyły się bardzo szybko. Papa powiedział, że wyjeżdżamy z Paryża, jedziemy do wujka Gérarda na wieś, do Jonzac. Musiałyśmy jak najszybciej spakować rzeczy do samochodu. Mama włożyła na siebie trzy sukienki i dwa płaszcze, biżuterię schowała do walizeczki i nam kazała zrobić to samo. Wyszła z mieszkania w swoich najdroższych szpilkach, ponieważ nie chciała ich zostawiać. Ciekawe, co z nich zostało.

Ucieczka miała nam zapewnić bezpieczeństwo, ale na drogach za miastem bynajmniej nie było bezpiecznie. Jak okiem sięgnąć ciągnął się strumień brudnych, znękanymi ludźmi. Niektóre rodziny na rozchybotanych wózkach wiozły swój dobytek. Inne nie miały nic prócz potarganych łachmanów na grzbiecie. Papa prowadził samochód, jak daleko się dało, wolno przepychając się przez tłumy. W końcu koło Orleanu zabrakło nam paliwa. Ponieważ nigdzie nie można było dostać benzyny, musieliśmy porzucić naszego kochanego Citroëna jak zwłoki przy drodze – wiele rzeczy zostawiliśmy w środku – i dalej podążać pieszo.

Szliśmy trzy dni. Stopy nas bolały i krwawiły. Mimo że papa pobrał w banku wszystkie oszczędności, nie udało nam się dostać pokoju na nocleg. Spaliśmy – lub raczej próbowaliśmy spać – na trawie przy drodze. Posilaliśmy się odrobiną chleba, sera i kiełbasy, które szczęśliwie zabraliśmy z sobą.

Po drodze widziałam rzeczy, których nie zapomnę do końca życia. Tłum był niczym żywy stwór. Mógł cię połknąć. Słyszałam dzieci płaczące przeraźliwie ze strachu, ponieważ

odłączyły się od rodziców. Jak się miały odnaleźć, za małe, żeby znać swoje nazwisko albo cel wędrówki? Widziałam leżących na ziemi staruszków, zbyt słabych, żeby iść dalej. Niektórzy jeszcze żyli. Inni nie. Rozpaczliwie chciałam się zatrzymać i pomóc tym ludziom, ale mamani i papa parli naprzód – nie mogłam ich zgubić. To ja niosłam jedzenie.

Najgorsze okazały się ataki z powietrza. Byliśmy zmęczeni, brudni, wygłodzeni. I wtem usłyszeliśmy niskie buczenie, z każdą sekundą głośniejsze. Podnieśliśmy wzrok i ujrzeliśmy trzy niemieckie samoloty kierujące się na odcinek drogi, który mieliśmy przed sobą. Początkowo myślałam, że lecą dokądś dalej, lecz one nagle zanurkowały z przenikliwym wizgiem. Z samolotów strzelano do ludzi na ziemi. Do niewinnych ludzi, którzy nic nie zrobili – jedynie szli od wielu dni. Potem maszyny odleciały.

Odgłos ich lotu wywołał u taty straszliwe wspomnienia. Drżał na całym ciele i nie mógł oddychać, zatrzymaliśmy się więc, by doszedł do siebie. Biedny, kochany papa. Dawniej widywałam go w takim stanie tylko podczas pokazów fajerwerków.

W końcu ruszyliśmy w dalszą drogę, lecz wciąż był wstrząśnięty. A kiedy dotarliśmy do odcinka, gdzie wcześniej uderzyły myśliwce, musiałam pobiec na bok i zwymiotować. Dokoła leżały ciała z wywleczonymi wnętrznościami. Dorośli wyli jak zwierzęta. Nie będę się wdawać w szczegóły, bo znów robi mi się niedobrze. Nienawidzę tej wojny i nienawidzę Niemców.

Przerwałam czytanie, żeby odzyskać oddech. Nigdy nie słyszałam o tej masowej ucieczce z Paryża i nigdy dotąd nie czytałam nic równie szokującego. A więc to w ten sposób porzucili mieszkanie – kiedy rodzina opuściła miasto, kierując się do wujka Gérarda? Nie... nie mogło tak być, ponieważ dziennik Adalyn jakimś cudem wylądował w jej paryskim pokoju. Rodzina – albo przynajmniej Adalyn – musiała jakoś wrócić.

Przewróciłam kartkę w notesie. Następne dwa wpisy były krótsze od pierwszego, a pismo Adalyn zrobiło się niestaranne. Wyczuwało się

pośpiech, z jakim kreśliła linie na papierze. Musiałam się dowiedzieć, co było dalej. Poprawiłam sobie okulary na nosie i znów zaczęłam wklepywać tekst do translatora.

14 czerwca 1940 roku

Dziś Paryż poddał się Niemcom. Ludzie, którzy strzelali do niewinnych uchodźców, teraz maszerują triumfalnie po Polach Elizejskich bez sprzeciwu ze strony Francuzów. Nie wiem, co będzie dalej. Papa w tych dniach rzadko się odzywa. Podejrzewam, że go prześladują straszliwe wspomnienia z wielkiej wojny. Stracił trzy palce pod Passchendaele, ale to było najmniejsze zmartwienie.

Stracił też młodszego brata, Mathieu. Wujek Gérard twierdzi, że teraz Francja musi się przygotować na najgorsze. Maman ma nadzieję na poprawę sytuacji. Chloe bardzo się boi. Martwi się, że kiedy wrócimy, nie będzie już naszego domu. Ja też się boję, ale staram się tego nie okazywać. Uwielbiam nasze mieszkanie. Kocham nasze piękne miasto. Muszę kończyć – Chloe wierci się na posłaniu i chce, żebym się położyła obok niej.

17 czerwca 1940 roku

To koniec. Francja skapitulowała przed nazistowskimi Niemcami. Marszałek Pétain przemawiał dziś wieczorem przez radio. (To on teraz stoi na czele rządu). Powiedział, że naszym obowiązkiem jest ulżyć w cierpieniu Francji. Że pora powstrzymać walkę.

Mamie wyraźnie ulżyło. Ona ufa Staremu Marszałkowi. Mówi, że teraz w tej wojnie nie muszą już ginąć ludzie. Ciekawe, skąd wyciągnęła taki wniosek – nie mam pojęcia. Odnoszę wrażenie, że świat się rozpada. Jak ten Pétain mógł podpisać ugodę z Niemcami? Dlaczego nie bronimy się przed siłami zła?

Po wysłuchaniu orędzia w radiu Chloe i ja, pomagając sobie wzajemnie, z trudem dowlekłyśmy się na stryszek.

Położyłyśmy się razem i długo płakałyśmy, zanim w końcu udało się nam zasnąć.

Poczułam wyrzuty sumienia: ileż to razy skarżyłam się babci, że mam za dużo zadane do domu, nie wiedząc, co ona przechodziła w moim wieku! Miałam ochotę wyciągnąć ręce, sięgnąć poprzez kartki dziennika jej siostry i pocieszyć jakoś babcię z czasów jej młodości. Chciałam jej powiedzieć, że wszystko ostatecznie skończyło się dobrze. Znalazła dziadka, urodziła im się córka, potem babcia miała mnie. Ale opadły mnie te same pytania co poprzednio. Co się stało z jej tutejszą rodziną? Co się stało z Adalyn? Najwyraźniej ona i babcia były sobie tak bliskie, jak tylko mogą być siostry. Co się zmieniło? Co takiego mogło się wydarzyć, że babcia przez resztę życia nigdy nie wspomniała o Adalyn swoim najbliższym krewnym?

I najważniejsze: czy babcia życzyła sobie, żebym znalazła odpowiedź?

Na ekranie laptopa pojawiło się ostrzeżenie: zostało tylko dziesięć procent baterii. Sprawdziłam czas i ze zdumieniem uświadomiłam sobie, że spędziłam tutaj prawie dwie i pół godziny. Postanowiłam, że przepchnę przez translator jeszcze tylko jeden wpis i wrócę na rue de Marquis, żeby myszkować dalej. Wklepałam pierwsze zdanie, spodziewając się kolejnej przygnębiającej wiadomości.

Ale wpis okazał się inny.

18 czerwca 1940 roku

Cofam to, co napisałam wczoraj: to nie koniec. Wciąż jest nadzieja. Ledwie mogę utrzymać pióro, tak mi się ręce trzęsą!

Dzisiaj wieczorem przemawiał w radiu BBC francuski generał Charles de Gaulle. Ślubował, że wróg pewnego dnia zostanie pokonany, i zaapelował, żeby ludzie dołączyli do niego w Londynie. Na koniec wypowiedział niezapomniane słowa: „Cokolwiek się wydarzy, płomień francuskiego oporu nie może zagasnąć i nie zostanie wygaszony”.

Dziś Chloe i ja nie mogłyśmy zasnąć z podekscytowania.

Słyszeliście? Walka trwa!

Mogłabym podskoczyć z radości i zacząć wiwatować, tyle że oczywiście nigdy bym nie zrobiła nic takiego w miejscu publicznym. Mimo to czułam

się, jakbym była tam razem z Adalyn i dzieliła jej emocje. Musnęłam opuszkami palców kruchą kartkę o pożółkłych brzegach i wyobraziłam sobie prąd elektryczny przepływający od właścicielki dziennika do mnie.

Słyszałam o francuskim ruchu oporu. Pan Yip omówił pokrótce ten temat w bloku dotyczącym drugiej wojny światowej na lekcjach historii Europy. Pamiętałam, że Francuzi wysadzali w powietrze niemieckie pociągi i niektóre zajęte przez nazistów budynki. Kojarzyłam też nazwisko Charles'a de Gaulle'a, ale tylko dlatego że na jego cześć nazwano paryski port lotniczy. To bardzo śmiało z jego strony, że przemówił do Francuzów przez radio zaraz na drugi dzień po Pétainie i zapowiedział coś zupełnie przeciwnego niż głosiła oficjalna władza. Jak bym zareagowała, gdybym była tam u wujka Gérarda z babcią i Adalyn, z całą skupioną wokół radia rodziną w tamtych dniach niepewności? Czy pokładałabym ufność w Pétainie, jak ich matka, czy raczej dołączyłabym do zwolenników de Gaulle'a, jak Chloe i Adalyn? Gdybym była wówczas w drodze podczas exodusu, gdybym widziała te okropne rzeczy, których one stały się świadkami – wiem, po czyjej stanęłabym stronie.

Chciałabym walczyć dalej.

Wróciwszy do mieszkania numer 5, dokończyłam zwiedzanie, zaglądając do głównej sypialni na końcu korytarza. Była bardzo elegancka, większa od pokoju moich rodziców w domu. Stały tu szerokie łóżko z kolumnkami, dwie komody oraz staroświecka toaletka z owalnym lustrem. Wszędzie były wystawione rodzinne fotografie w ramach. Brałam je do rąk jedną po drugiej. Zapatrzyłam się w czarno-białą twarz babci, z każdą mijającą sekundą tęskniąc za nią coraz bardziej. Teraz jednak, po przeczytaniu fragmentu dziennika Adalyn, czułam też rodzącą się więź z ciemnowłosą siostrą Chloe. Miałyśmy z sobą sporo wspólnego. Przed wszystkim obie kochałyśmy babcię. Obie też dokładałyśmy starań, by nasze rodziny trzymały się razem.

Kiedy już obejrzałam dokładnie zdjęcia na toalecie, otworzyłam jej górną szufladę. Nieoczekiwanie znalazłam w niej stosik wycinków prasowych. Zapewne pochodziły z kronik towarzyskich, ponieważ zawierały zdjęcia z wystawnych spotkań, a pod spodem listę gości z wyszczególnionymi projektantami ich kreacji. Na każdej fotografii widniała uśmiechniętą twarz Adalyn w otoczeniu innych młodych ludzi, kosztownie ubranych i przystrojonych odpowiednią biżuterią.

Cóż, najwyraźniej pomiędzy mną a siostrą mojej babci było również sporo różnic. Nie powiedziałabym, że Hannah, Camila i ja znajdujemy się na dolnych szczeblach towarzyskiej hierarchii, ale daleko nam było do takiej popularności, by dostać zaproszenie na imprezy u Katriny Kim w jej rezydencji w Short Hills. Weekendy na ogół spędzałyśmy, wypróbując przepisy z programu *The Great British Bake Off*.

Usiadłam przy toalecie, żeby przejrzeć fotki. Wszystkie nosiły daty z końca lat trzydziestych i początku czterdziestych, co oznaczało, że niektóre z tych gazet wydrukowano już pod okupacją niemiecką. To trochę dziwne. Z dziennika Adalyn wynikało, że kapitulacja Francji to absolutny koniec świata, lecz sądząc ze zdjęcia przedstawiającego ją z przyjaciółkami na imprezie w październiku 1942 roku, wojna nie odbiła się na niej tragicznie.

Wszystkie te zdjęcia wyglądały bardzo podobnie i zaczęłam przeglądać je szybciej. Jednak pod koniec stosiku trafiłam na taką fotkę, że o mało nie spadłam z siedzenia.

To nie mogła być prawda.

Nie rozumiałam tego.

Nie chciałam zrozumieć.

Na zdjęciu wyciętym z gazety Adalyn siedziała przy stole w otoczeniu wyglądającym na szykowną restaurację. Biały obrus, wytworne srebra stołowe. Towarzyszyło jej sześciu mężczyzn w mundurach...

...i każdy z nich miał na rękawie nazistowską opaskę.

Co więcej, ona sama sprawiała wrażenie doskonale bawiącej się w ich towarzystwie.

Zebrało mi się na mdłości.

Zerwałam się na równe nogi, upuściłam gazetowe wycinki, jakby się paliły, i zatrzasnęłam szufladę. Mózg mi się przegrzewał, gdy próbowałam ogarnąć to, co właśnie ujrzałam. Co...? Jak...?

Zapewne miałam przed sobą wyjaśnienie. Powód, dla którego babcia przez całe życie nie wspomniała nikomu o swej siostrze. Wstydziła się tego, kim stała się Adalyn. Od jak dawna nie widziały się z sobą lub nawet nie rozmawiały? Czy obie spoczęły w grobach bez...

Zaraz, zaraz. Zakładałam, że Adalyn nie żyje, ale to nie musiała być prawda.

Babcia w tym roku skończyła dziewięćdziesiąt lat. Urządziliśmy jej urodziny w świetlicy jej apartamentowca. Z rodzinnych zdjęć wynikało, że Adalyn była nieco starsza, miałyby więc może dziewięćdziesiąt dwa lata? To dużo, ale całkiem realne, że żyje. Prababcia Hannah ma sto trzy lata i na ogół dobrze się miewa. Z tego, co wiedziałam, siostra babci mogła mieszkać tutaj, w Paryżu... i być jedyną osobą na świecie, która byłaby w stanie opowiedzieć mi, co się przydarzyło rodzinie. Mojej rodzinie.

Wciąż jednak coś mi tu nie pasowało. Chodziłam po pokoju tam i z powrotem ze skrzyżowanymi rękami, rozmyślając. Nawet jeśli Adalyn żyje, czy naprawdę chcę spędzić wakacje na przetrząsaniu Paryża w poszukiwaniu nazistowskiej kolaborantki? Coś mi cichutko mówiło, że może powinnam dać sobie spokój – że może Adalyn została wyautowana ze wspomnień nie bez powodu. Babcia kochała swoją rodzinę, uwielbiała dziadka, mamę, tatę i mnie. Jeżeli postanowiła zerwać więzy z własną siostrą, przypuszczalnie bezpieczniej byłoby założyć, że Adalyn była skończeniem złą osobą.

Okej... Ale dlaczego w takim razie zostawiła mi to mieszkanie? Jeśli naprawdę chciała wymazać siostrę ze wspomnień, czemu wręczyła mi klucz – całkiem dosłownie – do odkrycia, kim była? I jak połączyć z tym wszystkim dziennik Adalyn? Czy dziewczyna z tej fotki mogła być tą samą osobą, która widziała, jak niemieckie samoloty ostrzeliwują niewinnych uchodźców? Czy mogła być tą samą osobą, która pisała w dzienniku, że jej świat się rozpada? Te dwie rzeczy po prostu nie przystawały do siebie. Zatrzymałam się przed fotografią przedstawiającą Chloe i Adalyn jako małe, około dziesięcioletnie dziewczynki, obejmujące jedna drugą w talii. Starsza z nich może nadal żyje... i niewykłuczone, że nawet blisko... Gdybym ją znalazła, mogłabym dostać wszystkie odpowiedzi na pytania związane z babcią...

Miałam wrażenie, że zaraz pęknie mi głowa. Pomasowałam sobie klatkę piersiową, by rozładować napięcie, jakie nagromadziło się w niej w ciągu ostatnich kilku minut, lecz nie udało mi się pozbyć stresu.

Poważnie rozważałam odszukanie osoby widniejącej na „nazistowskim zdjęciu”.

Choć rozpaczliwe pragnęłam dowiedzieć się czegoś więcej o babci i o tym starym mieszkaniu, które w jakiś sposób teraz do mnie należało, nie byłam gotowa zmierzyć się z tą sprawą. Przynajmniej nie od razu. Czułam,

że zanim podejmę bardziej drastyczne środki, powinnam jak najwięcej wyciągnąć z samego dziennika Adalyn.

Życie jest takie dziwne. Właśnie myślisz, że coś zrozumiałaś, gdy uświadamiasz sobie, że wszystko jest znacznie bardziej skomplikowane, niż mogłabyś sobie wyobrazić.

Rozdział 3

Adalyn

Skończyście się ubierać, dziewczęta? Spodziewam się, że weźmiecie żakiety, na zewnątrz jest zimno.

W łagodnym głosie *maman* zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. Mama od pięciu minut czekała na nas w przedpokoju ubrana w płaszcz, a wiedziałam, że zależy jej, abyśmy w porę zjawiły się na kolacji u madame LaRoche i zdążyły wrócić do domu przed godziną policyjną. Byłabym już gotowa, tyle że stałam w drzwiach pokoju Chloe i patrzyłam, jak moja czternastoletnia siostra przeciąga w nieskończoność poszukiwanie pończoch.

– Może spadły pod łóżko? – podsunęłam.

– Nie – odpowiedziała Chloe.

– Może przez przypadek włożyłaś je do niewłaściwej szuflady?

– Wątpię.

– Naprawdę się zgubiły czy nie chcesz się widzieć z mamą?

Cisza.

Coś mnie tknęło. Znałam swoją siostrę lepiej niż ktokolwiek inny w świecie, a tak czy inaczej nie było tajemnicą, że jest równie subtelna jak petarda. Nigdy nie umiała trzymać emocji na wodzy i często wybuchała, w dowolnym momencie wyrzucając z siebie, co myśli. Stanowiłyśmy dla siebie idealne przeciwieństwa: ludzie uskarżali się, że z a w s z e wiadomo, co jej chodzi po głowie, i tak samo narzekali, że n i g d y nie wiedzą, co skrywam ja. Zdaje się, że lubię sobie skalkulować ryzyko, zanim zrobię czy powiem coś, czego potem będę żałować.

Zachęciłam siostrę, żeby usiadła obok mnie na brzegu łóżka. Przycupnęła, podciągając kolana pod brodę. Jasne włosy opadły jej na

twarz i zdmuchnęła je jednym fuknięciem.

– Chodzi o tego żołnierza? – zagadnęłam delikatnie. Jeden niewłaściwy ruch i Chloe może wybuchnąć.

– Nie powinna była tak się na mnie wściekać – wymamrotała.

Odkąd wróciliśmy do domu od wujka Gérarda, *maman* i Chloe ścierały się bardziej niż zwykle. To mama – która skończyła szkołę przygotowującą dziewczęta do bywania w wielkim świecie i zawsze wiedziała, co należy powiedzieć w każdej towarzyskiej sytuacji – najdotkliwiej odczuwała nieutemperowane zachowanie młodszej córki. Wojna dodatkowo uwypukliła dzielące je różnice. *Maman* dokładała starań, by jak najlepiej urządzić się w naszej nowej sytuacji, podczas gdy Chloe wykorzystywała każdą okazję, żeby zaznaczyć, jak ostro odrzuca obecną rzeczywistość.

Ja, jak zwykle, znajdowałam się między młotem a kowadłem.

Kilka tygodni temu Chloe wpadła do mojego pokoju z ogniem w oczach, wymachując zmiętym kawałkiem papieru, który znalazła na krześle w kawiarni. Zaraz opadła na kolana i rozprostowała kartkę na drewnianej podłodze, żebym zobaczyła, co tam napisano. Tytuł u góry głosił: *33 wskazówki dla okupowanych*, a poniżej zamieszczono listę pomysłów na to, jak zwykli ludzie mogą uprzykrzać życie okupantowi.

- JEŻELI KTÓRYŚ Z NICH ZWRÓCI SIĘ DO WAS PO NIEMIECKU, UDAWAJCIE, ŻE NIE ROZUMIECIE, I IDŹCIE DALEJ.
- JEŚLI OKUPANCI ZWRÓCĄ SIĘ DO WAS PO FRANCUSKU, NIE MACIE OBOWIĄZKU WSKAZYWAĆ IM DROGI. TO NIE SĄ WASI TOWARZYSZE PODRÓŻY.
- JEŚLI W KAWIARNI CZY RESTAURACJI KTOŚ Z OKUPANTÓW PRÓBUJE NAWIĄZAĆ ROZMOWĘ, DAJCIE MU UPRZEJMIE DO ZROZUMIENIA, ŻE NIE INTERESUJE WAS, CO MA WAM DO PRZEKAZANIA.
- OKAZUJCIE PEŁNĄ DOSTOJEŃSTWA OBOJĘTNOŚĆ, ALE NIE POZWÓLCIE, ABY WASZ GNIEW OSŁABŁ. DACIE MU UJŚCIE W ODPOWIEDNIM MOMENCIE.

– Czy to nie fantastyczne?! – wykrzyknęła Chloe. – Są gdzieś ludzie, którzy też chcą stawiać opór!

Cudownie było poczuć, że nie jesteśmy same. Niektóre dziewczyny w szkole w kółko zachwycały się uprzejmością niemieckich żołnierzy, nie wspominając o tym, że uważały ich za przystojnych, obserwując, jak pod szarymi mundurami świetnie prezentują się napięte mięśnie. Owszem, od jakiegoś czasu nie było w okolicy młodych mężczyzn, na których można by zawiesić oko, nigdy jednak nie zaufałam najeźdźcom, bez względu na to, jak bardzo byliby kurtuazyjni czy atrakcyjni. Nie po tych okropnościach, które widziałam na drodze. Przesunęłam palcami po *33 wskazówek*, ledwie wierząc, że ta ulotka jest prawdziwa. Bez zastanowienia bąknęłam:

– Świetny pomysł.

Powinłam była wiedzieć, że moja uwaga doda siostrze śmiałości. Wczoraj Chloe, *maman* i ja jechałyśmy metrem, wracając z poczty z kolejną paczką warzyw od wujka Gérarda, kiedy zatrzymał nas jasnowłosy żołnierz i zapytał po niemiecku o drogę. Zanim mama i ja zdążyłyśmy zareagować, Chloe zrobiła krok w jego stronę z rękami na biodrach i odpowiedziała po francusku:

– Nie rozumiemy ani słowa z tego, co mówisz, i nic nas to nie obchodzi.

Pierwsze to było wierutne kłamstwo, ponieważ i ona, i ja uczyłyśmy się w szkołę niemieckiego od najmłodszych klas. Druga część zdania była oczywiście prawdziwa. Do żołnierza najwyraźniej dotarło, że Chloe go jakoś obraziła, i miejsce uprzejmego uśmiechu na jego twarzy zaczęło zajmować gniew. Chloe, zamiast się cofnąć, zbliżyła się do mężczyzny jeszcze o krok, jakby go prowokowała, żeby ją uderzył. Czyby to zrobił? Czy aresztowałby ją za wyzywającego zachowanie? Już miałam się ku niej rzucić i odciągnąć ją, kiedy na stację wtoczył się wreszcie pociąg. *Maman*, z pobladłą twarzą, wskazała wagon i zawołała do żołnierza po niemiecku:

– To nasz pociąg. Bardzo pana przepraszamy!

Zagarnęła nas, chwytając każdą za ramię, i szarpnęła w przeciwnym kierunku.

Gdy tylko wróciłyśmy do mieszkania, wysłała Chloe do jej pokoju. Siostra nie wyszła na obiad. Pewnie nie rozmawiałyby ze sobą znacznie dłużej, gdyby madame LaRoche nie zaprosiła nas na dzisiejszą kolację.

Położyłam dłoń na kolanie Chloe.

– *Maman* po prostu próbuje cię chronić. Nie wiadomo, jak zareagowałby ten żołnierz.

– Starła mu się przypodobać!

Westchnęłam, ponieważ było w tym trochę racji. Nie zaszkodziłoby, gdyby mama nieco mniej przyjaźnie odnosiła się do każdego niemieckiego oficera mijanego na ulicy. Jednocześnie jednak Chloe nie powinna pozwalać, by jednotorowe myślenie przesłaniało jej zdrowy osąd sytuacji. Czasami miałam ochotę złapać ją za ramiona i mocno nią potrząsnąć. Ściągałaby na siebie znacznie mniej kłopotów, gdyby się nauczyła od czasu do czasu powstrzymać swoje zapędy.

– Po prostu postaraj się być ostrożniejsza, dobrze?

– Nie rozumiesz – jęknęła Chloe.

– Czego nie rozumiem?

– Jak strasznie chciałabym się jakoś włączyć do walki. Nie mogę siedzieć z założonymi rękami. Muszę coś zrobić.

Poczułam gwałtowną potrzebę obrony przed jej oskarżeniem, ale oparłam się tej pokusie. Oczywiście też chciałam stawiać opór okupantom. Oczywiście, że chciałam coś zrobić – a właściwie już coś zrobiłam. Ale miałam na tyle rozsądku, by się przy tym zachować dyskretnie, w przeciwieństwie do nierozważnego popisu mojej siostry w metrze.

Oho. Właśnie usłyszałam niepozostawiające złudzeń stukanie maminych szpilek w korytarzu. Szybko wzięłam Chloe pod rękę i szepnęłam:

– Jestem po twojej stronie. Zawsze. A teraz postarajmy się przebrnąć przez tę idiotyczną kolację bez dalszych problemów.

W tym momencie w drzwiach pojawiła się głowa mamy. Policzki miała zaczerwienione od długiego przebywania w ciepłym wnętrzu w płaszczu.

– Dziewczęta, to okropne, że każemy naszym przyjaciółkom czekać na siebie. Chloe, gdzie, na litość boską, są twoje pończochy?

Ścisnęłam siostrę za ramię. Niechętnie podreptała do komody i wyjęła z niej parę jedwabnych pończoch – z tej samej szuflady, w której trzymała je przez całe życie.

– Znalazłam – obwieściła.

Kiedy wkładałyśmy zakłady, z gabinetu wyszedł do nas *papa*. Jego ostre wąsy musnęły mój policzek, kiedy całował mnie na do widzenia. Kiedyś w taki wieczór jak dziś tata dołączyłby do nas, ale odkąd wróciliśmy po exodusie, rzadko opuszczał mieszkanie. Z pracy na uniwersytecie, gdzie

obejmował katedrę na wydziale historii, wziął sobie bezterminowy urlop. Nie śmiał się też ostatnio wiele ani za bardzo nie rozmawiał; stał się wydmuszką samego siebie.

– Zapewne gdy wrócić, będę już w łóżku – rzekł.

Maman zrobiła krok w jego stronę i poprawiła na nim ubranie, przyglądała mu włosy, rozprostowała zgnieciony kołnierz szlafroka, jakby starała się w ten sposób utrzymać go w jednym kawałku. Kiedy jej dłonie zatrzymały się na jego policzkach, *papa* przekręcił głowę i pocałował jedną z nich.

– Na piecu masz zupę, kochanie – powiedziała *maman*.

– Odette – odpowiedział – jesteś cudowna jak zawsze. Dziękuję.

– Będę za tobą tęskniła.

– Ja za tobą także.

Pocałowali się na pożegnanie. Gdy kiedyś będę miała męża, chciałabym, żebyśmy byli jak nasi rodzice: dwoje ludzi kochających się żarliwie nawet w najtrudniejszych czasach. Zamykając za nami drzwi, *papa* pomachał nam dłonią bez trzech palców.

Maman i madame LaRoche były najlepszymi przyjaciółkami od czasów szkolnych. To madame LaRoche zapoznała naszą mamę z tatą – cichym, lecz czarującym profesorem, który podczas wielkiej wojny walczył w tym samym pułku co monsieur LaRoche. Madame LaRoche rozwiodła się z mężem kilka lat temu i od tamtej pory oddawała się głównie planowaniu wystawnych kolacji dla coraz liczniejszych znajomych.

Zanim zaczęła się wojna, lubiłam chodzić na te jej przyjęcia. Była to okazja do widywania się z najlepszymi przyjaciółkami, Charlotte i Simone, których rodzice również należeli do kręgu towarzyskiego madame LaRoche. Jednak obu swoich najbliższych koleżanek nie widziałam już od miesięcy. Rodzina Charlotte była na tyle przezorna, że zimą wsiadła na statek udający się do Ameryki Południowej, a rodzina Simone zatrzymała się w swoim wakacyjnym domu w Marsylii, we Francji Vichy, w wolnej strefie. Dziś wieczorem jedynymi osobami w moim wieku będą bliźniaczki LaRoche, z którymi absolutnie nie mam nic wspólnego. Dzięki Bogu, szła ze mną Chloe.

– Odette! Adalyn! Chloe!

Madame LaRoche wyglądała zjawiskowo w ciemnoniebieskich jedwabiach i w diamentach. Ucałowała nas po kolei, kiedy wchodziłyśmy

do jej mieszkania na najwyższym piętrze kamienicy przy rue du Faubourg Saint-Honoré.

– Wszystkie trzy olśniewające. Te ciężkie czasy dobrze wam służą.

– Staramy się, jak możemy – odpowiedziała *maman*, przekazując pokojówce swe wierzchnie okrycie.

Madame LaRoche obróciła się z wdziękiem i poprowadziła nas lustrzanym korytarzem do bawialni, gdzie jej siedemnastoletnie córki Marie i Monique sączyły szampana na otomanie. Madame LaRoche miała pociągłą twarz i duże zęby, jak konie, których dosiadała w młodości, a córki odziedziczyły po niej urodę. Przywitały nas unisono. Na stoliku kawowym obok nich leżała srebrna taca z chlebem, serem i masłem. Brwi mamy zniknęły w jej idealnie ufryzowanej grzywce.

– Och, Geneviève, cóż za piękne masło! Gdzie je zdobyłaś?

Lecz oczywiście wszystkie wiedziałyśmy, gdzie madame LaRoche zdobywa masło. Co najmniej połowę tych rzeczy musiała kupić na czarnym rynku, ponieważ wprowadzone przez Niemców racjonowanie żywności nie pozwalało na takie luksusy. Byłam prawie pewna, że mama też to robi – niedawno widziałam, jak wróciła do domu z targu, niosąc bardzo podejrzaną ilość solonej wołowiny oraz ulubiony koniak taty.

Madame LaRoche uśmiechnęła się figlarnie, grubo smarując masłem mały kawałek chleba. Włożyła go sobie do ust, przełknęła i powiedziała przyciszonym głosem:

– Po prostu trzeba wiedzieć, gdzie patrzeć.

Chloe prychnęła cicho. Madame LaRoche zdawała się nie zwracać na to uwagi.

– Szkoda, że Henri nie mógł dzisiaj przyjść – ciągnęła. – Cudownie byłoby go zobaczyć.

Maman westchnęła.

– Chciałby do nas dołączyć – wyjaśniła – ale niestety nie czuje się zbyt dobrze. Przesyła wam trzem pozdrowienia.

– Chodzi o nerwy, prawda? – dopytywała madame LaRoche.

– Obawiam się, że tak. Dawniej od czasu do czasu zdarzały mu się napady nerwowości, ale od maja są bardzo częste. Źle działa na niego nawet dźwięk ich butów...

Madame LaRoche zrobiła współczująca minę i pogłaskała mamę po ramieniu.

– To musi być dla ciebie trudne, Odette.

Mama uśmiechnęła się w odpowiedzi, lecz drgnienie ust zdradziło ukryty w głębi duszy smutek. Wiedziałam, że serce jej się łamie na widok cierpień taty. Kiedy naprawdę mu się pogarszało, siadała obok niego i szepcząc mu do ucha słowa pociechy, trzymała go w objęciach tak długo, aż napad paniki minął.

Maman wygładziła sobie spódnicę, zapanowała nad mimiką i wyprostowała się.

– Najlepsze, co dziewczęta i ja możemy zrobić, to zachować pozytywne nastawienie – odparła, wzrokiem szukając u mnie poparcia.

Skinęłam potwierdzająco, nie dlatego żebym się zgadzała z pozytywnym nastawieniem, ale ponieważ wiedziałam, jak bardzo mama chce pomóc tacie.

– Musimy mu pokazać, że nie ma się czego bać – mówiła dalej *maman*.
– Że można przez to przejść, tak jak przetrwaliśmy poprzednią wojnę.

– Dokładnie – odrzekła madame LaRoche. – Zwłaszcza że mamy po swojej stronie Starego Marszałka.

– Tak. Marszałek Pétain uratował Francję podczas wielkiej wojny i teraz też może to zrobić – stwierdziła *maman* stanowczo. – Jeśli jego zdaniem współpraca jest najlepszym sposobem... musimy mu zaufać.

– Zgadzam się – przytaknęła madame LaRoche.

Przytknęła sobie do ust tekstylną serwetkę i od razu wyczułam, że wahadło rozmowy przechyliło się w moją stronę, zanim jeszcze zwróciła się do mnie.

– A więc, Adalyn, powiedz nam: czy w twoim życiu pojawili się ostatnio jacyś ekscytujący młodzi ludzie?

Przyjaciółki mamy właśnie to zawsze chcą o mnie wiedzieć przede wszystkim.

– Nie ma w tej chwili nikogo, madame LaRoche – odpowiedziałam. – Ale tak czy inaczej, nie jestem w nastroju do romansowania.

Potrząsnęła głową z westchnieniem.

– Gdyby tylko nasi biedni mężczyźni mogli wrócić do domu...

Z powodu wojny w Paryżu prawie w ogóle nie było młodych mężczyzn z wyjątkiem chłopców, którzy jeszcze chodzili do szkoły. To prawdziwa tragedia, i to bynajmniej nie dlatego że nie miałam z kim romansować. Ci, którzy poszli na front, albo na nim zginęli, albo trafili do niemieckich

obozów jenieckich. Nasza sąsiadka z dołu, madame Blanchard, nie miała wiadomości od swojego syna, od kiedy w czerwcu dostał się do niewoli pod Dunkierką. Za każdym razem gdy ją widziałam, wyglądała na jeszcze chudsza.

Marie wychyliła się na siedzeniu, obracając w palcach nóżkę szampanówki.

– Wiecie, niektórzy z tych Niemców są dość atrakcyjni – wyznała.

– Mówisz tak tylko dlatego, że od dawna nie widziałas naszych chłopaków – skwitowała Monique.

– Może. – Marie zamyśliła się. – Zapewne brakuje im francuskiego uroku, ale są naprawdę przystojni. I bardziej uprzejmi, niż można by pomyśleć. Niedawno jeden z nich pomógł mi pozbierać rozsypane zakupy.

– Nasi mężczyźni w obozach jenieckich na pewno byliby zachwyceni, gdyby to usłyszeli – mruknęła Chloe pod nosem.

– Co to było? – odezwała się madame LaRoche.

Maman posłała mojej siostrze ostrzegawcze spojrzenie.

– Adalyn – zwróciła się do mnie – może zagrałabyś nam coś na fortepianie?

Wstałam bez ociągania, rozprostowując palce. Grałam na pianinie od ósmego roku życia, uczyła mnie Mathilde mieszkająca niedaleko szkoły. Miałam u niej lekcje dwa razy w tygodniu i lubiłam ćwiczyć na naszym małym instrumencie w domu – tym, na którym grywał *papa*, zanim stracił palce. Jednak to zupełnie inne, niezwykle uczucie, gdy się zasiada przed lśniącem fortepianem, takim jak ten stojący tu w kącie bawialni. W lepszych czasach zachodziłam do madame LaRoche z nutami i mogłam grać nawet przez kilka godzin.

Podczas gdy przeglądałam nuty schowane w fortepianowej ławce, madame LaRoche zagadnęła mamę:

– Czy nadal pobiera lekcje, Odette?

– Pobierała, ale jej nauczycielka jest teraz w wolnej strefie. Adalyn, co Mathilde napisała w ostatnim liście, który od niej dostałaś?

– Że stara się o pozwolenie na powrót do Paryża – odparłam.

– Mam nadzieję, że jej się uda – powiedziała madame LaRoche. – Taki talent jak twój nie powinien się marnować.

Znalazłam nuty jednego z moich ulubionych utworów, *Sonaty fortepianowej nr 16 C-dur* Mozarta. To *papa* mi ją podsunął; mówił, że

kojarzy mu się z wiosną.

Gdy moje palce zaczęły tańczyć po klawiaturze, pozwoliłam, by ulatujące dookoła dźwięki przeniosły mnie na przyjęcie, które madame LaRoche wydała na początku zeszłego roku. Towarzyszył nam wtedy *papa*, rozmawialiśmy i śmialiśmy się do późnego wieczoru – nie było godziny policyjnej, nikt nie musiał śpiesznie wracać do domu. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się, żeby posłuchać ulicznych grajków, i *papa* poprosił *maman*, by z nim zatańczyła na chodniku. Teraz mój wzrok powędrował w stronę okna, ale rzecz jasna zasłony były zaciągnięte, by światło nie przesączało się na zewnątrz. Gdzieś tam stała wieża Eiffla z zatkniętą na szczycie nazistowską flagą. Wszystko w Paryżu się zmieniło, a ja mimowolnie zastanowiłam się, czy jeszcze kiedyś będziemy tacy beztroscy jak dawniej.

O wpół do siódmej skończyłam grać i przeniosłyśmy się do jadalni, gdzie służba podała na kolację jagnięcinę z ziemniakami.

Wśród szczękania sztućców usłyszałyśmy, jak ulicą poniżej przejeżdża samochód, i nasze sześć par oczu strzeliło w stronę okna. Zwykły warkot silnika przybrał złowieszczy wymiar, ponieważ w dzisiejszych czasach to nie Francuzi wożą się samochodami. Żadna z nas nie wzięła do ust kolejnego kęsa, dopóki odgłos nie umilkł w oddali. Madame LaRoche spojrzała ponad stołem na *maman*.

– Czy po drodze widziałyście tych wszystkich Niemców na naszej ulicy?

– Tak, Chloe nie omieszkała zauważyć. – W odpowiedzi mamy zabrzmiała przygana. – Niewątpliwie wygląda na to, że jest ich więcej niż normalnie.

– Żadna liczba Niemców nie jest normalna – wtrąciła moja siostra.

Maman udała, że jej nie słyszy.

– Czy wiesz, dlaczego jest ich więcej, Geneviève? – zapytała.

– Tak – odparła madame LaRoche nieco zdenerwowanym tonem. Znowu zerknęła w stronę okna. – Niemcy wprowadzają się do wielu domów w Ósmej Dzielnicy. W niektórych mieszkaniach dokwaterowano ich, ale inne po prostu przejęli.

Wzdrygnęłam się na myśl o naziście w naszym domu – o jego butach deptających nasz dywan, o jego kurtce wiszącej na krześle w gabinecie taty. W mieszkaniu mojej koleżanki z klasy, Anette, zakwaterował się jeden Niemiec. Zajął główną sypialnię, przez co rodzice Anette przenieśli się do

jej pokoju, a ona była zmuszona spać w jednym łóżku ze swoimi dwiema młodszymi siostrami.

– Dopisało wam szczęście, że was to ominęło – powiedziałam do madame LaRoche.

– Po raz pierwszy cieszymy się z tego, że mamy jedno z najmniejszych mieszkań przy tym odcinku ulicy – przyznała. – Ale jak powtarzam dziewczętom, na wypadek gdyby to się jednak miało zdarzyć, musimy utrzymywać wobec Niemców pozytywne nastawienie. Tak jak mówiłaś, Odette: nie ma się czego bać.

– Pozytywne nastawienie to najlepszy sposób, by jakoś to przetrwać – zgodziła się z nią *maman*.

– W każdym razie nie są wielkimi złymi wilkami z bajki – oznajmiła madame LaRoche. Odczekała chwilę, zadowolona, że wszyscy przy stole się jej przysłuchują, po czym zaczęła snuć opowieść. – Pewnego dnia wracałam do domu z zakupami, a było tak słonecznie, że pomyślałam: „Może pójde okrężną drogą, by zażyć świeżego powietrza?”. Skreśliłam za róg i pierwsze, co zobaczyłam, to moje ulubione bistro, lokal, w którym jadałam posiłki od dzieciństwa, teraz z niemieckimi napisami na witrynie. Jakaś niedorzecznie długa nazwa. I nie rozpoznałam nikogo w środku: sami mundurowi. Cóż, to był dla mnie straszny cios. Nie umiem nawet wyjaśnić, jak to mocno przeżyłam, kolana się pode mną ugięły! Myślałam, że zemdleję tam na ulicy! – Urwała na chwilę. – I wtem poczułam czyjąś dłoń na ramieniu, a gdy podniosłam wzrok, ujrzałam obok siebie twarz Niemca. „Nie, nie, proszę mnie zostawić”, powiedziałam, bo byłam już wystarczająco wyczerpana. Lecz on zaprosił mnie, żebym usiadła obok niego przy stoliku. Nie chciałam być niegrzeczna, więc go posłuchałam, i muszę wam powiedzieć, że odbyliśmy całkiem przyjemną pogawędkę. Doskonale mówił po francusku i zachwycał się naszym pięknym miastem. Poprosił mnie nawet o wskazówki, co warto zwiedzić.

– I dał ci szampana – przypomniała Marie.

– Tak – potwierdziła madame LaRoche z figlarnym uśmiechem, podnosząc kieliszek. – I dał mi szampana.

Chloe najeżyła się po drugiej stronie stołu.

Ja ze sztucznym uśmiechem na twarzy słuchałam, jak bliźniaczki rozważają, co jeszcze z deficytowych artykułów można by spróbować wyciągnąć od Niemców. Zastanawiałam się, jak by zareagowały, gdyby się

dowiedziały, co zrobiłam w piątek. Czegoś takiego ludzie spodziewaliby się może po mojej siostrze, ale nigdy po mnie – młodej osóbcie zawsze co do joty stosującej się do zasad. Zachowałam to wspomnienie dla siebie, obracając je w pamięci niczym lśniąca monetę w kieszeni.



Po powrocie do domu, kiedy przebrałyśmy się w piżamy, Chloe padła na moje łóżko twarzą w dół.

– To było okropne – jęknęła w kołdrę.

Ostrożnie usiadłam obok niej, zastanawiając się nad odpowiedzią. Chloe była moją najlepszą przyjaciółką na świecie – bliższą mi niż Charlotte i Simone razem wzięte – ale ostatnio nie potrafiłam określić, ile ze swego życia powinnam z nią dzielić. Wiedziałam, jaka jest, i bardzo się obawiałam, że w jakiś sposób zachęcę ją do zrobienia czegoś lekkomyślnego i głupiego, tak jak wczoraj, gdy bezsensownie postawiła się tamtemu żołnierzowi Wehrmachtu. Tym razem jej się upiekło, ale następnym może być inaczej.

– Zgadzam się, że częściowo było okropnie, ale nie cały czas – odparłam.

Chloe rzuciła się jak ryba na suchym lądzie, lądując na plecach. Na jej twarzy malowało się niedowierzanie.

– Właśnie że tak, cały czas! Musiałam siedzieć i wysłuchiwać, jak ta głupia madame LaRoche wychwala wspaniałych Niemców. Pewnie chce, żeby któryś z nich zamieszkał u niej. Będzie więcej szampana do polewania!

– Chloe...

– Dlaczego nikt nie ma do Niemców takiej nienawiści jak ja? Dlaczego nikt nie czuje się taki... kurczę... wściekły? – Cisnęła przez pokój poduszką, przewracając stojący koło okna stos książek. – Czemu ty nie czujesz się taka wściekła, co, Adalyn? Po prostu siedzisz spokojnie z tym sztucznym uśmiechem.

– Nie wiem, Chloe. – Bawiłam się obrąbkiem koszuli nocnej, bo nie mogłam spojrzeć jej w oczy. Potem, uśmiechając się cierpko,

oświadczyłam: – W dniu, w którym wojna się skończy, powiem madame LaRoche, że jest nie do zniesienia.

Kiedy wiosną mieszkaliśmy w ścisiku u wujka Gérarda na wsi, we dwie wymyśliłyśmy pewną grę. Zasady były proste: raz jedna, raz druga wymienialiśmy wszystkie fajne rzeczy, których nie mogliśmy się doczekać, ponieważ możliwe będą dopiero po wojnie.

Chloe przewróciła oczami.

– To możesz zrobić już teraz, nie? – Lecz zaraz, szczerząc się w uśmiechu, dodała: – Potłukę wszystkie butelki szampana, jakie dostanie od Niemców.

Wkrótce już razem snułyśmy wielkie plany: będziemy się objadały *pains au chocolat*, aż nas rozboleją brzuchy. Wjedziemy na szczyt wieży Eiffla windą, która obecnie jest nieczynna. (Ktoś sabotował liny, żeby Niemcy musieli wnieść swoją flagę, wspinając się po schodach). Będziemy wieczorami spacerowały brzegiem Sekwany i podziwiałały światła nad Paryżem.

– Z jakimś przystojniakiem – zastrzegła Chloe.

– Tak, z jakimś przystojniakiem.

Gdy wreszcie wyszła pół godziny później, poczułam ulgę. Miałam wrażenie, jakbym przez cały ten czas wstrzymywała oddech. Podbiegłam do biurka i wyjęłam z szuflady notatnik w skórzanej oprawie, który znalazłam u wujka Gérarda. Prowadzenie dziennika pomagało. Ostatnio tylko na jego kartach mogłam całkiem szczerze wylewać swoje uczucia.

Zaczęłam wypisywać, co się wydarzyło podczas kolacji u madame LaRoche. Chloe miała rację: było okropnie. Fakt, że mama starała się nie tracić ducha ze względu na tatę i pokładała ufność w Pétainie, francuskim bohaterze wojennym, to jedno. (Wiele osób, które przeżyły wielką wojnę, wciąż darzyło Starego Marszałka ogromnym szacunkiem). Jednak zachowanie madame LaRoche, tak gorliwie wychwalającej jakiegoś uprzejmego Niemca, oraz zachwyty Marie – to już zupełnie coś innego. Jak mogły patrzeć na nazistów i nie widzieć w nich zła, które opanowało nasze ulice? Gdy tylko koniec ołówka dotknął papieru, jakby otwarła się tama na rzece. Gniew wylał się ze mnie spienionym strumieniem. I spłukał wszystko dokoła.

Kiedy już miałam dość, opadłam na poduszki wyczerpana, ale w jakiś sposób spokojniejsza. Do tej pory opisywałam niemal każdy aspekt naszej

pożałowania godnej nowej rzeczywistości, od ucieczki z Paryża w tłumie uchodźców po powrót do domu, do ukochanego miasta, z którego wyszano życie. Napisałam o godzinie policyjnej, o reglamentowaniu żywności i o szoku, jaki wywołuje widok Niemców w miejscach, które jeszcze niedawno należały do nas. Dobrze było dawać upust uczuciom – czasami.

Bywało jednak, że dziennik nie wystarczał, żeby powstrzymać mój gniew.

Dwa dni temu, w piątek, wracałam do domu z zajęć pozalekcyjnych, gdy około pięćdziesięciu kroków przed sobą dostrzegłam trzech niemieckich żołnierzy. Śmiali się z czegoś i na ten dźwięk ścięło mi krew w żyłach. Od razu wyczułam, że jest to okrutny śmiech, bo wszyscy mieli w oczach coś podłego, a jeden z nich dźgał palcem kogoś na ulicy.

Widok był straszny. Na ziemi w czymś, co początkowo wzięłam za śnieg, a co było setkami tysięcy odłamków tłuczonego szkła, klęczał bezsilnie monsieur de Metz, miły właściciel pobliskiego sklepu z kosztowną żywnością. Któryś z żołnierzy – a prawdopodobnie wszyscy trzej – stłukł okno wystawowe sklepu pana de Metza. Gdy teraz sobie o tym przypominam, żałuję, że pani i panny LaRoche nie widziały, do czego tak naprawdę są zdolni niektórzy z tych ich uprzejmych Niemców.

Instynktownie upuściłam torbę z książkami, by mu pomóc. Lecz w tym momencie monsieur de Metz spojrzał mi prosto w oczy. (Żołnierze tak byli zajęci, tak się śmiali, że mnie nie zauważyli). Sklepikarz wzrokiem i leciutkim ruchem głowy dał mi znak, który odczytałam zarazem jako: „Dziękuję” i „Musisz natychmiast uciekać”. Skinęłam mu, nie chcąc pogarszać sprawy, chwyciłam torbę i pośpiesznie skręciłam w przecznicę, zanim żołnierze zdążyli się zorientować, że ktoś ich widział.

Trzęsąc się z gniewu, ominęłam boczną uliczką zniszczony sklep pana de Metza. W tamtej chwili miałam powyżej uszu uprzejmego uśmiechu, którym częstowałam mamę i jej przyjaciółki, i właściwie tak naprawdę w s z y s t k i c h. Czułam, że już dłużej nie mogę. Nie, skoro w Paryżu dzieją się takie rzeczy. Zaraz potem po policzkach popłynęły mi łzy.

Kiedy podniosłam wzrok, po prawej stronie dostrzegłam wiszące na ceglany murze obrzydłe niemieckie plakaty. Uśmiechnięte blondwłose rodziny ze swastykami unoszącymi się wokół głów. Adolf Hitler – niemiecki Führer – dzierzący nazistowską flagę. Mój gniew był zbyt silny,

nie mogłam go powstrzymać. Chciałam je zniszczyć. A w pobliżu nie było nikogo, kto by mnie zobaczył.

Papier oderwał się od muru, a odgłos darcia sprawił mi dziką radość. Jednym zamaszystym ruchem uwolniłam wściekłość, która gromadziła się we mnie od miesięcy. Po pierwszym plakacie poczułam się tak dobrze, że nie mogąc się oprzeć, sięgnęłam do drugiego. Z dwóch zrobiły się trzy, a potem cztery i wkrótce potargałam wszystkie przekłete nazistowskie plakaty w całym zaułku. Kiedy dotarłam do końca, dyszałam i miałam paznokcie poobdzierane od zetknięcia z cegłą.

Wtem usłyszałam za sobą ciężkie kroki. Żołądek mi się przewrócił. Ktoś pewnie mnie usłyszał. Poczułam się jak mysz w szczerym polu z krążącymi w górze jastrzębiami. Serce mi dudniło, coś pulsowało w głowie. Całe ciało drżało ze strachu. Myśl, Adalyn. Nie zdążyłabym dobiec do końca zaułka, żeby w porę zniknąć. Spanikowana zanurkowałam w ciasną ciemną przestrzeń za porzuconym automobilem, a zniszczone plakaty wepchnęłam do torby na podręczniki.

Odgłosy ciężkiego stąpania zabrzmiały donośniej. Cicha jak cień odważyłam się zerknąć zza samochodu. Jak można się było spodziewać, w uliczkę wszedł niemiecki żołnierz z dłońmi zaciśniętymi na karabinie. Proszę, zawróć. Proszę.

– *Wer ist da?* Kto tam jest?

To koniec. Byłam tego pewna. Znajdzie mnie z podartymi plakatami. Wywlecze z kryjówki i pośle do więzienia, o ile mnie nie zastrzeli na miejscu. Wyobraziłam sobie twarze mamy, taty i Chloe. Wujka Gérarda, Charlotte i Simone. Nigdy więcej ich już nie zobaczę. Skuliłam się w ciemności i przycisnęłam kolana do piersi. Zapraǳnęłam zrobić się taka malutka, żeby się wśliznąć w szczeliny pomiędzy cegłami albo w szparę pod kamieniem brukowym. Ani drgnęłam. Prawie nie oddychałam.

Jego buty musiały być w odległości zaledwie dwóch metrów od mojej kryjówki, kiedy z ulicy zawołali go inni Niemcy. Przez chwilę bałam się, że dołączą do poszukiwań, ale z uczuciem ulgi, jakiego nigdy dotąd jeszcze nie zaznałam, zorientowałam się, że żołnierz zawrócił i pośpiesznie skierował się tam, skąd przyszedł.

Nie ociągając się, opuściłam zaułek, a zmięte papiery wrzuciłam do kratki ściekowej, gdzie zniknęły na zawsze. Kiedy wróciłam do domu, ucałowałam rodziców i pogadałam z Chloe o tym, jak jej minął dzień

w szkole. Poćwiczyłam grę na pianinie. Nikomu ani słowem nie wspomniałam o tym, co zrobiłam.

Nikt nie miał pojęcia.

Rozdział 4

Adalyn

Gdy po raz pierwszy zerwałam nazistowskie plakaty o mało nie skończyło się to tragedią.

Ale następnym razem – i następnym, i następnym, i następnym – szło już gładko. Stopniowo nabierałam wprawdy, coraz sprawniej wślizgiwałam się w cień, gdy nikt nie patrzył, i szybko zdzierałam papier z murów. Za każdym razem w uszach rozbrzmiewał mi apel generała Charles’a de Gaulle’a o płomieniu francuskiego ruchu oporu. Każda zakończona powodzeniem operacja była dla mnie jak maleńkie zwycięstwo Francji nad okupantem, mimo że tylko ja wiedziałam o tym, co robię.

Była sobota i *maman* wysłała mnie z kartkami żywnościowymi do rzeźnika, żebym postarała się kupić coś na dzisiejszy obiad. Niemcy – czy raczej szkopy, jak wszyscy ich nazywają – często zamykali losowo wybrane odcinki ulic, tak więc każde wyjście z domu zamieniało się w ćwiczenie na orientację w okolicy. Codziennie przemierzałam nowe ulice z niemieckimi drogowskazami i szyldami; widziałam okazale bulwary pozbawione pojazdów oraz głodnych ludzi stojących w kolejce po racjonowaną żywność, którą może uda się kupić, a może nie. Ale jeszcze bardziej przerażający był moim zdaniem dźwięk okupacji. Cisza przyprawiała mnie o dreszcz grozy. Nie było normalnego ulicznego ruchu, nie było typowego codziennego zgiełku i krzątania. Tylko szuranie stóp na chodniku i pełne strachu szepty.

Prawie dotarłam już do sklepu rzeźnika, kiedy na murze w zaułku dostrzegłam partię świeżo przyklejonych plakatów. W piersi coś mi się ścisnęło, zaswędziały palce. Miałam ogromną ochotę zająć się nimi już teraz, ale jeśli się nie ustawię w kolejce, niemal na pewno zabraknie dla

mnie mięsa. Stałam więc na końcu ogonka za kilkudziesięcioma bladymi matkami z głodnymi dziećmi kręcącymi się u ich spódnic.

Minęła godzina, zanim wystawa rzeźnika w ogóle pojawiła się w polu mojego widzenia. Trzymałam przygotowaną naszą smutną książeczkę z kartkami pełnymi kwadratowych kuponików – każdy na inny rodzaj artykułów spożywczych. Gdy wreszcie przyszła moja kolej, sprzedawca odciął zaledwie jeden z czterech kwadracików i włożył mi do koszyka nędzną, chudą kiełbasę.

– Przykro mi, to wszystko na dziś – oznajmił pozostałym ludziom w ogonku.

Stojąca tuż za mną kobieta wydała urywany, ostry krzyk. Tak się skupiałam na plakatach, że do tej pory nie zwróciłam na nią większej uwagi. Do kobiety tuliła się czwórka małych dzieci. Ona sama miała gołe nogi i drżała z zimna w chłodzie późnego listopada. Ostatnio jedwabne pończochy kosztowały nie mniej niż trzysta franków.

Przełożyłam kiełbasę do jej koszyka na zakupy.

– Pani powinna ją wziąć – powiedziałam i na twarzy kobiety odmalowała się ulga.

Gryzło mnie, że zmarnowałam godzinę w kolejce, ale jeszcze bardziej nieznośna byłaby myśl, że wzięłam ostatni kawałek mięsa, wiedząc, że mamy w zapasie paczkę od wujka Gérarda, a w niej bekon, ser i warzywa. Powiem mamie, że wykupiono mi wszystko sprzed nosa.

Z pustym koszykiem dyndającym u boku pośpieszyłam do zaułka tak szybko, jak się dało, by nie ściągnąć na siebie uwagi. Zbliżałam się, mój cel był tuż po prawej. W końcu zwinnie jak kot wsunęłam się w przerwę między budynkami.

Oho. Tego się nie spodziewałam.

Ktoś już tu był – chłopak. I robił coś z plakatami. Zastanawiałam się, czy nie powinnam chyłkiem wymknąć się z powrotem na ulicę, lecz on odsunął się od muru i zobaczyłam, że narysował kredą na twarzy Hitlera dziwny symbol. Krzyż, ale z dwiema poziomymi kreskami zamiast jednej. Serce mi podskoczyło. Koniecznie musiałam dowiedzieć się więcej. Zrobiłam krok w jego stronę, a wtedy chłopak podniósł wzrok i uświadomił sobie, że nie jest tu sam.

Był mniej więcej w moim wieku. Miał krótko ścięte brązowe włosy i grube okrągłe okulary. Lekko puciołowate policzki zaróżowiły mu się, ale

z jakiegoś powodu nie uciekł, chociaż wyraźnie się przeląkł. To mnie przypadło zrobić pierwszy ruch i postanowiłam podjąć ryzyko.

– Nie mogę ich znieść – powiedziałam, wskazując głową plakaty.

– Ja tak samo – odparł.

Chyba ocenialiśmy się nawzajem. Z jednej strony wiedziałam, że to niebezpiecznie mówić źle o Niemcach do kogoś zupełnie obcego, ale z drugiej strony strasznie się chciałam dowiedzieć, co ten chłopak rysował.

– Czasami je zdieram – wyznałam. – Po to tu dzisiaj przyszedłam.

Rozluźnił się. W jego oczach błysnął nawet podziw.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Czy kiedyś cię przyłapano?

– Tylko teraz, jak mi się zdaje.

Odpowiedział uśmiechem, więc odważyłam się zadać pytanie:

– Muszę się dowiedzieć... co to za symbol, ten, który narysowałeś?

– Krzyż lotaryński – odparł. – Oznacza poparcie dla de Gaulle’a.

– Dla de Gaulle’a! – Ledwie w to mogłam uwierzyć. O mało nie upuściłam koszyka. – Słyszałam jego radiowe wystąpienie w czerwcu!

I wtedy, jakby na zawołanie, wyrecytowaliśmy jednocześnie:

– „Cokolwiek się wydarzy, płomień francuskiego oporu nie może zagasnąć i nie zostanie wygaszony”.

Twarcz chłopaka zajaśniała w szerokim uśmiechu.

– Jestem Arnaud Michnik.

– A ja Adalyn Bonhomme.

Uścisnęliśmy sobie ręce.

– Hej, Adalyn – zagadnął Arnaud – słyszałaś, co się niedawno zdarzyło? O dziewiątej dwadzieścia wieczorem jakiś Żyd zabił niemieckiego żołnierza, rozciął go i zjadł jego serce.

Zmroziło mnie.

– Słucham?

– To przecież żart, jak słowo daję.

– Ale niemiły dla Żydów – warknęłam.

– Adalyn – odezwał się błagalnie. – Ja jestem Żydem.

Uśmiechał się łagodnie, nie było w tym okrucieństwa, skrzyżowałam więc ręce na piersi i posłuchałam dalszego ciągu.

Arnaud odchrząknął teatralnie i dokończył swój dowcip:

– Widzisz, to, co przed chwilą powiedziałem, jest niemożliwe z trzech powodów. Niemiec nie ma serca. Żydzi nie jedzą świniny. A o dziewiątej

dwadzieścia wieczorem wszyscy siedzą w domu i słuchają BBC.

Roześmiałam się – i był to taki śmiech, jaki wychodzi z człowieka po bardzo długim czasie przygnębienia. Śmiech, w którym mieszają się z sobą ulga i rozpacz. Zaraz potem, obejrzawszy się przez ramię, by sprawdzić, czy nikt nie nadchodzi, podeszłam do muru, zerwałam jeden plakat i ukryłam go pod materiałem na dnie koszyka.

– Sprytnie ukrywasz dowody.

– Nikt nie będzie podejrzewał dziewczyny z zakupami.

Podeszłam do następnego plakatu z Arnaudem u boku, uszczęśliwiona, że tym razem mam współnika w przestępstwie. Jeśli ktoś stanie na czatach, podczas gdy będę zdzierała plakaty, zdejmie to ze mnie część ciężaru. Nigdy nie odważyłabym się robić tego z siostrą. Nie tylko dlatego, że nie chciałabym narazić jej na niebezpieczeństwo – bałam się również tego, że Chloe zerwie plakaty, po czym popędzi ulicą, wymachując nimi zwycięsko nad głową.

Gdy rozprawiłam się z ostatnim plakatem, zaraz chciałam ustalić, kiedy możemy znów to zrobić, nie bardzo jednak wiedziałam, jak spytać o to Arnauda. Nie miałam pojęcia, czy ta piętnastominutowa akcja znaczy dla niego tyle co dla mnie. Poznać kogoś spoza rodziny, kto podziela moje poglądy... to jakby zgubić się na morzu i wreszcie dostrzec ląd na horyzoncie.

– Chciałabym to zrobić jeszcze raz – palnęłam prosto z mostu.

– Iść ze mną na stację metra?

Co miałam zrobić z taką odpowiedzią? Ale postanowiłam, że nie ustąpię i utrzymam swój statek na tym kursie, choćby nie wiem co. Szłam więc obok Arnauda chodnikiem krok w krok i pewnie wyglądaliśmy jak starzy przyjaciele. Minęło nas dwóch Niemców – jeden z nich nawet otarł się o mój koszyk – ale nie zwrócili na nas uwagi. Jakie to emocjonujące – ukrywać się na widoku!

– Powinnaś poznać mojego przyjaciela Luca – rzucił Arnaud tak zwyczajnym tonem, jak gdyby mówił o pogodzie.

– Kim on jest?

– Kimś, kto myśli tak samo jak ty i ja.

– Dlaczego powinnam go poznać?

Dotarliśmy już do wejścia na stację. Pociągnął mnie na bok, żeby się odsunąć od strumienia przechodzących pasażerów.

– Nie mogę ci podać więcej szczegółów. Po prostu z nim porozmawiaj, zgoda?

– Zgoda. – Serce mi przyśpieszyło, gdy przeglądałam w głowie swój rozkład zajęć. Na poniedziałek byłyśmy umówione u madame LaRoche. – Mogłabym z nim porozmawiać we wtorek, po szkole.

– Wtorek. – Kiwnął głową. – Przy bulwarze Saint-Michel, tuż koło wschodniego krańca ogrodu Luksemburskiego, jest stary sklep obuwniczy. Ma fioletową markizę, na pewno ci się rzuci w oczy. Czekać na ławce na zewnątrz o wpół do szóstej, Luc wyjdzie do ciebie. Zapyta, czy dotarłaś bez przeszkód. Odpowiedz: „Pociągi kursują planowo”. Wtedy cię wpuści do środka.

– „Pociągi kursują planowo”? Arnaud, co to znaczy?

– Po prostu to powiedz. Zaufaj mi. Muszę lecieć... Miło cię było poznać, Adalyn.

– Arnaud, czekaj...

Ale on musnął mi ustami policzek i zaraz zniknął na schodach prowadzących w głąb metra, zostawiając mnie drżącą i samotną na chodniku. Wszystko to stało się tak szybko, że kiedy wróciłam do domu i powiedziałam mamie, że u rzeźnika zabrakło dla nas mięsa, jakaś częśćka mnie wciąż się zastanawiała, czy przypadkiem nie wyobraziłam sobie dzisiejszego spotkania.

We wtorek ledwie się mogłam skupić w szkole. W kółko powtarzałam w myślach te same trzy słowa, żeby mi dobrze poszło po południu: „Pociągi kursują planowo”. „Pociągi kursują planowo”. „Pociągi kursują planowo”. To pewnie jakieś hasło, tylko po co?

Kiedy po ostatnim dzwonku spotkałam się z Chloe w tym samym miejscu co zwykle, powiedziałam jej, że Marie i Monique LaRoche dosłownie zmuszają mnie, żebym poszła z nimi na zakupy do jubilera. Jak przewidziałam, gdy zmyślałam to kłamstwo, moja siostra ucieszyła się, że może się z tego wywinąć, i stwierdziła, że zobaczymy się w domu.

W tych czasach nie dało się polegać na metrze. Niemcy zamykali stacje bez ostrzeżenia, przez co nigdy nie było wiadomo, czy w ogóle dotrze się do swojego celu. Nie miałam pojęcia, kim jest tajemniczy Luc, ale z jakiegoś powodu na myśl o tym, że mogłabym przegapić spotkanie z nim, żołądek mi się przewracał. Całą drogę przebyłam więc pieszo i zajęło mi to

bitą godzinę. Kiedy dostrzegłam w końcu fioletową markizę, oczy mi łzawiły z zimna, a nos prawie na pewno miał kolor dojrzałego pomidora.

Usiadłam na ławce na zewnątrz, zastanawiając się, z której strony nadejdzie Luc. Nie wiedziałam nawet, jak wygląda ani ile ma lat. Dopiero teraz przyszło mi do głowy, że może wdepnęłam w jakąś nazistowską pułapkę zastawioną na wandalach niszczących plakaty. Nie umiałam się jednak zmusić do tego, by wstać i odejść. Ledwie znałam Arnauda, ale byłam pewna, że można mu ufać. Otuliłam się ciasniej płaszczem i uniosłam ramiona, żeby osłonić uszy. Teraz, kiedy siedziałam nieruchomo, zaczynałam się trząść z zimna.

A może z nerwów?

Ukradkiem zerknęłam na zegarek. Dwadzieścia po piątej. Już niedługo...

Nad moją głową zabrzączał dzwonek i drzwi sklepu otworzyły się szeroko. To już. Tylko spokojnie. Ze sklepu wyszła kobieta w średnim wieku, odziana w długie brązowe futro. Poprawiła sobie szalik i spojrzała na mnie przelotnie, lecz zaraz jej wzrok prześliznął się na ulicę za mną, po czym oddaliła się bez słowa, dyndając wiszącą na łokciu torbą z zakupami.

Fałszywy alarm.

Teraz już serce waliło mi w piersi jak młotem. Za dwie minuty będzie wpół do szóstej. Nerwowe kręcenie głową na prawo i lewo byłoby podejrzane, skupiłam więc spojrzenie na sekundniku zegarka, odmierzającym ostatnią minutę. Na zewnątrz było tak cicho, że słyszałam tykanie. *Tyk. Tyk. Tyk.*

Dzwonek zabrzączał znowu. Pewnie kolejny niczego nieświadomy klient.

– W porządku? Dotarłaś bez przeszkód?

Oddech mi uwiązał w gardle, kiedy podniosłam wzrok na brązowookiego chłopaka mniej więcej w moim wieku. Miał na sobie szkolny mundurek, ale było w nim coś bardziej surowego, niż się spodziewałam. Zmierzwiłone czarne włosy opadały mu na oczy i kręciły się za uszami. Każdy kąt jego twarzy wydawał się wyraźnie zarysowany, geometryczny. Dopiero po sekundzie przypomniałam sobie, co miałam odpowiedzieć.

– Pociągi kursują planowo.

Uśmiechnął się z aprobatą, a ja pomyślałam, że zaraz zjadę z tej ławki. Otworzył drzwi sklepu i gestem zaprosił mnie do środka. Wstałam

swobodnie, w duchu dziękując losowi, że do tej pory wszystko zrobiłam jak trzeba.

Sklep okazał się mały i ciemny. Unosił się w nim mocny zapach skóry i pasty do butów. Stojący za ladą mężczyzna nie patrzył na mnie, gdy weszłam. Jeżeli Arnaud chciał wybrać najmniej podejrzane miejsce na potajemne spotkanie, to mu się udało.

Ciemnowłosego chłopaka bez słowa poprowadził mnie krętą ścieżką wśród półek, aż znaleźliśmy się w małym zakamarku na zapleczu. Wyłowił z kieszeni marynarki klucz i otworzył nim drzwi, które mieliśmy przed sobą.

Wkroczyłam za nim do skromnego pomieszczenia wielkości z grubszą moją sypialni. Stało tu kilka niepasujących do siebie, patykowatych krzeseł i stół, a pod ścianą po lewej piętrzył się stos pudełek. U sufitu wisiała pojedyncza żarówka. Pośrodku przeciwległej ściany znajdowały się kolejne drzwi.

Chłopak zamknął za nami na klucz.

– Śmiało, siadaj – rzekł.

Poszłam za jego przykładem i przyciągnęłam sobie jedno z krzeseł na środek pokoju, po czym usiedliśmy naprzeciwko siebie mniej więcej w odległości metra.

Otwarcie popatrzył mi w oczy.

– Jestem Luc – przedstawił się.

– Adalyn – odparłam.

– Słyszałam, że poznałaś mojego przyjaciela Arnauda.

– Tak, w sobotę. Powiedział, że powinnam się z tobą spotkać.

– Czy mówił dlaczego?

– Nie. Wspomniał tylko, że myślisz tak samo jak ja.

Luc rozparł się na krześle, kładąc łokieć na oparciu i krzyżując nogi.

– Jak uważasz, co przez to rozumiał? – spytał.

– Nie wiem, co dokładnie przez to rozumiał. – Nadal siedziałam sztywno, jakbym połknęła pogrzebacz, i musiałam przypominać sobie o wydechu. A potem o wdechu. – Jedyne, co wiem na pewno, to jak trudno mi znieść uczucie, kiedy wstaję rano i widzę nazistowską flagę wiszącą nad naszym miastem... i kobiety stojące w kolejce po reglamentowane jedzenie, którego i tak brakuje... i żołnierzy, którzy zgarniają wszystko, co można by kupić w naszych sklepach.

– I co to za uczucie, Adalyn?

Luc tak dobrze wyglądał, że trudno mi było utrzymać kontakt wzrokowy, ale nie mogłam pokazać po sobie, że się denerwuję. Gdyby zdecydował, że się nie nadaję – gdyby mnie wyrzucił ze świata, który właśnie odkryłam – nie wiedziałam, jak bym to przeżyła. Zapewne byłoby tak, jakby się ocknął z cudownego snu i wiedzieć, że nigdy się do niego nie wróci.

– To takie uczucie, jakby się we mnie palił ogień, i jeżeli czegoś nie zrobię, nie postawię się, to mnie wypali od środka. Dlatego zdzieram ich plakaty. Muszę coś zrobić. Jak można pozostać beczynnym?

Oddychałam ciężko i nagle uświadomiłam sobie, że siedzę na brzeźku krzesła. Co Luc sobie o mnie pomyśli? Zamiast odpowiedzieć, po prostu mi się przyglądał, przechylając głowę to w jedną stronę, to w drugą, jakby oszacowywał obraz.

– Wyglądasz znajomo – odezwał się w końcu. – Mieszkasz gdzieś w pobliżu?

– Nie. Moja rodzina mieszka w Dziewiątej Dzielnicy. Koło opery.

Uniósł brwi.

– Ładna okolica. Ale droga.

Nie wiedziałam, jak na to zareagować, spuściłam więc tylko wzrok i bawiłam się bransoletką. O, nie – teraz przyciągnęłam jego uwagę do srebrnej biżuterii od Cartiera, którą *maman* dała mi na urodziny zeszłego roku. Kiedy ponownie spojrzałam na Luca, na jego twarzy malowało się zrozumienie.

– Jesteś w tych wszystkich magazynach modowych – zauważył. – Zawsze drukują twoje zdjęcia w kronikach towarzyskich. Moja babcia bez przerwy je czyta i zostawia rozrzucone po domu. Uwielbia oglądać, w co się ubierają panie z wyższych sfer. To tam cię widziałem, prawda?

Przygotowałam się na to, że w jego oczach zobaczę negatywny osąd, ale się nie pojawił.

– Mama zabiera mnie na te wszystkie przyjęcia – wyznałam.

Luc uniósł brew.

– Wie, że w wolnym czasie niszczysz nazistowską propagandę?

– Nie – odpowiedziałam szybko. – Nikt o tym nie wie, oprócz ciebie i Arnauda.

Wychylił się do przodu i oparł łokcie na kolanach, w jednej krótkiej chwili zmniejszając dzielącą nas odległość.

– Czy mogę ci ufać, Adalyn?

Zmusiłam się, by spojrzeć mu w oczy.

– Tak.

Przez kilka pełnych udręki sekund tylko na mnie patrzył. A potem wstał.

O, nie. Więc to koniec? Zostanę odprawiona i nawet się nie dowiem, co miałam tutaj zacząć? Pośpiesznie odtworzyłam w głowie całe nasze spotkanie, lecz nie znalazłam nic, czym mogłabym mu się narazić.

I gdy się już spodziewałam, że wyjmie klucz i wyprowadzi mnie przez sklep, Luc podszedł do stosu pudełek. Podniósł wieczko jednego z nich, wyjął z niego dużą kopertę i wrócił na miejsce.

– Arnaud miał rację. Rzeczywiście myślę tak samo jak ty – powiedział łagodnie. Cienie rzucane przez światło żarówki sprawiały, że kontury jego twarzy stały się jeszcze wyraźniejsze i przez chwilę czułam dziwną chęć, żeby położyć dłoń na jego policzku. Tymczasem on kontynuował: – Szukam zaufanych ludzi, takich jak ty i ja, ludzi, którzy chcą stawiać opór. Musimy dotrzeć z naszym przesłaniem do możliwie jak największej liczby osób.

– A nasze przesłanie to...

– To, że nikt we Francji nie chce współpracować z wrogiem. Że wielu z nas wciąż walczy, że nie zamierzamy przestać.

– Powiedz mi, co mam robić.

Podniósł kopertę, którą wziął z pudełka.

– To bibuła, czyli ulotki. Są wydrukowane z krzyżem de Gaulle’a. Możesz je rozprowadzać, gdzie się da, w takich miejscach, żeby ludzie się na nie natknęli. W metrze. Do skrzynek pocztowych. W szkolnej toalecie. Tylko nikt cię nie może przy tym zauważyć. Dasz radę?

– Tak.

Musiłam znaleźć sposób, żeby to robić, nie wzbudzając podejrzeń rodziny.

Zamiast przekazać mi kopertę, Luc przysunął swoje krzesło jeszcze bliżej mojego, tak że nasze kolana niemal się zetknęły. Gdy znowu popatrzył mi w oczy, jego spojrzenie było tak żarliwe, że przechodziło moje wyobrażenia. Wwiercało się w każdy zakamarek duszy.

– To niebezpieczne, Adalyn. Naziści aresztowali młodzież za marsz w Dniu Zawieszenia Broni[*]. Wtrącili demonstrantów do więzienia, bili ich, kazali stać na zewnątrz przez całą noc w deszczu. Kilku ustawili pod

ścianą i udawali, że chcą ich rozstrzelać. To samo mogą zrobić z nami. Albo coś jeszcze gorszego. Jeśli masz jakieś wątpliwości, jakiegokolwiek, możesz się teraz wycofać. Nie miałbym ci tego za złe.

– Nie wycofam się.

– Będziesz musiała zachować ostrożność. Jeżeli cię złapią, zrobią wszystko, żeby wydobyć z ciebie informacje. A ty nie możesz nikomu nawet pisać słowa o tym, co robisz. Rozumiesz? Nikomu. Nawet najbliższej rodzinie. Nawet ludziom, którzy wydają ci się wierni twojej sprawie. W Paryżu roi się od nazistowskich szpicli.

Z trudem przełknęłam ślinę.

– Umiem dotrzymać sekretu – zapewniłam stanowczo.

Jeszcze raz przyjrzał mi się badawczo. Pozwoliłam mu na to.

Chciałam, żeby zobaczył, jak bardzo mi na tym zależy. W końcu wręczył mi kopertę, a ja wetknęłam ją do torby z podręcznikami. Wyprostowałam się.

Luc uśmiechnął się po raz pierwszy, odkąd tu przybyłam, i poczułam, że wreszcie rozluźniam ramiona. Nawet nie zdawałam sobie sprawy z tego, że powędrowały w stronę uszu. Zdałam egzamin. Weszłam w to. Byłam częścią czegoś większego niż ja sama, większego niż gniewne wpisy w dzienniku i potargane plakaty. Napięcie ulotniło się też chyba z ciała Luca. Zerwał się z krzesła, podszedł do drzwi w przeciwległej ścianie – tych, które dotąd były zamknięte – i zapukał w nie krótko trzy razy. Drzwi natychmiast się otworzyły i ukazał się w nich Arnaud z szerokim uśmiechem i policzkami zaróżowionymi od wieczornego chłodu.

– Jesteś teraz jedną z nas! – zawołał, a we mnie serce wezbrało.

– Cały czas stałeś pod drzwiami na zewnątrz?

– Czekałem na sygnał od Luca – wyjaśnił. – Trzy stuknięcia, jeżeli cię przyjął; dwa, jeśli cię odsyła z kwitkiem.

Rozpromieniona zwróciłam się do Luca. Pewnie powinnam teraz mieć stracha, ale czułam się wręcz upojona z podekscytowania.

– Dzięki, że mnie nie odesłałeś z kwitkiem.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Adalyn – odparł Luc. Kiedy wymówił moje imię, z takim przekonaniem w głosie, poczułam w piersi radosne drgnienie, które nie miało nic wspólnego z zadaniem, jakie mi właśnie przydzielił. Jego obecność wprawiała mnie w zdenerwowanie, ale

jednocześnie miałam ochotę zostać tu, w tym dziwnym pomieszczeniu, i rozmawiać z nim, najlepiej godzinami.

– Luc, gdzie właściwie jesteśmy? – przypomniało mi się.

– W sklepie moich rodziców – odrzekł. – Kiedy mają otwarte, zawsze pozwalają mi wykorzystywać ten pokój do moich potrzeb.

– Czy wiedzą, czym się teraz zajmujesz?

Potrząsnął głową.

– Myślę, że po prostu spotykam się z przyjaciółmi.

– Nie mają pojęcia, że utknąłeś tu z dwójką ludzi, których nie możesz znieść – wtrącił Arnaud, zarzucając mu rękę na ramię.

Luc zaśmiał się i zażyłym gestem zmierzwił przyjacielowi włosy. Potem odchrząknął i wcisnął ręce w kieszenie. Z powrotem spoważniał.

– Wy dwoje działajcie – przykazał. – Pamiętaj, Adalyn: nikomu ani słowa.

Arnaud przytrzymał dla mnie drzwi. Miałam wrażenie, że wychodzę do świata na zewnątrz jako nowa osoba. Zanim przekroczyłam próg, po raz ostatni skrzyżowałam spojrzenia z Lukiem.

– A co mam zrobić, kiedy skończę?

– Wrócisz tu i dasz mi znać.

Jego głos był niczym łyk herbaty rozgrzewający ciało od środka.

– Dziękuję – szepnęłam.

– Powodzenia.

Niebo purpurowiało i różowiało u schyłku dnia, kiedy Arnaud odprowadzał mnie z powrotem na prawy brzeg. Kiedyś o tej porze wieczoru Paryż naprawdę stawał się Miastem Świąteł. Teraz o tej godzinie paryżanie śpieszyli do domów, żeby zaciągnąć zasłony w oknach. Dokoła panowała cisza. Nie było pojazdów silnikowych, ludzie przemykali obok nas na rowerach. Strudzone gospodynie domowe wracały do mieszkań z twarzami bez wyrazu po kolejnym bezowocnym dniu poszukiwania jedzenia na targach. Teraz, gdy zostawiłam za sobą wir emocji przeżytych w sklepie i znów twardo stapałam po ziemi, do mego serca zaczęły się wkradać bardzo prawdziwe i bardzo przerażające pytania. Rzeczy, o które chciałam zapytać Luca, lecz nie zrobiłam tego w obawie, żeby mnie nie wziął za tchórza. Powiedział, że jeśli naziści mnie złapią, „zrobią wszystko”, żeby wydostać ze mnie informacje. Będą mnie torturować? Albo co grosza – i na tę myśl złapały mnie mdłości – skrzywdzą moją

rodzinę? Pod mosiężnymi sprzączkami płaszcz narosło mi tyle paniki, że przerwałam Arnaudowi opowieść o jego dwóch młodszych braciach.

– Arnaud, myślisz, że wyląduję w areszcie?

– Myślę, że w s z y s c y wylądujemy w areszcie – prychnął.

Stałam jak wryta, kiedy dotarło do mnie, w co się właśnie wpakowałam. Co ja, u licha, robię, roznosząc antynazistowskie ulotki?

– Nie rób takiej ponurej miny! – zawołał, klepiąc mnie po ramieniu. – W ostatecznym rozrachunku gra będzie warta świeczki.

Kiedy nie ruszyłam się z miejsca, dodał:

– Chodź, kupię ci lody.

Więc oczywiście podreptałam dalej, zaraz jednak uświadomiłam sobie jego błąd.

– Ostatnio nikt nie sprzedaje lodów – zauważyłam.

– Faktycznie – przyznał mi rację. – W takim razie stawiam lody, gdy tylko ta cholerna wojna się skończy.



Podkładałam ukradkiem ulotki.

Nosiłam je z sobą wszędzie, ukrywając w koszyku na zakupy i między kartkami podręczników, czekając na okazję, by podrzucić bibułę tak, aby nikt nie widział. Już następnego dnia na zatłoczonym peronie metra zostawiłam stosik, siedząc na ławce! Te papiery to nic wielkiego, po prostu arkusiki z krzyżem de Gaulle’a pośrodku, lecz dla mnie były wszystkim.

Niestety, szło mi wolno, ponieważ trudno było o chwilę, gdy byłam całkiem sama. Do szkoły i z powrotem chodziłam z Chloe, a wieczory spędzałam w domu. Gdyby chociaż Charlotte albo Simone zostały w Paryżu, mogłabym udawać, że się spotykam z koleżanką. A tak jedyne, co mi zostało, to wykonywanie zadania podczas robienia zakupów.

Wczoraj wróciłam z targu triumfalnie, ponieważ ostatnie arkusiki wsunęłam niepostrzeżenie jakimś paniom do koszy z zakupami. Byłam gotowa na kolejne spotkanie z Lukiem, ale to oznaczało, że znów muszę się potajemnie wyprawić do Dzielnicy Łacińskiej, i to tak, żeby rodzice nie nabrali podejrzeń. Wiedziałam, że nawet jeśli pojadę rowerem lub

pociągiem, zajmie mi to co najmniej godzinę, w dodatku będzie już wieczór.

Siedząc na lekcji historii, prawie nie uważałam. Rozmyślałam, że muszę to zrobić dzisiaj – nie mogłam dłużej odkładać tej wycieczki. Jeśli będę dłużej zwlekała i czekała na idealną okazję w rozkładzie tygodnia, Luc może pomyśleć, że straciłam zainteresowanie sprawą. Dlatego po lekcjach podeszłam do Chloe na schodach przed szkołą i powiedziałam jej, że nie mogę z nią dziś wrócić do domu.

– Znosi się na naprawdę trudny sprawdzian z historii. Muszę się do niego pouczyć z koleżankami – skłamałam spokojnie, ale czułam się przez to okropnie.

Chloe oparła rękę na biodrze.

– *A papa* nie może ci pomóc?

– Nie zna tego materiału za dobrze – zaimprovizowałam. – To nie rewolucja ani nie czasy napoleońskie, ale średniowiecze.

– Równie dobrze mogłabyś się wcale nie uczyć – palnęła moja siostra. – Przez twoje doskonałe stopnie inni wyglądają blado.

Roześmiałyśmy się obydwie i wiedziałam, że mi się udało.

– Widzimy się wkrótce, dobrze? Nie będę siedziała długo.

– Dobrze. Będzie mi ciebie brakowało w drodze do domu. – Skrzywiła się, widząc niemiecki patrol z dużym, groźnie wyglądającym psem. – Przy tobie nie myślę tyle o szkopach.

– Kiedy wrócę, jeśli *papa* jeszcze nie będzie spał, pośpiewamy razem, dobrze? Ty zaśpiewasz, a ja ci będę akompaniować.

– Świetny pomysł. Ale ostrzegam – dodała z nutką sarkazmu – moja nauczycielka od chóru stwierdziła, że mam dzisiaj „piskliwy” głos.

– Piskliwy? Niemożliwe, nigdy nie masz piskliwego głosu. Daję słowo.

– Dzięki. Powiedziałam jej, że się myli. – Chloe z uśmiechem zarzuciła sobie torbę na ramię. – Powinna była zgodzić się ze mną, zamiast kazać mi wyjść z sali. Dobra, widzimy się w domu, Adalyn.

– Do zobaczenia, Chloe.

Patrzyłam, jak jasna głowa siostry znika za rogiem na końcu ulicy. Zaraz potem odwróciłam się na pięcie i popędziłam do najbliższej stacji metra. Wiedziałam, że trudno mi będzie znaleźć wymówkę za każdym razem, kiedy zechcę się wybrać na spotkanie z Lukiem. Nie chodziło wyłącznie o to, że będę musiała wykazać się pomysłowością, lecz również o to, że nie

cierpiałam mieć tajemnic przed siostrą. Przypomniałam sobie jednak, że to dla jej bezpieczeństwa.

Gdy nikogo nie było w pobliżu, zanurkowałam w zaułek po prawej od fioletowej markizy. Arnaud powiedział, że tym razem mogę wejść od tyłu. Nauczył mnie też specjalnego pukania do drzwi: jedno mocne stuknięcie i pięć lekkich, szybkich. *PUK-puk-puk-puk-puk-puk*. Przez minutę obawiałam się, że Luca tam nie ma, że zmarnowałam tak genialnie wymyśloną wymówkę, ale wreszcie otworzył mi drzwi. Jego ciemne brązowe oczy błysnęły, jakby miał nadzieję zobaczyć mnie w progu. Usłyszałam dobiegające zza jego pleców głosy innych chłopaków.

– Adalyn – powiedział. Moje imię zabrzmiało jak muzyka, kiedy je wymówił swoim głębokim barytonem.

Musiałam przejść prosto do rzeczy, byłam zbyt podekscytowana, by z tym czekać.

– Skończyłam, Luc. Przyszłam po nową porcję.

– Świetnie – rzekł. – Wejdz, właśnie w zeszłym tygodniu przygotowaliśmy kolejną partię.

Odsunął się, by mnie przepuścić. W środku oprócz Arnauda było dwóch nieznanym mi chłopaków. Jeden wysoki, tyczkowaty, o kręconych włosach, przypominał dmuchawiec. Drugi, niższy, miał niemal dziecięcą twarz. Siedzieli we trzech przy stole, a kiedy weszłam, Arnaud zerwał się z miejsca.

– Adalyn! Martwiłem się, że cię ostatnio przestraszyłem.

– Udało mi się, jeszcze tym razem mnie nie aresztowali – zażartowałam.

Luc wskazał głową tyczkowatego młodzieńca z lokami.

– To jest Pierre-Henri – przedstawił go, a Pierre-Henri zasalutował mi po wojskowemu i obydwójce zachichotaliśmy. Najwyraźniej powróciło upajające podekscytowanie. – A to Marcel. – Luc wskazał niższego chłopaka, który już szczerzył się w uśmiechu i machał do mnie. – Wszyscy chodzimy razem do szkoły. Zaczęliśmy się spotykać we wrześniu, żeby rozmawiać o wojnie, przekazywać sobie wieści z radia czy ze znalezionych ulotek, planować opór czy cokolwiek, co tylko da się zrobić...

– Przede wszystkim staramy się nie oszaleć – wtrącił Arnaud.

– Właśnie – przyznał z uśmiechem Luc. – A tata Marcela ma powielacz. Przeszmugłował go ze swojej drukarni, zanim zamknęli ją Niemcy, dlatego możemy robić odbitki, jak już wiesz.

Kiwnęłam głową, starając się ogarnąć to wszystko umysłem. W mózgu aż mi buczało od nowych informacji.

– Chłopaki, to jest Adalyn – ciągnął Luc. Brzmiało to, jakby kapitan zwracał się do swoich poruczników. – Arnaud zastał ją przy zdzieraniu plakatów Führera...

– Właściwie to ona mnie zastała przy plakatach – uściślił Arnaud, unosząc palec wskazujący. Wymieniliśmy porozumiewawcze uśmiechy.

– Adalyn pomaga rozprawdzać nasze ulotki po mieście i znakomicie unika przy tym aresztowania – dokończył Luc. – Jest cennym nabytkiem.

Nazwał mnie „cennym nabytkiem”. Spuściłam wzrok na swoje ręce. No pewnie, że jestem cenna, Niemcy nigdy nie będą mnie podejrzewali...

– Witamy w zespole! – zawołał Marcel.

– Dziękuję – odparłam. – Bardzo mi miło was poznać.

– Cieszymy się, że do nas dołączyłaś – powiedział Pierre-Henri. – Wiem, że nasza bibuła to nic wielkiego, ale zaufaj mi, to dobre uczucie, gdy człowiek coś robi.

– Doskonale wiem, co masz na myśli.

Serce we mnie wezbrało. Marcel i Pierre-Henri prawie mnie nie znali, ale od razu przyjęli do grupy. Było jasne, że Luc, najpoważniejszy z tej paczki, to jej nieoficjalny przywódca. Zapewne ufali, że dobrze mnie sprawdził.

– Spotykamy się tu co poniedziałek – wyjaśnił Luc. – Powinnaś też przychodzić, jeśli tylko możesz.

– Będę przychodzić – odpowiedziałam natychmiast, mimo że nie miałam jeszcze pojęcia, jak to załatwić. Zjawiać się tu co tydzień w poniedziałek, a do tego jeszcze potajemnie rozrzucać ulotki? To będzie wymagało częstego bywania poza domem, co zwłaszcza obecnie zapewne wyda się podejrzane, gdy wszyscy zamykają się w mieszkaniach i nikt się nie snuje po mieście, jeżeli nie musi.

Luc przysunął dla mnie krzesło i usiadłam razem z nimi przy stole. Dopiero teraz zauważyłam rozłożone na blacie przypadkowe powieści.

– To ściema. – Luc wyprzedził moje pytanie. Pewnie odczytał je w mojej twarzy. – W razie gdyby ktoś zastał nas tu i zadawał pytania, mamy klub czytelniczy.

– To był mój pomysł – pochwalił się z dumą Arnaud.

Chłopcy wrócili do omawiania swoich spraw, a ja spijałam każde ich słowo. Od dawna byłam spragniona takiej rozmowy. Przy siostrze trzymałam język za zębami, żeby jej nie zagrzewać do niemądrych postępów; przy tacie nie odzywałam się, żeby nie przydawać mu nerwów; przy mamie zaś nie mogłam być szczerą, ponieważ popierała Pétaina i nalegała na pozytywne nastawienie.

Moi nowi przyjaciele rozmawiali o możliwości przerwania swoich ulotek za linię demarkacyjną, ze strefy okupowanej do tej rządzonej przez Pétaina.

– Tam na południu są bardziej potrzebne niż tutaj – podkreślił Pierre-Henri.

– Dlaczego? – chciał wiedzieć Marcel.

– Bo tam po ulicach nie chadzają szkopy. Tu Niemcy odwalają za nas połowę propagandowej roboty.

Moje spojrzenie przyciągnął zegarek Arnauda – byłam już poza domem od prawie dwóch godzin.

– Muszę się zbierać – szepnęłam do Luca, tak żeby nie przerywać pozostałym. – Nie chcę, żeby rodzice mnie wypytywali.

Luc skinął głową. Wstał, podszedł do pudełek i wrócił z kolejną kopertą. Moją nową porcją do rozprowadzenia.

– Dziękuję.

– To ja dziękuję.

Intensywność jego spojrzenia sprawiała, że trudno mi było oderwać wzrok od jego oczu, ale wcisnęłam bibułę do szkolnej torby, pożegnałam się z pozostałymi, po czym wyszłam tylnymi drzwiami w ciemność i przenikliwy chłód.

Nasza starsza dozorczyńni była jak kocur – większość dnia przesypiała. Gdy się wśliznęłam do budynku, drgnęła na odgłos zamykania drzwi i ocknęła się; zamrugała, spojrzała na prawo i lewo, aż w końcu zlokalizowała źródło dźwięku.

– Panna Bonhomme – wymamrotała sennie. – List do panienki.

– Dziękuję, Gilles.

Gdy mi podała kopertę, natychmiast rozpoznałam pochyłe pismo mojej nauczycielki fortepianu, Mathilde, która od maja mieszkała u swojej ciotki w wolnej strefie. Szczerze mówiąc, nie za bardzo brakowało mi tych odbywanych dwa razy w tygodniu lekcji. Mathilde była bardzo surowa,

uderzała mnie linijką po nadgarstkach, jeśli nie unosiłam ich wystarczająco wysoko, co może aż tak nie bolało, ale odbierało mi całą radość z grania. Dlatego wolałam ćwiczyć sama. Idąc na górę po schodach, otworzyłam kopertę i przeczytałam list.

Droga Adalyn!

Mam nadzieję, że mój list zastaje Ciebie i Twoich bliskich w zdrowiu. Piszę, by Cię poinformować, że zdecydowałam zatrzymać się u cioci w Avignonie na dłużej. Ciocia nie czuje się dobrze i wymaga opieki, a tak czy inaczej nie jest łatwo o Ausweis pozwalający na podróże. Żałuję, że nasze lekcje dobiegną tym samym końca, ufam jednak, że znajdziesz czas, aby kontynuować naukę samodzielnie.

*Z pozdrowieniami,
Mathilde*

W mieszkaniu pachniało pieczonym mięsem, a *maman* przygotowywała stół do kolacji, gdy weszłam z listem w ręce. Zatrzymałam się w łukowatym przejściu do jadalni, by się przywitać, jak zawsze. Jakbym wracała z lekcji, a nie z tajnego spotkania w Dzielnicy Łacińskiej.

– Jak tam przygotowania do sprawdzianu, kochanie?

– Bardzo pomocne. Dziękuję, mamó.

Spojrzała na mnie z uwielbieniem, a ja poczułam wyrzuty sumienia z powodu swego kłamstwa.

– Dostałaś list? – zapytała, zauważając kartkę w mojej ręce.

– Od Mathilde – odparłam.

– O ! Pisze, kiedy wraca?

– Przeciwnie. Wygląda na to, że nie zamierza wrócić do Paryża – odpowiedziałam. – Pisze, że zostaje na południu, żeby się opiekować ciocią.

Maman przestała rozkładać srebra na obrusie i oparła ręce na biodrach.

– Obawiałam się tego – westchnęła. – Co my zrobimy bez tych lekcji? Naprawdę powinnyśmy znaleźć kogoś innego.

I wtedy przyszedł mi do głowy plan, w pełni uformowany i doskonały. Prosty, a jednocześnie otwierający możliwość na prowadzenie nowego

życia. Zanim powiedziałam cokolwiek więcej, wsunęłam list do kieszeni, żeby *maman* nie zapragnęła do niego zajrzeć.

– Mathilde właściwie poleciła mi nową nauczycielkę – skłamałam. – To zamożna wdowa, która udziela lekcji za darmo. Po prostu zależy jej na tym, żeby z kimś grać na fortepianie. Może mnie przyjmować w poniedziałki i środy, tak jak poprzednio Mathilde. Już to dla mnie ustaliła.

– To bardzo miło z jej strony. – *Maman* wyglądała na zaskoczoną.

– Prawda? Mathilde napisała mi, że to ważne, abym nie przestała się uczyć.

Maman okrążyła stół, a ja wpadłam w popłoch, sądząc, że przekręt się wyda. Zaraz zechce zobaczyć list i przekona się, że Mathilde nic dla mnie nie załatwiła. Mama jednak położyła chłodną dłoń na moim policzku.

– Zgadzam się z Mathilde – powiedziała z uśmiechem. – Masz prawdziwy talent, kochanie.

– Dziękuję, mamó. Już się nie mogę doczekać lekcji.

– To dobrze. – Poglądziła mnie po włosach. – Idź, umyj się przed kolacją. Słono zapłaciłam za tego dzisiejszego kurczaka.

Późnym wieczorem, gdy wszyscy już się położyli, zakradłam się do kuchni z listem od Mathilde wetkniętym pod pizamę. Jak najciszej otworzyłam drzwiczki pieca, rozgrzebałam pogrzebaczem dogasające węgle, a gdy się rozżarzyły, dodałam nieco świeżego opału.

Kłęcząc przed piecem, z nadzieją, że nikt nie wejdzie, rozpałam nieduży ogienek, a następnie włożyłam do niego list – jedyny dowód na to, że moja nauczycielka fortepianu tak naprawdę nie umówiła dla mnie nowych lekcji.

Wkrótce ogień trząskał cicho na palenisku. Z niecierpliwością odczekałam, aż płomienie przygasną, a serce waliło mi przy tym wściekle. Gdy wreszcie wszystko się spaliło, zajrzałam do środka.

Z listu Mathilde został już tylko popiół.

[*] Dzień Zawieszenia Broni – 11 listopada, rocznica podpisania pokoju w Wersalu (1918) po zakończeniu I wojny światowej; w krajach alianckich był to dzień zwycięstwa, dla Niemiec zaś – rocznica upokarzającej klęski [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki].

Rozdział 5

Alice

Operacja Czytam o Sekretym Dzieciństwie Babci szła pełną parą, musiałam tylko znaleźć miejsce, gdzie mogłabym się zaszyć z laptopem i przegryźć się przez dalszy ciąg dziennika Adalyn. Może powinnam spróbować w Dzielnicy Łacińskiej, po drugiej stronie rzeki. Camila ze swoją rodziną zatrzymała się tam podczas wiosennych ferii – pamiętam, jak mówiła, że w okolicy jest mnóstwo przytulnych kafejek. Dodała też, że kręci się tam mnóstwo przytulaśnych chłopaków, na co jej chłopak, Peter, wylał jej na głowę wodę z butelki.

Było ponure, pochmurne popołudnie, ale nie zwracałam uwagi na pogodę. Nie spałam do drugiej w nocy, ślęcząc nad kolejnym fragmentem dziennika, i teraz zdania zanotowane idealnym pochyłym pismem siostry mojej babci kłębiły mi się w głowie, podczas gdy wlokłam się po moście na drugą stronę bardzo szarej Sekwany. Niesamowicie czytało się te wszystkie historie o babci – rzeczy, których nigdy bym sobie nawet nie wyobrażała. Takie jak ten szczegół, że ona i Adalyn koncertowały razem dla swoich rodziców w rodzinnej bawialni – nie wiedziałam nawet, że babcia umie śpiewać! Dziwne to, ale niemal odnosiłam wrażenie, że jakaś część babci wciąż żyje i czeka na odkrycie. Tak jakby sama babcia nie odeszła do końca.

Wrrr! Ledwie postawiłam stopę na lewym brzegu, a już o mało mnie nie przejechał facet pędzący na vespie. Pewnie powinnam bardziej na siebie uważać, ponieważ ulice były tutaj bardziej zatłoczone. Meandrowałam między grupkami turystów, zastanawiając się, dlaczego Camila mnie tu wysłała. Wszędzie dokoła widziałam tylko sklepy z pamiątkami i restauracje, które dużymi jaskrawymi literami obiecywały „autentyczną

francuską kuchnię”. Gdy przechodziłam, kelnerzy próbowali mnie skusić, nawołując: *Mademoiselle! Mademoiselle!*

Przemykając wśród licznych przechodniów i pojazdów na bulwarze Saint-Germain, zastanawiałam się, czy nie zawrócić i nie usiąść w tej samej kawiarni co wczoraj, lecz otoczenie się zmieniło. Tłumy zrzędy, na ulicy było zdecydowanie mniej zwiedzających z aparatami fotograficznymi przewieszonymi przez szyję. Dotarłam do bardziej ustronnej strefy Dzielnicy Łacińskiej, gdzie uliczki tworzyły labirynt, w którym aż chciało się zgubić – wąskie, kręte zaułki zdawały się pełne niespodzianek, takich jak maciupkie kafejki z miejscem zaledwie na jeden czy dwa stoliki na zewnątrz, przy których ludzie w moim wieku czytali powieści i wsypywali cukier do małych filiżanek z espresso. Wszyscy tu wyglądali tak... no, francusko. Jakby wrzucili na siebie pierwsze, co im się nawinęło pod rękę w szafie, a jednak jakimś cudem byli lepiej ubrani niż ktokolwiek, kogo widziałam w swojej szkole.

Okej, Camila. Dobry pomysł. To naprawdę świetna okolica.

No i sorry, Peter, Camila zdecydowanie miała rację w kwestii tutejszych chłopaków – byli wszędzie, i to same ciacha. Oto jeden przymierzał się do *croque monsieur*[*] przy stoliku na zewnątrz, drugi prowadził rower po wyboistym bruku. Ci z mojej szkoły zawsze wysilali się na najgorsze wygłupy, by zwrócić na siebie uwagę dziewczyn – rzucali im gumką myszką w głowę albo je dźgali linijką – ale ci młodzi paryżanie przyciągali oko zupełnie bez wysiłku. Tacy wiedzieliby, że nie zasysa się twarzy dziewczyny podczas wolnego tańca do piosenki Adele. To powiedziawszy w duchu, musiałam przyznać, że zapewne też żaden z nich nie byłby zainteresowany mną, Alice Prewitt, skoro mogą się umówić z jakąś atrakcyjną miejscową osobką.

Zaczęło kropić i wiedziałam, że powinnam szybko wybrać sobie miejsce, ale nęcących kawiarenek było po prostu za dużo, żeby się zdecydować. Pospacerowałam jeszcze trochę, mając nadzieję, że idealny zakątek sam mi się objawi. Deszcz się jednak nasilił, wyjęłam więc telefon, żeby wygooglować dobry lokal z darmowym Wi-Fi.

Znienacka uderzył piorun i lunęło jak z cebra, dziesięć razy mocniej niż przed chwilą. Musiałam natychmiast się gdzieś schronić, w przeciwnym razie ubranie przemoknie na mnie do nitki. A co tam ubranie. Nagle przypomniałam sobie, że w cienkim, wcale nie wodoodpornym plecaku

niosę mój bardzo drogi laptop. Rzuciłam się do najbliższych drzwi po prawej.

Nad moją głową wesoło zabręczał dzwonek. Owionął mnie ciepły, słodki zapach świeżo upieczonego chleba. Najwyraźniej natknęłam się na precudną piekarenkę – w samą porę, ponieważ gdy tylko zamknęłam drzwi, na zewnątrz rozszalała się burza; ciężkie krople deszczu waliły w okno tak mocno, że szyby klekotały w ramie.

– *Bienvenue!*

Melodyjny głos przywitał mnie skądś z góry. Nie mogłam namierzyć jego źródła, aż zza kontuaru niczym diabełek z pudełka wychyliła się drobna, przypominająca wróżkę dziewczyna. Na fartuszkę i na policzku miała białą smugę z mąki.

– *Bonjour... avez-vous le Wi-Fi?*

– *Oui!* – Wskazała przyklejoną do ściany kartkę. Widniały na niej nazwa sieci i hasło.

– *Merci beaucoup* – odpowiedziałam z uśmiechem. Dopisało mi szczęście. To miejsce było idealne.

Najpierw położyłam swoje rzeczy na boku. W lokalu mieścił się tylko jeden wspólny stół i w tej chwili siedział przy nim tylko jeden klient – młody facet ze strzechą rudawych włosów, pochylony nad szkicownikiem z długopisem w ręce. Na moment podniósł wzrok, gdy rozpiniałam plecak – wystarczająco długo, żebym złapała spojrzenie oliwkowozielonych oczu za okrągłymi szylkretowymi okularami, takimi jak moje. Stwierdziłam, że jest bardzo przystojny. Właściwie był to bodaj najprzystojniejszy gość, jakiego dziś widziałam, a to coś znaczyło.

Wróciłam do lady z postanowieniem, że tym razem wyjaśnię wreszcie, iż chodzi mi o porządną, dużą czarną kawę, ale kiedy przyszło do zamawiania, rozmyśliłam się. Jeśli facet ze szkicownikiem patrzy na mnie teraz, czy rzeczywiście zamierzam wyjść na nieogarniętą turystkę, która nie wie, co robi? Nie. Chcę wyglądać na obytą w świecie damę, która zamawia kawę w mikroskopijnej filiżance, jak wszyscy inni w Paryżu.

Nie żebym myślała, że facet ze szkicownikiem interesuje się mną w jakikolwiek sposób. Ale, o dziwo, kiedy się sadowiłam przy stole zaopatrzonej w naparstek stężonej kofeiny i croissanta, facet ze szkicownikiem znów na mnie popatrzył. Tym razem zwróciłam uwagę na

jego usta, a zwłaszcza na to, jak górna warga zagłębiała się pośrodku, jak gdyby ktoś tam wcisnął kciuk.

Uśmiechnął się.

Pociągnęłam łyk kawy starając się nie krzywić.

On wrócił do rysowania, a ja otworzyłam komputer, na którego ekranie nadal widniały tłumaczenia z nocy. Przerwałam na wpisie z jesieni 1940 roku, gdy babcia ze swoją rodziną wciąż się przyzwyczajała do trudnego nowego życia pod okupacją.

Miasto sprawia klaustrofobiczne wrażenie. Kiedy w sobotę rano szłam z Chloe do rzeźnika z kartkami na mięso, zauważyłyśmy po raz setny, jak dziwnie wyglądają nasze znajome ulice. Niemieccy żołnierze czytający niemieckie drogowskazy, rozstawione tu i tam posterunki kontrolne i bariery na drogach, zabite deskami okna mieszkań, których właściciele uciekli... Wszystko to składa się na odczucie, że się ugrzęzło w koszmarze.

W każdym razie jeśli chodzi o rozrywkę, nic nam już prawie nie zostało. Charlotte jest w Ameryce Południowej, Simone w Marsylii. A Niemcy zamknęli dla paryżan kino Grand Rex! Nie muszę nawet wspominać, że nie wyobrażam sobie, co bym robiła bez Chloe. W tym przewróconym do góry nogami świecie podtrzymujemy się nawzajem na twardym gruncie. Zeszłego wieczoru, gdy już się położyłam do łóżka, siostra wśliznęła się do mojego pokoju i wgramoliła pod moją kołdrę. Powiedziała, że nie może zasnąć.

Zapytałam dlaczego.

Odparła, że od koleżanki z klasy dowiedziała się, że Niemcy mogą zostać we Francji dłużej, niż my pozycjemy, i to jej nie daje spokoju.

Przytuliłam ją mocno i zapewniłam, że to nieprawda, że Charles de Gaulle się tym zajmie. Aby ją oderwać od przerażających myśli – i siebie też! – zaproponowałam naszą zwykłą grę. Przerzuciłyśmy się pomysłami, aż Chloe zamamrotała coś i usnęła, a ja miałam nadzieję, że śni o dekadencym kawałku czekoladowego ciasta.

A oto kolejny wpis:

Dziś maman i ja minęłyśmy się w korytarzu naszej kamienicy z madame Blanchard. Była strasznie blada i wyglądała na przygnębioną. Od czasu, gdy ją ostatni raz widziałam, zamieniła się w cień człowieka. Zapytałyśmy ją, czemu jest taka przybita, a ona odpowiedziała, że jej syn zginął w obozie. Niemcy zastrzelili go za jakieś naruszenie zasad. Nie znałam go, ale zdruzgotała mnie ta wiadomość ze względu na jego rodzinę. Miał żonę i dzieci. To nie fair. Nienawidzę, nienawidzę, NIENAWIDZĘ Niemców.

Mama powiedziała, żeby nie wspominać o synu madame Blanchard przy tacie. Za bardzo by go to wytrąciło z równowagi. Jego brat Mathieu też został zastrzelony. Tak bardzo kocham moich rodziców i rozumiem, że musimy być silne z myślą o tacie, ale tu, w prywatnym dzienniku, muszę wyznać, że coraz trudniej mi powstrzymać się od uwag w ich obecności, wysłuchiwać, jak maman zachwyca się Pétainem, i potakująco kiwać głową. Nie obchodzi mnie, co Stary Marszałek zrobił podczas wielkiej wojny... Mamy przecież NOWĄ wojnę, a on zmusił Francję, żeby się poddała bez walki! Jego też nienawidzę. Chociaż może nie tak mocno jak Niemców.

Podczas kolacji prowadziliśmy uprzejmą rozmowę o tym, jaki to uśmiech losu, że udało się kupić dziś na targu masło. Widziałyśmy dzisiaj również matkę zebrzącą o lekarstwo dla jej chorego dziecka, lecz o tym nie wspomniałyśmy przy stole. Przez cały posiłek miałam wrażenie, że zaraz rozsadzi mnie smutek.

Chloe pewnie to wyczuła. Po kolacji wzięła mnie do swojego pokoju i gdy tylko zostałyśmy same, załamalam się i wybuchłam płaczem. Rozpaczałam z powodu biednej madame Blanchard i tamtej zdesperowanej matki na targu. Nie mogłam wymazać z pamięci ich twarzy.

Chloe przez cały czas trzymała mnie w objęciach – nie wiem nawet, jak długo. Powiedziałyśmy sobie, jak to dobrze, że obie mamy takie same odczucia co do sytuacji. Nie wiem, co bym bez niej zrobiła.

Ostatni przeczytany akapit sprawił, że zrobiło mi się nieco cieplej na sercu, mimo że z wpisu tchnął smutek. Napawało mnie dumą, że jestem wnuczką Chloe. Tak bardzo podobała mi się ich siostrzana miłość, że sama zapragnęłam też mieć siostrę.

Odważyłam się pociągnąć kolejny łyk kawy i znów zaczęła mnie gryźć ta sama myśl co w nocy.

Myśl o tym, że powinnam namierzyć Adalyn.

Odstawiłam filiżankę na stół i zakręciłam brązowym płynem w środku. Z jednej strony miałam poważny powód, by tej dziewczyny nie szukać: tanto zdjęcie. Zapewne z tej właśnie przyczyny babcia nigdy nie wspominała o siostrze.

Z drugiej strony Chloe i Adalyn były kiedyś sobie tak bardzo bliskie. A babcia nie zostawiłaby mi w spadku mieszkania, gdyby nie chciała, żebym się dowiedziała o jej siostrze... prawda? To znaczy może faktycznie chciała, bym ją odnalazła.

Prawie żałowałam, że w ogóle otworzyłam tę głupią szufladę, ponieważ gdybym się nie natknęła na zdjęcie – gdybym znała Adalyn jedynie jako osobę prowadzącą dziennik – wtedy nie miałabym żadnego dylematu. Z zapalem rzuciłabym się na poszukiwania zaginionej krewnej.

Takie hipotetyczne rozważania są jednak bez sensu, ponieważ szufladę otwierałam i fotografię widziałam.

Ale – ale! – z jej zapisków wynikało, że Adalyn nie od razu popierała nazistów. I mogłaby porozmawiać ze mną o babci. Mogłaby mi pomóc nadać temu wszystkiemu sens.

Nie zaszkodziłoby troszkę pomyszkować, prawda?

Zaczęłam od rzeczy oczywistych. Wpisałam w wyszukiwarkę: „Adalyn Bonhomme”. Wskoczyły zdjęcia z niemowlęcych urodzin na Pinterescie oraz lista kont na Twitterze, które zdecydowanie nie należały do interesującej mnie osoby. Spróbowałam zawęzić poszukiwania: „Adalyn Bonhomme France” i „Adalyn Bonhomme Paris”, ale wyniki były podobnie niezadowalające. Zmieniłam na „Adalyn Bonhomme naziści”, tak

na wszelki wypadek, i tym razem otrzymałam esej o filmach z nazistowskimi zombiakami napisany przez profesora o nazwisku Bonhomme.

Wow, całkiem sporo nakręcono takich filmów; co za dziwactwo.

Przeszłam więc na Facebooka. Serce mi uderzyło radośniej, kiedy znalazłam konto z jej imieniem i nazwiskiem, lecz zaraz przeżyłam rozczarowanie, bo ta Adalyn Bonhomme okazała się trzynastolatką z Cardiff w Walii. Zajrzałam też na Instagrama, równie bezskutecznie. Bądź co bądź, ile dziewięćdziesięcioletnich pań aktywnie korzysta z mediów społecznościowych? Szczytem osiągnięć technicznych babci było to, że nauczyła się wstawiać spacje między słowami w wysyłanych wiadomościach.

Przejrzałam internetowe książki telefoniczne. Nekrologi. Spróbowałam wszystkiego, co mi przyszło do głowy – na próżno. Starsi ludzie po prostu nie zostawiają tylu cyfrowych śladów co my. Moje przyjaciółki i ja potrafimy dostrzec w tle fotki na Instagramie przypadkową osobę i w ciągu kilku minut dociec, jak się nazywa, ile ma lat, do jakiej szkoły chodzi i czy się z kimś spotyka.

Nie było szans, żebym znalazła Adalyn w internecie. Jeśli ją chciałam odszukać, powinnam pójść za czymś, co mnie na nią naprowadzi. Tylko gdzie miałam w ogóle zacząć? Pożałowałam, że nie wiem więcej o tamtej epoce. Mając jako takie rozeznanie, mogłabym się postawić na miejscu Adalyn i wyobrazić sobie, dokąd trafiła pod koniec wojny. Wpisałam w Google: „Paryż podczas II wojny światowej” i znalazłam stronę w Wikipedii liczącą dziesięć tysięcy słów. Nie był to genialny plan, ale pocieszałam się myślą, że pomoże mi zrozumieć realia, do których Adalyn odnosi się w swoim dzienniku. Tak czy inaczej, powinnam się pośpiesznie dokształcić w temacie nazistowskiej okupacji Francji. Zaczęłam czytać o niemieckiej napaści na Francję wiosną 1940 roku – właśnie od tego momentu rozpoczynały się spisane przeżycia Adalyn.

Po godzinnej lekturze przyłapałam się na tym, że trudno mi się skupić. Uświadomiłam sobie, że raz po raz czytam to samo zdanie o rządzie Francji, który wycofał się do uzdrowiskowego miasta Vichy. Musiałam skierować myśli na coś innego, zerknęłam więc na faceta ze szkicownikiem. Dotąd przez cały czas rysował. Teraz – nie wiem, czy to

dlatego że podchwycił moje spojrzenie – po raz pierwszy, odkąd przyszłam, odłożył długopis i rozparł się na krześle, żeby podziwiać własną pracę.

Wow.

Był to najbardziej urzekający rysunek, jaki w życiu widziałam. Nie wiedziałam, na co najpierw skierować wzrok: milion maleńkich, pasujących do siebie abstrakcyjnych kształtów tworzyło razem wyszukane wzory, niczym niewiarygodnie skomplikowane puzzle. I wszystko to zrobił jednym długopisem, nawet cieniowanie. Nie mogłam przestać się gapić, a on oczywiście przyłapał mnie na tym. Uśmiechnął się i odpowiedziałam uśmiechem. Coś mi zatrzepotało w piersi. Potem spuścił oczy i spod kołnierzyka białej koszulki zaczął mu pełznąć w górę rumieniec.

A po chwili nie mogłam uwierzyć w to, co się wydarzyło. Podobna do wróżki dziewczyna wyfrunęła zza lady i postawiła przed nim nie naparstek z błotem, lecz zwyczajny kubek z apetycznie parującą kawą.

Musiałam go zapytać. Miałam tylko nadzieję, że nie uzna mnie za dziwaczkę.

– *Excusez-moi... parlez-vous anglais?*

– Tak, mówię po angielsku – odparł z francuskim akcentem.

– Jak się nazywa ten rodzaj kawy?

– *Un café américain.*

„Kawa amerykańska”. Teraz zdecydowanie wyglądałam jak głupia turystka, ale przynajmniej w końcu tajemnica się wyjaśniła.

– Bardzo dziękuję – powiedziałam do niego. – Od tygodnia próbuję ją zamówić, ale ciągle mi nie wychodzi.

– Nie ma za co – odparł ze śmiechem. Potem wskazał na filiżaneczkę stojącą koło mojego komputera. – Zdaje się, że *café noir* nie bardzo ci smakuje. Nie martw się, dla mnie też jest za mocna, choć jestem Francuzem.

Uśmiechnęliśmy się do siebie i wróciliśmy do swoich zajęć. Wreszcie deszcz przestał padać i mój sąsiad zebrał swoje rzeczy, przygotowując się do wyjścia. Pomachał do mnie lekko, zanim wstał od stołu.

Dopiero kiedy szłam do domu na kolację, a mój mózg tonął w szczegółach zawieszenia broni podpisanego przez Niemcy i Francję, zatrzymałam się, żeby pomyśleć o rozmowie z facetem od szkicownika. Miał niewiarygodny akcent. Camila wyskoczy ze skóry, gdy jej o tym

opowiem. I ten moment na końcu, do którego bez przerwy wracam – gdy mu podziękowałam, a on powiedział... co dokładnie powiedział?

Że chyba mi nie smakuje ta kawa.

Czy to znaczy, że on też na mnie zerkał? Im więcej razy odtwarzałam sobie w głowie tę scenę, tym mocniej coś trzepotało mi w sercu.

Następny dzień przyniósł piękne błękitne niebo i choć wiedziałam, jakie to niedorzeczne, poczułam się nieco rozczarowana. Chciałam wrócić do tamtej piekarni w nadziei, że znów natknę się na faceta ze szkicownikiem, ale teraz uznałam, że mam zerowe szanse na spotkanie go w tym samym miejscu, skoro wszyscy paryżanie są na zewnątrz i cieszą się słońcem.

Jedyny powód, dla którego zdecydowałam się na powrót, był taki, że wczoraj słyszałam, jak zwrócił się do dziewczyny za ladą po imieniu, a ona nie miała na fartuszkę identyfikatora. Sprawdziłam to, gdy wychodziłam. Skoro jest tak blisko z obsługą, musi być stałym klientem, prawda?

Ale kiedy przybyłam do piekarni wczesnym popołudniem, nie było go.

Oczywiście.

Przy wspólnym stole siedziała tylko udręczona para z dwójką małych wiercipiętów o policzkach wysmarowanych czekoladą. Jeden z maluchów wydał piekielny wrzask. Poczułam wielki zawód. I zrobiło mi się głupio – naprawdę myślałam, że go odnajdę tak łatwo? Miałam ochotę wyjść, ale kobieta za kontuarem już czekała na moje zamówienie, ponadto nie chciałam dodatkowo obrazić już i tak mocno zestresowanej rodziny, poprosiłam więc o *café américain* i ponuro opuściłam plecak na stół.

Po półgodzinie byłam już gotowa spakować się z powrotem i znaleźć sobie inne miejsce. Próbowałam się skupić na systemie reglamentacji żywności, który Niemcy narzucili Francuzom, ale nieustannie rozpraszały mnie odgłosy dziecięcych zabawek klekoczących na podłodze. Tak, zdecydowanie była pora, by się wynieść. Wysączyłam ostatnie łyki przepysznej kawy americano – jedynego miłego akcentu w dzisiejszej wizycie – kiedy zabręczał dzwonek u drzwi.

O mało nie upuściłam kubka.

Wszedł facet ze szkicownikiem.

I w tym momencie berbec numer jeden znowu piekielnie wrzasnął. Berbec numer dwa trzasnął o stół plastikowym pojemnikiem, a ten fuknął cheeriosami niczym gejzer wrzątkiem. Facet od szkicownika poprawił pasek swojej męskiej listonoszki i cofnął się w stronę wyjścia.

– Czekaaj ! – zawołałam.

O Boże, wyszło głośniejsze, niż zamierzałam, w dodatku nie po francusku. Ale pewnie przyciągnęłam jego uwagę, bo się zatrzymał i zdjął rękę z klamki.

– *Un moment* – powiedziałam, zmiatając swój plecak na bok tak szybko, że o mało nie poleciał na podłogę. Normalnie nie robiłabym z siebie takiego przedstawienia, ale chyba zaczęłam wchodzić w tę rolę. Zrobiłam na stole na tyle miejsca wolnego od cheeriosów, by mógł otworzyć swój szkicownik i stworzyć kolejne oszałamiające arcydzieło.

Skrzyżowaliśmy spojrzenia spoza identycznych okularów i na jego twarzy pojawił się znajomy uśmiech. Facet od szkicownika pamiętał mnie z wczorajszego dnia. Podszedł do mojego rogu stołu – teraz to był nasz róg – i powiesił torbę na oparciu krzesła.

– Dziękuję – rzekł.

– *De rien* – odparłam.

– Dostałaś tym razem właściwą kawę.

– Tylko dzięki tobie.

Podszedł do lady i przyniósł sobie własną *café américain*. Udawałam, że wracam do lektury, lecz zamiast czytać, zerkałam znad krawędzi laptopa, kiedy otwierał swój zeszyt na pustej stronie i zdejmował zatyczkę z długopisu. Wybrał punkt blisko środka kartki i zaczął rysować małe spirale, potem skupisko idealnych kulek, a następnie kratkowany wzór. To było hipnotyzujące. Czasem jego ręka zatrzymywała się na moment, a ja nie byłam pewna, jednak zdawało mi się, że rzuca ukradkowe spojrzenia na notatki, które robiłam ręcznie podczas czytania.

Jedyne, co wiedziałam na pewno, to to, że odkąd się pojawił, wrzaski maluchów stały się o wiele bardziej znośne, ponieważ za każdym nieludzkim krzykiem patrzył na mnie i krzywił się dramatycznie, a ja musiałam tłumić śmiech. Ciągnęliśmy tę ukradkową zabawę – nasz niewinny prywatny żarcik – aż rodzina w końcu zebrała swoje rzeczy i opuściła piekarnię niczym wędrowny cyrk.

– Teraz będzie się można skupić – zauważył.

– Tak, wreszcie – potwierdziłam.

Ale minęło kilka sekund, a żadne z nas nie wróciło do swojej pracy. Patrzyliśmy tylko na siebie nawzajem. Wiem doskonale, że takie wpatrywanie się w kogoś obcego powinno być co najmniej niezręczne,

jednak wcale takie nie było – ani trochę. Pod jego spojrzeniem czułam się swobodnie. Jak gdyby mówiło: „Czuj się jak u siebie w domu”.

– Jestem Alice.

– Paul – przedstawił się.

Gdy uścisnęliśmy sobie dłonie, w mojej ręce zatańczyło radosne mrowienie.

– Twoje dzieło jest niesamowite.

Wyglądał na szczerze zdziwionego.

– To? – Przyjrzał się swojemu dzisiejszemu rysunkowi, jakby go dopiero teraz zobaczył. – To tylko taka sobie bazgranina. Nawet nie myślałem o tym, co robię.

– W takim razie to b a r d z o d o b r a bazgranina.

– Dziękuję – odparł i po jego szyi znów zaczął się wspinać rumieniec.

Kątem oka dostrzegłam, że za kontuarem drobna dziewczyna otrzepuje sobie ręce z mąki. I nagle, niespodziewanie, doskoczyła do naszego stolika i przywitała Paula całusem w policzek.

Równie dobrze mogłaby wylać mi na głowę wiadro lodowatej wody.

We dwoje zaczęli paplać po francusku o wiele za szybko, żebym nadążyła za sensem. Dziewczyna mówiła coś, z czego Paul się śmiał, i nie umknęło mi przy tym, że jest niesamowicie ładna. No i wyjaśniło się, dlaczego Paul zagląda do tej piekarni dzień po dniu. Tym razem naprawdę wróciłam do lektury, całkiem zdołowana.

– Podać ci coś do jedzenia?

Cisza.

Podniosłam wzrok, by sprawdzić, co się dzieje, i odkryłam, że dziewczyna kieruje to pytanie do mnie. Paul też patrzył na mnie wyczekująco.

– Powinnaś coś zamówić – rzekł. – Vivienne, moja siostra, ma najlepsze wypieki w całym Paryżu.

To jego siostra! Mimo że nawet nie zawarłam dobrze znajomości z Paulem, nie zamierzałam ukrywać, że poczułam ulgę. Teraz, gdy siedzieli obok siebie, dostrzegłam wyraźne podobieństwo: takie same kasztanowate włosy i zielone oczy. Mieli nawet taką samą garść piegów na nosie.

Zerknęłam w stronę kontuaru. Croissant, którego jadłam wczoraj, był pyszny, ale co najmniej równie apetycznie wyglądało kilkanaście innych wystawionych smakowitości.

- Nie umiem się zdecydować – wyznałam.
- A nad czym się zastanawiasz? – spytał Paul.
- Nad *pain au chocolat* i *tarte tatin*.

Wyłowił z kieszeni drobne i podał je siostrze.

- *Les deux, s'il vous plaît. Merci, Vivi.*

Vivienne mrugnęła porozumiewawczo i pomknęła za ladę. Zanim się połapałam, co się właściwie wydarzyło, wróciła z obydwoma ciastami: *pain au chocolat* i *tarte tatin*. Poczulałam, że się rumienię.

- *Merci beaucoup.* Nie musiałeś tego robić.
- Cóż, nie chciałem, żebyś coś straciła.
- Myślę, że możesz mi pomóc w zjedzeniu dwóch porcji.

Nigdy dotąd nie wdałam się tak po prostu w rozmowę z przypadkową osobą w miejscu publicznym – a już na pewno nie z tak atrakcyjnym chłopakiem – ale okazało się, że świetnie się nam gawędzi, i to mimo językowej bariery. Angielski Paula był na tyle dobry, że musiałam jedynie od czasu do czasu odgrzebywać w pamięci jakieś słówko, którego uczyłam się na francuskim. Pochodził z Lyonu, ale przyjechał do Paryża w zeszłym roku na studia. Właśnie skończył pierwszy rok na uniwersytecie – nie w college'u, jak się mylnie wyraziłam, ponieważ u nich to słowo oznacza szkołę średnią[**].

– Jesteś na wydziale sztuk pięknych? – spytałam, wskazując głową jego szkicownik.

– Nie – odparł. – Studiuję projektowanie graficzne. – Uśmiechnął się tęsknie i w zadumie popatrzył w okno. – Przyjęli mnie na sztuki piękne, ale rodzice stwierdzili, że po studiach muszę mieć praktyczny zawód.

- Czym się zajmują twoi rodzice?
- Oboje są kardiochirurgami.
- O kurczę.

Roześmiał się.

- Wiem. Czasami myślę, że Vivi i ja zostaliśmy podmienieni w szpitalu.

Zmienił temat, wypytując o moje życie w New Jersey. Oczywiście, chciał się dowiedzieć, dlaczego spędzam lato w Paryżu, powiedziałam mu więc o idealnie zachowanym mieszkaniu babci i o tym, że nie mam pojęcia, czemu przypadło mi w spadku. Dodałam, że próbuję dowiedzieć się jak najwięcej z dziennika Adalyn, ale pominęłam temat zdjęcia, które znalazłam w toalecie jej matki. Uznałam ten szczegół za zbyt wstydlivy.

– Ja na twoim miejscu bardzo bym chciał ustalić, co się przydarzyło mojej rodzinie – stwierdził Paul, dzieląc widelczykiem ostatni kawałek *tarte tatin* na połówki. Każde z nas wzięło sobie jedną.

– Dlatego szukam, czego się da, w internecie – odpowiedziałam z ustami pełnymi pieczonego jabłka.

– Znalazłaś coś przydatnego?

– Na razie mam dobry początek – odparłam. – Wiem, że tuż po ataku Niemiec na Francję rodzina mojej babci uciekła z miasta, tak jak setki tysięcy innych paryżan. Zatrzymała się w miasteczku Jonzac, czekając na decyzje rządu. Dowiedziałam się, że stary bohater wojenny Pétain został nagle premierem i podpisał pokój z Niemcami, dzieląc kraj na strefę okupowaną i niby wolną, z siedzibą władz w Vichy. Ale ostatecznie Pétain robił wszystko, co mu kazali naziści. Po podpisaniu rozejmu moja babcia z rodziną wróciła do Paryża. Do tego miejsca dotarłam.

– Zastanawiam się... czy to możliwe, żeby rodzina twojej babci wpadła w kłopoty, naraziła się nazistom? Wielu ludzi zostało wtedy aresztowanych i deportowanych, mogli po prostu zniknąć.

Wpatrywałam się w plamkę na stole, a przed oczami stanęło mi tamto zdjęcie Adalyn.

– Nie wiem. Może.

Paul odchrząknął, a kiedy odezwał się znowu, w jego głosie brzmiało wahanie.

– Wiesz... teraz w lecie pracuję w małej księgarni, tu niedaleko – rzekł.

– Mamy bardzo dobrze zaopatrzony dział historyczny, jest wiele książek dotyczących tego okresu historii Francji... Może byś chciała zajrzeć i rzucić na nie okiem?

O mój Boże. Paul chyba właśnie zaproponował mi ponowne spotkanie.

Moja obawa o to, że się dowie o Adalyn, poszła na bok, zastąpiona nerwowym podekscytowaniem. Zaczęły mi się pocić dłonie. Myślałam, że zaraz dostanę zawału. Rozegraj to spokojnie, Alice. Tylko że nie miałam pojęcia, jak to rozegrać spokojnie! Wypaliłam więc pierwsze, co mi przyszło do głowy.

– A nie będą wszystkie po francusku?

Skąd mi się to wzięło? O Boże, czemu to powiedziałam? Paulowi mina zrzedła. Wyraźnie się speszył. Zaczął zbierać puste talerze i widelczyki.

– Przepraszam – wymamrotał. – Ledwie mnie znasz...

– Nie! – Musiałam to odkręcić, i to jak najszybciej. Strasznie mi zależało na tym, żeby go znów zobaczyć. – Pytam dlatego, że pewnie będę potrzebowała twojej pomocy w tłumaczeniu.

Popatrzył na mnie. Chwila wahania, po czym rozjaśnił się w uśmiechu.

– Oczywiście, że mogę ci pomóc. Mamy też parę książek po angielsku.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi.

– Nie mogę się doczekać.

[*] *Croque monsieur* (fr.) – chrupiąca francuska kanapka na ciepło.

[**] *College* w amerykańskim angielskim to szkoła wyższa.

Rozdział 6

Adalyn

Luca powiedział mi kiedyś, że sztuka nie polega na tym, żeby próbować się przed nimi ukryć – chodzi o to, by nie próbować. Przez pierwszy rok trudno było podążać za jego radą i nawet teraz nie jest łatwo. Idziesz ulicą ze stosem nielegalnych ulotek wydrukowanych na powielaczu ukrytym u przyjaciela na strychu i gdy tylko pojawią się szkopy, masz ochotę zanurkować w cień. Chęć ukrycia się podsuwa nam instynkt. Od początku okupacji naziści złapali i wysiali na śmierć wielu członków ruchu oporu. Niemcy drukowali ich podobizny na plakatach i rozwieszali po całym mieście w ramach groźby. Jeden z nich, komunista Guy Môquet, podobno miał zaledwie siedemnaście lat, gdy zginął.

Słowa Luca rozbrzmiewały mi w głowie, podczas gdy mozolnie wjeżdżałam rowerem na wzgórze i w zasięgu mojego wzroku pojawił się posterunek. Serce we mnie zamarło. Pośrodku drogi stało dwóch żołnierzy – sprawdzali przechodniom dokumenty i przeszukiwali im torby, zanim ich przepuścili. Nie mogłam teraz zawrócić. Na pewno już mnie zauważyli i jeśli zrozumieją, że próbuję im się wymknąć, tym bardziej będą mieli powód do podejrzeń.

Dłonie o mało nie ześliznęły mi się z kierownicy, gdy koła się zatrzymały, grzęznąc w żwirze. Spokojnie. Zerknęłam na umocowany przed kierownicą koszyk, w którym pod kraciatym kocykiem i kilkoma książkami spoczywały dwie rzeczy: szpulka nici i koperta wypchana ulotkami, wydrukowanymi u Marcela w poniedziałek. Nie będą wiedzieli, do czego służy szpulka, ale jeśli znajdą bibułę, nie wytłumaczę się w żaden sposób. Na każdej kartce widniał krzyż de Gaulle'a albo duże V,

oznaczające zwycięstwo, dwa symbole, którymi zazwyczaj zamalowywano niemieckie plakaty w Paryżu.

Musiałam myśleć szybko.

Nie mogłam wyglądać na wystraszoną.

Ale się bałam.

Luc dał mi jeszcze jedną radę: mam zawsze odgrywać rolę panienki, którą jestem w modowych magazynach. Ślicznej młodej osóbkę uczęszczającej na spotkania towarzyskie, zamożnej i niekłopotującej się jakąś głupią okupacją.

– Takiej dziewczyny nikt nie będzie podejrzewał – tłumaczył.

Pierwszy żołnierz przywołał mnie skinieniem ręki. Był młody, miał gładką skórę, a jego rzadka blond broda nie łączyła się ze skąpym wąsem. Drugi – przystojniejszy z nich dwóch – zapewne nie był wiele straszny. Podając pierwszemu swój dokument tożsamości, nie mogłam nie zauważyć, jak drugi łypie na mnie głodnym okiem, od dzielonej spódnicy cyklistki przez czerwone usta po włosy zwinięte w koczek na karku. W końcu zaświtała mi pewna myśl.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał pierwszy żołnierz.

Zdobyłam się na uśmiech i dołożyłam starań, by wypadł zalotnie.

– Szukam miłego miejsca na trawie, żeby poczytać książkę. – Przesunęłam palcami po odsłoniętym obojczyku. – A co? Chciałbyś się wybrać ze mną?

Drugi żołnierz zaśmiał się. Przysunął się do mojego roweru z piersią wypiętą jak u koguta i zerknął do koszyka. Przyjrzawszy się moim książkom, cmoknął z uznaniem. Żadnej zakazanej lektury.

– Goethe i Miegel – rzekł, unosząc brwi. – Dwóch świetnych niemieckich pisarzy.

– Muszę mieć dobry gust – odparłam.

Uśmiechnął się na to z wyższością. Najwyraźniej podobała mu się ta fałszywie skromna gierka, w którą się wdaliśmy. Przewiesił sobie karabin przez ramię, zaczepił kciuki o skórzany pas i wypchnął biodra.

Pierwszy, teraz już spłoniony, odchrząknął.

– To duży koszyk, *mademoiselle* – zauważył. – Co jeszcze w nim wiesz?

Serce mi zadudniło. Ale widziałam, że ten drugi nie może oderwać ode mnie oczu. Zdobyłam się na lekki, żartobliwy ton i odparłam:

– O, straszne rzeczy. Mnóstwo bardzo nielegalnej propagandy.

Cisza. No i stało się. Moja podobizna wkrótce pojawi się na nazistowskim plakacie przedstawiającym skazańców. Lecz nagle jakimś cudem obaj Niemcy wybuchnęli gromkim śmiechem. Pierwszy oddał mi dowód tożsamości, a drugi poklepał mnie po plecach na wysokości krzyża.

– Rozpowiem wszystkim w Wehrmachcie, żeby na ciebie uważali – zapowiedział.

– Powinieneś powiadomić samego Führera! – zawołał drugi.

Poczułam taką ulgę, że dołączyłam do ich wesołości.

– Miłego dnia, panowie – pożegnałam się z nimi, kiedy robili mi miejsce, żebym przejechała. Oddalałam się od nich w oszołomieniu, zdumiona własną pomysłowością i łutem szczęścia, który mnie uratował. Nie mogłam się już doczekać następnej poniedziałkowej „lekcji fortepianu”, kiedy opowiem chłopakom, co mi się przydarzyło. Arnaud pewnie odstawi scenkę, robiąc z tego kabaret, a Marcel i Pierre-Henri będą mu w tym pomagali. Luc, zawsze taki poważny, zapewne każe im przestać, bo przecież mogłam zginąć.

Luc. Już od półtora roku z powodzeniem wymykałam się na „lekcje fortepianu” i każde z naszych spotkań wciąż lśniło w mojej głowie jak sen, który pamięta się rano. Nieustanna intensywność jego poczynań – determinacja, żebyśmy robili, ile tylko możemy – podtrzymywała ogień w mojej piersi, mimo że Niemcy polowali na członków ruchu oporu. No i poszerzył zakres naszej działalności, tak że teraz nie tylko rozprawialiśmy ulotki.

Przenosiliśmy również tajne wiadomości.

Około sześciu miesięcy temu na przyjęciu urodzinowym u jego kuzyna zaufana ciotka wzięła Luca na bok, by z nim porozmawiać w cztery oczy. Znała jego nastawienie do okupanta i powiedziała, że jeśli jest zainteresowany, może go przedstawić człowiekowi prowadzącemu siatkę wywiadowczą w Paryżu i okolicy. Mówiąc przyciszonym głosem, tak by jej nie słyszeli pozostali goście, wyjaśniła, że celem tej siatki jest przenoszenie informacji pomiędzy poszczególnymi grupami oporu we Francji, a także do Londynu, gdzie Charles de Gaulle dowodził siłami Wolnej Francji. Ciotka Luca nie zaangażowała się w to sama – zbyt duże ryzyko dla matki czworga dzieci z mężem zatrzymanym w niemieckiej niewoli – ale mężczyzna

prowadzący sieć był jej osobistym przyjacielem. Działał pod pseudonimem Geronte.

Od tamtej pory mieliśmy znacznie więcej do roboty. Luc dostawał od Geronte'a wiadomości do przekazania, za każdym razem coraz sprytniej ukryte.

– Trzeba dostarczyć ten ołówek – powiedział do mnie Luc na jednym z ostatnich spotkań. – Facet w brązowym berecie będzie siedział na ławce nad rzeką, tuż na wschód od Pont Neuf, pod topolami.

Wlepiłam wzrok w ołówek, zupełnie zbita z tropu takim poleceniem. Pozostali patrzyli na nas co najmniej tak samo zdziwieni.

– Patrzcie – wyjaśnił Luc.

Gdy nasze dłonie się zetknęły, odkręcił metalową końcówkę, w której tkwiła gumka, i ołówek okazał się wydrążonym cylindrem z ciasno zwiniętą rolką papieru wewnątrz. Arnaudowi szczeka opadła prawie do podłogi.

Widziałam jednak, że nasza działalność w ruchu oporu odciska swoje piętno na Lucu, choć on pewnie by tego nie przyznał. W ostatnią środę, kiedy wpadłam do sklepu obuwniczego po kolejną przesyłkę, zauważyłam na jego czole zmarszczki, których tam wcześniej nie było – świadczyły o zmartwieniu, a światło wiszącej u sufitu jedynej żarówki nadawało im ostry zarys. Wszyscy byliśmy bardziej zajęci niż kiedykolwiek dotąd, a w tym momencie wyraźnie się to uwidoczniło.

– Wyglądasz na wyczerpanego – zauważyłam.

– Nic mi nie jest – odpowiedział ze słabym uśmiechem. – Po prostu nie sypiam zbyt wiele.

– Dlaczego?

– Nie mogę przestać myśleć. W kółko roztrząsam to, co mamy dostarczyć następnego dnia, i obsesyjnie sprawdzam w myślach każdy szczegół. – Westchnął. A potem dodał: – To jedno, a drugie jest to, że wciąż przymieram głodem.

– Mamy z siostrą taką grę, w której fantazjujemy o tym, co zjemy, gdy wojna się skończy.

Spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– Jak to działa? Po prostu wymieniacie potrawy, których brakuje wam najbardziej?

– Robi się z tego plan – wyjaśniłam. – Na przykład: „Zjem ciepłą bagietkę z masłem i wielkim krążkiem sera brie” albo „Wypiję prawdziwą kawę, nie ten gorący płyn smakujący jak błoto”.

Luc znów się uśmiechnął, tym razem szerzej.

– Bardzo mi się podoba – przyznał. Potarł sobie podbródek. – Niech pomyślę... Wypróbuję przepis babci na kaczkę *à l'orange*. Możesz się poczęstować, jeśli zechcesz.

– Miło z twojej strony.

Coś drgnęło mi w piersi, może dlatego że wreszcie pozwolił sobie na chwilę swobody, a może ponieważ byliśmy tam sami, co zdarzało się rzadko. Odepchnęłam jednak te uczucia na bok i przeszłam do rzeczy.

– Jakie masz dziś dla mnie zadanie? – spytałam.

Tym razem wyjął z kieszeni drewnianą szpulkę. Już ją kiedyś przekazywaliśmy. Karteczka z wiadomością była nawinięta na rdzeń, a następnie ukryta pod grubą warstwą nici. Można ją było odkryć dopiero po odwinięciu wszystkiego. Poza tym wiadomości zawsze były zaszyfrowane, tak że na pewno bym tego nie zrozumiała. Im mniej ludzi znało istotne informacje, tym mniejsze było prawdopodobieństwo, że tajne sprawy wyciekną, jeśli ktoś zostanie złapany i torturowany przez gestapo.

– Wiem, że dla ciebie najlepsze są poniedziałki i środy – powiedział Luc – ale należy to dostarczyć do Créteil w sobotę. Przejazd na rowerze w jedną stronę powinien ci zająć godzinę, a samo przekazanie będzie krótkie. Myślisz, że dasz radę?

– Znajdę sposób – odparłam. Będę musiała wymyślić jakieś kłamstewko związane z sobotnimi zakupami i modlić się, żeby Chloe nie zapragnęła wybrać się ze mną. (To ostatnie było mało prawdopodobne, zważywszy na fakt, jak nie cierpiała wystawiania w kolejkach).

Położył mi szpulkę na dłoni, po czym zagałę wokół niej moje palce. Przez chwilę trzymał moją rękę w swojej, jakby nie chciał się z nią rozstawać – albo może po prostu pragnął, żebym bezpiecznie ukryła szpulkę. Żadne z nas nie zwróciło szczególnej uwagi na kontakt fizyczny, a kilka sekund później Luc odsunął się ode mnie, z powrotem wsunął rękę do kieszeni i wyjął coś nieoczekiwanego: połowę biletu kolejowego.

– Weź również to – rzekł szybko. – Geronte mówi, że osoba odbierająca przesyłkę będzie miała drugą połowę. Przyłóż jedną do drugiej, a jeśli będą pasować, doręcz jej wiadomość.

– Prosta sprawa.

Otworzyłam szkolną torbę i włożyłam szpulkę do środka, a zaraz po niej połówkę biletu i kolejną kopertę z ulotkami. Spotkanie dobiegło końca, ledwie się zaczęło – już po krótkiej chwili Luc odprowadzał mnie do drzwi. Nie chciałam go tak zostawiać, z pogłębiającymi się na czole zmarszczkami zmartwienia. Wyglądał jak nastolatek dźwigający na barkach ciężar całego świata.

– Nic mi nie jest, Adalyn – zapewnił, jak gdyby czytał w moich myślach.

– Chcę, żebyś się martwiła o siebie. To ty w sobotę wybierzesz się na dwugodzinną rowerową przejażdżkę.

– Dam sobie radę – stwierdziłam.

– Wiem.



Wciąż nie mogłam uwierzyć, że przedostałam się przez posterunek kontrolny. Jakże ci Niemcy mnie nie docenili! Pędziłam pełną parą, wdzięczna za ładną pogodę i świeże wiosenne powietrze owiewające mi twarz. Mieliśmy za sobą kolejną surową zimę, podczas której trudno było kupić choć trochę węgla do ogrzewania domu. W sklepach zabrakło zimowych okryć, ale na szczęście Chloe i ja mogłyśmy jeszcze nosić swoje zeszłoroczne płaszcze. Naprawdę los się do nas uśmiechał; widziałam mnóstwo kobiet wypychających sobie stare płaszcze papierem gazetowym. Arnaud mówił, że on i jego młodsi bracia śpią wszyscy w jednym łóżku. Wciąż przyzwyczajaliśmy się do nowych warunków. Rodzice Luca w swoim sklepie sprzedawali hałaśliwe drewniane saboty, ponieważ nie dało się kupić gumy na podeszwy.

Jechałam drogą, aż znak drogowy poinformował mnie, że dotarłam do Créteil. Przy głównej ulicy dostrzegłam kawiarnię z zieloną markizą – Luc skierował mnie właśnie tu. Moja łączniczka miała czekać przy stoliku przy drzwiach. Oparłam rower o słup latarni, wzięłam koszyk i weszłam do środka. Ujrzałam kilka stolików, które można było uznać za znajdujące się „przy drzwiach”. Przy każdym ktoś siedział, sącząc wodnistą lurę, która w tych czasach zastępowała kawę. Jednak tylko jedna z tych osób była kobietą w średnim wieku ubraną w bładoniebieski płaszcz i pasującą do

niego czapkę. W zamykanym lusterku sprawdzała sobie szminkę, jak zapowiedział Luc.

Podeszłam do stolika.

– Co za niespodzianka widzieć cię tutaj. – Kobieta uśmiechnęła się uprzejmie. – Usiądziesz na chwilę?

Jak na razie wszystko szło dobrze. Przysiadłam na krześle i postawiłam koszyk pod stołem, obok jej torby podróżnej.

– Dostałaś moją kartkę? – zapytała.

Sięgnęłam do kieszeni po kawałeczek papieru, który Luc dał mi w środę, a kobieta tymczasem wyjęła swoją karteczkę spod zamykanej puderniczki. Zsunęłyśmy dwie połówki biletu na blacie, korzystając z osłony jej filiżanki. Pasowały.

Łączniczka pochyliła się i położyła dłoń na mojej, jak robią bliskie przyjaciółki dzielące się sekretem.

– Podejź do kontuaru i zamów kawę z mlekiem – rzekła wyważonym tonem. – Właściciel jest jednym z nas. Pójdzie na zaplecze, a kiedy wróci, powie ci, że i jedno, i drugie się skończyło. Potem możesz przyjść tu z powrotem do stolika, wziąć koszyk i wyjść.

Zrobiłam dokładnie, jak mi poleciła. Bębniłam placami po blacie baru, czekając na kawę, która – jak wiedziałam – miała wcale się nie pojawić. Kątem oka dostrzegłam, że łączniczka dyskretnie sięga pod stół. Nie miałam pojęcia, jak właściwie wyjęła szpulkę, ale kiedy podniosłam koszyk i żegnałam się z nią, na wiklinowym dnie nic się już nie toczyło.

Kiedy godzinę później weszłam do domu, *papa* podniósł na mnie wzrok z fotela w bawialni. Trzymał egzemplarz „Les Nouveaux Temps”, francuskiej gazety preferowanej przez zwolenników Pétaina. Czasami, kiedy siedzieliśmy razem w bawialni, przyłapywałam go na tym, że gapi się tylko na stronę dziennika, nie poruszając oczyma – najwyraźniej jego myśli błądziły gdzieś indziej.

– Poszczyściło ci się? – zapytał.

Jego pytanie zbiło mnie z tropu, ale zaraz uświadomiłam sobie, że nie chodzi mu o dostarczenie wiadomości.

– Obawiam się, że nie – odpowiedziałam, przypominając sobie obmyśloną wcześniej historyjkę. – W piekarni zabrakło chleba, tuż zanim dotarłam do okienka. Przykro mi, nie będziemy mieć pieczywa na twoje urodziny.

Papa westchnął, a ja poczułam ostre ukłucie wyrzutów sumienia. Jakby mało było jego nadszarpniętych nerwów, jeszcze okłamywała go córka. Wiedziałam, że tak musi być, ale ani trochę nie umniejszało to mojej winy. Okłamanie dwóch niemieckich żołnierzy okazało się w pewien sposób łatwiejsze niż łganie przed własną rodziną.

– Nie szkodzi. Jestem wdzięczny, że chociaż próbowałaś – rzekł z nieobecny wyrazem twarzy.

Kiedy *papa* miewa ataki nerwowe, zwykle jakiś mechanizm samoobronny pozbawia go łączności z otoczeniem; przypuszczam, że im mniej jest świadomy tego, co się dzieje dookoła, tym słabiej jego umysł (i ciało) reaguje na bodźce.

– Poza tym zdaje się, że mama przygotowuje coś interesującego – dodał, ruchem głowy wskazując kuchnię, po czym znów wlepił wzrok w gazetę.

Zastałam *maman* przy kuchennym blacie – szykowała szarlotkę na dzisiejszy deser. Kroiła stertę parszywych jabłek, które miały posłużyć jako słodzik, mimo że do tej pory nie miała problemu z kupowaniem cukru na czarnym rynku od znanych sobie sprzedawców.

– Znalazłam przepis w jednej z kolumn Suzette – pochwaliła się, mówiąc o swojej ulubionej dziennikarce z „Les Nouveaux Temps”. – Spodziewam się, że w smaku okaże się okropne, ale pomyślałam, że zabawnie będzie spróbować.

Zastanawiałam się, czy nie sprostować, że większość paryżan stosuje zastępcze przepisy z konieczności, a nie dla z a b a w y, nie chciałam jednak ranić jej uczuć, skoro starała się zrobić coś miłego na urodziny taty. Mama potrafiła być cokolwiek ślepa na rzeczywistość, choć miała szczerą intencję. Kiedy mieszała ciasto, na jej nadgarstku zadyndały wisioriki przy nowej srebrnej bransoletce. Byłam przy tym, gdy powiedziała jubilerowi, że chce coś, co upamiętni nasze obecne zmagania z codziennością – coś, co pokaże jej solidarność z innymi kobietami stojącymi w kolejce po chleb. Wisioriki miały więc kształt maleńkich koszyków, po jednym na każdy rodzaj artykułów spożywczych, które Niemcy objęli reglamentacją.

– I tak powiem ci, że jest pyszne – obiecałam.

Maman pocałowała mnie w policzek.

– Wiem o tym, oczywiście. Za to twoja siostra niewątpliwie powie d o k ł a d n i e, co o tym naprawdę myśli.

W szkole uczyłam się, że każde działanie spotyka się z równym sobie, ale skierowanym przeciwnie drugim działaniem, i tak właśnie opisałam relację Chloe z mamą. Im bardziej *maman* próbowała jak najlepiej urządzić się w realiach okupacji, tym mocniej Chloe zaznaczała swoje desperackie próby oporu. Ostatnio przesiadywała w Café Pam z nową grupą przyjaciół – *zazous*, jak się sami nazwali. Widywałam ich coraz częściej: dziewczyny w krótkich spódnicach, z ustami pomalowanymi na jaskrawe kolory; chłopaków w długich, obszernych marynarkach i z długimi włosami zaczesanymi gładko w tył na roślinnym oleju. Moja siostra twierdziła, że w ten sposób oprotestowują zalecenia rządu Vichy co do tego, jak powinna wyglądać i zachowywać się młodzież. Cały pomysł, jak dumnie mi wyjaśniła, gdy pewnego wieczoru wracałyśmy razem do domu, „polega na tym, żeby pokazać temu staremu szkieletowi Pétainowi, że mamy gdzieś jego zasady”.

Roześmiałam się na określenie „stary szkielet”, bo doskonale pasowało do zasuszonego marszałka. Worek klekoczących kości bez mózgu czy serca.

– Tylko uważaj, żeby się nie wpakować w kłopoty – ostrzegłam siostrę.
– Kiedy się tak wygląda, łatwo ściągnąć na siebie uwagę *les haricots verts*.

(W ten sposób, „zielone fasolki szparagowe”, nazywaliśmy nazistów, bo w swoich zielonoszarych mundurach przypominali nam to warzywo).

– Będę uważać – odparła Chloe pogodnie. Po czym posłała mi jaskrawoczerwony uśmiech. – Przyznaj, że ci się podoba ta szminka.

– Owszem, podoba mi się ta szminka.

Zachichotała.

– Wiem. Pożyczyłam ją z twojego pokoju.

Kiedy skończyliśmy jeść kolację, *maman* podała na stół ciasto. *Papa* dostał kawałek jako pierwszy, jako że były jego urodziny. Gdy przełknął kęs, nic nie powiedział, tylko zmarszczył brwi i sięgnął po szklankę z wodą. Spróbowałam wypieku i natychmiast stało się dla mnie jasne, dlaczego *papa* się nie odezwał. Ciasto było suche i w smaku dziwnie przypominało mydło.

– Dobrze – powiedziałam do mamy.

Przyszła kolej na Chloe. Dziś jasne włosy miała zaczesane do góry, tak że tworzyły sztywną falę wysoką na co najmniej piętnaście centymetrów, a usta pomalowała krzykliwym różowym kolorem. Patrzyłam, jak żuje

paskudnie smakujące ciasto, i przygotowywałam się na bombę, która miała lada chwila wybuchnąć.

– Wypróbowałam dla zabawy jeden z reglamentowanych przepisów Suzette – ogłosiła *maman*. – Ciasto zupełnie bez cukru!

O, nie. Nie trzeba było długo czekać. Chloe przestała gryźć, odłożyła widelczyk i przełknęła kęs, co w jej wydaniu wyglądało na długi, bolesny proces. Spłukała to łykiem wody i naskoczyła na mamę.

– Żałosne – warknęła.

Papa osłupiał. *Maman* zbladła.

– Jak mogłaś...

Chloe weszła jej w słowo.

– Jak t y mogłaś odstawić cukier, kiedy w kredensie stoi cała nietknięta paczka? Czy wiesz, co niektórzy z moich przyjaciół i ich krewnych daliby za...

– Twoi przyjaciele też nie są biedakami – odgryzła się *maman*. – Tyle że wydają pieniądze na idiotyczne stroje. Nie ma różnicy między...

– Jest różnica. My protestujemy. Dla ciebie okupacja to okazja do zabawy.

Mamie przez ułamek sekundy drżała warga. *Maman* chciała tylko przecież, żeby *papa* miał miły wieczór. Chloe też potrafiła być cokolwiek ślepa na okoliczności; zapominała, że nasi rodzice starają się po prostu przetrwać tę wojnę na swój sposób. Ona i *maman* co najmniej raz w tygodniu przerabiały podobną kłótnię od nowa i zawsze kończyło się tak samo.

– Zabierz swoje nakrycie i idź do swego pokoju – rozkazała *maman*.

Moja siostra już miała się sprzeciwić, gdy na zewnątrz rozległ się dźwięk, na który każde z nas zastygło. Przed dom podjechał i zatrzymał się samochód.

Co Niemcy mogli robić na naszej ulicy tak późno wieczorem?

O mój Boże. Okłamałam dzisiaj żołnierzy na posterunku i przesznułowałam ukrytą wiadomość do Créteil.

A jeśli przyjechali po mnie?

Kłótnia z powodu niesłodkiej szarlotki poszła w niepamięć.

– Odette... – mruknął *papa* i *maman* zerwała się z krzesła, żeby się nim zająć.

Jego ręce zaczęły się trząść, pomogła mu więc wstać i pokierowała go do przedpokoju, a dalej zapewne do zacisznej, wychodzącej na podwórko sypialni. Pośpiesznie pogasiłam światła i razem z Chloe wyrzaliśmy ukradkiem przez szpary w zasłonach. Na ulicy stał wyglądający złowieszczo czarny automobil. Przednie drzwi się otwały i wysiadło dwóch mężczyzn w aż nadto dobrze rozpoznawalnych szarozielonych mundurach. Nie zwrócili się jednak w naszym kierunku. Wpadli przez frontowe drzwi do budynku stojącego naprzeciw. Nie chodziło im o mnie. Zalała mnie fala ulgi, lecz niemal natychmiast pojawił się strach o naszych sąsiadów.

Minuty upływały w ciszy. Zastanawiałam się, ilu ludzi wygląda przez okna tak jak my. Na ciemnej ulicy panowała upiorna cisza. I wtem...

– NIE MOŻECIE GO ZABRAĆ!

Drzwi kamienicy otworzyły się na oścież i na chodnik wysypały się cztery osoby. Dwóch zwalistych Niemców w wysokich czarnych butach. Starszy mężczyzna w piżamie, którego żołnierze brutalnie wlekli do samochodu. I żona starszego pana, wyciągająca do niego ręce i krzycząca ile sił w płucach. Wyższy z Niemców pchnął ją na ścianę, podczas gdy drugi wpychał staruszkę na tylne siedzenie auta. Kobieta nie przestawała krzyczeć:

– CO ON WAM ZROBIŁ? POWIEDZCIE MI, CO ON TAKIEGO ZROBIŁ?!

– Jest Żydem – warknął ten, który ją popchnął. – A teraz proszę wracać do domu, bo aresztujemy i panią.

Miałam ochotę pobiec na dół i zabić tych Niemców gołymi rękami. Chciałam, żeby umarli. Tu na miejscu. Chloe pewnie czuła to samo. Zgryzła sobie paznokcie do zera. Oddychała płytko. Nasze ciała drżały jedno obok drugiego. I nagle moja siostra pod wpływem impulsu błyskawicznie otworzyła okno, wystawiła przez nie głowę i wrzasnęła na całe gardło:

– ZOSTAWCIE GO, POTWORY!

Chloe. Nie. Nie wiem, dlaczego wtedy nie myślałam na zapas. Powinnam była w porę zabrać ją od okna, zanim zrobi coś nieostrożnego. Mój świat pociemniał na obrzeżach, widziałam jedynie swoją siostrę wystawioną na spojrzenia z ulicy. Ktoś ją zaraz zobaczy i rozpozna po tej wysokiej fryzurze. Serce waliło mi w piersi. Złapałam Chloe w pasie

i wciągnęłam do środka, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować, skąd dobiegł ten krzyk. Wylądowałyśmy obie na podłodze, a Chloe uderzyła się przy tym w czoło o drewnianą nogę stołu.

– Co jest z tobą, do cholery, Adalyn? – Wyplątała się z moich ramion i stanęła na nogach. Nad brwią ciekła jej cienka strużka krwi, ale otarła ją wierzchem dłoni. – Zachowujesz się jak *maman* – wysyczała. – Jakby ci idealnie pasowało, co się dzieje!

Gdyby tylko wiedziała. G d y b y.

– Nie pasuje mi to, co się dzieje – syknęłam w odpowiedzi. – Po prostu staram się dopilnować, żeby nas obu nie zabili.

Chloe odwróciła się na pięcie i obrażona pomaszzerowała do swojego pokoju. Samochód na zewnątrz odjechał. Byłam zbyt wstrząśnięta, by płakać, zbyt przerażona, by się poruszyć. Siedziałam na podłodze z kolanami podciągniętymi do piersi, aż podeszła do mnie ostrożnie *maman* z pytaniem, czy nic mi nie jest.



Chloe i ja nigdy nie potrafiłyśmy długo się na siebie boczyć. Następnego dnia ignorowała mnie w drodze do szkoły i z powrotem, ale w końcu zmieniła zdanie i przed kolacją zapukała do moich drzwi.

– Wejź! – zawołałam natychmiast, rozpoznawszy jej kroki. Odłożyłam książkę i usiadłam prosto na łóżku, gotowa na rozmowę.

Gdy tylko weszła do pokoju, wybuchnęła przeprosinami:

– Strasznie mi przykro, Adalyn. Czy możemy znowu ze sobą rozmawiać? Nie cierpię takiego stanu.

– Jasne, że możemy. Ja też tego nie cierpię.

Napięcie między nami znikło. Dzięki Bogu. Poklepałam miejsce na kołdrze i siostra usiadła obok mnie na łóżku. Skrzyżowała ostrożnie nogi i patrząc na swoje ręce, wyznała:

– Byłam taka wściekła, nie mogłam się powstrzymać. To miało sens, że mnie odciągnęłaś od okna.

– Po prostu niepokoiłam się o ciebie, to wszystko.

– Wiem. Zrobiłaś, co trzeba.

– Przykro mi, że przeze mnie uderzyłaś się w głowę.

– W porządku. Lepsze to, niż dać się złapać.

Dobrze było wrócić do normalności – tak dobrze, że przysunęłam się bliżej do siostry i oparłam głowę na jej ramieniu. Jej włosy przemieszały się przy tym z moimi, jasne i brązowe utworzyły jedną kaskadę.

– Chloe? – odezwałam się.

– Tak?

– Ja też byłam wtedy wściekła.

Od tygodni nie umiałam się pozbyć obawy przed aresztowaniem. Myślałam o tym całymi dniami w szkole, podczas gdy pozostałe dziewczyny z podekscytowaniem rozprawiły o zbliżającym się zakończeniu nauki. Zdarzały mi się nawet związane z tym koszmary, mój mózg rozsnuwał przerażające wizje, gdzie teraz może być sąsiad z naprzeciwka. W więzieniu? Czy w ogóle jeszcze żyje? Szczególnie nawiedzały mnie takie myśli, kiedy patrzyłam na Arnauda, bo skoro wywlekli z domu niewinnego mężczyznę, czy to samo nie mogło spotkać mojego przyjaciela?

Arnaud chyba też się tym martwił, choć próbował nie pokazywać swoich obaw. Naziści nie tylko aresztowali Żydów bez powodu, ale też wprowadzali jedno odrażające prawo po drugim. Jesienią, kiedy Luc, Pierre-Henri i Marcel zaczynają rok akademicki, żeby zdobyć licencjat, Arnaud do nich nie dołączy, ponieważ Żydom nie wolno teraz studiować na wyższych uczelniach.

– To absurdalne – zaprotestował Marcel w ciepłe czerwcowe popołudnie pewnego poniedziałku, kiedy dowiedział się o nowych zasadach.

– Wiem, ale takie jest teraz prawo – odparł Arnaud. – Tak samo jak to, że mój tata nie może już pracować w szpitalu. I że w metrze muszę jechać w ostatnim wagonie.

– To zło, nazwijmy to po imieniu – stwierdził ponuro Pierre-Henri.

Luc i ja skinęliśmy potakująco.

– Słuchajcie, są dobre strony – pocieszał nas Arnaud. – Będę miał więcej czasu, żeby pracować nad tym wszystkim, co tutaj robimy. W każdym razie lepiej, żebym stawiał opór nazistom, niż usiłował przebrnąć przez pierwszy rok szkoły medycznej. Wiercie mi, słyszałem różne historie.

Próbowaliśmy się śmiać z żarciku Arnauda, a nastrój rzeczywiście się nam poprawił, gdy Pierre-Henri pokazał nam nowy aparat fotograficzny, który dostał od dziadka jako prezent na zakończenie szkoły. Arnaud chciał

go obejrzyć i ostatecznie zrobił sobie zdjęcie z wystawionym językiem. Tym razem wszyscy się szczerze uśmiechali.

Jednak kiedy na końcu spotkania zebrałam się z Arnaudem, zrobił coś, co nigdy dotąd się nie zdarzyło: uściśnął mnie.

– Zobaczymy się w przyszłym tygodniu? – spytał.

I mimo że nie powinno go to martwić, bo przecież od jesieni 1940 roku widywaliśmy się niemal co poniedziałek, poczułam, że zapewne potrzebuje teraz dodatkowej otuchy.

– Jasne, że się zobaczymy – zapewniłam.

PUK-puk-puk-puk-puk-puk. Tydzień później jak zwykle podeszłam do tylnych drzwi sklepu i zapukałam w umówiony sposób. Drzwi się uchyliły i w szparze ukazała się twarz Arnauda z dziwnie zdezorientowaną miną. Nie, to było coś gorszego. Jak gdyby ktoś zdmuchnął jasne światełko, które zazwyczaj błyskało w oczach za okularami. W pierwszej chwili pomyślałam, że coś się przydarzyło Lucowi, Marcelowi lub Pierre-Henriemu, ale nie... wszyscy trzej byli w głębi pokoju.

– Arnaud, co... ?

I wtedy ją zobaczyłam. Przypiętą do koszuli tuż nad sercem. Sześcioramienną żółtą gwiazdę z napisem: *Juif* pośrodku. Ostrożnie dotknęłam materiału opuszkami palców, jakby to była rana.

– Dlaczego...?

– Kolejne nowe prawo – rzekł bezbarwnie, odsuwając się na bok, by mnie wpuścić.

Nasza czwórka patrzyła w milczeniu, gdy włókł się na swoje miejsce i siadał, kryjąc twarz w dłoniach. Wiedziałam, jak bardzo zawsze się starał nie tracić ducha, nie dodawać przykrości swoim rodzicom i dwóm młodszym braciom. Próbowałam sobie wyobrazić, jak się teraz czuje. Ja mogłam wedle potrzeby wskakiwać to w jedno przebranie, to w drugie; Arnaud nie miał takiej możliwości – nie mógł zdjąć niebezpiecznej żółtej łatki, która do niego przylgnęła.

Luc przysunął krzesła i wszyscy usiedliśmy w półkolu wokół przyjaciela. Pogłaskałam go po plecach, a Luc poklepał go po kolanie. Arnaud sięgnął sobie do kieszeni na piersi i odpiął żółtą gwiazdę. Trzymając ją na kolanach, wpatrywał się w nią z mieszaniną smutku i pogardy.

– Wiecie, myślałem, żeby jej nie nosić – wyznał cicho. – Ale zobaczyłem, że moi rodzice chodzą po ulicy z wysoko podniesionymi głowami, i stwierdziłem, że nie wolno mi tchórzyć. Będę nosił tę gwiazdę i będę dzielny. Co miałbym ukrywać? Jestem dumny z tego, że jestem Żydem.

– A my jesteśmy dumni z tego, że cię znamy – szepnęłam.

– Dzięki, Adalyn. – Westchnął, miętosząc w dłoniach żółty kawałek materiału. – Robi się naprawdę źle. To takie uczucie, jakby na ciebie... polowano.

Tym razem odezwał się Marcel. Choć był poczciwy i najlepiej z nas obsługiwał powielacz, nie należał do największych bystrzaków.

– Na pewno wszystko będzie dobrze – rzekł. – Przecież się urodziłeś we Francji, nie?

– Ja tak – odparł Arnaud. – Ale moi rodzice przyjechali tu z Polski. A poza tym nie ma znaczenia, kto jest Francuzem, a kto nie. Koniec końców wszyscy jesteśmy Żydami, a oni woleliby, żebyśmy nie istnieli. Nie pamiętacie wystawy?

Wszyscy się skrzywili. Zeszłej zimy każdy z nas widział groteskowe reklamy *Le Juif et la France*, odrażającej wystawy urządzonej w Palais Berlitz – ukazywała rzekomą żydowską żądzę panowania nad światem, a zorganizowali ją, rzecz jasna, Niemcy. Na przodzie budynku wywieszono wysoki na pięć kondygnacji plakat z paskudnym starcem o haczykowatym nosie i szponiastej dłoni zaciśniętej na kuli ziemskiej. Rysunek był rażąco nierealistyczny, a w zamierzeniu zapewne miał przerażać. Ponadto nowe prawa i nieustannie zdarzające się bezsensowne aresztowania bez wątpienia potwierdzały, że Arnaud ma rację. Ze względu na niego nadrabiałam miną, ale do serca zakradała się rozpacz.

– No, zabiję każdego cholernego nazistę, jaki się będzie kręcił przy twojej rodzinie – zapowiedział Pierre-Henri, ostatnio bardzo zafiksowany na perspektywie zabijania nazistów.

Arnaud zaśmiał się słabo, a dla mnie zabrzmiało to tak, jakby się ledwie powstrzymywał od płaczu. Czułam się tak bezradna i tak wystraszona, no i wściekła o to, że choćbym nie wiedzieć ile rozrzuciła ulotek, nie wiedzieć ile tajnych wiadomości przekazała, nie mogłam zrobić nic, co by pomogło Arnaudowi. To on mnie wprowadził w świat konspiracji. Gdyby to było możliwe, zamieniłabym się z nim miejscami.

A wtedy Luc – po którym najmniej bym się tego spodziewała – entuzjastycznie zaklaskał w dłonie.

– Dobra, dość tego na dziś – oznajmił. – Mamy piękny dzień, nie powinniśmy się kisić w zamknięciu. Kto ma ochotę na wycieczkę do parku? Ja na pewno tak.

Nigdy nie słyszałam u niego tak radosnego tonu, ale zdaje się, że wszyscy tego teraz potrzebowaliśmy. Ruszyliśmy w piątkę, nie wyłączając Arnauda, który przypinając sobie gwiazdę do koszuli, uronił łzę. Zaraz ją jednak wytarł wierzchem dłoni i wyszliśmy na słoneczne późne popołudnie.

– Mamy dobre światło – zauważył Pierre-Henri, idący z powieszonym na szyi aparatem fotograficznym.

Nie sądziłam, że ktoś mnie wypatrzy, ponieważ nikt z mojego normalnego życia nie mieszkał po tej stronie rzeki, ale i tak na wszelki wypadek szłam z opuszczoną głową. Przecięliśmy bulwar Saint-Michel i weszliśmy do ogrodu Luksemburskiego, gdzie rozsiedliśmy się na trawie pod kasztanem. Woda w fontannie iskrzyła się w promieniach słońca. Luc zniknął na kilka minut, a kiedy wrócił, niósł dla nas po lemoniadzie. Nastrój był wręcz surrealistyczny, jak we śnie.

– Właśnie sobie coś uświadomiłam – powiedziałam do Luca, biorąc od niego swój napój.

– Co takiego?

– Jeżeli nie liczyć pierwszych dziesięciu sekund, kiedy się poznaliśmy... znam cię od półtora roku, a zdaje się, że nigdy cię nie widziałam inaczej niż w pomieszczeniu.

Luc o mało się nie zakrztusił lemoniadą ze śmiechu, co tylko sprawiło, że oboje rozchichotaliśmy się jeszcze bardziej. Ta przerwa w naszym zwyczajnym działaniu przesunęła wojenną rzeczywistość na granicę absurdu.

– Myślałaś, że jestem wampirem?

– Zaczynałam się tego obawiać.

Usiadł obok mnie na trawie i próbował skrzyżować nogi. Widać było, że nie jest mu tak wygodnie.

– Nie składałam się zbyt dobrze – wyznał, po czym porzucił ten pomysł i zamiast siadać po turecku, oparł się na łokciu. Przyłapałam się na tym, że zwracam uwagę na napinające się pod koszulą mięśnie jego ramienia.

– Często tutaj przychodzisz? – zapytałam i zaraz pożałowałam, że nie zdobyłam się na bardziej oryginalne zagajenie.

– Przychodziłem, kiedy byłem młodszy, z rodzicami – odparł. – Czasami w weekendy zamykali sklep na przerwę obiadową i urządzaliśmy sobie tutaj piknik. – Spuścił wzrok i uśmiechnął się do siebie.

– O co chodzi?

– Właśnie sobie przypomniałem: ojciec mawiał, że powinienem przyprowadzić tu kiedyś dziewczynę. – Podniósł oczy i przyjrzał się mojej twarzy, która nagle zrobiła się dziwnie gorąca, i to nie od promieni słonecznych. – Nigdy do tego nie doszło... aż do dziś – ciągnął. – Tata miał rację. To miłe.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

Już nie żałowałam swojego nudnego pytania.

– Luc! – zawołał Marcel. – Opowiedz Arnaudowi, jak Jacques puścił papierowy samolot w Stéphane'a, kiedy czytał na łacinie. Arnaud mi nie wierzy, że przechwyciłem samolocik i posłałem go z powrotem prosto w głowę Jacques'a.

Luc, zanim odpowiedział kolegom, jeszcze przez sekundę patrzył mi w oczy. Potem zwrócił się do nich:

– Tak było, potwierdzam! Najlepsza akcja, jaką widziałem w szkole. Majstersztyk, że się tak wyrażę. Jacques wyglądał, jakby nie miał pojęcia, co go trafiło.

Marcel się rozpromienił.

– Pamiętam inną świetną akcję: kiedy pisałeś bzdury na sprawdzianie, bo wiedziałeś, że Jacques od ciebie spisuje.

– Klasyka! – podsumował Pierre-Henri.

Z niedowierzaniem wlepiłam wzrok w Luca.

– Specjalnie zaważyłeś sprawdzian, żeby mu dać nauczkę?

– Jasne, że nie – sprostował Luc. – Poprawiłem u siebie odpowiedzi, gdy tylko Jacques oddał swoje. Ale był wściekły!

Nie od razu się udało, ale po półgodzinie Arnaud śmiał się już razem z nami, odzyskując swojego dawnego ducha. Luc i Marcel na zmianę opowiadali o numerach, jakie wycinali w szkole, i jedna historia była bardziej zwariowana od drugiej.

Pierre-Henri najwyraźniej postanowił, że zostanie zawodowym fotografem, ponieważ krążył wokół nas, robiąc nam zdjęcia. Od czasu do

czasu podpowiadał, jakie mamy przybrać pozy.

– Luc, uśmiech. Szerszy – komenderował. – Arnaud, dźgnij go palcem w twarz, żeby się porządnie uśmiechnął. Tak... doskonale.

Pstryk.

Luc zrobił unik, bo Arnaud znowu zaatakował go palcem, i jakoś tak wyszło, że we dwóch zaczęli się tarzać w trawie jak bawiące się lwiątko. Arnaud, skłonny do teatralnej przesady, przy każdym dzikim natarciu wydawał bojowe okrzyki, tak że zanim w końcu zawarli rozejm, pokładałam się ze śmiechu i ledwie łapałam oddech.

Pierre-Henri wciąż pstrykał nam fotki. Tu i tam polatywały motyle; jeden z nich przysiadł na palcu Arnauda i twarz chłopaka rozjaśniła się w zachwycie. *Pstryk.* Luc nachylił się, by obejrzeć owada, a kiedy to zrobił, oparł rękę na mojej łydce. Przez trzy magiczne sekundy miałam wrażenie, jakby cały wszechświat istniał w tym jednym miejscu pod moim kolaniem. *Pstryk.* Jego ręka z powrotem przeniosła się na trawę, zaledwie kilka centymetrów od mojej. *Pstryk.* Znow coś się we mnie poruszyło. Luc był naprawdę przystojny, zwłaszcza kiedy złote słońce padało na krawędzie i płaszczyzny jego twarzy.

W tamtej chwili pragnęłam, żeby świat poza murami parku nie istniał. Ponieważ gdyby nie wojna – gdyby nie cała ta groza, którą znosiliśmy i która pewnie nas jeszcze czekała – byłoby to cudowne, idealne popołudnie.

Rozdział 7

Alice

Nastrój mamy wcale się nie poprawiał. Staralam się z całych sił jakoś ją pocieszyć, ale śmierć babci najwyraźniej mocno ją zdołowała. Byliśmy w Paryżu już od dwóch tygodni, a ona większość czasu spędzała w wynajętym mieszkanku, nic właściwie nie robiąc. Wciąż miała ten smutny, pusty wyraz twarzy, który nie ustąpił, nawet kiedy jej powiedziałam, że znalazłam sobie przyjaciela.

– Pracuje na wakacjach w księgarni. Pozwala mi czytać książki o historii Francji i pomaga mi dociec, co się przydarzyło babci i jej rodzinie.

Mama pociągnęła łyk herbaty. Siedziała skulona w rogu kanapy z kolanami podciągniętymi pod brodę i wpatrywała się w punkt na ścianie, z którego odłaziła farba. Czekałam, żeby jakoś zareagowała na to, co jej powiedziałam o Paulu, ale reakcji nie było. Mama wyglądała jak uwięziona pod kloszem z grubego szkła, który odgradzał ją od zewnętrznego świata, a ja nie umiałam się przez niego przebić, choćbym się nie wiem jak starała.

Zaczynałam się niepokoić, ponieważ tak właśnie działo się z mamą, kiedy wchodziła w swoje mroczne fazy. Zdarzały się dosyć rzadko, zaledwie raz na kilka lat, ale gdy już nadeszły, były nie do zniesienia. Sprawiało to wrażenie, jakby jej wyłączono coś w głowie i zupełnie odcięto zasilanie.

Najmroczniejsza faza dopadła ją, kiedy byłam w pierwszej klasie. Nie rozmawialiśmy o tym od tamtej pory, ale pamiętam, że moja pełna życia, kochająca mama nagle wpadła w przygnębienie i trwała w nim miesiącami. Kolejne fazy były krótsze i mniej intensywne, ale i tak okropne. Przez kilka tygodni mama nie wychodziła na zewnątrz lub nawet nie wstawała z łóżka. A co najgorsze, tata i ja nie mogliśmy nic zrobić, żeby

ją włączyć z powrotem. Pozostawało nam tylko zachowywać pozytywne nastawienie i czekać, aż mama stopniowo odzyska energię.

Może przesadzałam w ocenie sytuacji. Wątpliwe, by mama faktycznie była teraz w mrocznej fazie. Chodzi mi o to, że przecież wiedzieliśmy, co jej doskwiera. Śmierć babci i odkrycie tajemnic, które przed nami miała. W dodatku – a mama jest zbyt uprzejma i starannie unika konfliktów, więc nie wypowie tego na głos – przypuszczalnie zraniło ją, że babcia zapisała swoje paryskie mieszkanie mnie, a nie jej. Wciąż mam poczucie winy, gdy sobie przypominam jej minę podczas odczytywania testamentu.

Chciałam w jakiś sposób oderwać jej myśli od tego, a pierwszy krok to skłonienie jej do rozmowy.

– Paul jest naprawdę miły i inteligentny – wychwalałam go. – W dodatku to niesamowity artysta. Powinnaś zobaczyć jego rysunki.

Wciąż milczenie.

– Diane, słuchasz, co mówi Alice? – Tata wychylił głowę z kuchni, gdzie przez całe rano siedział zakopany po uszy w papierkowej robocie związanej z mieszkaniem babci. Dokumenty zakrywały blat stołu, przypominając patchwork. – Zdaje się, że ma ciekawe nowiny.

Mama zamrugała. Spojrzała na mnie zdezorientowana.

– Przepraszam... co mówiłaś?

– Poznałam chłopaka. Ma na imię Paul. Spotykamy się od tygodnia.

– To miłe.

Jej wzrok znów powędrował na ścianę – znowu zamknęła się pod szklanym kloszem.

Nie podobało mi się to uczucie, ale kiedy zbliżało się południe i przyszedł czas umówionego spotkania z Paulem, zalało mnie coś w rodzaju ulgi.

W Paulu podobało mi się między innymi to, jak swobodnie się przy nim czułam. Nie musiałam się zastanawiać, co powiedzieć, nie musiałam zgadywać, w jakim jest nastroju, ani dostosowywać do tego swojego zachowania. Właściwie jedyne, co wydawało mi się skomplikowane w związku z Paulem, to określenie, czym tak naprawdę jest nasza znajomość.

Do tej pory zdążyłam dwa razy spotkać się z nim w księgarni. Mimo że dobrze nam się rozmawiało – i mimo że chyba raczej na pewno ze mną flirtował – jak dotychczas nic się... nie wydarzyło. Za każdym razem były

takie długie chwile, gdy byliśmy tam sami, siedzieliśmy obok siebie ramię w ramię za jego biurkiem, a on nie zrobił żadnego ruchu. Szczerze mówiąc, ja też nie, ale moje doświadczenie jest właściwie bliskie zeru. On przypuszczalnie miał dziewczyn na kopy, dlatego czekałam, aż przejmie prowadzenie. Nie wiedziałam, czy jest nieśmiały, czy boi się zachować nieprofesjonalnie w pracy... czy może nie podobam mu się w ten sposób. Niewykluczone, że chce, żebyśmy byli przyjaciółmi i tyle. Jedyne, co wydawało się pewne, to to, że kiedy jestem z nim, w moim brzuchu szaleje chmara motyli. Trzepotały nawet wtedy, kiedy w komórce wyskakiwało jego imię.

Wczoraj wieczorem napisałam do Hannah i Camili o tym, jaka jestem zagubiona, nie podałam im tylko szczegółów na wypadek, gdyby to był jednak niewypał. Taki scenariusz wydawał mi się najbardziej prawdopodobny biorąc pod uwagę moje dotychczasowe doświadczenia, a dokładniej: incydent z Pomorskim. Zapytałam je: „Kiedy ludzie się lubią nawzajem, po jakim czasie zazwyczaj któreś z nich robi ruch? Czy to ma się wydarzyć od razu?”

Camila odpisała pierwsza: „A co?? Poznałaś kogoś???”.

Cała Camila. Uwielbiała sprawy miłosne.

„W tej chwili to nieważne – odpowiedziałam. – Potrzebna mi Twoja wiedza”.

Niecierpliwie czekałam na jej wiadomość. Z nas trzech to Camila najwięcej wiedziała o związkach. Ona i Peter byli już ze sobą od siedmiu miesięcy.

„Niektórzy nie robią pierwszego ruchu od razu – napisała i z miejsca podniosła mnie tym na duchu. – Pamiętasz, Peter pocałował mnie dopiero po randce na minigolfie”.

„Tak!” – odpisałam. Niesamowicie mi ulżyło.

Potem uświadomiłam sobie, że ona wciąż pisze.

Jej następny tekst przygniół mnie jak tona cegieł.

„Jednak jeśli nic zmysłowego się nie zdarzy do trzeciego spotkania, to może nie ma właściwej chemii?!”

Kiedy docierał do mnie ciężar jej słów, do rozmowy włączyła się Hannah.

„Hej, dziewczyny !!!!!!!!!!!!!!! Zgadzam się z Cam!!!”

Poczułam w sercu wielki kamień. Szybko podziękowałam im i odłożyłam telefon. Paul i ja mieliśmy za sobą dwa spotkania, jeżeli nie liczyć tamtego wspólnego siedzenia w piekarni. Zgodnie z zasadą Camili wiele zależało od naszego trzeciego sam na sam.

Dokładnie minutę przed południem zawiązałam sznurówki trampków, pożegnałam się z mamą i tatą i pomknęłam na dół na spotkanie z Paulem. Ponieważ była piękna pogoda, zaproponował, że odbierze mnie sprzed mieszkania i pójdziemy przez ogród Tuileries do księgarni, gdzie będę mogła myszkować wśród książek podczas jego zmiany.

Gdy tylko otworzyłam drzwi, usłyszałam jego głos:

– Alice!

Czekał na mnie przy krawężniku w swoim zwyczajnym T-shircie i džinsach oraz z dwiema kawami americano w rękach. Uśmiechał się, a jego włosy lśniły w słońcu jak miedź. Znów ożywiły się we mnie motyle.

– Proszę – powiedział, podając mi kubek.

Czy on też poczuł tę elektryczną iskrę, kiedy zetknęły się nasze palce, czy tylko ją sobie wyobraziłam? Czy Camila nazwałaby to chemią?

– Dzięki! Jak miło!

– No jasne.

Przez sekundę szczerzyliśmy się do siebie głupio.

– To... idziemy? – zapytał.

– Okej – odparłam.

Ruszyliśmy po chodniku, sącząc kawę. Zauważyłam, że trzyma kubek w prawej dłoni, zostawiając lewą wolną, żeby mnie mógł ewentualnie wziąć za rękę.

– Paul, nigdy cię o to nie pytałam: mieszkasz gdzieś w pobliżu?

– Nie. Wynajmuję kwaterę blisko uczelni. W Dzielnicy Łacińskiej.

– To znaczy, że... przyszedłeś aż tu tylko po to, żeby zaraz wrócić?

– Tak – odpowiedział radośnie.

Poczułam, że płoną mi policzki. Fakt, dzień był piękny. Kto nie wybrałby się na długi spacer? Paul poprowadził mnie do miejsca na rue de Rivoli, gdzie chodnik zamieniał się w piaszczystą ścieżkę z Luwrem po lewej i ogrodem Tuileries po prawej. Kiedy wcześniej szłam tędy z mamą i tatą, skierowaliśmy się prosto do szklanych piramid i kolejki stojącej do kas biletowych muzeum. Nie obejrzałam się wtedy nawet, by podziwiać rozległe trawniki, które zdają się ciągnąć w nieskończoność, ich wspaniałą

geometrię, sposób, w jaki żółte kwiaty i białe marmurowe rzeźby tworzą kręgi wokół okrągłych fontann. Tu i tam rosły obsypane jasnoróżowymi kwiatami drzewka, a z trawy wychylały się kępki kwitnących stokrotek.

– Niewiarygodne – westchnęłam, czując, że nie oddam słowami tego, co widzę.

– Wiem – przytaknął Paul. – Gdy się przeniosłem do Paryża, nie mogłem uwierzyć, że te wszystkie piękne rzeczy zwyczajnie znajdują się w środku miasta, wiesz?

– Zabawne, że to mówisz. Mam takie same przemyślenia, odkąd tu przyjechałam.

– Może czytamy sobie nawzajem w myślach?

– Pewnie tak.

Może powinnam to wypróbować. Paul, jeśli naprawdę czytasz teraz w moich myślach, nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś mnie wziął za rękę. Hmm, żadnego odzewu. Okrążyliśmy fontannę, a potem szliśmy cienistą, obrzeżoną drzewami ścieżką, która wyprowadziła nas na kolejną dużą konstrukcję wodną. Porównywaliśmy nasze ulubione eksponaty w Luwrze i śmialiśmy się z tego, jak mała i niepozorna okazuje się *Mona Lisa*, gdy człowiek się wreszcie przepchnie przez tłumy i ją zobaczy. Czasami podczas naszej rozmowy zapadała cisza, ale nie było w niej nic niezręcznego – te przyjemne przerwy dawały nam czas do napawania się scenerią.

– Zawsze kochałeś sztukę? – zapytałam, kiedy wyszliśmy z ogrodu i podążyliśmy w stronę najbliższego mostu na Sekwanie.

– Tak – odrzekł. – Zawsze rysowałem, od małego. Nauczyciele wściekali się o to, że bazgrałem na lekcjach, ale mnie pomagało się to skupić.

– Kiedy cię zobaczyłam po raz pierwszy w piekarni, wyglądałeś na bardzo pochłoniętego szkicowaniem.

– Rysowanie bardzo mnie uspokaja – przytaknął.

– Och, Paul, jak tu pięknie! – Stałam jak wryta, przykuta rozpościerającym się z mostu widokiem. Woda miała niezwykle turkusowy kolor, a ponad nią, na lewym brzegu, Musée d'Orsay wznosiło się niczym pałac królewski. – Chyba muszę zrobić zdjęcie. Zaczekasz?

– Jasne.

Postawiłam kubek na balustradzie i wyjęłam telefon. Paul odsunął się na bok, żebyśmy zmieściła w obiektywie całą scenę. Ustawiałam najlepsze

kadrowanie, gdy wtem powiał lekki wiatr i mój prawie już pusty kubek zaczął sunąć po balustradzie. Paul rzucił się na ratunek i w tym samym momencie mój palec stuknął w guzik aparatu – rezultatem było zamazane zdjęcie akcji, na którym Paul z pełną napięcia miną mknął w powietrzu w stronę kubka.

To była najśmieszniejsza rzecz, jaką widziałam w życiu. Ocierając sobie łzy z oczu, pokazałam fotkę Paulowi i tak samo wybuchnął śmiechem. Zgiął się wpół, przytrzymując się mojego ramienia, ale gdy tylko jego ręka dotknęła mojej skóry, zaraz opadła wzdłuż boku, nieco zeszywniała. Czy starał się ograniczyć kontakt ze mną do minimum? Nie kumałam.

Dotarliśmy do księgarni. La Petite Librairie, bo tak się nazywa, remisuje z piekarenką Vivi w moim rankingu ulubionych miejsc w Paryżu. Pomarańczowa markiza tkwi w zacisznej brukowanej uliczce niczym ukryty klejnot wśród rzędów kamienic mieszkalnych. Gdy po raz pierwszy weszłam do środka, odniosłam wrażenie, że jak na tak ciasną przestrzeń zgromadzono tutaj zbyt wiele książek; ich stosy zajmowały tyle miejsca, że czasami trzeba było przechodzić bokiem, by ich nie potrącić, a zapach pożółkłych kartek był zniewalający. Pokochałam ten zakątek od pierwszego wejrzenia.

Sprzedawca z porannej zmiany uścisnął Paulowi rękę i przekazał mu klucze, po czym Paul przyniósł dodatkowy stółek i razem usiedliśmy przy biurku od frontu. Podczas poprzednich wizyt nieraz wczytywałam się w angielskojęzyczne książki historyczne, ale wolałam siedzieć razem z nim. Teraz nasze ramiona niemal się stykały. Czułam zapach jego świeżo wypranych ubrań.

Paul przystąpił do katalogowania nowej dostawy, ja zaś postanowiłam wziąć się do tłumaczenia. Dziennik Adalyn był długi, a jej pismo drobne, ale robiłam postępy – doszłam już prawie do 1942 roku, a moja krewna właśnie opisała kolejną mroźną zimę z niewystarczającą ilością opału. Ona i babcia przykrywały się kilkoma kołdrami, a w najzimniejsze noce spały w jednym łóżku, żeby się nawzajem ogrzać.

Jeszcze nie powiedziałam Paulowi całej prawdy o Adalyn. I dlatego też nie przyjmowałam jego propozycji, gdy chciał mi pomóc w tłumaczeniu dziennika. Bałam się, że lada chwila siostra mojej babci wyjawí swój brzydki sekret, wolałam więc przeczytać o nim pierwsza. Do tej pory zdążyłam już sporo dowiedzieć się o okupacji, żeby wyrobić sobie jako

takie pojęcie: Francja wciąż nosiła piętno wstydu przez to, że część jej obywateli współpracowała z nazistami. Jeśli ktoś z twojej rodziny był kolaborantem, niechętnie obwieściłbyś o tym światu.

Rozciągnęłam nadgarstki i zaczęłam tłumaczyć wpis z 20 lipca 1942 roku.

O, nie. To naprawdę przygnębiający kawałek.

Ledwie mogę pisać. Ręka trzęsie mi się tak samo jak tacie.

Muszę jednak zanotować wszystko, co się wydarzyło.

Przepraszam, jeśli nie będzie to spójne. Nie umiem zebrać myśli, gdy los mojego przyjaciela jest nieznany.

W czwartek i piątek urządzono w Paryżu ogromną łapankę. Zaczęło się wcześnie rano. Tysiące Żydów zapędzono do autobusów i zabrano na Vélodrome d'Hiver, Zimowy Welodrom, gdzie teraz są przetrzymywani w najgorszych, przerażających warunkach. Docierają do nas zatrważające strzępy informacji, przekazywane szeptem w kolejce po chleb czy w metrze: ludzie są stłoczeni na stadionie kolarskim bez wody i żywności, nie mogą korzystać z ubikacji. Wielu podobno już zmarło. A co stanie się z tymi, którzy przeżyją? Jeśli zostaną wywiezieni, a on jest wśród nich?

Robię, co mogę, żeby się nie popłakać. Nie chcę, żeby maman i papa mnie usłyszeli.

Muszę zrobić przerwę i wypłakać się w poduszkę.

Opowieści o aresztowaniach są straszne. Rodzice odrywani siłą od dzieci. Skoro zostają rozdzieleni, jak mają się z powrotem odnaleźć?

Pięcioosobowa rodzina otruła się, żeby jej nie zabrano: matka, ojciec i troje małych dzieci. Wszyscy nie żyją. Inna kobieta rzuciła się z okna. Słyszysz się o policjantach, których zastrzelono, bo odmówili wzięcia udziału w obławie.

Każda taka historia jest odrażająca, ale nic nie przeraża mnie bardziej niż brak wiadomości o przyjacielu. Ostatni raz widziałam go dzień przed łapanką, a potem słuch po nim zaginął. Niewiele pomagają wieści, że duża część Żydów zapędzonych do Vel d'Hiv to Polacy.

Czasami gdy czytam o dokonujących się okrucieństwach, myślę, że to pewnie dzieje się w innym świecie. Ale to przecież jest tu, w Paryżu. I mówią, że jeszcze ma się pogorszyć. Dzisiaj usiadłam w pociągu obok dwóch Żydówek, które wyglądały na mocno wstrząśnięte. Podśluchałam, jak jedna szepcze do drugiej: „Francuzi będą następni”.

Dałabym wszystko, żeby to szaleństwo już się skończyło.

Gapiałam się w ekran, czując falę mdłości. Paul i ja czytaliśmy o obławie Vel' d'Hiv, kiedy ostatnio go odwiedziłam. Żydów przetrzymywano na zadaszonym stadionie przez pięć dni bez żywności i bieżącej wody. Gnieździłi się w brudzie. Niektóre kobiety rodziły na podłodze. W końcu zapędzono ich do bydłących wagonów i wysłano do obozów koncentracyjnych.

– Alice? W porządku?

Oliwkowozielone oczy Paula wpatrywały się we mnie zza okularów. Widziałam w nich troskę.

– Jestem zdezorientowana – odparłam.

– O co chodzi?

Chodziło o to, że Adalyn ostatecznie przeszła na stronę nazistów, przez co babcia najprawdopodobniej całkowicie zerwała z nią stosunki. Ale w lipcu 1942 roku, kiedy Adalyn zamieszczała ten wpis w dzienniku, miała żydowskiego przyjaciela, który padł ofiarą łapanki Vel' d'Hiv – kogoś, na kim jej najwyraźniej bardzo zależało. Co się, u licha, stało, że tak zmieniła front?

– Paul, muszę ci coś powiedzieć.

Nie mogłam już dłużej trzymać tego w sekrecie. Potrzebowałam porządnej rozmowy. Przyciszonym głosem, tak aby nikt z klientów nie słyszał, opowiedziałam mu o fotografii, którą znalazłam w toalecie swojej prababci. Podczas gdy referowałam szczegóły, wyraz twarzy Paula zmieniał się, jakbym oglądała poklatkowe zdjęcia filmu: miejsce zatroskania zajęła zgroza, a potem kompletna dezorientacja, tak jak u mnie.

Przeczytał ostatni wpis dwa razy.

– Więc mówisz mi, że ta osoba...

– ... zaczęła sympatyzować z nazistami, tak.

– Nie mogę w to uwierzyć. Nie rozumiem.

Wciąż zapatrzony w ekran zmarszczył brwi i wystawił koniuszek języka. Zauważyłam, że robi tak, kiedy jest bardzo skupiony, na przykład przy rysowaniu. Jego mina – jednocześnie gapiowata i taka poważna – sprawiła, że się rozluźniłam.

– Nie mówiłam ci o tym wcześniej, ponieważ dopiero się poznaliśmy i nie chciałam cię przerazić tym, że jestem spokrewniona z taką osobą.

– Przerazić mnie? Nigdy by ci się nie udało.

Czując rumieniec wypełzający mi na twarz, patrzyłam, jak Paul sięga do swojego plecaka po szkicownik. Kiedy go wyjął i otworzył na kolanach, zaczął coś notować na pustej stronie.

– Co robisz?

– Listę wszystkiego, co dotąd wiemy o Adalyn.

– Jesteś niesamowity, Paul. Okej, sprawdźmy. Była piękna... bogata... często chodziła na przyjęcia... i nienawidziła Niemców, kiedy najechali jej kraj. Nienawidziła też Pétaina za to, że poszedł na ugodę z Hitlerem. No i uwielbiała przemowę Charlesa de Gaulle'a, tę o płomieniu francuskiego oporu...

Paul spisywał wszystko, co wymieniałam.

– ...miała co najmniej jednego przyjaciela Żyda i wiele wskazuje na to, że został wywieziony do obozu koncentracyjnego...

– ...a potem z jakiegoś powodu zmieniła stronę. – Paul dokończył tok moich myśli. – Coś jeszcze?

– Nie, to by było tyle.

Oboje gapiiliśmy się w listę, równie skołowani jak przedtem.

– To naprawdę dziwaczne – stwierdził Paul.

– I mnie to mówisz?

O piątej Paul zamknął księgarnię. Poszliśmy razem za róg na popołudniową przekąskę do piekarni Vivienne, gdzie dostaliśmy po porcji świeżo upieczonej morelowej tarty.

– Na koszt firmy – upierała się Vivi.

Próbowałam jej wcisnąć pieniądze, ale odepchnęła moją rękę, a Paul tylko bezsilnie wzruszył ramionami.

Kiedy wyjadaliśmy z talerzy ostatnie okruszki, odezwał się:

– Teraz ja też rozmyślam o Adalyn.

– Prawda? To jakby cała odrębna tajemnica sama w sobie – odpowiedziałam. – Chciałabym się dowiedzieć wszystkiego o babci i jej

siostrze.

– I co zamierzasz? – spytał.

– Chyba powinnam wrócić do mieszkania i poszukać dalszych wskazówek. Jeżeli znalazłam dziennik i zdjęcia, może natknę się na coś jeszcze, czego do tej pory nie zauważyłam. Coś, co zgodnie z życzeniem babci miałoby do mnie trafić. Kto wie? – Przez sekundę bawiłam się okularami. – Mógłbyś pójść ze mną, gdybyś chciał. Mieszkanie pewnie by ci się spodobało.

– Bardzo bym chciał – odpowiedział.

Zatrzepotały motyle. Paul wcześniej zaprosił mnie do swojego świata, a teraz ja zabierałam go do mojego. Uśmiechnął się, a charakterystyczna krzywizna jego górnej wargi wystarczyła, żebym się rozpląnęła na miejscu.

I nagle w głowie zapaliła mi się ostrzegawcza lampka. O, nie, właśnie przypominałam sobie treść wiadomości od Camili. Zaraz zakończy się nasze trzecie spotkanie, a wciąż nie doszło do niczego intymnego. No, po prostu świetnie. Podczas gdy ja tutaj umizguję się do Paula, on przypuszczalnie patrzy na mnie zwyczajnie jak na przyjaciółkę.

– Na pewno chcesz iść? – dopytałam. – To kawał drogi od twojej kwatery.

– Nie szkodzi – zapewnił z uśmiechem. – Cieszę się, że dokąds z tobą pójde.

Może wciąż była dla mnie jakaś nadzieja.

Umówiliśmy się na następny dzień, po czym ruszyłam z powrotem do naszego wynajętego mieszkania, żeby sprawdzić, co porabiają rodzice. Nie było mnie przez ponad sześć godzin, a oni wciąż tkwili w tych samych miejscach, w których ich zostawiłam. Jedyna różnica polegała na tym, że teraz włosy taty stały dęba, przypuszczalnie przez to, że sfrustrowany mierzwił je palcami. Mama wyglądała na nieco bardziej ożywioną niż rano – przynajmniej zarejestrowała moją obecność, kiedy opadłam obok niej na kanapę. Co prawda była ledwie cieniem osoby, która śpiewa przeboje Broadwayu do płyty puszczonej w samochodzie, ale przyjęłam to lekkie ożywienie za dobrą monetę.

– Mieliście z tatą miłe popołudnie? – zagadnęłam.

– Tata zakopał się po szyję i chyba go to przerosło – odparła. – Nie dał rady ruszyć się od stołu.

– Sprawa wygląda na skomplikowaną.

– Twoja babcia zdecydowanie nam tego nie ułatwiła.

„Twoja babcia”. Mama pewnie dzisiaj jest nie w humorze. Wstałam z kanapy i zajrzałam do kuchni.

– Tato, mogę w czymś pomóc?

– Miło, że proponujesz, kochanie, ale myślę, że sobie poradzę – odrzekł.

– Może dotrzymasz towarzystwa mamie? Chyba będzie umiała z niego skorzystać.

Wróciłam więc do saloniku. Mama skubała nitkę strzępiącą się u rękawa jej swetra.

– Chcesz, żebym to odcięła nożyczkami?

– Gdy umrę – wypowiedziała cicho, zaskakując mnie tym zupełnie – możesz być pewna, że nie zrobię ci nic takiego.

– Mamo, o czym ty mówisz?

– O tym, że ułatwię tobie i tacie zadbanie o moje sprawy. Nie zostawię was z takim bałaganem do uporządkowania!

Skąd jej się to, u licha, wzięło? Przemawiała, jakby jej zostało kilka dni życia. Trochę mnie zaniepokoiło, że wyciąga sprawę swojego testamentu, ale powinnam pamiętać, że każdy przeżywa żałobę inaczej. Kiedy umiera nam ktoś bliski, to całkiem możliwe, że zaczynamy więcej myśleć o własnej śmiertelności, prawda? Może mama po prostu potrzebowała czegoś, co zajmie jej uwagę. Czegoś, co ją odciągnie od siedzenia całymi dniami w jednym miejscu i rozmyślenia o babci.

– Zróbmy coś razem – zaproponowałam. – Chodźmy do sklepu kupić coś na kolację.

Mama dawniej przyjęłaby ten pomysł z radością. Wiedziałam o tym. Zawsze mi pokazywała, na co zwracać uwagę w dziale warzyw i owoców: banany z odrobiną zieleni, awokado odpowiednio reagujące na ucisk.

– Jeśli chcesz – odpowiedziała teraz po prostu.

Poszłam do sypialni rodziców, by znaleźć dla niej buty. Potem z niejakim wysiłkiem udało mi się podnieść ją z kanapy. Zanim wyszłyśmy, na wieczornym niebie zdążyły się pojawić pierwsze różowe smugi. Zapowiadała się pogodna noc. Powinnam w końcu pójść za radą tamtego taksówkarza i zabrać mamę na wzgórze, do bazyliki Sacré-Coeur. Nigdy nic nie wiadomo – piękny zachód słońca nad Paryżem może być właśnie tym, co jej poprawi nastrój.



Następnego dnia rano skręciłam w rue de Marquis i ujrzałam Paula stojącego z rękami w kieszeniach pod numerem 36. Jego piegowata twarz rozjaśniła się na mój widok.

Idąc w jego stronę, uświadomiłam sobie małą niedogodność. Jak powinniśmy się przywitać? Przy poprzednich spotkaniach zawsze była między nami jakaś bariera: a to jego biurko w księgarni, a to kubek kawy, który mi podał wczoraj. Dziś po raz pierwszy nie było takich przeszkód i dotarło do mnie, że nie mam pojęcia, co zrobić. Nie podamy sobie przecież rąk – to byłoby zbyt formalne. Ale czy się uściśniemy? Nigdy dotąd tego nie robiliśmy. Wiedziałam, że chciałam go uściskać, jednak czy on też by tego chciał? Czy we Francji przyjaciele ściskają się na powitanie? O, niedobrze! Zbliżałam się coraz bardziej i marzyłam, żeby mi dał jakąś wskazówkę.

– Hej, Paul!

Nie byłam pewna, jaki dystans zostawić między nami, więc zatrzymałam się w przypadkowym miejscu. O, nie, chyba coś sknociłam – teraz dzieliła nas dziwna duża przerwa. Paul przysunął się lekko. Uściskamy się? Czy to się wreszcie stanie? Jego ręce jakby się poruszyły, ale nie bardzo wiedziałam, co zamierza, więc w panice zrobiłam jedyną rozsądną rzecz, jaka mi w tej chwili przyszła do głowy: pomachałam do niego z odległości nieco ponad pół metra, jak idiotka.

Opuścił ramiona i odmachął.

– Hej – odparł.

Naprawdę genialnie, Alice.

Żeby jakoś zatuszować niezręczność sytuacji, zaraz zabrałam go do budynku i poprowadziłam spiralnymi schodami na górę. Otwarłam drzwi mieszkania numer 5 i na twarzy Paula odmalowało się zdumienie. Usta mu się rozchyliły i zamknęły kilka razy, zanim wydobyły się z nich słowa. W końcu udało mu się wykrztusić:

– Alice, *c'est incroyable!*

Pokazałam mu bawialnię i jadalnię, a potem kuchnię. Paul, kręcąc głową na wszystkie strony, mamrotał pod nosem słowa niedowierzania.

– Mógłbym na to patrzeć całymi godzinami – wyznał.

– Cieszę się, że ci się podoba. Kiedy przyszłam tu z rodzicami, mama chciała wyjść jak najszybciej.

Odłożył stosik starych, kruchych przepisów kuchennych, którym się przyglądał.

– A właśnie, jak ona się miewa?

Uroczo, że o to zapytał. Kiedy niedawno rozmawialiśmy o swoich rodzicach, wspomniałam, że mama ciężko przeżywa śmierć babci. Powiedział wtedy, że jej bardzo współczuje, i to nie w taki wyćwiczony sposób, w jaki niektórzy ludzie odpowiadają na złe wiadomości, jeśli ich samych nie dotyczą. W jego wydaniu brzmiało to naprawdę szczerze.

– Wciąż nie najlepiej – odparłam. – Wczoraj prawie cały dzień przesiedziała na kanapie, gapiąc się w ścianę. Wieczorem zabrałam ją do sklepu i na oglądanie zachodu słońca, ponieważ normalnie bardzo to lubi, ale była, jak by to powiedzieć, nieobecna.

Paul zmarszczył brwi.

– Nie brzmi to dobrze.

– Wiem. Szkoda, że nie mam pojęcia, co jeszcze mogłabym zrobić.

– Czy ty i twój tata próbowaliście z nią o tym rozmawiać?

– Co nieco – wymamrotałam, krzyżując ramiona. – W mojej rodzinie nie ma zwyczaju mówić o uczuciach.

– Mogłoby pomóc – zasugerował.

Zawarł w tym tyle nadziei. Paul zdecydowanie nie znał rodziny Prewittów.

– Może – odpowiedziałam uprzejmie. – Chciałbyś obejrzeć resztę mieszkania?

Zaprowadziłam go do głównej sypialni i do toaletki prababci. Ostrzegłam, żeby się przygotował, po czym otworzyłam górną szufladę i pokazałam mu zdjęcie Adalyn w otoczeniu nazistów. Zareagował tak samo jak ja, mimo że dobrze wiedział, co zaraz zobaczy. Fotografia działała tak odpychająco, że nie miało się ochoty nawet jej dotykać. Paul trzymał ją między palcem wskazującym a kciukiem, jakby się starał ograniczyć kontakt zdjęcia ze skórą.

– Myślisz, że umawiała się z tymi mężczyznami? – spytał.

– Możliwe. – Aż się skrzywiłam.

– Mogli być nawet żonaci.

– Mam nadzieję, że nie.

Podczas gdy Paul przyglądał się zdjęciu, zauważyłam w szufladzie coś, co wcześniej umknęło mojej uwadze – terminarz w twardej oprawie, z 1943 roku. Przekartkowałam go z zaciekawiona. Moja prababcia nie tylko gromadziła wycinki gazetowe, lecz także dokumentowała każde wydarzenie towarzyskie w kalendarzu. Co najmniej raz w tygodniu odbywał się jakiś *dîner* albo *fête*. Co kilka tygodni pod sobotą zanotowano: „Hotel Belmont”.

– Paul, słyszałeś o takim miejscu?

– Tak. To chyba nawet niedaleko stąd.

Pokazałam mu, jak często występuje w terminarzu.

– Sprawdzę to – postanowiłam.

Wyjęłam telefon i wrzuciłam do wyszukiwarki: „Hotel Belmont II wojna światowa Paryż”. Na pierwszym miejscu wyskoczyła strona z rezerwacjami hotelu Belmont w Ósmej Dzielnicy, rzeczywiście blisko. Drugi wynik to zamieszczona w „Guardianie” recenzja książki o ruchu oporu i o kolaboracji w okupowanej przez nazistów Francji. Bingo. Kliknęłam link i przejrzałam tekst w poszukiwaniu wzmianki o interesującym mnie hotelu, a kiedy ją znalazłam, przeczytałam na głos Paulowi:

– „LeGrand, czyli autor, wnika w każdy szczegół życia, od głodujących rodzin, racjonowania żywności i kolejek po chleb po salonowe kokietki gromadzące się w hotelu Belmont, żeby przetańczyć noc z niemieckimi oficerami”.

– O mój Boże – skomentował Paul.

– Siostra mojej babci była jedną z nich – powiedziałam gorzko. – Pewnie nie powinno mnie to dziwić.

Włożyłam terminarz do swojego plecaka, zostawiając sobie dokładniejszą analizę na później, i zaprowadziłam Paula do sypialni Adalyn, żeby pokazać mu miejsce, gdzie się natknęłam na jej pamiętnik. Pamiętam, jaka wtedy byłam przejęta – nie znałam jeszcze przykrew prawdy. Przypomniałam sobie też, że miałam kłopoty z ostatnią szufladą, przy samej podłodze.

– Hej, Paul, przedtem nie dałam rady jej otworzyć. – Dotknęłam czoła szuflady czubkiem trampka. – Może ty spróbujesz?

– Jasne – odparł, przykucając. Złapał za gałkę i pociągnął mocno, aż napięły mu się bicepsy pod koszulką. – Wow, naprawdę utknęła. – Strzepnął rękę i szarpnął ponownie.

Rozległo się zachęcające zgrzytnięcie i przy następnej próbie szuflada w końcu ustąpiła. Oboje zajrzeliśmy do środka.

– Patrz – rzekł Paul. – Jest jakaś notatka.

Ostrożnie podniósł kartkę i przytrzymał ją pod światło.

– Czy to papier listowy z hotelu Belmont?

– Zgadza się. – Paul przysunął się do mnie, żebyśmy oboje mogli się przyjrzeć.

Pod herbem hotelu znajdowała się krótka wiadomość napisana po francusku i podpisana: „Hauptmann Ulrich Becker III”.

– Brzmi bardzo z niemiecka – szepnął Paul. – Hauptmann to chyba stopień wojskowy.

– A co jest w liście?

Paul poprawił sobie okulary i przypatrzył się kartce bliżej.

– Nie najlepiej mu szło z francuskim – rzekł. – Okej, zobaczmy: „Moja najdroższa Adalyn, składam podziękowania za wieczory, które spędziłem u twojego boku...”

Jęknęłam.

– „Twoje piękne oczy i wspaniałe opowieści pomogły mi lepiej znosić ból tęsknoty za domem. Skoro nie mogę być w Berlinie, cieszę się, że jestem tu w Paryżu z tobą. Przekazuję ci ten prezent w nadziei, że dzięki niemu będzie ci ciepło w zimie. Szczerze ci oddany, Hauptmann Ulrich Becker Trzeci”.

Paul odłożył kartkę i spojrzał na mnie z krzywym grymasem. Podzielałam jego uczucia. Właśnie przeczytaliśmy liścik miłosny od nazisty zaadresowany do kogoś z mojej rodziny.

– Pewnie spotykała się z nim w hotelu Belmont w towarzystwie matki – zasugerował Paul.

– Cóż, jeśli było tak, jak mówisz, i jeśli wyszła za któregoś z nich, założę się, że to był ten facet – odpowiedziałam ponuro.

– Możemy spróbować go znaleźć – zaproponował Paul.

– Dobry pomysł – przytaknęłam. A potem potrząsnęłam głową z niedowierzaniem. – Nie mogę uwierzyć, że mam namierzyć nazistę. Chyba będę musiała jakoś oczyścić sobie duszę.

– To dokładne przeciwieństwo działania nazistów, nie sądzisz? O ! Powinniśmy zwiedzić Muzeum Narodowego Ruchu Oporu – przypomniał

sobie. – Znajduje się w Champigny-sur-Marne. Zawsze chciałem tam zajrzeć.

Patrzyłam na niego, jak stoi w džinsach i zwykłej białej koszulce – uroczy paryski chłopak, który mógłby być w tej chwili gdziekolwiek, ale jest ze mną, pomaga mi rozwiązać przedziwną zagadkę z przeszłości. Zdumiewające, że będąc z rodzicami, szczególnie przez ostatnie dwa tygodnie, wciąż czułam się samotna. Z Paulem zaś było zupełnie przeciwnie, jakbym miała kumpla z drużyny, który zawsze jest po mojej stronie.

– Naprawdę bardzo się cieszę, że cię poznałam – wypaliłam i... zaraz ogarnęło mnie zakłopotanie. Ewidentnie miałam dziś kiepski dzień: najpierw tamto niezręczne machanie na chodniku, a teraz to.

Ale Paul się uśmiechnął.

– Ja też bardzo się cieszę, że cię poznałem – odparł.

Wsunęłam list od Ulricha między kartki dziennika Adalyn, żeby się nie zgubił, i wyszliśmy razem na ulicę. Paul musiał już iść do La Petite Librairie, a ja do naszego mieszkania, żeby dopilnować, by mama coś zjadła, co nie było zbyt pewne.

Skierowaliśmy się do stacji metra. Lecz zamiast się pożegnać, Paul zagadnął:

– Hej, Alice... słyszałaś o *quatorze juillet*? U was chyba nazywają to Dniem Bastyllii.

Do czego zmierzał?

– Tak, wiem coś niecoś o Dniu Bastyllii. To wasze święto narodowe, jak u nas czwarty lipca, tak?

– Tak... no, z grubsza. Przypada czternastego lipca. Obchody może nie dorównują waszym, ale też są parady... fajerwerki... tylko nie ma zawodów jedzeniu hot dogów na czas.

– Szkoda, bo to cudowna tradycja – zażartowałam.

Paul się roześmiał. Potem spojrzął na swoje buty i odchrząknął.

– No więc... moja siostra Vivi uwielbia świętować *quatorze juillet* – powiedział. – Co roku razem z przyjaciółmi wynajmuje mieszkanie w Wersalu, bardzo blisko pałacu, i przez cały dzień przyrządza poczęstunek dla gości...

Nagle serce zabiło mi szybciej.

– W każdym razie – ciągnął Paul nieco drżącym głosem – Vivi mówi, że byłoby jej bardzo miło, gdybyś do nas dołączyła. Ja też bym się cieszył, rzecz jasna. To tylko czterdzieści minut jazdy pociągiem, a jej przyjaciele są naprawdę w porządku, no i oczywiście odwiózłbym cię, gdybyś tylko chciała, i...

– Paul, to cudownie! – Aż klasnęłam w dłonie.

Spojrzał na mnie zaskoczony, a potem z wyraźną ulgą dopytał:

– Chcesz pojechać?

– Jasne, że tak! To znaczy muszę poprosić rodziców o zgodę, ale myślę, że nie będą mieli nic przeciwko.

Przez kilka sekund staliśmy na chodniku i uśmiechaliśmy się do siebie. Ludzie omijali nas z jednej i drugiej strony, by wejść na schody wiodące do metra, lecz prawie nie zwracałam na nich uwagi.

– No to daj mi znać, co ci odpowiedzą – odezwał się w końcu Paul.

– Napiszę do ciebie, gdy tylko dostanę odpowiedź.

– Będę czekał. Do zobaczenia, Alice.

– Na razie.

Wyglądał tak, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, ale ta chwila minęła. Pomachał mi szybko na pożegnanie i ruszył po schodach w dół z rękami wepchniętymi do kieszeni spodni. Rozstanie odczułam niemal boleśnie i tak bardzo chciałam wiedzieć na pewno, czy on czuje to samo do mnie.

Rozdział 8

Adalyn

Chciałam wierzyć, że to lato jest najgorszą rzeczą, jaką dane mi było czy będzie przeżywać. Ale jak mówi *papa*, podczas wojny sytuacja nigdy się nie poprawia. Albo wojna się kończy, albo robi się jeszcze gorzej.

Minęły dwa miesiące, odkąd zabrali Arnauda, a ja wciąż, w każdej minucie dnia, tęsknię za nieobecny przyjacielem. Czasem, gdy słyszę głos podobny do jego głosu, odwracam się pośpiesznie, pragnąc znów śmiać się razem z nim, lecz okazuje się, że patrzę na obce osoby. Nie przypominam sobie, żebyśmy się śmiali od lipca – na pewno nie tak naprawdę. Nie tak jak wtedy, gdy pokładaliśmy się ze śmiechu w ogrodzie Luksemburskim.

Jakiś tydzień po obławie Luc dowiedział się szczegółów, wypytując sąsiadów Arnauda. Jego rodzinę wydała dozorczyńni kamienicy. Powiedziała gestapowcom, o jakiej porze rodzice będą w domu, a kiedy po nich przyjechali, zabrali też Arnauda. Sąsiedzi nie wiedzieli, gdzie się podzieli jego dwaj młodsi bracia, ale zapewnili Luca, że nie widzieli, by ich zagnano do autobusów zmierzających do Vel' d'Hiv.

Sierpień przyniósł więcej złych wieści. Luc dostał wiadomość od Geronte'a, że grupa oporu w Créteil została spalona. Gestapowcy wzięli jednego z jej członków na przesłuchanie i pod groźbą wywiezienia całej rodziny wydobyli z niego nazwiska trzech współpracowników. My byliśmy bezpieczni, ponieważ nikt z tamtych w Créteil nie znał naszych imion czy nazwisk, lecz tamtych troje nieszczęśników zaraz aresztowano i wysłano do więzienia we Fresnes. Jedną z nich była tamta kobieta w bładoniebieskim płaszczu, którą poznałam w kawiarni. Podobno we Fresnes więźniowie są bici i głodzeni za najmniejsze przewinienie, a informacje wyciąga się z nich

torturami, wieszając ich u sufitu za rękę i nogę. Samo słowo „Fresnes” sprawia, że mi się kurczy żołądek.

PUK-puk-puk-puk-puk-puk. Dawniej odbierałam to trochę jak zabawę – pędziłam po szkole do Dzielnicy Łacińskiej i stukałam w tylne drzwi sklepu obuwniczego. Działaliśmy w uniesieniu, czuliśmy się niezwykli – tak jakby nasza piątka mogła obalić nazistowskie Niemcy, jeśli się tylko razem postaramy. Teraz miałam lepszy ogląd sytuacji. Nie tylko ja, lecz my wszyscy – ci z nas, którzy zostali. Dotarło do mnie, że to, co robię, jest niebezpieczne. Że może mnie kosztować życie.

Jednak jeśli Arnaud miał odwagę stawić czoło zagrożeniu, ja też musiałam dać z siebie wszystko.

Luc otworzył drzwi. W pokoju był tylko on. Staralam się nie patrzeć na stół, na którym nadal leżały wystawione książki fingowanego klubu czytelniczego według pomysłu Arnauda.

– Nie wyglądasz za dobrze – zauważył Luc.

– Nic mi nie jest – bąknęłam.

– Adalyn, przecież cię znam...

– Po prostu mi go brakuje...

I wtedy zrobił coś nieoczekiwanego. W ciągu niemal dwóch lat naszej znajomości Luc i ja co najwyżej dotknęliśmy się czasami przez przypadek. Teraz w skąpo oświetlonym pokoju przyciągnął mnie, wziął w ramiona i przycisnął do piersi. Mój policzek wtulił się w jego ramię, jego palce wplotły się w moje włosy. Każde uderzenie serca mogło być jego albo moje – nie dało się tego rozróżnić.

– Wiem, że ci go brakuje – rzekł miękko. – Mnie też.

– Czasami się zastanawiam, czy nie powinniśmy dać sobie z tym spokój – szepnęłam, zacinając się. – Patrzę na to, co się przydarzyło Arnaudowi, i myślę... zadaję sobie pytanie, czy nasze działania w ogóle coś znaczą.

Poczułam jego dłonie na swoich ramionach i zaraz trzymał mnie już na odległość rąk.

– Musimy postępować odwrotnie – stwierdził z determinacją. – Patrzeć na to, co się przydarzyło Arnaudowi, i właśnie z tego powodu nie porzucać działań.

Miał rację.

Patrzyliśmy sobie w oczy przez – zdawało się – całą nieskończoność. W pewnym momencie – nie mogę nawet powiedzieć, jak długo to trwało –

po policzku Luca potoczyła się łza. Nie otarł jej. Podążałam za jej lśniącem śladem aż do kącika jego idealnych ust, gdzie wyschła.

– Adalyn – zaczął – muszę ci coś powiedzieć.

– Co?

– Coś niedobrego.

W pokoju zaległ nieprzyjemny chłód. Coś niedobrego? Jakie jeszcze złe wieści przyjdzie nam znosić? Poprowadził mnie do dwóch krzeseł i usiadłam z drzeniem.

– Nie mogę tu dłużej zostać – powiedział cicho. – Muszę zniknąć.

– Co przez to rozumiesz?

– Chodzi o przymusowe roboty – wyjaśnił. Widziałam, że sili się na opanowany ton. – Wszyscy sprawni na ciele mężczyźni powyżej osiemnastego roku życia są wysyłani do pracy w Niemczech.

Zsunęłam się na skraj krzesła.

– Och, Luc, nie możesz...

– Nie zamierzam jechać do obozu pracy. Oczywiście, że nie.

– To dobrze.

– Ale właśnie dlatego muszę zniknąć.

Moje ciało osunęło się na oparcie krzesła, gdy sobie stopniowo uświadomiłam, co Luc do mnie mówi. Zbolały wyraz jego oczu podpowiadał, że nie ma wyboru – jeśli chce nadal walczyć, musi się ukrywać. Nasz przedłużający się uścisk sprzed kilku minut nagle nabrał nowego znaczenia. Pomyślałam, że Luc naprawdę będzie za mną tęsknił.

– Co zamierzasz?

– Schodzę do podziemia. Słyszałem, że na południu formują się oddziały partyzantki. Może się do nich przyłączyć. Zobaczymy, jak sobie poradzę z prawdziwą bronią. – Zaśmiał się słabo, ale jego oczy pozostały smutne. – Geronte pomaga mi zorientować się w sytuacji. A właśnie... to on będzie teraz twoim łącznikiem. Myślę, że go polubisz... w końcu. Ma twardą skorupę.

– A co z Marcelem? I Pierre-Henrim?

– Oni też muszą zniknąć.

Luc podszedł do stołu, żeby coś napisać na skrawku papieru, a ja próbowałam poukładać sobie w głowie usłyszane wiadomości. Za dużo ich było jak na jeden raz. Chciałam mu zadać tyle pytań, że nie wiedziałam, od czego zacząć...

Ale uświadomiłam sobie, że jedno z nich jest teraz dla mnie najważniejsze.

– Luc, kiedy cię znowu zobaczę?

Wrócił od stołu i położył karteczkę w mojej dłoni razem z kolejną połówką biletu kolejowego.

– Nie wiem – odparł.

– C-co?

– To nie jest pożegnanie na zawsze – dodał pośpiesznie. – Myślę, że będę bywał w mieście. Tyle że nie mogę powiedzieć na pewno kiedy.

Tak jak przy pierwszym naszym spotkaniu, w tym samym pokoju, naszała mnie chęć, by przesunąć dłonią po jego policzku – teraz szczuplejszym niż wtedy, niemniej równie pięknym. Chyba nawet zapragnęłam dotknąć ustami jego idealnych warg... A ze sposobu, w jaki mnie objął przed chwilą, wnioskowałam, że on też chyba tego chciał... Ale nie – już dzisiaj uronił łzę, nie wolno mi sprawić, żeby to pożegnanie było dla niego jeszcze trudniejsze.

Wyszłam w chłodne wrześnie powietrze pozbawiona wszelkiej życiowej energii. Czułam, że jestem dziewczyną z kamienia.

Robiło się coraz gorzej, tak jak przepowiedział *papa*.



Kilka dni później siedziałam w bawialni, czytając powieść – a tak naprawdę tylko wpatrując się w zadrukowane strony – kiedy zauważyłam, że coś w naszym mieszkaniu dzieje się nie tak. Początkowo nie mogłam tego uchwycić: *maman* w wielkim skupieniu czytała ostatnią kolumnę Suzette, usta miała lekko rozchylone, spijała słowa swojej ulubionej autorki; Chloe siedziała przy stole po drugiej stronie pokoju z rozłożonymi pod ręką przyborami do szycia. Dopiero kiedy uważnie przyjrzałam się jednej i drugiej, uświadomiłam sobie, co jest takiego dziwnego w tej scenie – nie krzyczały do siebie nawzajem.

Teraz, gdy się nad tym zastanowiłam, dotarło do mnie, że Chloe przez cały dzień zachowywała się niezwykle spokojnie; nawet fryzurę miała niższą niż zwykle. Już to mogło dziwić, ponieważ *maman* poinformowała nas przy śniadaniu, że zostałyśmy zaproszone na dzisiejszy bardzo ważny

salon w hotelu Belmont. Będą na nim madame LaRoche i jej bliźniaczki, a także kilkoro innych przyjaciół mamy. Oraz pisarze i aktorki, projektanci mody i muzycy. Podobno pojawi się nawet Suzette.

Czyli dokładnie takie spotkanie towarzyskie, jakim moja siostra by pogardziła.

Miałam nadzieję, że niczego nie knuje.

– Co szyjesz, Chloe? – zapytała *maman*, gdy skończyła czytać.

– Mój strój na dziś wieczór – zaczęła Chloe w odpowiedzi.

O, nie.

– Czy mogę ci pomóc?

– Nie, dziękuję, *maman*! Daję radę.

Kiedy *maman* spojrzała na zegar i oznajmiła, że pora się zbierać, Chloe zgarnęła swe rzeczy i z uśmiechem pomknęła do swojego pokoju.

Cesałam się przed lustrem, gdy ktoś zapukał do drzwi. Weszła *maman* w czarującej zielonej sukni, marszczonej w talii i rozkloszowanej u dołu.

– O ! – zawołała na widok sukienki, którą rozłożyłam na łóżku: miała podobny odcień zieleni. – Będziemy tak samo ubrane. Mam się przebrać?

– Nie, *maman*. Nie bądź niemądra. Już jesteś ubrana, to ja wybiorę coś innego.

– Ale w tej sukience wyglądasz tak pięknie.

– Cóż, w takim razie może obie wystąpimy w zieleni ? Wcale mi to nie przeszkadza.

Maman rozpromieniła się, patrząc na mnie w lustrze.

– Ależ mi dopisuje szczęście – powiedziała. Podeszła do mnie, wyjęła mi grzebień z ręki i zaczęła przesuwać go przez moje pukle, tak jak robiła to wiele razy dawniej. Rozluźniłam się na krześle, ciesząc się znajomą powtarzalnością: pociągnięcie grzebienia, a potem ruch jej ręki wygładzającej mi włosy. Cesała mnie, odkąd sięgałam pamięcią.

– Jak tam nauka, kochanie?

– Dobrze mi idzie, mamo. Wymagania są wysokie, ale sobie radzę.

Rodzice zachęcili mnie, żebym się zapisała na uniwersytet i mogła potem sama uczyć muzyki. Przyjęłam ich propozycję, chociaż cel studiów wydawał mi się małostkowy i egoistyczny w porównaniu z tym, co się teraz naprawdę liczyło. Przemieszczałam się z sali do sali, ledwie rejestrując lekcje. Czułam się fatalnie przez to, że Arnaud nie dostał takiej szansy. Teraz, kiedy Luc, Marcel i Pierre-Henri wyjadą, też pewnie nie będą

studiowali. Jedyny plus tej sytuacji był taki, że rodzice nie śledzili już mojego rozkładu zajęć, co oznaczało, że łatwiej mi się będzie wymykać i pracować dla Geronte'a, którego miałam poznać jutro rano.

– Czy coś się wydarzyło w tym tygodniu? – zapytała *maman*.

– Nie... właściwie tak, coś dość przygnębiającego – wyznałam.

– O, nie. – Mama zmarszczyła brwi. – Co takiego?

– Pewien profesor z wydziału muzyki nie przyszedł w czwartek na zajęcia... a wczoraj dowiedzieliśmy się, że został aresztowany. I jego żona też.

Maman ostro wciągnęła powietrze przez nos.

– Za co? – zapytała.

– Podobno ukrywali w swoim mieszkaniu Żydów.

Mama przestała mnie czesać i chwyciła mnie za ramiona, jakby się chciała podeprzeć. Bałam się, że zaraz zemdleje. Ze względu na tatę rzadko pozwalała sobie na takie okazywanie emocji, ale od czasu obławy Vel' d'Hiv przekonanie o tym, że wszystko będzie dobrze, chyba przychodziło jej z coraz większym trudem. Rzadziej wspominała o Pétainie niż dawniej i nawet jeśli nie mówiła tego otwarcie, zastanawiałam się, czy jej wiara w Starego Marszałka ostatecznie nie została zachwiana.

Maman wzięła głęboki wdech, żeby odzyskać opanowanie, i wróciła do czesania.

– To okropne, Adalyn. Znałaś tego człowieka?

– Nie. Tylko kilka razy widziałam go w korytarzu. Ludzie mówią, że był uroczy.

Maman smutno potrząsnęła głową.

– Porozmawiajmy o czymś bardziej budującym – rzekła po dłuższej chwili. – To cudownie, że twoja siostra wreszcie cieszy się na spotkanie towarzyskie.

A, tak, Chloe. Ciekawe, co knuje tam za ścianą. Nie miałam pojęcia, skinęłam więc tylko wymijająco głowią, podczas gdy *maman* odkładała już grzebień i zaczynała upinać mi włosy we właściwy sposób.

Mama i ja jak zwykle pierwsze stawiliśmy się w przedpokoju ubrane w płaszcze. Drzwi pokoju Chloe wciąż były zamknięte.

– Chloe, kochanie?! – zawołała *maman*. – Jesteś już gotowa?

– Prawie! – odkrzyknęła moja siostra.

Przykro mi było patrzeć na isierki radości w oczach mamy. Widziałam, jak się ekscytuje tym, że miło spędzi wieczór z obiema córkami. Chloe rzadko towarzyszyła nam ostatnio na kolacjach u madame LaRoche – zazwyczaj wybuchała na tym tle kłótnia, po czym siostra, głośno tupiąc, maszerowała na spotkanie ze swoimi przyjaciółmi albo zamykała się u siebie w pokoju. Za każdym razem *maman* była tym zdruzgotana. Tak bardzo chciała, żeby wszyscy żyli w zgodzie i cieszyli się tym, co mają. Tym razem mama najwyraźniej sądziła, że będzie inaczej, że w końcu jej młodsza córka zmieniła zdanie. A może się myliłam – miałam nadzieję, że się myślę – ale zbyt dobrze znałam Chloe i wiedziałam, że prędzej wróciłaby pieszo do Jonzac, niż grzecznie udała się dziś do hotelu Belmont.

Drzwi jej sypialni otworzyły się na oścież. Chloe miała na sobie długą fioletową suknię, którą wcześniej szyła w bawialni. Włosy ułożyła sobie w elegancki koczek, a usta pomalowała szminką w znośnym, nieoślepiającym kolorze. Poczułam ogromną ulgę... gdy wtem dostrzegłam naszytą na jej piersi żółtą gwiazdę. Wyglądała dokładnie tak samo jak tamta, którą musiał nosić Arnaud, tyle że zamiast słowa *Juif* miała pośrodku wyszyte *zazou*. Wcześniej widziałam młodych ludzi z takimi naszywkami na ubraniach – robili to w ramach protestu przeciw nazistowskiej polityce antyżydowskiej.

Maman w zachwycie patrzyła na wystrojoną córkę, dopóki nie zauważyła żółtej gwiazdy. Łatwej by mi było znieść, gdyby wpadła w złość, ale jej twarz zamiast gniewu wyrażała głębokie rozczarowanie.

– Jestem gotowa – obwieściła wyzywająco Chloe ze złośliwym uśmiechem na ustach.

– Kochanie... – *Maman* mówiła to niskim, opanowanym głosem. – Nie możesz iść w tym dziś do hotelu Belmont.

– Dlaczego?

– Nie i już.

Ciekawe, czy miała w pamięci profesora muzyki.

– Ponieważ każdy, kto tam będzie, zgadza się, że Żydów należy napiętnować i wywieźć? – rzuciła Chloe.

Mama wyglądała na dotkniętą.

– Chloe – włączyłam się, desperacko usiłując zapobiec wielkiej kłótni. – Oczywiście, że tak nie myślimy. Ale mogłabyś wpaść w kłopoty, gdyby Niemcy zobaczyli cię z takim znakiem.

Chloe oparła sobie dłonie na biodrach. Na jej blade policzki wystąpił rumieniec.

– Cóż, skoro nie mogę tego włożyć, to nigdzie nie idę – stwierdziła.

– Świetnie – rzekła *maman*. – Adalyn i ja obejdziemy się bez ciebie.

Znów się znalazłam między młotem a kowadłem. Siostra patrzyła na mnie wyczekująco, jakby mi rzucała wyzywanie.

– Naprawdę nie zmienisz ubrania? – spytałam, biorąc ją pod rękę. – Proszę, Chloe... chciałabym, żebyś poszła z nami.

To była prawda. Wszystkie te spotkania towarzyskie stawały się znacznie łatwiejsze do zniesienia, jeśli była przy mnie. A poza tym ostatnio nie spędzałyśmy z sobą wiele czasu – ja uczyłam się na uniwersytecie, a ona miała zastęp przyjaciół spod znaku *zazou*.

Wyszarpnęła mi jednak swoją rękę.

– Nie dziękuję.

Westchnęłam. Nigdy nie chciałam, żeby się na mnie gniewała. Przynajmniej pozwoliła mi się uścisnąć na do widzenia, po czym *maman* i ja wyruszyłyśmy do Ósmej Dzielnicy.

– Kto jest gospodarzem przyjęcia? – zapytałam mamę, starając się rozluźnić nieco atmosferę.

Szłyśmy bulwarem Haussmanna. Szeroka, trójpasmowa ulica niemal zupełnie opustoszała. Dawniej z niektórych skrzyżowań było widać odległą bazylikę Sacré-Coeur, teraz jednak, gdy Paryż był pogrążony w ciemności, na ten widok trzeba by czekać do rana.

– Madeleine Marbot – odpowiedziała *maman*. – Z tej diamentowej rodziny. Tak się złożyło, że madame LaRoche i ja siedziałyśmy obok niej na pokazie mody u madame Agnès. A potem natknęłyśmy się na nią u Cartiera, gdzie ona i madame LaRoche upatrzyły sobie ten sam zegar. I tak zaprosiła nas wszystkie na dzisiejszy salon.

– To wspaniałomyślnie z jej strony.

– Doprawdy, zachwycająca kobieta – rozplýwała się w podziwie *maman*.

– Madame LaRoche opowiedziała mi jej historię. To jedna z tych osób, które po powrocie do Paryża odkryły, że Niemcy zarekwirowali ich mieszkanie. Wciąż nie mogę sobie wyobrazić, jakie to przeżycie... Ale, tak czy inaczej, madame Marbot wyszła z tego z podniesioną głową. Zamieszkała w hotelu Belmont i od tamtej pory często urządza w nim salony.

– Jakie to interesujące.

– Tak. Przyjęła wspaniałą postawę, nieprawdaż? Wszyscy musimy się przystosować, ponieważ kto wie, jak długo to jeszcze potrwa...

Weszliśmy przez okazałe frontowe drzwi, *maman* pierwsza, ja za nią. Kilka stopni prowadziło w dół, do hotelowego holu. A tam wszędzie było pełno Niemców, opanowali to miejsce jak szczury. Sączyli wino i palili papierosy, rozwaleni w pluszowych fotelach. Niektórzy nawet wystawili swoje wysokie czarne buty na stoły. Od czasu gdy zaginął Arnaud, gardziłam nimi jeszcze bardziej, obie jednak udawałyśmy, że ich nie zauważamy, kiedy sunęłyśmy po marmurowej posadzce w stronę windy.

Gdy tylko wysiadłyśmy na piątym piętrze, usłyszałyśmy gwar rozmów. Drzwi apartamentu były otwarte szeroko, ukazując błyszczący żyrandol i zgromadzonych pod nimi ludzi: mnóstwo, w przeważającej mierze kobiet w wieczorowych toaletach. Przyjęcie już się rozkręciło, w kącie grał na żywo zespół, a kelnerzy roznosili wśród gości przystawki i drinki, jak gdyby nikt w tym kraju nie słyszał o reglamentowaniu żywności.

Nie zrobiłyśmy nawet pięciu kroków, kiedy przywitała nas cokolwiek korpulentna dama w obszernej turkusowej sukni i pasującym do niej kapeluszu z piórkami. Ucałowała mamę dwa razy w każdy policzek.

– Odette Bonhomme! Jak cudownie znowu cię widzieć!

– Cała przyjemność po mojej stronie, Madeleine – odpowiedziała *maman*. – Podziwiam twój kapelusz.

– To od madame Agnès, rzecz jasna. – Madame Marbot mrugnęła porozumiewawczo. – A twoja śliczna torebka?

– Od Bouchersona.

Madame Marbot skinęła z aprobatą. Następnie zwróciła się do mnie, kładąc mi na ramieniu dłoń w rękawiczce.

– A kimże jest ta uroczą istotą?

– Moja córka Adalyn – przedstawiła mnie *maman*.

– Miło mi panią poznać – rzekłam.

– Mnie też jest bardzo miło – odparła madame Marbot z roztargnieniem. Widziałam, że jej oczy powędrowały już ku innym nowym przybyszom. – Wejdźcie i bawcie się dobrze na przyjęciu.

I już jej nie było.

– Odette! Adalyn!

Machała do nas zaróżowiona na policzkach madame LaRoche, przepychając się przez tłum ze swoimi bliźniaczkami u boku. Po drodze wzięła z tacy dwa kieliszki szampana i wręczyła nam po jednym.

– Niewiarygodne przyjęcie, nieprawdaż? – wysapała bez tchu. – Odette, chodź ze mną. Tam przy oknie jest Suzette, to doprawdy u r o c z a osoba.

Złapała mamę za rękę i we dwie podążyły w stronę grupki kobiet w średnim wieku, skupionych wokół uprzejmie uśmiechniętej – choć zapewne już nieco przytłoczonej ich podziwem – felietonistki.

I znów zostałam sama z bliźniaczkami. Naprawdę wolałabym być tu z siostrą. Czułam się beznadziejnie smutna po ostatnim spotkaniu z Lukiem i przydałaby mi się przy boku przyjazna dusza, choćbym nawet nie mogła jej opowiedzieć, co mi tak doskwiera.

– Co robimy? – zapytałam bliźniaczki.

– Może chodźmy do pokoju z tyłu? – zaproponowała Marie, zerkając na siostrę. – Tego, w którym byliśmy wcześniej.

Monique wzruszyła ramionami.

– Jeśli chcesz.

Marie wzięła mnie za rękę i poprowadziła wraz z siostrą w stronę drzwi w głębi. Ale gdy tylko zobaczyłam, dokąd mnie zabiera, wzdrygnęłam się, aż mnie cofnęło. Salonik był mniejszy, bardziej zaciszny i wygodniejszy od tamtego pierwszego; na kominku buzował ogień. A na otomanach i wokół paleniska było pięciu czy sześciu niemieckich oficerów w czarnych mundurach ozdobionych medalami i spiętym szerokim skórzanym pasem. Rzucali się w oczy jak karaluchy na wyłożonej białymi płytkami podłodze.

– Wiem, też byłam zaskoczona – szepnęła do mnie Marie. – Ale oni są naprawdę przyjaźnie nastawieni.

Wywieźli jednego z moich przyjaciół.

– To bardzo miłe, kiedy możemy na chwilę zapomnieć o wojnie i po prostu być l u d ź m i.

Stałam niczym skamieniała w progu i patrzyłam, jak Marie nawiązuje rozmowę z niebieskookim blondynem na sofie. Jego czerwona nazistowska opaska raziła wręcz w oczy, ale Marie najwyraźniej to nie przeszkadzało, kiedy próbowała łyżeczek jego koniaku, a potem marszczyła nos, co zapewne miało być śliczną minką wyrażającą niesmak.

Monique sterczała obok mnie jak człowiek, który się wybrał na plażę i nie może się zdecydować, czy wejść do wody, czy nie. Z sióstr LaRoche

to ona była tą, z którą mi się n i e c o lepiej dogadywało. Widziała zapewne, jakie to nieodpowiednie.

– Przyłączysz się do nich? – zapytałam.

– No... chyba tak – bąknęła. – Wiem, że to niewłaściwe, ponieważ są wrogami, ale jednocześnie okupacja to okupacja, prawda? Nie zmienimy tego. Równie dobrze możemy nawiązać znajomości i mieć z tego coś dla siebie.

– Na przykład co?

– Jedzenie. Wino. *Maman* mówi, że ceny na czarnym rynku są już niebotyczne.

Monique wyraźnie miała ochotę dołączyć do siostry. Ja nie.

– No to ruszaj – zachęciłam ją, zerkając do korytarza, który mógł prowadzić do ubikacji. – Ja najpierw przypudruję sobie nos.

– No to do zobaczenia – odparła. – Daję słowo, że nie jest tak źle, jak wygląda.

Pomknęłam do korytarza, zamierzając dziś wieczór możliwie jak najwięcej czasu spędzić w toalecie. Już miałam skręcić za róg, gdy nagle na kogoś wpadłam – kogoś, kto przy zderzeniu wydał metaliczny brzęk. Szampan z mojego kieliszka chlusnął do przodu, a szampanówka poleciała na podłogę i rozbiła się na milion kawałków.

W pokoju zapadła cisza, wszystkie oczy skierowały się na nas.

Zawstydzona chciałam się zapaść pod ziemię.

– *Gut gemacht, Uli* – zakpił siedzący na sofie blondyn.

„Dobra robota, Uli”. Pozostali Niemcy w saloniku pokazywali nas sobie i śmiali się. Świetnie, teraz wszyscy widzieli nas razem. Jeżeli się wymknę, ludzie to zauważą.

Uli, jak zapewne miał na imię facet, na którego wpadam, już kucał i w skórzanych rękawiczkach zbierał odłamki szkła na kupkę, po czym je wrzucał do pobliskiego kosza. Odruchowo schyliłam się, by mu pomóc, ale powstrzymał mnie ruchem dłoni.

– *Vorsicht, es ist sehr scharf* – ostrzegł. „Ostrożnie, to bardzo ostre”.

Nie był zapewne wiele starszy ode mnie. Miał gładką, bladą skórę, zaokrąglone rysy twarzy i czuprynę w kolorze piaskowego brązu. Zauważyłam – z maleńkim poczuciem ulgi – że nie nosi na ramieniu swastyki.

Gdy szkło zniknęło już z podłogi, podniósł się, a policzki płonęły mu z zakłopotania. Potem zerknął na moją sukienkę, teraz poplamioną szampanem, i zaczął pośpiesznie przeproszać łamanym francuskim, z każdą sekundą bardziej szkarłatny na twarzy.

– Naprawdę nie szkodzi – zapewniłam go po raz dziesiąty.

W końcu się uspokoił.

– Nie mam zbyt dużego doświadczenia na takich przyjęciach – powiedział z tłumionym chichotem. – Widzisz? Jeszcze ci się nie przedstawiłem. Jestem Ulrich Becker. A ty jak masz na imię, panienko?

Rzuciłam okiem w stronę Marie i Monique – obie były pogrążone w rozmowie na sofie. Cóż, jeśli już musiałam zostać na tym przyjęciu do czasu, aż *maman* postanowi iść do domu, lepiej, żebym spędziła wieczór z Ulrichem, który przynajmniej nie miał na ramieniu opaski, niż z tamtym blondwłosym nazistą.

– Adalyn Bonhomme.

– Masz bardzo ładne oczy, panno Bonhomme.

– O, dziękuję.

– Trzeba ci znaleźć coś do picia.

– Byłoby miło.

Pozwoliłam, by Ulrich poprowadził mnie do dwóch wolnych krzeseł koło kominka i nalał mi do kieliszka koniaku. Miło było się ogrzać i wysuszyć wilgotne ubranie, ale o czym miałam rozmawiać z tym przeklętym szkopem przez cały wieczór?

– Opowiedz mi o sobie – poprosił.

– Dobrze. Co chciałbyś wiedzieć?

Pociągnął długi, powolny łyk i zapatrzył się w płomienie. Widziałam, jak odbijają się w jego oczach.

– Cokolwiek.

Wyczułam, że nie chciał dowiedzieć się niczego konkretnego, ale jakoś wypełnić czas. Cóż, ja tak samo. Wybrałam bezpieczny, neutralny temat – szkołę – i chaotycznie opowiadałam o swoich pierwszych kilku miesiącach na uniwersytecie.

– To miło, że ci się tam podoba – rzeki Ulrich. – Muszę wyznać, że nigdy nie lubiłem szkoły.

– Dlaczego?

– Kiepsko mi szło w sporcie, najgorzej w całej szkole. Koledzy z klasy nazywali mnie słabeuszem. Właściwie... nigdy nie miałem wielu przyjaciół.

– Och. To zdecydowanie przykre. – Tak jak chodzenie do szkoły, kiedy Charlotte i Simone wyjechały. – Nie jest fajnie spędzać całe dni w samotności.

– Nie jest.

– Co robisz teraz?

– Pracuję na dworcu kolejowym.

– Czujesz się szczęśliwszy?

Cisza. Ulrich przygryzł sobie górną wargę.

– Czy mogę ci coś powiedzieć, panno Bonhomme?

– Tak, co tylko zechcesz.

Znów przytknął sobie kieliszek do ust, nie spuszczać oczu z płomieni na palenisku.

– Muszę mówić ostrożnie. – Skinął w stronę swoich rodaków. – Widzisz, jestem wdzięczny za swoją pozycję... i uważam, że to właściwe, naturalne, by Niemcy rządili Francją... ale jeśli mam być szczery, panno Bonhomme, bardzo tęsknię za moim domem w Berlinie.

Z całych sił starałam się, żeby emocje wzbudzone jego poglądami na Niemców i Francję nie odbiły się na mojej twarzy.

– Masz tam rodzinę?

– *Ja*. Matkę, ojca i młodszą siostrę. Moja siostra Klara to dla mnie najlepsza przyjaciółka. Normalnie rozmawiamy z sobą przez cały czas. Nie jest mi łatwo być tak daleko od niej... a to już dwa lata.

Jego słowa poruszyły we mnie nieoczekiwaną strunę. Przypomniały mi o Chloe, o jej spojrzeniu, kiedy w przedpokoju wyszarpnęła rękę z mojego uścisku. A także o tym wszystkim, co od dwóch lat z konieczności utrzymywałam przed nią w tajemnicy. Wojna wbiła między nas klin, co strasznie mnie frustrowało, ponieważ w głębi serca wciąż byliśmy tymi samymi osobami.

– Moja młodszą siostrę też jest moją najlepszą przyjaciółką – wyznałam Ulrichowi.

Gdy wreszcie na mnie popatrzył, dostrzegłam w jego oczach łzy.

– Dziękuję ci za zrozumienie...

– Oczywiście. To musi być bardzo bolesne.

– *Ja* – potwierdził ponownie. – Bardzo bolesne.

Nie miałam już nic do dodania o szkole, więc on z kolei zaczął opowiadać o swojej pracy. Dowiedziałam się, że jest odpowiedzialny za rozkład jazdy na Gare de l'Est, dworcu kolejowym położonym niedaleko od mojego domu. Ulrich pilnował, żeby ważne dostawy z Niemiec – broń, amunicja, materiały budowlane i inne – docierały do Paryża bezpiecznie i były przekazywane na potrzeby okupacji. Co prawda tęsknił za domem, ale był zadowolony z pracy i wkrótce wdał się w drobniejsze szczegóły organizowania rozkładu jazdy pociągów. Gdy wspomniał o specjalnej dostawie broni palnej planowanej na ten tydzień, nadstawiłam uszu. Może pod wpływem koniaku mój nowy znajomy wyjawি mi coś wartościowego o niemieckich planach wojennych – coś, co mogłoby się nam przydać.

Serce uderzyło mi mocniej wraz z przyływem adrenaliny.

Musiałam dobrze zapamiętać wszystko, co mówił.

– Adalyn?

Ulrich zamilkł, oboje podnieśliśmy wzrok. W drzwiach stała *maman*. Wodziła wzrokiem od niego do mnie i z powrotem, oceniając sytuację. Zapewne kalkulowała w myślach, czy to dobrze, że niemiecki oficer świadczy uprzejmości jej córce. W końcu uśmiechnęła się, choć nie bez ostrożności.

– Jesteś gotowa do wyjścia, kochanie? Madeleine załatwiła, że nas odwiezie niemiecki samochód oficerski. – Przerwała na chwilę. – Tak będzie łatwiej, niż wracać pieszo.

Jeszcze pół godziny temu skoczyłabym na równe nogi, teraz jednak ociągałam się, żałując, że nie wydobyłam z Ulricha więcej informacji. Pomógł mi wstać z krzesła i poprowadził do mamy, mijając Marie i Monique – obie były bardziej niż trochę podpite i na zmianę przymierzały czapkę od munduru jasnowłosego nazisty.

– Ma pani uroczą córkę – oświadczył Ulrich. – Spędziliśmy razem miłe chwile na rozmowie.

– Dziękuję – odpowiedziała *maman*. – Cieszę się, że wszyscy znajdujemy porozumienie.

Ulrich zwrócił się do mnie.

– Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy, panno Bonhomme.

– Ja też mam taką nadzieję – odparłam.

Wzięłyśmy nasze płaszcze i skierowałyśmy się do wyjścia, żegnając się jeszcze z kilkoma osobami. Nie wiedziałam, co mnie do tego skłoniło, lecz zanim wyszłam z apartamentu, po raz ostatni zerknęłam przez ramię w głąb sali. W drzwiach saloniku stał Ulrich i patrzył w moją stronę. Gdy nasze oczy się spotkały, uśmiechnął się i pomachał do mnie. Odmachałam mu.

W drodze do domu chłodny wrzesniowy wiatr wdzierał się do samochodu, mierzwiąc nam włosy. *Maman* rozpamiętywała atrakcje wieczoru, sprawiając wrażenie osoby, która usilnie stara się przekonać do czegoś samą siebie.

– Chyba zasłużyłyśmy na wieczorne wyjście, prawda? Miło było się zrelaksować. Biorąc pod uwagę, jak się sprawy mają, musimy pozwalać sobie na taki poczęstunek, gdy tylko się da. – Kiwała przy tym głową, jakby się sama z sobą zgadzała. – Zespół grał znakomicie... i było tyle szampana... i Suzette jest taka błyskotliwa. Bardzo bym chciała znowu się z nią zobaczyć.

Potakiwałam, utrwalając sobie w głowie rozkład jazdy pociągów Urlicha. Myślałam też o spotkaniu z Geronte'em, które miałam zaplanowane na jutro rano.

– Madeleine powiedziała, że musimy przyjść na następne przyjęcie. – *Maman* wyciągnęła rękę i uściśnięła mi dłoń.

Widziałam, że jest rozdarta. Wiedziała, że nie należy chodzić na spotkania towarzyskie z nazistami, ale dziś dobrze się bawiła. Tak bardzo chciała się przystosować do nowej normalności – nie w takim stopniu jak madame Marbot, rzecz jasna, ale przynajmniej na tyle, żeby nasze życie pod okupacją stało się znośniejsze. Zdaje się, że pragnęła, bym jej pomogła usprawiedliwić samej przed sobą chęć powrotu do hotelu Belmont, a ja na jej szczęście miałam dobry powód do ponownego spotkania z Ulrichem.

– Oczywiście, że pójdziemy na kolejne przyjęcie – zapewniłam ją, odwzajemniając uścisk.

Automobil skręcił w naszą zaciemnioną ulicę i na chodnik padło upiorne błękitne światło chowanych reflektorów.

Nie wiem, dlaczego to zrobiłam – może to był czysty przypadek, a może rzeczywiście dostroiłam się do wszelkich impulsów siostry – ale kiedy samochód zatrzymał się pod numerem 36, podniosłam wzrok w stronę naszego mieszkania na piątym piętrze.

Z okna wychylała się Chloe, niemal wisząc ponad ciemną ulicą.

W mroku nie dało się odczytać wyrazu jej twarzy i może nawet tak było lepiej. Bo mogłam sobie tylko wyobrazić, co dzieje się w głowie mojej siostry, kiedy wysiadałyśmy ze lśniącego niemieckiego wozu w naszych wieczorowych strojach, a *maman* chichotała z jakiegoś żarciku, który zasłyszała na przyjęciu.

Rozdział 9

Alice

Kolejny wieczór w domu. Kolejna sztywna kolacja przy kuchennym stole z mamą, która siedzi w posępnym milczeniu, podczas gdy tata i ja na zmianę próbujemy zacząć jakąkolwiek rozmowę.

– A więc, Alice, zdaje się, że ty i Paul planujecie na jutro zabawę w Wersalu. To chyba porządny chłopak, prawda, Diane?

– Mhmm.

– Naprawdę miło z jego strony, że mnie zaprosił – wtrąciłam. – Zrobił to ni stąd, ni zowąd, gdy wyszliśmy z mieszkania babci.

Kurka. Nie pomyślałam – wymknęło mi się. Gdy tylko wspomniałam o mieszkaniu, ciało mamy ewidentnie się napięło. Przestała gryźć, szczęka jej zeszywniała, a palce tak mocno zacisnęły się na widelcu, że pobieleły knykcie. O, nie, nie, nie. Poczulałam się okropnie. Mama wciąż była bardzo wrażliwa na wszystko, co dotyczyło babci, a ja tak po prostu rzuciłam tę bombę bez ostrzeżenia.

– Przepraszam, mamó. Staralam się o tym nie mówić.

– W porządku – mruknęła, przełykając jedzenie z wyraźnym trudem. – Nie szkodzi.

Nie dało się jednak ukryć, że wręcz przeciwnie – szkodzi. Żadne z nas nie odezwało się przez resztę posiłku; słyhać było tylko postukiwanie sztućców o talerze. Kiedy skończyliśmy, umyliśmy naczynia i mama wróciła do swojego rogu kanapy, a tata do swego laptopa. Mama zapewne potrzebowała teraz chwili samotności, poszłam więc do mojego pokoju tłumaczyć pamiętnik Adalyn.

Dziś położyłam sobie otwarty dziennik na jednym kolanie, a na drugim – otwarty terminarz prababci. Sprawdziałam daty, próbując znaleźć między

nimi jakieś powiązania. Nagle znalazłam coś, od czego podskoczyło mi serce.

W dzienniku był wpis z datą 26 września 1942 roku. Dzień wcześniej mama Adalyn po raz pierwszy była w hotelu Belmont. Może zabrała córkę z sobą? A Adalyn może napisała o Ulrichu Beckerze III? Zaczęłam wstukiwać tekst do tłumacza najszybciej, jak umiałam.

26 września 1942 roku

Myślałam, że po naszym powrocie z przyjęcia Chloe będzie na nas wrzeszczyć, ale porobiło się jeszcze gorzej. Stała w przedpokoju, wyglądając, jakby się miała rozpłakać. Potem wpadła do swojej sypialni i trzasnęła drzwiami.

Więc dobrze się domyślałam. Adalyn tam była.

Nie mogłam znieść myśli o tym, że ją rozczarowałam, więc na drugi dzień rano wybłagałam, żeby poszła ze mną na spacer nad rzekę. Tylko nad brzegami Sekwany, gdzie budynki ustępują miejsca wodzie i otwartej przestrzeni, człowiek nie czuje się w tym mieście klaustrofobicznie. Można tam pomyśleć. Odetchnąć. Od naszego domu jest dość daleko do rzeki, ale pogoda sprzyjała przechadzce, a ponieważ tego dnia to rodzice troszczyli się o zakupy, co innego miałybyśmy do roboty?

Chloe zgodziła się, choć niechętnie. Po drodze kupiłam nam po kubku tak zwanej kawy, która smakowała okropnie, ale nasz wspólny niesmak przełamał lody. Znowu zagrałyśmy w naszą grę, zaczynając od filiżanki bogatego, ciemnego espresso dla mnie i parującego kubka gorącej czekolady dla Chloe.

Nad rzeką wróciłyśmy do poważniejszych tematów.

Ona oczywiście powiedziała: „Jak mogłaś? To są wrogowie!”. A ja jej na to: „Wiem, że to wrogowie, i mama też wie. Ludzie mają różne sposoby radzenia sobie z okupacją. Muszą robić rozmaite rzeczy, żeby przetrwać”.

A potem popełniłam błąd: powiedziałam siostrze prawdę, że nigdy bym tam nie poszła, gdybym wiedziała, że na przyjęciu

będą szkopy.

Teraz boję się, co to będzie, kiedy się dowie, że zamierzam pójść znowu.

Dwa razy sprawdziłam tłumaczenie, pewna, że popełniłam błąd. Nie rozumiałam zakończenia – Adalyn napisała, że nie poszłaby do hotelu Belmont, gdyby wiedziała, że będą tam Niemcy. W takim razie czemu, u licha, chciała tam pójść znowu? Dziwne, ale najwyraźniej nie było błędu, czytałam więc dalej.

6 października 1942 roku

W ogóle nie mogłam się dzisiaj skupić na zajęciach. Była socjologia, którą zazwyczaj lubiłam bardziej niż inne przedmioty, ale umysł miałam po prostu w rozsypce. Profesor wywołał mnie i musiałam go poprosić, żeby powtórzył pytanie – co za wstyd.

Wiem jednak czemu: bo za nim tęsknię. Wyczekuję kolejnego wspólnego wieczoru. Nie spodziewałam się, że będę za nim aż tak tęskniła, a jednak.

Gapiłam się na to, co właśnie wstukałam, przez jakieś piętnaście sekund.

O mój Boże.

Ohyda, ohyda, o h y d a.

Zatrzasnęłam laptop i wcisnęłam dziennik do plecaka, żeby mi zniknął z oczu. Nareszcie to znalazłam – moment, w którym Adalyn zboczyła. Nie zamierzałam tłumaczyć już więcej ani słowa.

Serce mi przyśpieszyło, gdy poskładałam wszystko w prawdopodobny ciąg zdarzeń.

Wiedziała, że przedtem nienawidziła Niemców. Gardziła nimi. Potem, w 1942 roku, poszła do hotelu Belmont i... mimo że byli tam naziści, postanowiła wrócić.

Czy to dlatego, że poznała Ulricha Beckera III? Zapewne to o nim rozmyślała w kolejnym wpisie w dzienniku. Żołądek mi się przewracał, gdy zobaczyłam w wyobraźni, jak się w sobie zakochują i Ulrich pisze do Adalyn liścik, który znaleźliśmy w jej szufladzie.

Rozległo się pukanie do drzwi. Aż podskoczyłam z wrażenia.

– Alice? – To tata.

– Hej... wejdz.

Wśliznął się do pokoju i cicho zamknął za sobą drzwi.

– Co tam? – zapytałam, starając się nie okazać, jaka jestem wstrząśnięta z powodu dziennika.

Tata usiadł na kraju łóżka. Założył nogę na nogę, a potem ją zdjął i najwyraźniej nie umiał się usadowić wygodnie. Wreszcie, gapiąc się w moje kolano, rzekł:

– Chcę z tobą o czymś porozmawiać.

– Okej.

– Chodzi o mamę.

Westchnęłam, bo poczucie winy z rozmowy przy kolacji znowu odbiło mi się rykoszetem w sercu.

– Naprawdę bardzo mi przykro, że wyskoczyłam z tym mieszkaniem. Tak mi z tym źle... wymusnęło mi się...

– W porządku, Alice. – Poklepał mnie po łydce dłonią sztywną jak deska, po czym odchrząknął. – Właśnie, eee, właśnie o tym chciałem z tobą pomówić. – Zrobił przerwę, żeby głęboko zaczerpnąć powietrza, a ja nagle się zdenerwowałam. – Zważywszy na to, jak mama się miewa, chciałem nakierować twoją uwagę na...

– Na co?

Potańczał się dłonią po karku.

– Na potencjalną możliwość wystawienia mieszkania babci na sprzedaż.

O kurczę.

On chce...

Co on chce zrobić?

– S-słucham? – zająknęłam się, szukając słów. – Jestem trochę ... jakby zaskoczona.

– Ostatecznie to twoja decyzja – zastrzegł szybko. Mówił teraz pośpiesznie i bez trudu rozpoznałam jego nawijkę sprzedawcy. – Wiem, że ty i babcia byłyście sobie bliskie, wiem też, że wiele dla ciebie znaczy fakt, że ci zostawiła mieszkanie, lecz myślę, że powinnaś to przynajmniej rozważyć. To znaczy, pomijając już stan mamy, mieszkanie będzie wiele warte... nawet nie sama nieruchomość, ale zachowane w niej ruchomości. Mogłabyś mieć z tego dużo pieniędzy.

Siedziałam tam, mrugając, a jego słowa powoli docierały do mojej świadomości. Następne, co poczułam, to twarda gęstwa w gardle. Babcia zostawiła mi to mieszkanie; chciała, żebym je miała. Jeżeli je sprzedamy, możemy nigdy się nie dowiedzieć, co się tak naprawdę stało z jej rodziną. Możemy stracić ważne wskazówki. Odepchniemy od siebie historię.

Rozumiałam jednak tok myślenia taty. Najzupełniej. Jeżeli wszystko, co związane z tym mieszkaniem, zasmuca mamę, czemu nie pozbyć się tego ze swojego życia na zawsze? Zacząć od nowa. Mamie by ulżyło, a ja czułabym się znacznie mniej winna z powodu tego dziedzictwa. I czy tak naprawdę nadal chcę szukać Adalyn – po tym, co właśnie przeczytałam w dzienniku? Czy chcę przesiadywać w mieszkaniu, które było domem zwolenniczki nazistów? Poczułam się, jakbym wróciła do punktu wyjścia, nie wiedząc, dokąd się skierować.

– Nie musisz decydować już teraz – zastrzegł tata. – Ale może w ciągu najbliższych dwóch tygodni? Zacząłem się rozglądać wśród miejscowych pośredników i chciałbym z którymś nawiązać kontakt, zanim wyjedziemy.

Sięgnęłam po kołdrę i okryłam nią sobie nogi. Nie miałam pojęcia, co teraz powiedzieć, ponieważ w gruncie rzeczy widziałam plusy każdej z dwóch opcji.

– Czy mama wie? – zapytałam.

– Wspomniałem jej – odparł tata. – Powiedziała, że to twoja decyzja... ale...

– Zapewne nie chce wywierać na mnie nacisku.

– Właśnie.

Pomyślałam, że pewnie tata bagatelizuje reakcję mamy. Realnie myśląc, pewnie była podekscytowana perspektywą sprzedaży mieszkania babci. Osunęłam się na zagłówek, czując się przygnieciona ciężarem decyzji. Przynajmniej miałam dwa tygodnie na jej podjęcie.

– Dam ci znać, tato.

Pokazał mi oba kciuki do góry i zerwał się z miejsca, bez wątplenia zadowolony, że ma trudną rozmowę za sobą.

– O której jutro wyruszasz do Wersalu?

– O... ee, wstaję wcześniej, żeby jeszcze kupić coś do jedzenia, zanim się spotkam z Paulem, więc pewnie się nie zobaczymy...

– Baw się dobrze, kochanie.

– Dzięki, tato. I hej... zadbasz o to, żeby mama też się dobrze bawiła? Wymogłam na niej obietnicę, że się postara, ale...

– Zadbam o nią – odrzekł. Uśmiechnął się, ale smutno. – Pa, Alice.

– Dobranoc, tato.



Była dopiero jedenasta przed południem, lecz na ulicach już się tłoczyli ludzie, niektórzy z francuską flagą narodową zarzuconą na ramiona. Miałam się spotkać z Paulem przed Musée d'Orsay, ale tłum był tam tak gęsty, że trudno mi było wypatrzeć przyjaciela. Ktoś szturchnął mnie z tyłu i pięciokilogramowy francuski ser, który taszczyłam, o mało nie wyleciał mi z rąk.

– Alice! Tutaj!

Podążyłam za jego głosem i w końcu ujrzałam Paula – podskakiwał i wymachiwał czymś nad głową, by zwrócić moją uwagę. O mój Boże, to była bagietka.

Chichocząc, dobrnęłam wreszcie do niego.

– Doceniam twoją pomysłowość – powiedziałam.

– Po prostu nie chciałem, żebyś się zgubiła – wyjaśnił, rumieniąc się. Potem dostrzegł, że trzymam przed sobą ogromną torbę z zakupami, obejmując ją, jakby od tego zależało moje życie, i oczy mu się zaokrągliły.
– Alice, czy cała ta torba jest pełna sera?

– Sera... i oliwek, i orzechów, i suszonych owoców, są też takie śliczne małeńkie pikle, które sprzedawca doradził mi kupić, no i jeszcze parę rzeczy, nawet już nie pamiętam co. Może trochę przesadziłam na targu. W New Jersey nie mamy takiego wyboru.

– Ciężkie?

– Potwornie.

Wziął torbę z moich rąk i zamiast niej dał mi do niesienia bagietki. Poszłam za nim po schodach, by kupić bilety w automacie. Pociąg był pełen pasażerów, lecz Paul i ja przecisnęliśmy się na górę i udało się nam znaleźć dwa miejsca siedzące obok siebie. Poczułam się bardzo dorosła, siedząc koło chłopaka z zakupami spożywczymi u stóp. Serce mi podskoczyło, gdy wytoczyliśmy się z dworca.

Pociąg zatrzymał się na kilku stacjach w samym Paryżu, po czym już sunął przez przedmieścia w stronę miasteczka Wersal. Podczas gdy mijaliśmy grupki domów na wzgórzach, opowiedziałam Paulowi o niepokojących wpisach z dziennika Adalyn, które ostatnio przeczytałam. Nie wspomniałam o pomysłach wystawienia mieszkania na sprzedaż, ponieważ nie chciałam go dokładnie wprowadzać w sytuację związaną z mamą, a poza tym nawet jeszcze nie wiedziałam, czy rzeczywiście chcę to zrobić. W końcu wyjęłam telefon, żeby pokazać Paulowi, co dziś robiłam, gdy tylko się obudziłam – gmeralam po Facebooku w poszukiwaniu Ulricha Beckera III.

– Może zupełnie się mylę – rzekłam – ale niewykluczone, że go znalazłam.

Paul nachylił się do mnie, nasze gołe ramiona zetknęły się i przycisnęły do siebie.

– Początkowo myślałam: „Kurczę, Ulrichów Beckerów jest na pęczki” – mówiłam, wstukując imię i nazwisko do wyszukiwarki. Przewinęłam stronę, żeby zademonstrować ciągnącą się w nieskończoność listę wyników. – A potem przypomniałam sobie, że szukamy Ulricha Beckera numer trzy. Zawęziłam więc poszukiwania ... – Dodałam do wyszukiwania rzymską liczbę trzy. – Nie trafiłam na żadnego Ulricha Beckera Trzeciego, którego wiek pasowałby do naszego, ale z ciekawości kliknęłam stronę tego faceta, Ulricha Beckera Czwartego... – Weszłam na profil ponad siedemdziesięcioletniego mężczyzny. – I oczywiście to nie jest nasz facet, ale rzuciłam okiem na ostatnie zdjęcie, które zamieścił, i... – Pokazałam Paulowi fotkę.

Patrzył przez sekundę i zaraz ostro wciągnął powietrze. Przysunął sobie telefon bliżej twarzy, przez co nieświadomie złapał mnie za rękę. Dużo było do ogarnięcia naraz.

– Myślisz, że to może być on? – zapytał z niedowierzaniem.

Fotografia przedstawiała grupę mężczyzn i chłopców z wędkami nad brzegiem jeziora. Zapewne była to rodzina, ponieważ mężczyzna oznaczony jako „Ulrich Becker IV” trzymał rękę na ramieniu młodszego od siebie mężczyzny oznaczonego „Uli Becker V”. Poza tym mieli takie same włosy w kolorze piasku i zaokrąglone, mało wyraziste twarze. Najbardziej intrygującą częścią zdjęcia był jednak zasuszony staruszek siedzący na krześle pośrodku przedniego rzędu. Nie oznaczono go – zapewne nie było

szans, by tak podeszła wiekiem osoba używała Facebooka – ale na szczęście jego tożsamość dało się wywnioskować z podpisu. Stuknęłam w guzik z tłumaczeniem i razem z Paulem przeczytałam niemiecki tekst w kulawej angielszczyźnie.

– „Doroczna wyprawa w głąsę z okazji dziewięćdziesiątych piątych urodzin Trzeciego! Chłop wciąż ma krzepę. Złowił więcej ryb niż ktokolwiek inny”.

– Nazywają go Trzecim – zauważyłam.

– I wiek by się zgadzał – dodał Paul nieco skołowany.

Serce pędziło mi szaleńczo – po pierwsze, ponieważ Paul sprawiał wrażenie tak samo podekscytowanego moim odkryciem jak ja, a po drugie, ponieważ nie puszczał mojej ręki. To drugie najwyraźniej oboje uświadomiliśmy sobie w tym samym momencie, gdyż natychmiast cofnął dłoń i nerwowo poprawił sobie okulary. Pewnie powinnam była mówić dalej, żeby nie pomyślał, że przywiązuje wagę do każdego najmniejszego kontaktu fizycznego między nami.

– Chcę do niego wysłać wiadomość – powiedziałam szybko. – Ale nie wiem, jak zacząć. Chodzi mi o to, że on oczywiście posługuje się niemieckim.

– Możemy użyć tłumacza – podsunął.

– Prawda. Ale jak mam mu to wyłuszczyć? Jak ni stąd, ni zowąd zapytać nieznanego, czy jego ojciec przypadkiem nie był nazistą, który zakochał się w mojej od dawna zaginionej francuskiej krewnej? Weźmie mnie za wariatkę albo się mocno wkurzy! Nie można tak po prostu pytać ludzi, czy byli nazistami.

Paul potarł sobie policzek.

– Tak – przyznał mi rację. – Trzeba pomyśleć nad właściwym ujęciem tej sprawy.

– Nie jestem w tym dobra – wyznałam. – Denerwuję się na samą myśl o czymś takim.

– Wobec tego zostawmy to na później – postanowił. – Jutro siądziemy razem w księgarni i wykombinujemy, co napisać do tego człowieka, dobrze?

– Okej.

– Dziś – ciągnął – nie zajmujemy się niczym innym niż świętowaniem twojego pierwszego *quatorze juillet*. A teraz może coś zjemy?

Oderwał jeszcze ciepły kawałek bagietki i podał mi jego połowę. Udając, że martwi mnie skrócenie bułki, spytałam:

– Ale jak cię teraz odnajdę, jeżeli się zgubię?

Zrobił poważną, zamyśloną minę, na której widok znów zachichotałam.

– Chyba po prostu musimy trzymać się razem – odparł.



W zeszłym roku uczyliśmy się na historii o Wersalu. Pan Yip pokazywał nam slajdy przedstawiające najbardziej wystawne części pałacu: frontowe dziedzińce, Galerię Zwierciadlaną, nedorzecznie symetryczny ogród na tyłach... W żaden sposób nie przygotowały mnie one jednak na to, co zobaczyłam na własne oczy, kiedy wyszliśmy ze stacji i skręcili za róg. W oddali wyłaniał się ogromny pałac.

– O mój Boże, ależ to wielkie! – zawołałam.

– Zaczekaj, aż zobaczysz z bliska – zastrzegł Paul. – Mamy przed sobą dziesięćminutowy spacer.

Wersalski pałac to jedna z tych rzeczy, które odbierają człowiekowi całe jego dotychczasowe postrzeganie rozmiaru i przestrzeni, jak Wielki Kanion Kolorado. Z bliska kompleks okazał się tak potężny, że musiałam obracać głowę, bo nie mieścił się w polu widzenia. Rozległe frontowe dziedzińce roiły się od ludzi, postawiliśmy więc nasze torby koło konnego pomnika Ludwika XIV i napawaliśmy się widokiem z tego punktu.

– Podczas rewolucji francuskiej – wyjaśnił Paul – kobiety przyszły tutaj z Paryża pieszo, by protestować przeciw cenom chleba.

Pamiętałam, jak pan Yip opowiadał nam o tym, ale znaczenie tamtego marszu dotarło do mnie dopiero teraz.

– Ja bym się poddała natychmiast, gdy tylko zobaczyłabym pałac!

– Ty? Poddałabyś się? Niemożliwe. – Paul trącił mnie łokciem.

– O, naprawdę? Dlaczego tak myślisz?

– Widzę, jak próbujesz rozwiązać zagadkę twojej babci. Jesteś zdeterminowana. Podoba mi się to w tobie.

Uśmiechałam się sama do siebie przez całą drogę do mieszkania.

Rano Paul wspomniał w pociągu, że Vivi bardzo poważnie podchodzi do świąt – i nie żartował. Kiedy dotarliśmy do mieszkania na ostatnim piętrze

budynku, otworzyła nam drzwi, wyglądając jak małeńki ludzki fajerwerk. Miała na sobie czerwono-biało-niebieską sukienkę z cekinami, na głowie sterczały jej dwa kucyki z wplecionymi metalicznymi gadżetami imprezowymi, w uszach dyndały kolczyki w kształcie kul dyskotekowych, a lśniące srebrne bransoletki podzwaniały przy każdym ruchu rąk. Uściskała nas po kolei, zostawiając nam na ubraniach brokat.

– *Vivi, tu es ridicule* – zauważył Paul, otrzepując sobie koszulę. – Zwracając się do mnie, wyjaśnił: – Francuzi zwykle nie stroją się w taki sposób. Tylko Vivi.

Vivi, podskakując przy każdym kroku, poprowadziła nas korytarzem do szerokiej otwartej przestrzeni łączącej kuchnię, jadalnię i aneks wypoczynkowy. Pachniało upajająco, chyba jeszcze lepiej niż w piekarni, a to mówi samo za siebie. Jak można się było spodziewać, stół był zastawiony do uczyty, która wystarczyłaby zapewne dla dwudziestu biesiadników, lecz oprócz nas w mieszkaniu dostrzegłam tylko trzy inne osoby: dwie dziewczyny i faceta rozmawiających w trójkę na balkonie na zewnątrz.

– Chyba w tym roku trochę przesadziłam – przyznała Vivi.

– Chyba przesadzasz co roku – zażartował Paul. Postawił torbę z zakupami na blacie. – Cóż, przynajmniej Alice i ja będziemy mieli mnóstwo sera na drogę powrotną do domu.

Vivian zawołała tamtą trójkę do środka, żeby nas przedstawić, zanim siądziemy do obiadu. Facet, Theo, okazał się jej chłopakiem, studentem akademii sztuki. Miał liczne kolczyki w uszach i kolorowe tatuaże ciągnące się od nadgarstków po ramiona. Dziewczynę z długim brązowym warkoczem Vivi przedstawiła jako swoją najlepszą przyjaciółkę, Claudette, a blondynkę z kręconymi włosami, Lucie, jako dziewczynę Claudette.

Polubiłam ich wszystkich od razu. Jako że byłam przyzwyczajona do milczących posiłków z mamą i tatą, żywiołowe zachowanie Vivi i jej przyjaciół niemal mnie przytłaczało. Robili, co mogli, żeby mówić po angielsku i nie wyautować mnie z towarzystwa, i wychodzili ze skóry, by dowiedzieć się o mnie jak najwięcej – o nijakiej dziewczynie, która przypadkowo pojawiła się na ich dorocznej uroczystości. Jak się żyje w New Jersey? Jak poznałam młodszego brata Vivi? I oczywiste pytanie: co robię latem w Paryżu?

Na to ostatnie odpowiadaliśmy wspólnie Paul i ja. Od czasu do czasu wtrącał jakieś szczegóły po francusku, żeby wszyscy mogli zrozumieć. Sama się sobie dziwiłam, że bez oporów opowiedziałam o znalezionych zdjęciach Adalyn oraz o ostatnio odczytanych wpisach w dzienniku. Ku mojej uldze nikt się przy tym do mnie nie zraził ani mnie nie wyprosił z mieszkania.

– Francuzi niechętnie przyznają, do jakiego stopnia wielu z nich współpracowało z wrogiem – powiedział Theo. – Byli przecież francuscy policjanci, którzy egzekwowali narzucone przez nazistów prawa... francuscy obywatele, którzy wydawali swoich żydowskich sąsiadów gestapowcom... To francuscy kierowcy prowadzili autobusy, w których żydowskie rodziny przewieziono do Vel' d'Hiv, skąd pojechały na śmierć... I owszem, niektóre Francuzki spotykały się z Niemcami.

– Wiesz co, nie można osądzać wszystkich kobiet, które to robiły – przerwała mu Claudette.

– Co masz na myśli? – spytał Theo.

Claudette westchnęła.

– Po wojnie pokazowo karano Francuzki za *collaboration horizontale*. – Przy ostatnich dwóch słowach zrobiła palcami w powietrzu cudzysłów.

– Co to znaczy? – zainteresowałam się.

– No wiesz... chodzi o... sypianie z wrogiem – wyjaśniła. – Wyciągali kobiety na ulicę i golili im włosy do zera... rysowali im na czołach szminką swastyki... i gonili je ulicami nagie.

– To obrzydliwe – wtrąciła jej dziewczyna – ponieważ nie wszystkie sypiały z Niemcami dla zabawy. Może ich mężów wywieziono albo zabito, a one były bardzo biedne, potrzebowały pieniędzy czy jedzenia, żeby przeżyć... Albo może to Niemcy zmuszali je do tego, a okupantom nie można było odmówić...

– Przykro mi – bąknął Theo. – To okropne.

– I naprawdę skomplikowane – zgodziłam się. – Ale czy myślicie, że to się może odnosić do Adalyn? Mieszkała z rodziną, i to dość zamożną.

Wszyscy na tę uwagę westchnęli.

Nastrój poprawił się nieco, kiedy opowiedziałam o moim odkryciu na Facebooku oraz wspomniałam, że Paul i ja zamierzamy jutro sięść i wymyślić, co napisać do Ulricha Beckera IV.

– Co byście proponowali? – zagadnęłam.

– Hełoł, ziom – zaczął Theo, siląc się na amerykański akcent, co w jego wydaniu wyszło prześmiesznie. – Nie znasz mnie, ale możliwe, że jesteśmy w tajemny sposób powiązani. Jakaś szansa na to, że to twój staruszek napisał ten liścik miłosny, od którego mało nie zwymiotowałam?

Przerzucaliśmy się zabawnymi pomysłami i zajadaliśmy pyszności, które przygotowała dla nas Vivi, aż żadne z nas nie było już w stanie wcisnąć w siebie ani kęsa. Nasza gospodyni, jakby tylko na to czekała, skoczyła do kuchni i wróciła z tacą pełną ciasteczek z czekoladowymi wiórkami. Kiedy Claudette próbowała się od niej opędzić, Vivi najwyraźniej poczuła się urażona.

– Do kolacji masz jeszcze siedem godzin – oświadczyła surowo. – Jedz!

Reszta dnia była wypełniona słońcem, śmiechem i poczuciem wolności, radością z tego, że nie muszę nic robić, mogę po prostu cieszyć się towarzystwem Paula. Po obiedzie zgodnie stwierdziliśmy, że koniecznie trzeba się przespacerować po pałacowych ogrodach. Claudette przypomniiała, że do części na tyłach wchodzi się za darmo, ale Vivi nie chciała o tym słyszeć. Orzekła, że należy nam się wszystko albo nic, i przekonała nas, byśmy kupili bilety do wymyślnych francuskich ogrodów rozciągających się przed pałacem, gdzie można się snuć wśród żywopłotów przy akompaniamencie muzyki klasycznej.

– Daję słowo, że warto – zapewniła mnie, a kulki dyskotekowe tańczyły przy tym w jej uszach.

Gdy tylko weszliśmy do ogrodu z płatnym wstępem, uświadomiłam sobie, że Vivi miała rację. Wypielęgnowane zieleńce zdawały się ciągnąć w nieskończoność, jak gdyby zajmowały cały świat. U stóp schodów spływających kaskadą spod głównego budynku podzieliliśmy się w naturalny sposób na pary: Vivi i Theo, Claudette i Lucie, ja i Paul. Ponieważ on był tu już wcześniej, pozwoliłam, by mnie poprowadził przez główny trawnik do pięknego stawu z fontanną pośrodku. Okrążyliśmy go, śmiejąc się z kaczek, które nurkowały za pożywieniem, wystawiając nad powierzchnię kuper i łapy.

Na brzegu siedział w kucki mały chłopczyk, wyciągając pulchną rączkę w stronę jednego z ptaków. Wychylił się niebezpiecznie za mocno, lecz w tym momencie podbiegł do niego ojciec i zgarnął go w ramiona. Przywołało to zabawne zdarzenie z mojego dzieciństwa.

– Kiedy byłam mała, wpadałam do stawu w Central Parku – powiedziałam Paulowi.

– O, nie! Nic ci się nie stało?

– Absolutnie nic. Mama wyszarpnęła mnie, gdy tylko znalazłam się pod wodą. Prawie nie zdawałam sobie sprawy z tego, co się dzieje.

– A jak to się stało, że wpadłaś?

Uśmiechnęłam się sama do siebie.

– To trochę zawstydzające – bąknęłam.

– Teraz koniecznie musisz mi powiedzieć – nalegał Paul.

– Dobra. No... próbowałam rozmawiać z żółwiami.

Parsknął śmiechem, a ja trąciłam go żartobliwie.

– Miałam jakieś cztery lata, okej?

– Przepraszam – rzekł. Uśmiechał się do mnie, potrząsając głową. – To po prostu najbardziej urocza rzecz, o jakiej słyszałem.

Po wizycie nad stawem zapuściliśmy się w rosnący tuż obok cienisty zagajnik. Ledwie słyszałam to, co Paul mówi mi o założeniu ogrodu, ponieważ cała moja uwaga skupiała się na fakcie, że nasze palce się muskają. Wiedziałam, że spotkaliśmy się już więcej niż trzy razy, ale byłam pewna, że jest między nami chemia – czułam ją. W końcu, gdy podążyliśmy krętymi ścieżkami z powrotem w stronę pałacu, wziął mnie za rękę i choć nieśmiałość nie pozwoliła mi na niego spojrzeć, wyczuwałam, że oboje się uśmiechamy.

Później, wieczorem, po kolejnym nieprzyzwoicie obfitym posiłku, Vivi zabrała nas na taras urządzony na dachu. W jednej ręce niosła butelkę wina, a w drugiej tacę z następną partią domowej roboty słodkości. Usadowiłam się na krześle tuż obok Paula, objedzona przysmakami i nieprzytomnie szczęśliwa.

Jakby na dany sygnał, gdy tylko Vivi odkorkowała wino, rozległ się odległy trzask. Paul klepnął mnie lekko w ramię i pokazał mi coś w oddali. Aż mi zaparło dech w piersi na widok czerwonych, białych i niebieskich gwiazd eksplodujących na nocnym niebie nad Wersalem. Vivi z okrzykiem radości zarzuciła ręce na ramiona swojego chłopaka; Claudette i Lucie podskoczyły, klaszcząc w ręce. Ja, oglądając pokaz fajerwerków, co chwila zerkałam na Paula i za każdym razem przyłapywałam go na tym, że spogląda na mnie zamiast na sztuczne ognie.

Pokaz ciągnął się przez jakiś czas i po kilku minutach wszyscy wróciliśmy na swoje siedzenia. Rozmowa toczyła się po francusku, co mi nie przeszkadzało – przez cały dzień mówili do siebie po angielsku, a poza tym miło mi się słuchało ich języka. Pogryzałam ciasteczko i patrzyłam, jak Paul sący wino.

Nikt tutaj nie pił alkoholu, by się popisać, jak młodzież w moich stronach. Katrina Kim i Bethany Mackler strzeliły sobie po piwie przed jesienną zabawą szkolną i wirowały wokół sali gimnastycznej, robiąc gwiazdy, tak aby każdy wiedział o ich „wyczynie”. Paul, Vivi i pozostali nie mieli najmniejszego zamiaru urządzić przedstawienia – podczas rozmowy sący napój z kieliszków jako uzupełnienie wieczoru. Wcześniej kilka razy próbowałam czerwonego wina u Hannah, ponieważ jej rodzice to kolekcjonerzy. Spodobał mi się smak, ale wiedziałam, kiedy przestać, żeby się nie wstawić. Nie chciałam się potem tłumaczyć rodzicom. Teraz uznałam, że nic nie szkodzi, jeśli się napiję – mama i tata i tak przypuszczalnie będą już w łóżku, gdy wrócę. Dlatego kiedy Vivi zaproponowała dolewkę, nadstawiłam kieliszek. Znajomy owocowy smak o skórzanej nucie rozgrzewał mnie od środka.

Zabrzęczał mój telefon – przyszła wiadomość. Wcześniej napisałam do mamy, pytając, czy oglądają z tatą fajerwerki. Odpowiedziała w czterech słowach:

„Nie bardzo mam nastrój”.

Odczułam to jako ciężki żużlobetonowy pustak ciągnący mnie z powrotem na ziemię. Minutę temu na nowo przeżywałam w uniesieniu tamte chwile, kiedy trzymaliśmy się z Paulem za ręce, świeciło słońce, a w powietrzu unosił się zapach cytrusów, teraz jednak nie mogłam się pozbyć obrazu mamy siedzącej w tamtym rogu kanapy z kolanami podciągniętymi pod brodę, jak zawsze. Zachciało mi się płakać.

Odpisałam jej: „Obiecałaś, że postarasz się dziś dobrze bawić!”.

Byłam teraz taka bezradna. I przerażona. Zupełnie nie rozumiałam, co się dzieje z mamą. Jakbym znów była w pierwszej klasie, kiedy babcia odprowadzała mnie do domu, a ja biegłam, by zobaczyć mamę wracającą z kolejnej wizyty u lekarza, a ona w ogóle nie cieszyła się na mój widok. Wyglądała jak... zero. Pusta. Otępiła. Tata kazał mi nie zadawać pytań. Jedyne, co mogłam robić, to próbować ją pocieszyć, nic jednak nie działało. Teraz co prawda byłam starsza i wiedziałam, że nic nigdy nie pomagało,

gdy mama wpadała w swoje fazy, wciąż jednak chciałam wierzyć, że jest coś, co jej poprawi samopoczucie, trzeba tylko mocno nad tym pomyśleć. Kilka lat temu, podczas ostatniej fazy, próbowałam pisać wiersze, żeby dać upust własnym emocjom, ale właściwie nie robiło mi się po nich lepiej. Lądowały na kupce z tyłu szuflady mojego biurka niczym popioły tłumionych emocji.

Wino oszołomiło mnie nieco. Poczułam się lżej. Odgrodziło mnie jakby ścianą od złych odczuć. Kiedy oczyma wyobraźni ujrzałam mamę odpisującą na moją ostatnią wiadomość, wzięłam duży łyk. A potem jeszcze jeden. Och... właśnie osuszyłam kieliszek. Wypiłam więcej niż kiedykolwiek u Hannah.

Na ekranie pojawiła się odpowiedź od mamy:

„Ppraszam, że cię zawiodłam. Wszystkim sprawiam zawód”.

Moje palce popędziły po przyciskach.

„Wcale nie sprawiasz nam zawodu – pisałam. – Kochamy Cię, Mamo!”

„OK” – dostałam w odpowiedzi.

Nie byłam już przerażona – byłam sfrustrowana. Zła. Chciałam, żeby mama przynajmniej dziś spróbowała. To znaczy gdyby naprawdę wyszła z mieszkania, nie czułaby się taka przygnębiona. Sięgnęłam po butelkę, lecz okazała się pusta. Chciałam się jeszcze napić. Pewnie na dole znajdę więcej wina. Powinnam zejść i poszukać. Gdy wstałam, nogi się pode mną ugięły, ale w głowie się rozjaśniło. Stwierdziłam, że to dobrze. Nie musiałam myśleć o wiadomościach od mamy. Gdzie są schody? O, tam. Złapałam się barierek.

– Alice? Dobrze się czujesz? – Głos Paula.

– Świetnie. Zaraz wracam.

Schody nabrały ostrości. Zakręcały i zakręcały. Trzymałam się poręczy obiema rękami. W końcu stanęłam na równym gruncie. Na blacie kuchennym rzeczywiście stała butelka czerwonego wina, ale nie umiałam obsłużyć korkociągu. Aha, trzeba pokręcić. Sukces. Napełniłam sobie kieliszek po brzegi. Pochyliłam się i zassałam łyk, żeby się nie rozlało. Naprawdę pyszne. Powinnam dopić i nalać sobie znów, zanim wrócę na górę. Dobra, tak właśnie zrobię.

– Alice, co robisz?

To znowu Paul. Stał u stóp schodów. Wyglądał na zatroskanego, ale nie powinien się o mnie martwić. Wszystko miałam pod kontrolą. Byłam po

prostu rozdrażniona.

– Nic mi nie jest, daję słowo – rzuciłam.

– Z kim pisałaś na górze?

– Z mamą.

– Coś nie tak?

– Niewielkiego.

– Zdaje się, że jednak tak.

– Nie byłoby nic wielkiego, gdyby chociaż spróbowała sama sobie pomóc.

Paul otwierał usta, by coś odpowiedzieć, ale nie dałam mu dojść do słowa.

– Wiem, co chcesz powiedzieć, Paul. – Zdania płynęły za mnie tak szybko, że nie byłam w stanie nad nimi panować. – Powiesz to samo co ostatnio, że tata i ja powinniśmy usiąść i porozmawiać z nią.

Paul stał już obok mnie. Jego ręka spoczęła na moim ramieniu. Naprawdę nie chciałam po raz drugi usłyszeć tej samej rady, chwyciłam więc swoje wino i pomaszerowałam z nim na balkon. Paul ruszył za mną. Oparłam się o barierkę, patrząc na wybuchające nad miastem fajerwerki.

– Alice, mogę ci coś powiedzieć? Coś, czego nie mówię zbyt wielu ludziom.

Chciałam, żeby po prostu podszedł i razem ze mną oglądał sztuczne ognie. Nie miałam ochoty więcej o tym rozmawiać.

– Wiesz, że oboje moi rodzice są lekarzami, prawda? I że nie chcieli, żebym studiował sztuki piękne?

Czekał, żebym się odezwała, ale nie chciało mi się uczestniczyć w tej rozmowie. Ciągnął więc dalej.

– Nie powiedziałem ci, że tak naprawdę zamierzali mnie wysłać na medycynę. Ale widzisz, u nas we Francji takie studia są niedorzeczne. Żeby przejść z pierwszego roku na drugi, trzeba zdać niemożliwy egzamin i mało komu się udaje. Zdaje może piętnaście procent studentów. Żeby się w to pchać, człowiek musi naprawdę tego chcieć... a ja nie chciałem. Ani trochę. Chciałem być artystą. Ostatecznie poszliśmy na kompromis i trafiłem do szkoły projektowania graficznego, ale wciąż czułem, że rodzice nie są ze mnie dumni, zwłaszcza ojciec. – Westchnął. – Dlatego ostatniej jesieni, kiedy zacząłem studia, byłem bardzo, ale to bardzo zestresowany. Zaliczałem te wszystkie projekty i pracowałem bardzo,

bardzo ciężko, ale jednocześnie czułem, że sprawiam ojcu zawód. Bez przerwy miałem wrażenie, że coś robię źle.

Urwał na chwilę.

– W końcu zaczęło mi być naprawdę ciężko z tym stresem. Szedłem ulicą albo siedziałem na zajęciach i dostawałem takich okropnych napadów, kiedy nagle nie mogłem złapać tchu. W klatce piersiowej czułem ucisk, przed oczami latały mi mroczki i naprawdę wierzyłem, że umieram. Zdarzało się to co najmniej raz dziennie. I oczywiście bałem się, że się nasili, przestałem więc wychodzić na zewnątrz, o ile nie było to konieczne. Po prostu zostawałem na kwaterze sam... bez przyjaciół... nie brałem się za zadania domowe... właściwie nic nie robiłem. I nie rozmawiałem o tym, co się dzieje, ponieważ, no wiesz, już i tak bałem się, że sprawiam ludziom zawód.

Odetchnął głęboko.

– Ale pewnego dnia w moim pokoju pojawiła się Vivi. Zdaje się że poprzedniego wieczoru nie przyszedłem na jej bożonarodzeniowe przyjęcie. Powiedziała: „Paul, nie wyjdę, dopóki nie pogadamy o tym, co się z tobą dzieje, i nie wymyślimy, jak to naprawić”. Alice, nigdy bym o tym nie wspomniał, gdyby sama nie zagadnęła. To ona zmusiła mnie do rozmowy i namówiła, żebym poszedł do terapeuty, który okazał się bardzo, bardzo pomocny.

Stał obok mnie, patrząc w nocne niebo.

– Gdyby Vivi nie zaczęła wtedy ze mną tamtej rozmowy, nie rozwiązałybym swojego problemu. Nigdy nie poszedłbym do piekarni i nie rysował w szkicowniku dla przyjemności... no i nigdy nie poznałbym ciebie. Więc... myślę, że powinnaś spróbować.

Chciał znów wziąć mnie za rękę, ale mu ją wyrwałam i wycofałam się do kąta.

– Alice?

Jego słowa piekły mnie niczym sól sypana na otwartą ranę.

Czułam, że zaraz rozsadzi mnie z bólu.

– Paul, myślisz, że do tej pory nie próbowałam? – Gotowało się we mnie. – Moja mama miewa te dziwaczne zapaści od czasu, gdy byłam w pierwszej klasie podstawówki. Jak myślisz, co robię za każdym razem, kiedy...

– Alice... nie wiedziałam... nie chciałem cię urazić... Próbowałem tylko...

– Powiedzieć mi, że najwyraźniej nie zależy mi na mojej mamie, tak jak twojej siostrze zależy na tobie?

Wyglądał, jakbym go spoliczkowała. Dobrze mu tak, skoro uważa, że może wejść tanecznym krokiem i ot tak naprawić moją rodzinę. Przecież wcale nas nie zna. Nie rozumie naszych problemów. Nie ma pojęcia, że moja rodzina nigdy w swojej historii nie rozmawiała ani o jednym uczuciu, ani razu.

– Nie to miałem na myśli – dodał cicho.

Próbował nas pogodzić, ale ja wciąż kipiałam.

– Robię absolutnie wszystko, co w mojej mocy, by jej pomóc...

– Wierzę ci, przepraszam...

– I nie potrzebuję twoich krytycznych uwag – warknęłam. – Poradzę sobie sama. Przypuszczalnie sprzedam to głupie mieszkanie i będę żyć dalej.

– Co? – spytał.

Nie miałam ochoty na wyjaśnienia.

Fajerwerki już się w większości skończyły. Zrobiło się cicho. Niebo było czarne. Stałam tam ze skrzyżowanymi ramionami, oddychając ciężko. Nie mogłam uwierzyć, że wcześniej tego samego dnia trzymaliśmy się za ręce, wolni od wszelkich zmartwień.

– Naprawdę mi przykro – odezwał się Paul po minucie czy dwóch. – Czy możemy porozmawiać o tym, co się właśnie stało? – Przygryzł sobie wargę. Tę przepiękną wargę. Nie mogłam teraz na nią patrzeć. – Chcesz ze mną pogadać o swojej mamie? I co rozumiesz przez „sprzedam mieszkanie”?

Gadać, gadać, gadać. Paul pewnie myśli, że wszystko można rozwiązać rozmową. Zapewne chce mi pokazać, jaki potrafi być s k u t e c z n y – tak mi się przynajmniej zdawało.

– Chyba po prostu chcę wrócić do domu – odparłam.

Na jego twarzy desperacja ustąpiła miejsca porażce.

– Na pewno?

– Tak.

Poszliśmy na górę i pożegnaliśmy się z Vivi, Theo, Claudette i Lucie, którzy zostawali tam na noc. Potem Paul zamówił taksówkę, żeby nas

zawiozła na stację. W pociągu oparłam się o szybę i zamknęłam oczy, podczas gdy za oknem przesuwał się ciemny krajobraz.

Całą drogę powrotną do Paryża spędziliśmy w milczeniu.

Rozdział 10

Adalyn

O wpół do jedenastej postąpiłam według zaleceń, które miałam wypisane na skrawku papieru: poszłam na południowy kraniec parku Monceau, policzyłam ławki i wybrałam trzecią od końca, obok słupa latarni. Usiadłam, starając się wyglądać swobodnie, ale serce biło mi jak młotem. Czy on teraz na mnie patrzy? Wszędzie dokoła kręcili się ludzie, a on mógł być każdym z nich: biznesmenem z czarnym parasolem, starszym panem z drewnianą laską, ojcem czytającym córeczce książkę z obrazkami.

Na moje kolana padł cień i tak po prostu obok mnie usiadł jakiś mężczyzna. Miał może około sześćdziesiątki; twarz, przypominającą sękaty pień drzewa, częściowo przesłaniała potargana siwa broda. Przez policzek biegła głęboka blizna, jak gdyby w korę tego drzewa uderzył piorun.

Więc to jest człowiek nazywany Geronte.

– Jeśli masz w planach podróż pociągiem – mruknął szorstko – słyszałem, że dziś nie kursują planowo.

To umówiony sygnał. Jednym szybkim ruchem wyjęłam z kieszeni połówkę biletu i podałam mu ją. Przytrzymał ją przy swojej, skinął krótko głową i schował je obie w kieszeni na piersi.

– Musisz dobrze zapamiętać to, co ci teraz powiem – burknął. – Potrafisz?

– Tak – zapewniłam.

– Pójdiesz jutro rano pod adres rue Cambacérès numer dwadzieścia siedem – powiedział. – Powiesz dozorczyńni, że masz do odebrania paczkę dla wujka, a ona ci wręczy kopertę. Będą w niej listy i adresy. Dostarczysz je przed końcem tygodnia.

Zapewne takie zadania wykonywał Luc. Pamiętam, że na jego przystojnej twarzy powstały świadczące o zmartwieniu zmarszczki i worki pod oczami.

– Tak jest.

Geronte chrząknął.

– Więc jesteś tą dziewczyną, którą pokazują w magazynach... tą, która chodzi na wszystkie przyjęcia – rzekł, wciąż patrząc prosto przed siebie. – Luc bardzo dobrze się o tobie wyraża.

Serce zabiło mi jeszcze szybciej.

– To bardzo uprzejme z...

– Oczywiście, będę musiał ocenić cię sam.

Luc zawsze uważał to za mój atut, że prowadzę towarzyskie życie. Geronte, jak widziałam, był nastawiony bardziej sceptycznie. Zrozumiałam, że jego zdaniem mogłabym pobiec i na następnym przyjęciu u madame Marbot wypaplać Niemcom o paczce pod adresem rue Cambacérès 27. Ale chciałam go zapewnić, że może mi ufać. Musiałam go przekonać, jakim jestem dobrym nabytkiem. Powiedzieć mu, jaki pomysł przyszedł mi do głowy, kiedy słuchałam Ulricha w hotelu Belmont.

– Geronte, wczoraj wieczorem poznałam Niemca, który zarządza rozkładem jazdy pociągów na Gare de l'Est.

Przerwałam, by się upewnić, że go zainteresowałam.

– Mów dalej – zachęcił.

– Nie pragnę się bratać z Niemcami, jak pan zapewne rozumie, ale ten mężczyzna ujawnił mi wiele szczegółów o dostawach kierowanych do Niemiec i z Niemiec do Francji.

– Jak uważasz, dlaczego miałyby zrobić coś tak głupiego?

– Ponieważ myślał, że ma do czynienia z nic nieznaczącą dziewczyną.

Geronte znowu chrząknął. Zapewne nie był zainteresowany. Uznałam, że mnie w ten sposób odprawia. Zawstydzona tym, że wykroczyłam poza przydzielone mi proste zadanie, zawiązałam sobie szalik i wstałam.

– Dokąd się niby, u diabła, wybierasz? – burknął Geronte, zatrzymując mnie tymi słowami. Poklepał miejsce na ławce, gdzie przed chwilą siedziałam. – Siadaj i powtórz mi każdy cholerny szczegół, jaki od niego usłyszałaś.



Dwa tygodnie później madame Marbot planowała kolejny salon. Dręczyłam się całymi godzinami, rozmyślając nad tym, jak mam się wytłumaczyć siostrze, aż w końcu wpadłam na pomysł: powiem jej, że idę na to przyjęcie, żeby mieć oko na mamę i dopilnować, by nie wchodziła w bezpośrednie kontakty z Niemcami. O dziwo, Chloe nie tylko mi uwierzyła – mój plan jej się w dodatku s p o d o b a ł.

– Wolałabym, żeby w ogóle tam nie chodziła, ale skoro będziesz jej pilnowała, poczuję się odrobinę lepiej – szepnęła w ciemności. Noc nie należała do najzimniejszych, ale i tak postanowiłyśmy dzisiaj spać u niej w łóżku. – Ktoś musi nad mamą czuwać – ciągnęła Chloe. – Gadałaby do k a ż d e g o. Zwłaszcza kiedy wypije szampana.

– Będą tam też bliźniaczki LaRoche z ich matką – powiedziałam. – Postaram się, żeby przez cały wieczór rozmawiała z nimi.

Chloe jęknęła w poduszkę.

– Znów wieczór z tymi nudziarami? Och, Adalyn – wymamrotała – masz świętą cierpliwość.

Tak więc *maman* i ja znów poszłyśmy do hotelu Belmont. Zostałam Ulricha w tym samym miejscu przy kominku. Najwyraźniej wciąż tęsknił za domem, ponieważ bardzo się ucieszył na mój widok. Pozwoliłam, żeby do mnie mówił przez cały wieczór, i chłonełam jego słowa jak gąbka.

Już następnego dnia spotkałam się w parku z Geronte'em i powtórzyłam mu wszystko ze szczegółami.

Wrzesień przeszedł w październik – coraz większymi krokami nadchodziła kolejna zima, zapewne równie sroga jak poprzednie. W listopadzie dowiedzieliśmy się, że Niemcy najechali Francję Vichy, znosząc różnice i zarazem granicę pomiędzy strefą okupowaną a tak zwaną wolną. Wszyscy znajdowaliśmy się teraz w tym samym więzieniu. W porcie Tulon francuska marynarka wojenna celowo zatopiła dziesiątki własnych okrętów, żeby nie oddać ich w ręce wroga. To małe zwycięstwo podniosło mnie na duchu, nawet jeśli tylko na krótką chwilę.

Przynajmniej wreszcie wszyscy się przekonali, że Pétain to nic więcej jak marionetka w rękach Niemców. Osoby, które jeszcze niedawno wmawiały sobie, że Stary Marszałek uratuje Francję, tak jak to zrobił

podczas wielkiej wojny, nie mogły już dłużej żywić takich nadziei. Geronte twierdził, że coraz więcej ludzi przyłącza się do ruchu oporu.

W domu *maman* nie wychwalała już Pétaina, lecz nadal usiłowała zachowywać pozytywne nastawienie. Gdy przeczytała o inwazji w „Les Nouveaux Temps”, spokojnie poskładała gazetę i położyła ją sobie na kolanach. W fotelu obok niej *papa* – który też widział ten artykuł – gapił się tępo w podłogę. *Maman* wyciągnęła rękę i uściśnęła jego dłoń.

– Będzie w porządku, kochanie – zapewniła. – Po prostu żyjemy swoim życiem i czekajmy; zobaczymy, co nam przyniesie los.

Tymczasem ja wciąż przekazywałam Geronte’owi informacje uzyskane od Ulricha, a do tego uwijałam się, żeby podołać nowemu zadaniu. Byłam łączniczką – przenosiłam wiadomości między zupełnie nieznanymi mi osobami. Przez to nieustanne przemierzanie miasta i ukrywanie przesyłek padałam z nóg, ale – tak jak doradził mi Luc – pamięć o Arnaudzie sprawiała, że nie ustawałam w walce.

Pewnego grudniowego poranka, kiedy za oknem padał śnieg, Chloe i ja przeniosłyśmy kołdry i koce na moje łóżko, żeby się nimi wspólnie otulić i jakoś ogrzać. W zimniejsze noce sypiałyśmy też w ten sposób. W Paryżu rozpanoszył się już przenikliwy ziąb, a nie było na tyle opału, żeby nagrzać w mieszkaniu tak, jak byśmy chcieli. Kiedy w zeszłym tygodniu poszłam po należny nam przydział węgla, dostałam tylko trzy worki.

– To ma wystarczyć na miesiąc? – spytałam z niedowierzaniem.

– Nie – odparł węglarz. – Ma wystarczyć na całą zimę.

Dzisiaj dla zabicia czasu Chloe i ja czytałyśmy na głos wiersze Baudelaire’a, na zmianę przewracając kartki, żeby nam palce nie grabiły z zimna. Nosiliśmy w domu najcieplejsze ubrania, a i tak drżałyśmy od chłodu.

– Chciałabym nigdy nie ruszać się z tej naszej norki – powiedziała Chloe.

– Ja też nie, ale później muszę wyjść – przypomniałam jej. Na dzisiejszy wieczór zaplanowano kolejne przyjęcie w hotelu Belmont.

– Spodziewam się, że będą tam Niemcy – zagadnęła ponuro Chloe.

– Tak, jak zwykle – odpowiedziałam. – Będę pilnowała mamy przez cały wieczór.

Trzymanie spraw w tajemnicy nie stawało się łatwiejsze. Tak bardzo chciałam zdradzić siostrze, dlaczego w rzeczywistości z chęcią tam

chodzę... Tak bardzo pragnęłam ujrzeć na jej twarzy ulgę, podekscytowanie... Wiedziałam jednak, że nie wolno mi tego zrobić. Niedawno Geronte opowiedział mi straszną historię o mężu pewnej znanej mu łączniczki. Gestapowcy wiedzieli, że ma on informacje, wzięli go więc na przesłuchanie. Torturowali go nożem i nacięli zbyt głęboko. Biedak wykrwawił się w ich areszcie.

– Adalyn... – Oczy siostry badawczo patrzyły mi w twarz. – Dajesz słowo?

– Słowo? Na co?

– Że naprawdę tylko masz oko na mamę. I że sama nie utrzymujesz żadnych... żadnych stosunków z wrogiem.

Zmarszczyłam nos.

– Stosunków? ! Na Boga, Chloe, nie. Skąd ci to przyszło do głowy?

– Od pewnej znajomej. Odkryła, że jej siostra umówiła się z jednym z nich. Martwię się...

– Nie musisz się o to martwić, Chloe.

Aby rozproszyć napięcie, zdobyłam się na wymuszony śmiech. Chloe dołączyła do mnie, ale nie zabrzmiało to szczerze i wciąż miała dziwną minę. Trudno było powiedzieć, czy faktycznie mi uwierzyła. A fakt, że nadal musiałam ją okłamywać, zżerał mnie niczym potwór z ostrymi jak brzytwa zębami. Mogłam mieć tylko nadzieję, że kiedyś ta wojna się skończy i moja siostra pozna prawdę.

Jeszcze przed przygotowaniem do wieczornego wyjścia miałam umówioną wizytę pod adresem, który dostałam od Geronte'a podczas ostatniego spotkania.

– Chcę, żebyś mi w czymś pomogła – oznajmił na parkowej ławce.

Nie wyjawiał więcej, podał tylko datę i miejsce. Zapewniłam, że przyjdę.

Rodzinie powiedziałam, że wybieram się na poszukiwanie węgla. Dzięki temu, kiedy wrócę z pustymi rękami, nikt nie będzie mnie podejrzewał. Okutałam się jak najcieplej i wyruszyłam pod wskazany adres. Choć było to niedaleko, w Dziewiątej Dzielnicy, zanim dotarłam na rue d'Astorg, twarz i ręce miałam zaczerwienione i zdrętwiałe z zimna.

Zapukałam zgodnie z kodem do drzwi mieszkania i otworzył mi Geronte. Przywitał się, jak miał w zwyczaju: siąknięciem nosa i zadarciem głowy do góry, jak to robią psy gończe.

– Chodź za mną – rzucił.

Poprowadził mnie przez zwyczajny korytarz do pozbawionej okna sypialni. Na małżeńskim łóżku siedział tam wysoki, barczysty mężczyzna o mocno zarysowanej szczęce. Gdy weszliśmy, zerwał się na równe nogi.

– Bon-zuur – odezwał się.

Och! Ależ miał zabawny akcent. Pewnie był Amerykaninem.

– Jego samolot zestrzelono jakiś miesiąc temu – wyjaśnił Geronte. – Znalazł go jeden z moich znajomych, ukrywał się w jego posiadłości. Zapytał, czy nie pomógłbym mu wydostać się z Francji, żeby mógł znowu latać. Odparłem, że nie mam pojęcia jak, ale spróbujemy.

Uścisnęłam lotnikowi rękę.

– Miło mi pana poznać – powiedziałam.

Błysnął uśmiechem i zrobił przeproszącą minę.

– Ani w ząb nie zna francuskiego – dodał Geronte.

Pochlebiło mi, że wybrał mnie do pomocy.

– Co mogę zrobić? – zwróciłam się do niego.

– Ten człowiek potrzebuje przewodnika, który pojedzie z nim pociągiem do Chartres – wytłumaczył. – Ktoś inny zabierze go stamtąd do Vendôme, a potem będzie się musiał przedrzeć do Hiszpanii.

Geronte przedstawił mi szczegóły mojego zadania, po czym łamaną angielszczyzną wyłuszczył plan lotnikowi. Oto jak miało to wyglądać: będę szła przed Amerykaninem i pokazywała mu drogę. Nie będziemy rozmawiać – nie dałoby się, nawet gdybyśmy chcieli. Mamy się zachowywać, jakbyśmy się nie znali, zwyczajnie dwoje przypadkowych pasażerów w tym samym pociągu. Jeśli ktoś o coś zapyta lotnika, ten pokaże napisaną informację, że jest głuchoniemy. Nie można pozwolić, by zdradził go akcent.

– Kiedy wyruszam? – zapytałam Geronte’a.

– Jutro – odrzekł.

Szłam do domu oszołomiona. Przez resztę popołudnia obracałam w głowie szczegóły planu i za każdy razem denerwowałam się jeszcze bardziej.

Musiałam się jednak postarać odepchnąć od siebie strach, ponieważ najpierw czekało mnie spotkanie w hotelu Belmont. Ciasno otulone wierzchnimi okryciami *maman* i ja wyszłyśmy w mroźne powietrze – wieczorem było oczywiście zimniej niż za dnia.

Ulrich czekał na mnie przy kominku. Na stoliku koło naszych krzeseł miał już przygotowane dwa kieliszki koniaku. Zerwał się z miejsca na mój widok.

– To jak zawsze przyjemność widzieć, że wchodzisz tymi drzwiami – rzekł na powitanie.

Wymieniliśmy uprzejmości i przeszłam w swój zwykły tryb rozmowy, zadając niewinne na pozór pytania o pociągi, którymi się będzie zajmował nazajutrz. Na tym etapie zdołałam już z grubsza rozpracować częstotliwość, z jaką niemiecka broń przyjeżdżała do Paryża przez Gare de l'Est. Starłam się myśleć tylko o tym, że przekażę najnowsze informacje Geronte'owi, a nie o zmartwionej twarzy własnej siostry, zastanawiającej się, czy nie utrzymuję „stosunków” z Niemcami.

Późniejszym wieczorem, kiedy przyjęcie miało się ku końcowi, z przyległego pokoju dobiegł mnie głos madame LaRoche.

– Jeszcze jeden drink, zanim wyjdiesz, Odette! No, proszę!

Zajrzałam tam akurat w porę, by spostrzec, jak podchmielona madame LaRoche prowadzi jeszcze bardziej podchmieloną mamę przez rzednący tłum. Zapewne świetnie się dzisiaj bawiły. *Maman*, tuż zanim mi zniknęła z oczu, potknęła się o dywan i aby zachować równowagę, chwyciła się kelnera.

– Pewnie będę musiała wkrótce iść – powiedziałam do Ulricha, a on kiwnął głową.

– Zanim pójdziesz... – Urwał speszony. Sięgnął do kieszeni na piersi marynarki i wyjął owiniętą w brązowy papier paczuszkę z liścikiem.

– Och, Ulrichu... co to jest?

– Coś dla ciebie. Mała rzecz.

O, nie. Nie chciałam żadnych prezentów od Niemców, lecz jaki miałam wybór? Musiałam grać swoją rolę do końca.

Najpierw otwarłam liścik. Było w nim napisane:

Moja najdroższa Adalyn!

Składam podziękowania za wieczory, które spędziłem u Twojego boku. Twoje piękne oczy i wspaniałe opowieści pomogły mi lepiej znosić ból tęsknoty za domem. Skoro nie mogę być w Berlinie, cieszę się, że jestem tu w Paryżu

z Tobą. Przekazuję Ci ten prezent w nadziei, że dzięki niemu będzie Ci ciepło w zimie.

*Szczerze Ci oddany,
Hauptmann Ulrich Becker III*

Uśmiechnęłam się do niego życzliwie. Od takiego listu zrobiłoby mi się ciepło na sercu, gdyby nie napisał go ktoś w mundurze Ulricha. Wsunęłam kartkę do kieszeni.

Potem przyszła kolej na paczkę. Rozwinęłam papier i moje palce musnęły coś gładkiego, miękkiego.

– To skóra – wyjaśnił Ulrich. – Z Niemiec.

Podarował mi piękną parę rękawiczek – coś, o co w tych czasach w Paryżu było naprawdę ciężko. Na zewnątrz panowały chłody, mieszkanie mieliśmy wciąż niedogrzone, a skoro powinnam przyjąć prezent od Ulricha, przynajmniej było to coś użytecznego.

– Są prześliczne – powiedziałam. – Dziękuję.

– Cieszę się, że ci się podobają – odparł.

Ostatnia lampka szampana nie posłużyła mamie. Potykała się i ślizgała na oblodzonych chodnikach w drodze do domu, a ja robiłam, co mogłam, by ją utrzymać w pionie. Najtrudniej było wciągnąć mamę na piąte piętro po schodach, ale w końcu udało mi się doprowadzić ją na próg mieszkania.

Słyszac dźwięk otwieranych drzwi, do przedpokoju wyszła Chloe, owinięta kocem jak peleryną. Nie spotykała się dziś z przyjaciółmi, pewnie więc była spragniona ludzkiego towarzystwa.

– Wróciłyście – zagadnęła.

– Miałyśmy cudowny wieczór. – *Maman* wyrwała się z zachwytem o wiele za głośno i bełkotliwie.

– Mhm – przytaknęła Chloe. – Widzę.

I nagle zmrużyła oczy. Patrzyła przy tym nie na mamę, lecz na mnie. Za późno – uświadomiłam sobie swój błąd. Powinnam była zdjąć rękawiczki przed wejściem do domu, ale byłam zajęta holowaniem mamy.

– Czyje to rękawiczki? – zapytała Chloe głosem cichym i śmiercionośnym jak trucizna.

Szybko, Adalyn.

Mogłabym powiedzieć, że pożyczyłam je od bliźniaczek.

Albo że je znalazłam w szafie – zapomniany prezent sprzed wojny.

Już miałam podrzucić siostrze kłamstewko, kiedy *maman*, niepomna na moje błagalne spojrzenie, wypaliła na cały regulator:

– To prezent od jej Niemca.

Nawet nie od jakiegoś tam Niemca, tylko od „jej” Niemca. Jakby do mnie należał.

Chloe i ja zamarłyśmy. Koc zsunął jej się z ramion na podłogę. Miałam wrażenie, jakby świat się kurczył: podłoga, ściany, powietrze. I moje własne serce – jakby klatka piersiowa zamykała się wokół niego ciasno. Czy to możliwe? Chloe kipiała gniewem. Wysunęła szczękę, wydeła usta. Chciałam się bronić, ale nie umiałam. Musiałam stać tam, czekając, aż osoba, którą kochałam najbardziej pod słońcem, stwierdzi, że jestem jej najgorszym koszmarem.

Do przedpokoju wszedł *papa*, powłócząc nogami. Jego szczupłą sylwetkę ledwie było widać w obszernym szlafroku. Normalnie o tej porze leżałby w łóżku, zapewne zdziwiło go głośnie zachowanie mamy.

– Czy wszystko w porządku? – zapytał niepewnie.

Chloe patrzyła na mnie wyzywająco, niejako zmuszając, bym odezwała się pierwsza. Ale *maman* wyprzedziła nas obie. Zarzucając ręce na szyję taty, zawołała:

– Wszystko jest cudownie!

Trzeba było powstrzymać te krzyki. I to już. Nic nie było cudownie. Moje życie się rozpadało, i to o wiele za szybko, żebym mogła to jeszcze powstrzymać.

– Adalyn – odezwała się Chloe cicho, prosząco, jak gdyby rozpaczliwie próbowała do mnie dotrzeć. – Powiedz, że to nieprawda. Powiedz mamie, że to nic poważnego.

Wolałabym, żeby wybuchła. Żeby na mnie nawrzeszczała albo czymś we mnie rzuciła. Zraniłoby mnie to, ale nie tak bardzo jak widok jej drżącej dolnej wargi. Jak nadzieja w jej oczach, błyszcząca do samego końca, do momentu, gdy wypowiedziałam dwa najgorsze do wyobrażenia słowa:

– To prawda.

Przez chwilę krzyżowała ze mną wzrok. Miałam ulotną szansę wycofania tego, co właśnie wyrzekłam. Stojąc tam, z rękami w rękawiczkach wiszącymi bezwładnie po bokach ciała, przypominałam sobie, jaką obietnicę *papa* wymógł na mnie, gdy miałam na tyle lat, by to

zrozumieć: „Chroń swoją siostrę, Adalyn. Oszczędzaj jej bólu. Żałuję, że nie zrobiłem tego dla mojego młodszego brata”.

W tym momencie nie mogłam jej zaoszczędzić bólu.

A nawet jeszcze gorzej.

W tym momencie byłam źródłem bólu siostry. Najgorszym bólem, jakiego doznała w życiu. Widziałam to w jej twarzy.

– Ale tak nie można... – jęknęła. – Nie można się bratać z Niemcami... Nie kiedy reszta świata kona pod ich butem...

– Niemcy mogą tu zostać na zawsze, Chloe! – zawołała *maman*. – *Musi* się uspokoić.

– Nie uspokoję się – odwarknęła Chloe. I zaraz ze łzami w oczach zwróciła się do ojca: – *Papa*... proszę... *papa*, powiedz im, że sobie nie wymyślam. Powiedz im, że to, co robią, jest złe.

Papa wcisnął sobie ręce do kieszeni szlafroka. *Maman* wciąż była na nim uwieszona, jej głowa spoczywała na jego ramieniu.

– Nie chcę się w to mieszać – wymamrotał.

Chloe popatrzyła na każde z nas po kolei. Widziałam, że daje nam ostatnią szansę na wyjaśnienia. Najpierw spojrzała na tatę, który unikał kontaktu wzrokowego. Potem na mamę, zanurzoną w swoim świecie złudy. Wreszcie na mnie.

– Naprawdę chcesz być kimś takim, Adalyn?

Mogłam to naprawić w jednej chwili. Mogłam tu i teraz wyjawic wszystkie swoje sekrety z ostatnich dwóch lat. Poczulałabym się tak dobrze.

Usłyszałam jednak w głowie głos Luca.

„Nie możesz nikomu nawet pisnąć słowa o tym, co robisz. Rozumiesz? Nikomu. Nawet najbliższej rodzinie”.

Już wtedy wiedziałam, że będzie ciężko, ale nie, że aż tak.

– Przykro mi – odpowiedziałam siostrze. – Naprawdę kimś takim jestem.

Chloe wzięła głęboki wdech. Podniosła koc z podłogi. Gdy odezwała się znowu, jej głos był dziwnie spokojny.

– Mam dość was wszystkich – rzekła. – Mam dość i nie chcę dłużej być członkiem tej chorej, kolaboranckiej rodziny. Gdybym mogła zamieszkać gdzieś indziej, zrobiłabym to, ale nie chcę mówić o was moim przyjaciołom. Pewnego dnia jednak... pewnego dnia się wyniosę i mam nadzieję, że nigdy już was nie zobaczę.

Pomaszerowała do swojego pokoju, a ja, wstrząśnięta do głębi, poszłam do swojego. Pierwsze, co zrobiłam, to zdałam z dłoni rękawiczki. Rozbierając się drżącymi rękami, natrafiłam na wetknięty do kieszeni liścik Urlicha.

Chciałam go natychmiast spalić.

Jednak w drodze do kuchni musiałabym minąć pokój siostry, a nie mogłam ryzykować kolejnej konfrontacji. Nie miałam także ochoty oglądać teraz rodziców, a oni – jak mi się zdawało – usiedli w bawialni. Powinnam się pewnie położyć. Może zapomnę o dzisiejszym wieczorze, przynajmniej na jakiś czas.

Zamiast oddać liścik Urlicha na pastwę płomieni, wrzuciłam go do dolnej szuflady biurka – tej, której nigdy nie używałam – i zatrzasnęłam ją z całych sił.



Wsiadłam do pociągu jadącego do Chartres. Tylko nie myśl o Chloe. Zatrzymałam się w przejściu w wagonie, udając, że szukam czegoś w torbie. Czekałam, aż lotnik wsiądzie moim śladem. Nie wyobrażaj sobie, co Chloe teraz o tobie myśli. Znalazłam przedział z dwoma wolnymi miejscami, jedno obok drugiego. Skup się na tym, co masz robić, Adalyn.

Widziałam, że Amerykanin się denerwuje. Mimo grudnia na czoło wystąpił mu pot – raz po raz ocierał je sobie chusteczką. Miał przed sobą długą, zdradziecką podróż – przejazd do Chartres, a potem do Vendôme to dla niego dopiero początek. Kiedy już przemierzy całą Francję, będzie musiał przeprowić się przez Pireneje do Hiszpanii, a stamtąd drogą morską albo powietrzną do Wielkiej Brytanii. Sama przeprowiłabym się przez Pireneje w środku zimy, gdyby dzięki temu Chloe mogła mi jakoś wybaczyć.

Zaczynałam się martwić, że zdenerwowanie lotnika w końcu go wyda. Oprócz tego, że się pocił, wiercił się niespokojnie na siedzeniu i co chwila zaglądał do kieszeni, upewniając się, że ma dokumenty na miejscu. Gdy podszedł do nas konduktor sprawdzający bilety, jego spojrzenie nieco zbyt długo zawiesiło się na niedopasowanych ubraniach Amerykanina. Czy

podejrzanie w jego oczach było prawdziwe, czy tylko wyobraziłam je sobie ze strachu?

Przez większość czasu patrzyłam w okno, rozmyślając o wczorajszym wieczorze i przyglądając się mijanym miasteczkom. Po godzinie zauważyłam, że pociąg zatrzymuje się nieoczekiwanie. To nie był planowy przystanek. Nie było tu żadnej stacji.

– Co się dzieje? – zapytał starszy pan siedzący w naszym przedziale.

Serce waliło mi mocno, gdy wysliznęłam się na korytarz, by się rozejrzeć. Za mną wyszedł Amerykanin. Za naszymi plecami rozległy się kroki, a po nich ciche kasznięcie. To był ten sam konduktor co poprzednio.

– W pociągu są Niemcy, przeprowadzają inspekcję – powiedział przyciszonym głosem, tak żebyśmy usłyszeli tylko my dwoje. – Nigdy nie zagląдают do ubikacji.

Potem ominął mnie i ruszył dalej korytarzem. Do nikogo innego już się nie odezwał ani się nie zatrzymał.

Czy to pułapka, czy próbuje nam pomóc? Jedno wiedziałam na pewno: nie chcę widzieć, co będzie, kiedy mój zdenerwowany lotnik stanie twarzą w twarz z uzbrojonym niemieckim żołnierzem. Bez słowa poprowadziłam go w stronę ubikacji, po czym upewniwszy się, że nikt nie patrzy, złapałam go za rękaw i wciągnęłam do środka. Zamknęłam za nami drzwi i przekręciłam zamek.

Wnętrze było ciasnutkie, nawet jak dla jednego pasażera, a już na pewno nie zaprojektowane dla dwojga. Lotnik miał mokre w dotyku ubrania i wionęło od niego potem. Był równie przerażony jak ja.

– Są tutaj Niemcy – szepnęłam i zdaje się, że zrozumiał.

Trudno powiedzieć, ile minęło czasu. Dziesięć minut... dwadzieścia... trzydzieści... Pragnęłam tylko, by pociąg znów ruszył. Coś usłyszałam – o, nie. W korytarzu rozległy się ciężkie kroki. Taki odgłos mogły wydawać tylko niemieckie buty. I były coraz bliżej. *Tup, tup, tup*. Zatrzymały się tuż za drzwiami ubikacji.

Poczułam, jak Amerykaninowi bije serce tuż przy moim policzku.

Zaklekotała klamka.

No i już. To koniec.

Wtem usłyszałam głos konduktora.

– Przykro mi, nieczynne.

Niemiec przestał szarpać za klamkę. Burknął coś o francuskiej fuszerce. *Tup, tup, tup*. Kroki oddaliły się i ucichły. Całe moje ciało rozluźniło się. Lotnik odetchnął z ulgą.

Konduktor właśnie ocalił nam życie.

Kiedy wreszcie wysiedliśmy na Gare de Chartres, byłam wdzięczna losowi, że już wykonałam zadanie. Pokazałam mojemu podopiecznemu peron, z którego miał rozpocząć następny etap podróży, po czym pomachawszy mu tylko na pożegnanie – co wydawało się dziwne, wzięwszy pod uwagę, co razem przeszliśmy – skierowałam się na inny peron, by złapać najbliższy pociąg do Paryża.

Przynajmniej ta część planu się powiodła. Mój pociąg miał podjechać już za kilka minut. Ze swego miejsca ponad torami widziałam lotnika. Usiadł na wolnej ławce i rozglądał się, wypatrując swojego kolejnego przewodnika, a raczej przewodniczki w długim brązowym płaszczu i pasującym kapeluszu.

To pewnie ona – właśnie się wspięła po schodach. Dlaczego tak pędzi? Z jakiegoś powodu przewodniczka pomknęła przez peron jak ścigany królik. Podeszła prosto do Amerykanina i powiedziała mu coś do ucha, jakby go chciała przed czymś ostrzec.

To nie tak miało być.

Przed moimi oczyma rozgrywała się przyprawiająca o mdłości scena. Amerykanin zerwał się na równe nogi i próbował uciec, tyle że nie zdążył. U szczytu jednych i drugich schodów pojawili się niemieccy żołnierze. Wzięli lotnika i kobietę w brązowym płaszczu w dwa ognie. Mierzyli do nich z pistoletów. Rzucili rozkazy. Amerykanin i przewodniczka padli na kolana z rękami uniesionymi do góry.

Dwaj żołnierze skoczyli do przodu i pochwycili ich, a zaraz potem na stację wtoczył się ze zgrzytem pociąg i przesłonił mi widok.

Wsiadłam, drżąc na całym ciele. Z trudem dotarłam do wolnego przedziału i zatrzasnęłam za sobą drzwi.

Wybuchnęłam płaczem.

Podróż do Paryża była dla mnie męczarnią. Z całej siły starałam się już więcej nie płakać. Panika przenikała mnie na wskroś, w nikim nie miałam oparcia. Luc się ukrywał. Arnaud zniknął, wywieziony. Moja własna rodzina nie wiedziała, kim naprawdę jestem, a siostra gardziła mną na

podstawie nieprawdziwych dowodów. Czułam się opuszczona na polu bitwy bez żadnych sprzymierzeńców.

Co właściwie dobrego robiliśmy w tym ruchu oporu, uganiając się po mieście z głupimi papierami i strzępami informacji? Nie powstrzymaliśmy Niemców przed zajęciem całej Francji. Nie potrafiliśmy zmienić biegu wolny. Niewinni ludzie ryzykowali życie bez uzasadnionego powodu. Ten lotnik był młody, miał nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, a teraz może nigdy już nie zobaczy domu, ja zaś nie umiałam się pozbyć wrażenia, że mam z tym coś wspólnego.

To wszystko było zbyt prawdziwe. Ciężar zdarzeń przytłaczał mnie, dusił. Nie umiałam już dłużej tego ciągnąć.

Wysiadając na dworcu Gare Saint-Lazare, byłam pusta w środku. Dałam się ponieść prądowi ludzi do wyjścia, ale po drodze zastąpił mi drogę szczególny pochód.

Na jego czele kroczyło dwóch zaczerwienionych z wysiłku tragarzy, którzy z najwyższym trudem wspólnie taszczyli rozchwiany, wysoki stos kufrów. Dlaczego nie posłużyli się wózkiem bagażowym?

– *Schneller! Schneller!*

Za nimi podążała grupa niemieckich żołnierzy. Ze śmiechem poganiali Francuzów, by nieśli ich bagaże szybciej. W moim odczuciu była to parada okrucieństwa. Gdy starszy z dwóch tragarzy musiał się zatrzymać dla złapania tchu, jeden z Niemców wrzasnął na niego, szydząc z jego słabości, a drugi zasugerował, że pewnie dlatego Francuzi tak łatwo dali się pokonać. I znowu wybuchły śmiechy.

Chwilę temu myślałam, że jestem pusta w środku, lecz się myliłam. Wciąż płonął we mnie ogień. Trzeba go było tylko podsycać.

Kiedy patrzyłam na przechodzących Niemców, płomienie strzeliły w górę, ogień zaczął buzować. Jak mogłam myśleć o poddaniu się? Wyprostowałam ramiona i wyszłam na mroźną ulicę.

Prawie nie czułam wieczornego ziąbu.

Rozdział 11

Alice

Czułam się okropnie.

Rano na drugi dzień po imprezie obudziłam się z rozsadzającym czaszkę bólem głowy. Kiedy usiadłam na łóżku, dostałam mdłości, więc popędziłam do łazienki i dotarłam tam akurat na czas, by zwrócić do muszli klozetowej strumień w kolorze wczorajszego czerwonego wina. Pół godziny konałam na chłodnej podłodze. W końcu zdjęłam piżamę i wgramoliłam się pod prysznic. Postanowiłam, że nigdy w życiu nie sięgnę po alkohol.

Ciepła woda poprawiła mi samopoczucie. Wyobraziłam sobie, że spłukuje ze mnie wersalskie wspomnienia i zabiera je z sobą do ścieków. Ilekroć przypomiinałam sobie kolejny szczegół kłótni, mocniej tarłam się szorstkim brązowym mydłem. Zanim zakręciłam kran, skóra mi się zaczerwieniła i piekła od tego skrobania. Owinęłam się ręcznikiem i umyłam zęby. Czułam się już lepiej niż piętnaście minut temu.

Przebierałam się w świeżą piżamę, kiedy telefon dał znać, że przyszła wiadomość. Od Paula.

„Cześć, Alice. Bardzo mi przykro po tym, co się zdarzyło wczoraj wieczorem. Chciałem ci pomóc w trudnej chwili, ale widzę, że tylko pogorszyłem sprawę. Chciałbym o tym pogadać, jeśli się zgodzisz. Daj mi znać”.

Mdłości znienacka wróciły. Nie, Paul, nie chcę o tym pogadać. Chcę zapomnieć, że to się w ogóle zdarzyło.

Zacisnęłam mocno powieki i potarłam sobie skronie, ale nie byłam w stanie wymazać wczorajszych wspomnień. Najbardziej utkwily mi w pamięci nie szczegóły jego zwierzeń, lecz to, jak się czułam, gdy ich

słuchałam. Byłam sfrustrowana wiadomościami, które dostałam od mamy; wściekła o to, że Paul myśli, że wie, co jest najlepsze dla mojej rodziny. No i coś jeszcze – coś, czego nie mogłam uchwycić, ale było to najgorsze z wszystkich uczuć.

Postanowiłam na razie zignorować jego wiadomość.

Trzy dni później wciąż pozostawała bez odpowiedzi. Złość już mi minęła, chciałam, żebyśmy wrócili do normalności. Leżąc w łóżku i gapiąc się w komórkę, próbowałam otworzyć Instagram, żeby czymś zająć myśli, lecz zamiast tego przypadkowo stuknęłam w galerię swoich zdjęć. Gdy zobaczyłam zamazaną fotkę Paula rzucającego się na ratunek mojego kubka z niedopitą kawą, zalała mnie fala smutku. Determinacja na jego twarzy wtedy przypawiła mi o histeryczny śmiech. Teraz zaś sprawiła, że strasznie za nim zatęskniłam. Tak bardzo, że nie mogłam nawet patrzeć na fotkę.

Będąc blisko niego, czułam się najlepiej. Rozmawiało się z nim swobodnie, to było jak pamięć ruchowa. Kiedy mówiłam o swojej rodzinie, słuchał uważnie i zadawał właściwe pytania. Pomagał mi chętnie, nie prosząc o nic w zamian. No i te urocze drobiazgi: sposób, w jaki się uśmiechał, ilekroć wchodziłam do księgarni, i jak mnie trzymał za rękę, gdy spacerowaliśmy po ogrodzie w Wersalu. Nigdy nie miałam faceta, który by robił takie rzeczy.

Czemu musiałam się tak zezłościć?

„Dobrze wiesz czemu” – podpowiadał głos z tyłu głowy.

To była prawda. Miałam trzy dni na przemyślenie tego, co się wydarzyło wtedy na balkonie, i teraz wiedziałam dokładnie, które to uczucie było dla mnie takie nieuchwytnie.

Wstyd.

Uświadomiłam sobie, że Paul miał rację – powinniśmy byli usiąść i porozmawiać z mamą, zamiast chodzić dokoła problemu na paluszkach.

Rzecz w tym, że właściwie za bardzo nie wiem, na czym polega jej problem. Wiem, że wpada w te swoje doły, kiedy jest smutna, że nie chce wtedy wychodzić ani nic robić. Wiem także, że szczególnie ciężkie chwile przeżywała, gdy byłam w pierwszej klasie i musiałam cały czas siedzieć u babci. Jeśli nie liczyć tej skąpej wiedzy, w zasadzie błędziłam w ciemności, ponieważ moja rodzina nie miała pojęcia, jak szczerze rozmawiać. To żenujące. Co gorsza, zamiast przyznać się do tego Paulowi,

który tylko próbował pomóc, naskoczyłam na niego. Ale tak naprawdę nie byłam wściekła na Paula. Wściekałam się na nas.

O Boże, jaka ze mnie idiotka. Patrzyłam na jego trzydniową wiadomość na ekranie.

Co mam mu powiedzieć, żeby to naprostować? Dlaczego jestem w tym taka kiepska?

Ktoś zapukał do drzwi mojego pokoju.

– Proszę – powiedziałam.

Tata ostrożnie uchylił drzwi. Znów wśliznął się do środka niczym tajny agent i zamknął za sobą cicho.

– Co robisz, tato?

– Mam pewien pomysł – szepnął, skradając się, aby usiąść na skraju łóżka. – Pomysł, żeby ją rozweselić.

W jego oczach błyszczało światełko, jakby właśnie znalazł magiczne rozwiązanie tego, przez co przechodzi mama. I znów to samo: obejdziemy problem na paluszkach.

– Co to takiego? – spytałam ostrożnie.

– Tak sobie myślałem – zagał. – Jesteśmy w P a r y ż u, kulinarnej stolicy świata. Może by jej się spodobało, gdybyśmy dziś zamiast sami przygotowywać kolację, zrobili jej niespodziankę i zabrali ją do naprawdę dobrej restauracji. Takiej z klimatem.

– Tato...

– Rozglądałem się na Yelp i chyba znalazłem kilka świetnie wyglądających miejsc, gdzie nie trzeba by robić rezerwacji. Skłaniam się do wyboru baru ostrygowego w Le Marais. Wiesz, że mama uwielbia ostrygi. Mają tam piękne rustykalne, ceglane ściany, drewniany sufit, no i...

– Tato – wtrąciłam tym razem głośniej. – Nie wiem, czy właśnie to powinniśmy zrobić.

Zupełnie zbiłam go z tropu.

– Naprawdę? To już nie lubi ostryg? Mogę poszukać innego lokalu.

– Nie, nie w tym rzecz. – Zwijałam w palcach rąbek kołdry, starając się odpowiednio dobrać słowa. Wkraczałam na obszar nieznany nikomu z rodziny Prewittów. Wzięłam głęboki wdech i rzekłam: – Martwię się, że z mamą może być gorzej, niż nam się wydaje. Może zamiast próbować ją pocieszyć, powinniśmy podejść do sprawy bardziej bezpośrednio... Wiesz, co mam na myśli?

Nie wyglądało na to, że rozumie. Był raczej skołowany. Jakbym zadała mu pytanie w obcym języku.

– Nie wiem, czy nadążam, kochanie.

A więc raz kozie śmierć.

– Nie sądzisz, że może... zamiast iść na wystawną kolację... powinniśmy z mamą poważnie porozmawiać? Moglibyśmy jej powiedzieć, że zauważyliśmy, że ma doła i... noo... że chcemy jej pomóc naprawić to, co jest nie tak.

Skrzywił się. Zdaje się, że trafiłam w czuły punkt.

– Nie sądzę, żeby to był taki dobry pomysł – odparł, potrząsając głową. – Mama najwyraźniej nie jest gotowa do rozmowy i obawiam się, że jeśli ją za mocno przyciśniemy, jeszcze bardziej ją to przygnębi. A tego zdecydowanie nie chcemy ryzykować.

Miał przy tym bardzo poważną minę. Nie pomyślałam o tym, ale argument był trafny. Ostatnie, czego bym chciała, to wpędzić mamę w jeszcze gorszy nastrój.

– Najbezpieczniejsze działanie – stwierdził tata stanowczo – to poczekać i pozwolić jej wrócić do nas, gdy będzie gotowa. Potem może się uda przeprowadzić rozmowę, o której wspomniałaś. A tymczasem ty i ja będziemy się po prostu starać możliwie jak najbardziej umilić jej ten urlop. Okej?

– Tak, brzmi dobrze.

– Świetnie. – Od razu się rozluźnił. Poklepał mnie przez kołdrę po kolanie. – Więc co powiesz na to, żebyśmy poszli do tego baru ostrygowego?

Jeśli chodzi o lokal, tata zrobił dobry wybór. Potrawy, które przynoszono koło naszego stolika, wyglądały i pachniały niewiarygodnie. Sala była wypakowana klientami i wszyscy wyraźnie cieszyli się z tego, że tu są – wszyscy z wyjątkiem mamy, która co prawda trzymała menu, ale wpatrywała się w rowek na drewnianym blacie stołu. Już samo sprowadzenie jej do restauracji stanowiło wyzwanie. Tata musiał ją prawie błagać, żeby zeszła z kanapy i zmieniła ubranie, bo wciąż miała na sobie przechodzoną starą piżamę.

– A więc... co tu wygląda dobrze, moje damy? – zagadnął tata.

– Naprawdę nie jestem zbyt głodna – wymamrotała mama.

Tata na sekundę stracił rezon, ale go zaraz odzyskał i przybrał ton agenta nieruchomości.

– Daj spokój, Diane, uwielbiasz ostrygi. Pamiętasz tamto miejsce, w którym byliśmy zeszłego lata na Cape Cod? Pamiętasz, jakie były wielkie i soczyste?

Wakacje na Cape Cod to coś zupełnie innego niż obecne – wszyscy byliśmy wtedy tacy szczęśliwi. Wynajęliśmy domek w Wellfleet i codziennie z mamą odbijałyśmy piłeczki tenisowe na czerwonym ceglany korbie, do którego nie dało się przyzwyczać. Więcej było przy tym śmiechu niż gry. Jak to możliwe, że mama z zeszłego lata to ta sama osoba, która teraz siedziała naprzeciwko mnie i odłożywszy kartę, gapiła się w okno?

– Nie czuję się najlepiej – powiedziała do taty.

– Może wieża z owoców morza poprawi ci humor?

– Mark – odburknęła – po prostu zamówcie sobie, co chcecie.

Kiedy czekaliśmy na nasze zamówienie, mama wciąż wpatrywała się w okno, a tata bombardował ją kolejnymi pytaniami. Jakby oprowadzał klienta po domu i sądził, że jest bliski sprzedania tej nieruchomości. Rozumiałam, że pragnie wywołać na jej twarzy uśmiech – też przecież mi na tym zależało – lecz nawet ja widziałam, że ta kolacja to nie to, czego mama by chciała.

Burczała na każdą jego próbę nawiązania konwersacji i im dłużej to trwało, tym bardziej stawała się rozdrażniona. W pewnej chwili na dziesięć minut zniknęła w toalecie, a kiedy wróciła, chyba dostrzegłam pod jej oczami czerwone plamki, ale w przytłumionym świetle trudno to było stwierdzić na pewno.

A potem podano nam zamówiony półmisek: trypoziomową konstrukcję ułożoną z ostryg i innych małży oraz najeżoną czerwonymi krabowymi nóżkami. Jedzenia wystarczyłoby dla sześciu osób, a dla naszej trójki było go wręcz nieprzyzwoicie dużo. Czułam się zażenowana, nawet tylko patrząc na to чудо. Tata natychmiast zaczął pałaszować. Mama nie.

– Chcesz, żebym ci rozłupał krabowe nóżki, Di? – zaproponował.

– Nie chcę kraba – odparła.

Tata przywołał gestem kelnera. Mama patrzyła udręczona, jak tamten rusza slalomem wśród stolików w naszą stronę.

– Zajrzyj do menu – zachęcił ją tata. – Możesz zamówić, co tylko zechcesz.

– Powiedziałam, że nie jestem głodna – syknęła mama.

– Podać państwu coś jeszcze? – zapytał kelner.

– Diane?

– Nie jestem głodna.

– Jeszcze lampkę wina?

– Nic nie chcę.

– Kelner czeka, Di. Może ci przynieść, co tylko zechcesz...

– CZY TY MNIE SŁUCHASZ, MARK? POWIEDZIAŁAM, ŻE NICZEGO NIE CHCĘ.

Przy pobliskich stolikach zapadła cisza, wszyscy wyciągali szyje, by dostrzec, co to za zamieszanie. Mama złapała torebkę i pomaszerowała do wyjścia. Tata zupełnie zdębiał. Wciąż trzymał metalowe szczypcy do krabów.

– Pójdę po nią – zaoferowałam.

– Mogę przynieść państwu rachunek – zaproponował znacząco kelner.

Mama siedziała na ławce przed restauracją. Ręce miała skrzyżowane na piersi i tym razem widziałam wyraźnie, że płacze. Usiadłam obok i pogłaskałam ją po plecach. Nie wiedziałam, co właściwie mogłabym powiedzieć, ale jedno stało się pewne: nie możemy po prostu starać się jej pocieszyć. To nie wystarcza. Tata zasiał we mnie niepokój o to, że poważna rozmowa może pogorszyć stan mamy, ale gdy teraz na nią patrzyłam, jak wydmuchuje nos w przemoczoną chusteczkę na rogu paryskiej ulicy, podczas gdy tata płacił za ledwie tknięty posiłek, nie miałam złudzeń. Jeśli to nie jest kompletny dół, w każdym razie znaleźliśmy się blisko. Może warto podjąć ryzyko?

Jadąc taksówką do domu, wreszcie odpisałam Paulowi.

„Miałeś rację we wszystkim. Nie przepraszaj. To ja powinnam się pokajać”. I jeszcze, ponieważ chciałam być wobec niego szczerą, dodałam: „Tęsknię za Tobą, Paul”.

Wcisnęłam: „Wyślij”.

Przez resztę wieczoru nie spuszczałam komórki z oczu, oglądając w milczeniu z mamą wiadomości na jakimś francuskim kanale, nie dostałam jednak odpowiedzi. Nic nie przyszło, gdy kładłam się spać. Zaczęłam się trochę denerwować, ale przecież mógł być dzisiaj zajęty.

Byłam pewna, że gdy się obudzę rano, będzie na mnie czekała wiadomość od niego.

Tyle że rano nic nie przyszło. Teraz ogarniała mnie już panika – bałam się, że zepsułam wszystko na dobre.

„Chcę się tylko upewnić, że to dostałeś” – wstukałam gorączkowo.

Godzinę później nadal nie odpowiadał. Przełączyłam ustawienia Wi-Fi i trybu samolotowego, żeby się przekonać, czy mój telefon się nie zepsuł, ale najwyraźniej wszystko działało jak trzeba. Około południa nie mogłam już tego znieść. Włożyłam trampki i wezwałam taksówkę, żeby zajrzeć do pierwszego z dwóch miejsc, w których Paul mógłby być po południu w dzień powszedni.

Popędziłam do księgarni, ale dzisiaj miał dyżur inny sprzedawca. Posłał mi złe spojrzenie, bo wpadłam z hałasem do środka, lecz nie przejęłam się nim. Odwróciłam się na pięcie i wybiegłam na ulicę.

No, skoro go nie ma w pracy... Piekarnia znajdowała się tuż za rogiem. Dopadłam drzwi, szarpnęłam je, rozejrzałam się po wnętrzu i... doznałam rozczarowania. Przy wspólnym stole nikt nie siedział. Paula tu nie było.

– *Puis-je vous...* – Vivi urwała w pół zdania, widząc, że to ja. – O, cześć.

Nie umiałam odczytać wyrazu jej twarzy, ale nie była to ta sama Vivi, która przywitała nas w Wersalu.

– Cześć, Vivi. – Głos mi drżał. – Szukam Paula. Mogłabyś mi pomóc? Naprawdę muszę z nim porozmawiać.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odparła, krzyżując ramiona.

Domyśliłam się więc, że wie o naszej kłótni.

– Vivi, proszę. – Przysunęłam się do lady. – Muszę go przeprosić.

Potrząsnęła głową. Wyglądała, jakby się miała rozpłakać.

– Mój brat ma za sobą trudny rok – powiedziała z wahaniem. – Dlatego tak się cieszyłam, kiedy cię poznał. Ale jeżeli zamierzasz go odpychać, gdy się próbuje otworzyć, a potem nie rozmawiasz z nim przez trzy dni...

– Vivi, ja...

– Nie uważam, żeby to było dla niego dobre, Alice.

Po tym wszystkim, co zrobiła dla Paula, widać było, że go wciąż chroni. Koniecznie musiałam odzyskać jej zaufanie. Wzięłam głęboki wdech.

– Vivi, wiem, że to wygląda, jakbym była dla niego podła bez powodu, ale musisz zrozumieć, dla mnie to takie nowe. Mam w sobie te wszystkie uczucia, a nigdy nie nauczyłam się o nich rozmawiać. Cała moja rodzina

tak ma i przez to nie potrafimy się porozumieć. Wiem, że Paul próbuje mi pomóc. Myślę, że wtedy też o tym wiedziałam, ale nie umiałam tego wyrazić. Jestem gotowa nauczyć się robić to lepiej. I przepraszam.

Twarz Vivi złagodniała.

Nagle na zapleczu rozległy się kroki i w drzwiach kuchni pojawiły się znajome szylkretowe okulary. Serce we mnie zamarło, tak samo jak wtedy, kiedy zobaczyłam go tu po raz pierwszy.

– Hej, Paul.

– Hej, Alice.

– Chyba nie słyszałeś tego wszystkiego, co?

– Może odrobinę – przyznał z uśmiechem.

Vivi przyjrzała się nam obojgu po kolei, oceniając sytuację. W końcu z uśmiezkiem poprawiła sobie koński ogon.

– No, chyba zajrzę do croissantów – oznajmiła, po czym zniknęła w kuchni.

– Naprawdę przepraszam – powiedziałam do Paula.

– Okej – odpowiedział. – Cieszę się, że cię znowu widzę.

– Tęskniłam za tobą – szepnęłam.

– Ja za tobą też.

Nie bardzo wiem dlaczego, ale w tym samym momencie Paul i ja rozejrzeliśmy się po piekarni. Nikogo nie było oprócz Vivi czuwającej nad rogalikami. Paul wyszedł zza kontuaru i znów, jak tamtego popołudnia na rue de Marquis, nic nas nie rozdzielało. Patrzyliśmy na siebie uporczywie. Nic nie mówiąc, dwoma krokami pokonaliśmy dzielącą nas odległość. I wtem jego ręce znalazły się w moich włosach, a moje na jego talii i zaraz nasze usta się zetknęły. Wszystko, co powinnam była powiedzieć w Wersalu, teraz skupiło się w tym jednym idealnym pocałunku. Opuszki jego palców sunęły leciutko po moich plecach. Jego miękkie usta smakowały jak ciepła herbata. Taki właśnie powinien być pocałunek – nie nieporządny, pośpieszny, ale wolny, słodki i delikatny. Może sprawy z mamą układały się fatalnie, może nie miałam pojęcia, co będzie z mieszkaniem, ale w tym momencie odnosiłam wrażenie, że wszystko będzie w porządku.

Rozłączyliśmy się na dźwięk dzwoneczka przy drzwiach. Wszedł klient. Paul się roześmiał, przyciągnął mnie bliżej, a ja oparłam czoło o jego miękki bawełniany T-shirt. W końcu poprowadził mnie do stołu, żebyśmy

usiedli i pogadali przy dwóch *cafés américains*. Nie przestawałam się uśmiechać.

– Cieszę się, że zajrzałaś do piekarni – rzekł.

– Ja też.

– Od dawna chciałem to zrobić.

– Naprawdę?

Kiwnął głową i zaczerwienił się. Moje policzki też zrobiły się ciepłe. Jak mi się udało znaleźć takiego faceta jak Paul? Jedno wiedziałam na pewno: nie mogę tego znów zniszczyć.

– Paul, chyba powinnam ci opowiedzieć o mojej mamie.

– Okej.

– Kryje się za tym więcej niż tylko śmierć babci.

Opanowanym głosem opowiedziałam mu, że mroczne fazy zdarzają się mojej mamie co kilka lat, ponieważ po ostatnim zdarzeniu w restauracji byłam pewna, że mama boryka się z czymś znacznie większym niż żałoba. Paul umiał słuchać; trzymał mnie za rękę i delikatnym uściskiem dodawał mi otuchy w trudniejszych momentach. W końcu powiedziałam mu o pomysłe taty, by sprzedać mieszkanie.

– Jak myślisz, co powinnam zrobić? – poprosiłam o radę.

– Co ja myślę? Nie wiem... to twoja decyzja...

– A jeśli nie potrafię jej podjąć?

W zamyśleniu powoli wypuścił powietrze.

– Cóż, mamy dwa tygodnie na rozpracowanie sprawy, prawda?

Ucieszyłam się, że powiedział „mamy”, jakbyśmy znów byli jedną drużyną.

– Teraz już raczej półtora tygodnia – uściśliłam.

– Racja. – Kiwnął głową. – Okej. No to... chyba powinniśmy postarać się dowiedzieć jak najwięcej o twojej babci i Adalyn w tym czasie, który nam został. A potem zobaczymy, jakie będziesz miała odczucia. Tak?

– Tak. Dobry pomysł.

– Skończyłaś czytać dziennik?

– Musiałam sobie zrobić przerwę po tym okropnym odkryciu z Ulrichem.

– No to czytamy dalej – zaproponował. – Pomogę ci.

– Okej. Świetnie – powiedziałam. – Chyba trzeba by się też odezwać do młodszego Ulricha. Jeszcze tego nie zrobiłam.

– Zróbmy to teraz.

Pochyliliśmy się nad moją komórką i wspólnymi siłami udało się nam sklecić wiadomość, która, jak mieliśmy nadzieję, nie odstraszała odbiorcy już na wstępie.

Dzień dobry, Panie Becker!

Nazywam się Alice Prewitt, mam 16 lat. Wiem, że jestem dla Pana kimś zupełnie obcym i mam nadzieję, że wybaczy mi Pan tę dziwną wiadomość.

Niedawno zmarła moja babcia i zostawiła mi w spadku mieszkanie ze swojego dzieciństwa w Paryżu. Oglądając zawarte w nim rzeczy, natknęłam się na stary list zaadresowany do jej siostry, Adalyn Bonhomme, a podpisany przez Ulricha Beckera III. Nigdy nie poznałam mojej krewnej Adalyn i teraz próbuję zdobyć o niej jakieś informacje. Wiem, że to brzmi mało prawdopodobnie, ale znalazłam na Facebooku Pańską stronę ze zdjęciem Pańskiego ojca. Zastanawiam się, czy jest jakaś szansa, że znał on Adalyn. List został napisany podczas II wojny światowej na papierze z papeterii paryskiego hotelu Belmont.

Jeśli ma Pan jakieś wieści o Adalyn, byłabym Panu za nie bardzo wdzięczna. (Mogę przesłać zdjęcie listu, jeśli to będzie pomocne). Jeżeli nie ma Pan pojęcia, o czym piszę, przepraszam, że Pana niepokoiłam! Bardzo dziękuję za to, że poświęcił mi Pan swój czas.

Z poważaniem,
Alice Prewitt

Przetłumaczyliśmy wiadomość na niemiecki. Po czym wysłaliśmy ją razem, ponieważ nie chciałam tego robić sama.

O mój Boże, właśnie napisaliśmy do syna możliwego nazisty. Czułam się okropnie. Jakbym musiała pozbyć się teraz własnej skóry. Potem ni stąd, ni zowąd przyszła mi do głowy pewna myśl.

– Wiesz co, właściwie zrujnowałam wasze *quatorze juillet*. Czuję, że powinnam ci to jakoś wynagrodzić – powiedziałam do Paula.

Zerknął w stronę miejsca, gdzie się niedawno całowaliśmy.

- Myślę, że już to zrobiłaś, o tam. – Wskazał.
- Mówię poważnie! – Żartobliwie trąciłam go w ramię. – Chciałabym zaplanować dla nas miły dzień.
- Tak? A co masz na myśli?
- To niespodzianka.
- Prawie chciałam, żeby zaprotestował, ale tego nie zrobił.
- Okej – zgodził się. – Ufam ci.

Rozdział 12

Adalyn

Krótko przed północą, w chłodny, bezksiężycowy marcowy wieczór czterech Francuzów kuliło się przy torach niedaleko Limoges. Dwaj z nich stali na czatach, trzeci nasłuchiwał z uchem przyłożonym do lodowato zimnej szyny, a czwarty przymocowywał na miejscu materiał wybuchowy. Kiedy pociąg był już zaledwie kilka kilometrów od nich – co poznali po wibrowaniu szyny – wycofali się między drzewa.

Usłyszeli nadjeżdżający pociąg. *Tuf-tuf-tuf-tuf, Tuf-tuf-tuf-tuf, Tuf-tuf-tuf-tuf.* A potem zobaczyli, jak się wynurza z za zakrętu niczym ogromny czarny wąż. Dokładnie wiedzieli, co wiezie: nieprzeliczone tony broni i amunicji przeznaczonej dla Niemców walczących z aliantami w Afryce Północnej. Francuzi poczekali na najlepszy moment, kiedy wagony towarowe będą tuż nad ładunkiem wybuchowym.

Zakręcili korbką i wcisnęli dźwignię detonatora.

Kilka wagonów wyleciało w powietrze wśród buchających płomieni. Kilkanaście innych wypadło z torów, przewracając się na bok, a ich zawartość wysypała się na torowisko. Francuzi nie zostali, by się napawać swoim dokonaniem. Złapali, co się dało, z rozrzuconej broni, i zniknęli w ciemności.

To, co się stało tamtej nocy pod Limoges, było rezultatem pracy siatki wywiadowczej Geronte'a, która przekazała informacje grupie partyzantów z południa. A doszło do tego, ponieważ niemiecki oficer Ulrich Becker III był na tyle niemądry, by wyjawić szczegóły rozkładu jazdy pociągów pewnej dziewiętnastoletniej paryżance.

Stukając irytującymi drewniakami po ulicznym chodniku, zmierzałam do ostatniego bezpiecznego domu, który Geronte wykorzystywał do spotkań. Kazał mi przyjść jak najszybciej, gdy tylko skończę wystawanie w kolejkach po jedzenie. Czterej Francuzi, którzy przeprowadzili tamtą akcję na torach, na kilka dni zatrzymali się w mieście, ale zaraz potem mieli wracać na wieś. Najwyraźniej chcieli poznać dziewczynę, która zdobyła dla nich kluczowe informacje.

Po drodze starałam się otrząsnąć po małym starciu, która właśnie miałam z Chloe. Kiedy pokonywałam na dole ostatni kawałek schodów kamienicy, weszła przez frontowe drzwi z koszykiem na zakupy. Jedzenie było dość bezpiecznym tematem. Zatrzymałam się na ostatnim stopniu, tak że musiała zwrócić się do mnie twarzą, by mnie minąć.

– Co ci się udało dostać na targu? – zagadnęłam.

Nawet pojedyncze słowo to byłoby już coś. Nigdy jeszcze nie doszło do tego, żebyśmy nie odzywały się do siebie przez tak długi czas. Ale Chloe nie odpowiedziała – nawet nie podniosła wzroku.

– Chloe?

Z oczyma utkwionymi w podłozie przepchnęła się obok mnie tak jak przed chwilą przez drzwi. Odniosłam takie wrażenie, jakby mi zabrakło tchu, i choć wcale nie poczułam się źle, musiałam się chwycić barierki, by utrzymać równowagę. Za mną Chloe maszerowała już na górę, a każdy jej dudniący krok odbierałam jak brutalny cios.

Nie wolno mi było o tym myśleć, przynajmniej nie teraz. W tej chwili powinnam czuć się dumna z tego, że pomogłam w wykolejeniu pociągu. Wszystkie wieczory spędzone przy kominku u madame Marbot prowadziły do czegoś ważnego w walce z Niemcami.

Nie dało się jednak o tym nie myśleć.

Kiedy Geronte otworzył mi drzwi mieszkania na parterze, natychmiast wyczulam w nim jakąś zmianę. Nie pociągnął nosem jak pies; jego zniszczona upływem czasu twarz wyglądała łagodniej niż zwykle.

– Wejdz, wejdz – rzekł. – Świetnie, że jesteś.

Witał mnie prawie jak gospodarz przyjęcia. Co mu się stało?

– Jest pan dziś w dobrym humorze – zauważyłam.

– Cóż, właśnie postanowiłem pozwolić sobie na nieco radości z naszego sukcesu – powiedział z nietypową dla siebie, radosną nutą. – Wejdz, mam

tutaj w gabinecie ukrytych czterech młodych Francuzów, którzy strasznie się palą do tego, żeby ci przekazać podziękowania.

Poszłam za nim przez mieszkanie do drzwi w głębi zakurzonej bawialni. Zapukał w charakterystyczny sposób, po czym odsunął się, żeby mi zrobić miejsce. Po drugiej stronie drzwi coś zaszeleściło. Och, ależ byłam podekscytowana, że poznam tych dzielnych śmiałków!

– Pamiętaj, żeby nie hałasować – ostrzegł mnie Geronte.

Hałasować? Czemu niby miałabym robić hałas?

Klamka się poruszyła, drzwi się otworzyły. Ledwie mogłam uwierzyć własnym oczom. Stojący w nich mężczyzna wcale nie był obcym partyzantem.

To Luc.

Podbiegłam do niego. Zarzuciłam mu ręce na szyję, a on podniósł mnie w górę i zakręcił mną, i jeszcze raz, i jeszcze. Czy to wyobraźnia płatała mi figla? Nie, to się działo naprawdę. Był tutaj, prawdziwy i żywy.

– Luc, tak długo się nie widzieliśmy!

Jego usta znalazły się koło mojego ucha, tak że tylko ja słyszałam odpowiedź.

– Za długo... Myślę o tobie codziennie, Adalyn.

Gdy mnie postawił na ziemi, wciąż miałam wrażenie, że lecę. Cofnęłam się o krok, by mu się dobrze przyjrzeć – widziałam go po raz pierwszy od sześciu miesięcy, odkąd pożegnaliśmy się we wrześniu. Uczeń ostatniej klasy szkoły średniej, którego poznałam jesienią 1940 roku, zupełnie zniknął. Przede mną stał młody mężczyzna. Ubrany w czarny beret i powyciągany wełniany sweter, który zapewne nie dawał wystarczającej ochrony przed deszczem i chłodem. Zmierzwił czarne włosy urosły, sięgając teraz podbródka, a na idealnie zarysowanej szczęce, obecnie jeszcze bardziej wyrazistej, sypał się czarny zarost. Luc stracił na wadze. Ale pod tym wszystkim wciąż go widziałam, a w jego oczach nadal płonął ogień. Mój Luc.

Zerknęłam na Geronte'a, który tymczasem usadowił się w fotelu z wyłazającym przez szwy wypełnieniem. Staruszek uśmiechał się po raz pierwszy, odkąd go poznałam.

Odwróciłam się z powrotem do Luca.

– Wykoleiłeś ważny pociąg – powiedziałam z podziwem.

– No, tylko dzięki tobie – potwierdził. – I było nas przy tym czterech.

W podekscytowaniu zupełnie zapomniałam, że na gratulacje czekają jeszcze trzej partyzanci. Teraz, kiedy wiedziałam, kim jest pierwszy z nich, zaczęłam podejrzewać, że znam również dwóch następnych.

I rzeczywiście, z gabinetu wyszli Marcel i Pierre-Henri, a z nimi blondyn o szczupłej twarzy, którego do tej pory nie widziałam. Uściskałam najpierw Pierre-Henriego, a potem Marcela, który urósł chyba piętnaście centymetrów. Przedstawił mi blondyna, Raphaela, a ten przywitał się ze mną mocnym uściskiem dłoni.

– Miło mi cię poznać – odezwał się głosem gładkim jak miód. – Dużo o tobie słyszałem od pozostałych.

– Mam nadzieję, że dobrze o mnie mówili.

– Same najlepsze rzeczy.

Moja siostra zapewne by się z tym nie zgodziła, ale nie zamierzałam teraz o tym myśleć. Zepsułoby mi to tylko przyjemność spotkania z drogimi przyjaciółmi. Usiedliśmy przy kuchennym stole, a Geronte przyniósł sześć zakurzonych kieliszków i butelkę czerwonego wina, którą zachował na specjalną okazję. Rozdał nam kieliszki, każdy pobieżnie przecierając brzegiem koszuli – która sama w sobie nie wygląda na zbyt czystą – po czym napełnił je do połowy.

Wznieśliśmy szkło do toastu.

– Za dobrze wykonaną robotę – rzekł Geronte.

Potem staraliśmy się nadrobić czas rozłąki i opowiadaliśmy sobie, co nam się przydarzyło przez ostatnie pół roku. Wkrótce po tym, jak Luc pożegnał się ze mną, on, Marcel i Pierre-Henri udali się na południe, by się przyłączyć do grupy oporu działającej na wsi w okolicy Limousin. Takie grupy nazywano *maquis*, a Luc powiedział, że ostatnio w południowej części kraju jest ich coraz więcej – składają się głównie z młodych ludzi uciekających przed przymusowym wysłaniem do obozów pracy w Niemczech.

To właśnie w Limousin poznali Raphaela, który wy dostał się z Paryża krótko przed nimi.

– Pokazałem im, jak się obozuje pod gołym niebem – powiedział Raphael. – Nauczyłem ich wszystkiego, co teraz wiedzą!

Luc i Pierre-Henri ze śmiechem przewrócili oczami, lecz Marcel entuzjastycznie pokiwał głową.

– To prawda! – potwierdził. – Pokazałeś mi, jak celować ze stena. Przedtem strzelałem prosto w ziemię.

– Minęło tyle czasu... – odezwała się. – Chciałabym się dowiedzieć wszystkiego o... w s z y s t k i m. Nawet o takich drobnostkach, gdzie śpicie!

– No, śpimy w namiotach... albo w opuszczonych stodołach ... albo pod gołym niebem – odparł Luc.

– To musi być niewygodne.

– Nie jest tak źle. – Wzruszył ramionami.

Wiedziała, że nigdy by się nie uskarżał na warunki, choćby były zupełnie nie do zniesienia.

– A co partyzanci jadają? – zainteresowała się, zerkając na ich szczupłe sylwetki. Wszyscy wyglądali, jakby nosili ubrania o dwa rozmiary za duże. Kości policzkowe Luca rysowały się jeszcze ostrzej niż poprzednio.

– Wszystko, co da się znaleźć – odrzekł Pierre-Henri. – Czasami ratują nas mieszkańcy pobliskich wiosek, jeśli im się zbierze na hojność.

– A ja umiem polować – pochwalił się Raphael.

Patrząc na Pierre-Henriego, coś sobie przypominałam.

– Gdzie twój aparat fotograficzny? – spytałam. Dziwnie było go widzieć bez ulubionego sprzętu przewieszzonego przez szyję.

– Musiałem go zostawić młodszej siostrze – wyjaśnił. – Taki aparat nie jest stworzony do partyzantki.

Chłopcy opowiadali o wszystkim, co chciałam wiedzieć o życiu *maquis*, aż pozostało mi już tylko jedno pytanie. Zwlekałam z nim, jak długo się dało, ale przecież w końcu musiałam je zadać, więc czemuż by nie teraz.

– Kiedy wracacie?

– Jutro – odparł Luc ze smutkiem. Spojrzeliśmy sobie w oczy.

Ale ja też miałam coś do opowiedzenia. Odmalowałam im obraz stresującej podróży do Chartres z amerykańskim lotnikiem oraz jej katastrofalny koniec, który oglądałam z sąsiedniego peronu. Powiedziałam o salonach madame Marbot w hotelu Belmont i o tym, jak wieczór po wieczorze wyciągałam z Urlicha szczegóły rozkładu jazdy, układając z nich sobie w głowie całość. Przyniosła mi ulgę sama możliwość wyrażenia tego, jak bardzo gardzę tymi przyjęciami i niemal wszystkimi ludźmi, którzy w nich uczestniczą.

Geronte wysączył swoje wino i głośno odstawił kieliszek na stół. Odchrząknął. I od razu atmosfera w pokoju stężała. Ożywiona rozmowa

ucichła. Najwyraźniej przyszła pora wydawania rozkazów, a Geronte patrzył prosto na mnie.

– Ponieważ tak dobrze ci poszło za pierwszym razem, mam dla ciebie nowego Niemca do rozpracowania – oznajmił.

Wyprostowałam się na krześle.

– Kto to jest?

– Walther von Groth. Podpułkownik SS, nowo mianowany szef gestapo w Paryżu. Awansowali go ze względu na... nadzwyczajną gorliwość, że tak to ujmę.

Po moich plecach przebiegł zimny dreszcz.

– A co to dokładnie oznacza?

Zrobił przerwę, zanim odezwał się znowu.

– Tortury. Właśnie to von Groth robi swoim więźniom – odparł. – Mówią, że człowiek ma szczęście, jeśli wcześniej umrze. I jeszcze działania odwetowe. Z rozkazu von Grotha Niemcy masakrują całe nasze wioski w ramach kary za działalność ruchu oporu. Pół roku temu w pewnym miasteczku kazał zgromadzić w kościele wszystkie kobiety i dzieci, po czym gestapowcy zamknęli z zewnątrz drzwi i podpalili kościół. Trzem osobom udało się wyrwać, więc je zastrzelili. Nikt nie uszedł z życiem. Von Groth jest najgorszy z nich wszystkich. Nie da się powiedzieć, ile setek tysięcy ludzi zginęło z jego rąk.

– I chciałby pan, żebym... wydobywała z niego informacje?

– Tak – odpowiedział po prostu. – Jeżeli się zgodzisz.

Serce waliło mi jak młotem. Wyobraziłam sobie okrutne zbrodnie, jakie ten von Groth już popełnił, oraz co może zrobić, jeżeli mnie przejrzy. Siedzący po drugiej stronie stołu Luc wyglądał na przerażonego, nie powiedział jednak nic, co mogłoby zaważyć na moim osądzie. Decyzja należała do mnie i wiedziałam, co odpowiem.

– Zgadzam się – postanowiłam.

– Dobrze – rzekł Geronte. – Zbieram informacje o tym, gdzie spędza większość czasu. Powiadomię cię, gdy tylko będę miał pełny obraz. – A potem, jakby przed chwilą nie zaszło nic strasznego, chwycił butelkę z winem i zajrzał do środka przez szyjkę. – Zostało jeszcze kilka łyków. Kto reflektuje?

Nikt nie wysunął zastrzeżeń, gdy nadstawiłam swój kieliszek.

Następnie Geronte z chłopakami drobiazgowo porównywał pistolet maszynowy sten, broń najczęściej używaną przez *maquis*, z pistoletami MP 40, które zdobyli z transportu przeznaczonego do Afryki Północnej. Umknął mi sens ich rozmowy – nie mogłam już myśleć o niczym innym niż o swojej nowej misji; w milczeniu sączyłam wino, żeby utrzymać nerwy na wodzy.

Wtem zauważyłam, że koło mojego krzesła stoi Luc. Pozostali ziewali i przeciągali się we wpadającym przez okno blasku popołudnia. Raphael wyłożył nogi na stół.

– Miałabyś ochotę na spacer? – spytał Luc.

– Spacer? – zdziwiłam się.

– Tak, nad rzeką.

– Mamy się tam z kimś spotkać? Czy coś dostarczyć?

Roześmiał się nieśmiało i opuścił wzrok.

– Po prostu pomyślałem, że miło będzie pobyć trochę sam na sam.

Dopiero po chwili dotarł do mnie sens jego prośby. Od dwóch i pół roku prowadziłam to sekretne życie, w którym nic nie było tym, na co wyglądało. Tak się do tego przyzwyczaiłam, że kiedy chłopak z ruchu oporu zaprosił mnie na spacer, nie przyszło mi do głowy, że chodzi mu właśnie o spacer, nic innego.

Razem.

Ja i Luc.

– Tak... tak, oczywiście – zająknęłam się. – Ale czy to nie niebezpieczne? A jeśli zobaczą cię Niemcy?

– Słońce już zachodzi – powiedział. – Nie będziemy się rzucać w oczy.

Wyciągnął rękę, a ja podałam mu swoją.

Szliśmy prawym brzegiem Sekwany, trzymając się w cieniu. Dokoła rozciągało się ciemne, szare miasto, niebo było jednak głęboko różowe, co mi przypomniało kwitnące wiśnie na naszej ulicy. Po kolejnej mroźnej zimie w powietrzu wreszcie było czuć wiosnę.

Nad samą wodą, w mrocznej przestrzeni pod Pont de la Concorde, Luc splótł palce z moimi. To zabrzmiało głupio, ale byłam tak przygnieciona emocjami, że trudno było mi się cieszyć z prostych przyjemności: olśniewającego zachodu słońca, ponownego spotkania z Lukiem, sposobu, w jaki nasze dłonie splótły się bez wysiłku, jakby były do tego stworzone. Z zadziwiającą wyrazistością naszło mnie wspomnienie tych chwil, kiedy

razem z siostrą leżałyśmy w łóżku i wyliczałyśmy wszystko, co chciałybyśmy robić, gdy wojna się skończy. Czy to nie jedna z tych rzeczy, które wtedy wymieniałyśmy?

– Płaczesz, Adalyn?

Zatrzymaliśmy się. Nie wiem, jak to się stało, ale rzeczywiście – łzy toczyły mi się po policzkach i wsiąkały w szalik. Może nie zdawałam sobie sprawy z tego, jaką cenę płacę za swoją działalność. Całymi dniami nic tylko coś ukrywałam albo udawałam. Lecz spacerując z Lukiem, nagle przypomniałam sobie, jak wygląda prawdziwe życie – życie bez nazistów przyginających nas wszystkich do ziemi.

– To ze szczęścia – powiedziałam słabo.

Oboje roześmialiśmy się z niedorzeczności tego wszystkiego i... och, to też było cudowne uczucie! Nie wysilony śmiech podczas proszonej kolacji, lecz prawdziwa, czysta radość.

Luc wolną dłonią otarł łzy z mojej twarzy.

– Też jestem teraz szczęśliwy – rzekł.

Pociągnęłam go za rękę do kamiennej półki pod mostem. Pod szerokim łukowatym przesłaniem mieliśmy świetny widok na wznoszącą się na przeciwległym brzegu wieżę Eiffla zarysowaną ostro na tle nieba.

– Właśnie sobie przypomniałam, jak razem z siostrą marzyłam, że pewnego dnia pójdę z jakimś chłopakiem na spacer nad rzeką i będziemy razem patrzeć na światła Paryża.

– Szkoda, że nie ma świateł – przyznał Luc.

– Wiesz co? – Przysunęłam się do niego bliżej i oparłam głowę na jego ramieniu, tak że nie dzieliła nas już żadna przestrzeń. – Myślę, że ich nie potrzebuję.

Jego palce znalazły moją brodę. Łagodnie przechylił moją twarz w stronę swojej. Zapatrzyłam się w jego oczy – oczy, które mnie pociągały od momentu, kiedy go poznałam. Mogłabym w nich pływać i nigdy nie wynurzać się na powierzchnię. Mogłabym w nich zamieszkać. To nie fair, że Luc musi zaraz odjechać.

Jego dłoń przesunęła się na tył mojej głowy i przyciągnęła ją, aż zetknęły się nasze usta. Całe moje ciało rozpułnęło się i wtopiło w niego. Nigdy dotąd z nikim się nie całowałam, ale w jakiś sposób najwyraźniej wiedziałam, co robić. Musnęłam językiem jego usta, a on rozchylił je dla

mnie. Wplótł palce głębiej w moje włosy jakby od tego zależało jego życie. Może faktycznie tak było. Może zależało od tego życie nas obojga.

Odsunęłam się nieco i całowałam go po linii szczęki – tej przepięknej linii, tak mocno zarysowanej w przyćmionym świetle na zapleczu sklepu jego rodziców. Jak często myślałam o tym, by ją pieścić! Kiedy moje usta dotarły do jego ucha, odgarnęłam jego włosy na bok i dalej sunęłam w dół po szyi. Luc jęknął z przyjemności. Na obojczyku zmieniłam kierunek i rozpoczęłam tę cudowną podróż w drugą stronę. Wkrótce trafiłam znowu na jego usta.

– Zaczekaj – powiedział i ujął moją twarz w dłonie. – Chciałbym na ciebie popatrzeć.

Przez dłuższą chwilę spoglądaliśmy więc sobie w oczy, dzieląc się wrażeniami, których żadne z nas nie umiało ubrać w słowa. Potem pocałował mnie znowu. I tak spędziliśmy kolejną godzinę, choć wydawało się, że minęły tylko minuty.

Oderwaliśmy się od siebie, dopiero kiedy przeczłapała obok nas starsza kobieta i ostrzegła, że powinniśmy wrócić do domów przed godziną policyjną. Dopiero wtedy też spostrzegliśmy, że słońce już zaszło. Jeśli Niemcy nas tu nakryją, wpadniemy w kłopoty.

– Chyba trzeba się zbierać – mruknął Luc, odsuwając kosmyk moich włosów za ucho.

– Szkoda, wolałabym jeszcze zostać.

– Chciałbym cię odprowadzić do domu, ale nie możemy się pokazywać razem.

– Odprowadź mnie chociaż kawałek.

Wziął mnie za rękę i ruszyliśmy znad rzeki ulicą na północ, w stronę mojego domu i bezpiecznego mieszkania Geronte'a. Przemykając pustym, ciemnym chodnikiem, nastawiliśmy się na maksymalną czujność, by nasłuchiwać i wypatrywać Niemców.

– Jak oceniasz to nowe zadanie? – spytał Luc.

– Jestem przerażona – przyznałam. – Ale wiem, że dam radę.

Uścisnął mi rękę.

– Ja też wiem, że dasz radę.

– Najgorsze jest nie to, że muszę oszukiwać szkopów. To mi przychodzi dość łatwo, jeśli możesz uwierzyć. W ogóle mnie nie podejrzewają, ani przez sekundę.

– W takim razie co jest najgorsze?

Pomyślałam o wczorajszym poranku, kiedy naparzyłam nieszczęsnej kawy z cykorii i zaniiosłam filiżankę siostrze, która czytała sobie w gabinecie taty, odizolowana od reszty rodziny. Gdy weszłam, nie podniosła wzroku znad książki, a ja nie odezwałam się ani słowem, kiedy stawiałam napój na stoliku obok niej. Czułam się tak, jakbym była niewidzialna.

– To, że muszę oszukiwać wszystkich innych – wyznałam Lucowi. – Choćby własną siostrę. Myśli, że jestem prawdziwą kolaborantką. Od grudnia nie odezwała się do mnie ani słowem. Nie nawiązuje nawet kontaktu wzrokowego, gdy jesteśmy w tym samym pokoju. – Wciąż czułam miejsce, gdzie jej ramię otarło się o moje dziś rano, wciąż słyszałam jej gniewne tupanie na schodach. – I nie mogę nic zrobić, żeby to naprawić, ponieważ nie wolno mi nikomu wyjawiać prawdy.

– Przykro mi, Adalyn. To musi być dla ciebie bardzo bolesne.

Westchnęłam.

– To najboleśnieszka rzecz w świecie, Luc... Czasami czuję się strasznie samotna, ponieważ nikt nie wie, kim naprawdę jestem. Nawet moja własna rodzina. O, już niedaleko, zaraz będzie moja kamienica. Nie powinieneś iść dalej, żeby cię nikt nie widział.

Zatrzymaliśmy się na rogu, pod latarnią, która nie świeciła od 1940 roku. Kilka domów stąd Chloe najprawdopodobniej siedzi udręczona w swoim pokoju – o ile nie spędza nocy u którejś z przyjaciółek. *Maman* i *papa* przypuszczalnie czytają w bawialni, zgodnie odpychając od siebie kłopotliwe myśli o świecie rozciągającym się na zewnątrz.

Luc stanął przede mną i wziął mnie również za drugą rękę. Przyciągnął mnie bliżej, tak że mój policzek oparł się o jego pierś.

– Nie odchodź – wymamrotałam w jego kurtkę.

– Muszę – rzekł, gładząc mnie po włosach. – Ale chcę, żebyś wiedziała, że kiedy wykonujesz swoje zadania i czujesz się taka samotna... ja wiem, kim naprawdę jesteś, Adalyn. I gdziekolwiek będę, wiedz, że jeśli tylko oddycham, myślę o tobie.

Pocałowaliśmy się po raz ostatni. Miękkim, wolnym, smutnym pocałunkiem. To ja musiałam go przerwać. Gdybyśmy ciągnęli go dłużej, pewnie nigdy bym się nie zatrzymała.

– Idź już – poprosiłam. – Ja nie dam rady odwrócić się od ciebie i odejść.

Puścił więc moje ręce i ciasniej otulił się kurtką, mimo że nie było szczególnie zimno. Z pożegnalnym skinieniem odwrócił się i ruszył ulicą. Gdy jego cienista sylwetka zniknęła za rogiem, po moich policzkach popłynęła świeża kaskada łez. Dlaczego tak długo zajęło nam przyznanie, że żywimy do siebie wzajemnie uczucia? Mogliśmy to zrobić rok wcześniej. Mielibyśmy dla siebie znacznie więcej czasu.

Jeszcze przez jakąś minutę stałam nieruchomo, pozwalając sobie na łzy, po czym otarłam oczy szalikiem. Dość. Nikt nie może wiedzieć, że płakałam, bo mogą zacząć zadawać pytania, na które nie będę mogła odpowiedzieć. Poprawiłam na sobie ubranie i włosy i pozostałą drogę do domu przeszłam sama.

Rozdział 13

Alice

Umówiłam się z Paulem na rogu ruchliwej ulicy, czyli w takim miejscu, gdzie jeśli się zatrzymasz, nieustannie z każdej strony popychają cię przechodnie. Trzy razy sprawdzałam w Google Maps, by się upewnić, że wsiądziemy do właściwego pociągu, a jednocześnie zasłaniałam ekran przed zaciekawionymi spojrzeniami Paula.

– Alice, potrzebujesz mojej pomocy?

– Nie! Chcę, żeby to była niespodzianka. – Gapiłam się w komórkę przez kolejną minutę. Mapa paryskiej komunikacji podmiejskiej wydawała mi się dezorientująca.

– A może po prostu podasz mi ogólny kierunek? – zaoferował.

– Champigny-sur-Marne.

Po jego minie poznałam, że zajarzył. Szczeka mu opadła, oczy rozbłysły za okularami.

– Jedziemy do muzeum francuskiego ruchu oporu!

– O, nie! Wiedziałam, że się wyda!

– Nie szkodzi! Ale jestem podekscytowany! Skąd wiedziałaś, że zawsze chciałem je zwiedzić?

– Wspomniałeś o nim, kiedy cię zabrałam do mieszkania babci! To było po tym, jak znaleźliśmy list od Ulricha.

Wziął mnie za rękę i poprowadził schodami w dół na stację.

– Nie mogę uwierzyć, że zapamiętałaś.

– A skoro mowa o Ulrichu... Dziś rano dostałam odpowiedź od jego syna.

Paul zatrzymał się tak raptownie, że idący za nim biznesmeni wpadł na niego i o mało nie upuścił niesionej kawy. Paul przeprosił go wylewnie, po czym zwrócił się do mnie.

– Co powiedziałaś?

– Wsiądźmy najpierw do pociągu, to ci pokażę.

Kupiliśmy bilety i dzięki Paulowi wybraliśmy właściwą linię, oznaczoną RER A. Chyba dobrze się stało, że pozwoliłam, żeby mi pomógł, inaczej pojechalibyśmy dwukrotnie dłuższą trasą. Gdy tylko usiedliśmy, wyjęłam komórkę i pokazałam mu na Facebooku wiadomość, którą dostałam od Ulricha Beckera IV o 9:42. Angielski był trochę kulawy, ale sens pozostawał czytelny.

Alice, przekazuję Twoją wiadomość mojemu ojcu. Przede wszystkim musi wyznać, że jest zawstydzony tym, co przyniosła wojna. Jako młody człowiek walczył z miłości do swojej ojczyzny, nie dla Hitlera, i nigdy nie popierał partii nazistowskiej.

Ojciec przypomina sobie Adalyn. Widywał się z nią wieczorami w Paryżu w 1942 roku i na początku 1943, ale latem 1943 został przeniesiony do Belgii. Rozmawiali ze sobą, lecz nie romansowali. Była wtedy dla mojego ojca przyjaciółką, gdy tęsknił za domem. Dziękuję za Twoją wiadomość. Mam nadzieję, że pomogłem.

Paul poprawił sobie na nosie okulary, ponieważ zsunęły się podczas czytania.

– Więc w końcu się nie spiknęli – rzekł.

– W ogóle nigdy ze sobą nie byli. W każdym razie nie mieli romansu.

– To dobra wiadomość.

– Wiem. Tyle że wciąż nie mamy najmniejszego pojęcia, co się z nią stało.

Paul zmarszczył brwi.

– Jak myślisz, o kim tak naprawdę pisała w dzienniku? – spytał.

– Nic mi nie przychodzi do głowy – odparłam. – Ale... znowu się nad nią zastanawiam. Wiesz, pomyśl o wszystkich tych pierwszych wpisach, które ci pokazywałam. No i teraz to. Połowa przemawia za tym, że nie popierała nazistów. Ale jest zdjęcie z hotelu Belmont. Wciąż głowię się nad tym, kim naprawdę była.

– Hmmm – mruknął Paul, rozpierając się na siedzeniu.

Zapadła pełna zastanowienia cisza. Ta nasza wycieczka różniła się od niedawnego powrotu z Wersalu, i była to dobra różnica. Zerkałam na niego co chwila i myślałam: całowaliśmy się. Gdy tak siedzieliśmy obok siebie, a jego ręka swobodnie spoczywała na moim kolanie, nie mogłam się oprzeć myśli, że jesteśmy parą. Po raz pierwszy w życiu byłam z kimś w prawdziwym związku. Jak Camila i Peter. Oczywiście, musiałam sobie przypominać, że nie przyjechałam tutaj na stałe i niedługo wracam do New Jersey, żeby się przygotować do kolejnego roku szkolnego. Pewnie powinnam się cieszyć tą chwilą, póki mogłam.

Pociąg zatrzymał się na stacji i pozbieraliśmy nasze rzeczy. Wysiedliśmy na podmiejskiej ulicy obrzeżonej takimi sobie sklepami i kawiarniami i ruszyliśmy przed siebie chodnikiem, który przeprowadzał na drugą stronę wolno płynącej, zielonkawej rzeki. Od stacji do muzeum był kawałek drogi, więc zatrzymaliśmy się w piekarni na szybką kawę i croissanta.

– Co sprawia, że interesujesz się francuskim ruchem oporu? – zapytałam, nakładając pokrywki na jednorazowe kubki.

– Dobre pytanie – wymamrotał Paul z ustami pełnymi ciasta. Sekundę trwało, zanim przełknął. – Chyba zawsze mnie fascynowało to, jacy niektórzy z nich byli młodzi. Kiedy byłem mały, uczyliśmy się o ruchu oporu w szkole i pamiętam, jak myślałem: „Ojej, ci ludzie byli tylko parę lat starsi ode mnie, a ratowali alianckich lotników i wysadzali w powietrze budynki!”.

– Wysadzali w powietrze budynki?

– Zdaje się, że tak. Robili różne rzeczy. Nie stanowili jednej oficjalnej grupy oporu, choć Charles de Gaulle rzeczywiście wysłał jednego człowieka, Jeana Moulina, żeby spróbował połączyć kilka istniejących siatek. Aresztowało go gestapo i zmarł na torturach. Wiele osób straciło życie w ten sposób.

Skrzywiłam się.

– Tak czy inaczej – ciągnął Paul – chodzi o to, że „ruchem oporu” była na ogół paczka ludzi, którzy robili różne rzeczy w różnych miejscach. Jedni dostarczali wiadomości, drudzy szpiegowali Niemców, kolejni udzielali schronienia alianckim pilotom, którzy zostali zestrzeleni nad Francją...

– Zawsze wyobrażałam ich sobie jako grupkę gości w beretach pilnie wysadzających w powietrze tory, żeby wykoleić pociąg.

Paul parsknął śmiechem.

– Faktycznie, w filmach robią tylko tyle.

Muzeum Narodowego Ruchu Oporu wyglądało jak szacowna rezydencja usytuowana przy rzadko zabudowanej mieszkalnej ulicy. Na jego teren prowadziła brama z kutego żelaza. Weszliśmy i zapłaciliśmy za bilety, a potem podążyłam za Paulem ku szklanym gablotom, w których wystawiono rozmaite dokumenty, począwszy od najwcześniejszych dni okupacji.

– Byli tacy dzielni – mruknełam, patrząc na gazetę zatytułowaną „Résistance”. Publikowała ją grupka osób związanych z paryskim Musée de l’Homme. Wiele z nich później wpadło w ręce gestapo i albo zostały stracone, albo wywiezione.

Przechodziliśmy od jednego eksponatu do drugiego, obok starego zardzewiałego powielacza oraz repliki materiałów wybuchowych przymocowanej do torów kolejowych. Staralam się nie myśleć o Adalyn, ponieważ całe to myślenie wzbudzało we mnie tylko frustrację. Paul i ja przyglądaliśmy się kolekcji przerażających z wyglądu pistoletów maszynowych, kiedy poczułam, że wypita po drodze kawa robi swoje – zachciało mi się siku.

– Zaraz wracam – powiedziałam, wskazując na tabliczkę oznaczającą toalety.

Zostawiłam Paula przy ścianie z bronią i pomknęłam do ubikacji. Wracając, mijałam eksponaty, których jeszcze nie oglądaliśmy. Przelotnie rzuciłam okiem na gabloty i coś przykuło mój wzrok – seria czarno-białych fotografii. Wszystkie przedstawiały tę samą grupę ludzi, tyle że w różnych pozach. I chociaż byłam pewna, że nie widziałam tych zdjęć wcześniej, coś w nich wydało mi się znajome.

Podeszłam do gabloty bliżej, żeby się lepiej przyjrzeć. To ta dziewczyna... dziewczyna siedząca na trawie... To przecież...

– PAUL! – zawołałam, czym przestraszyłam stojącą obok rodzinę. – PAUL, CHODŹ TU, SZYBKO!

Podczas gdy pędził w moją stronę, mrugałam, by się upewnić, że nie mam zwidów, ale nie. Zdecydowanie na zdjęciach była właśnie ta osoba.

– Alice – wysapał Paul – o co chodzi?

Cała ręka mi się trzęsła, gdy wskazywałam fotografii. Nie mogłam nawet wykrztusić słowa. Paul spojrzął na gablotę. Zdjął okulary, przetaił je

koszulką, założył z powrotem. Znowu popatrzył na zdjęcia.

– O mój Boże – rzekł.

Nie mogłam uwierzyć w to, co widzę. Bo to nie miało sensu. Nie mogła być tu, w muzeum francuskiego ruchu oporu... ale jakimś cudem była. Na każdej z fotek uchwycono tę samą grupkę nastolatków: trzech chłopaków i jedną dziewczynę.

Tą dziewczyną była Adalyn.

Jej przenikliwe spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości. Nie mógł to być ktoś inny. Była na każdej fotografii, siedziała na trawie z tymi samymi trzema chłopakami. Uchwycono ich podczas rozmowy; ktoś pewnie opowiadał coś zabawnego, ponieważ wszyscy uśmiechali się albo śmiali. Jeden z chłopaków z zachwytem wpatrywał się motyla, który mu przysiadł na palcu. Wstrząśnięta spostrzegłam, że chłopak ten ma na piersi przypiętą żółtą gwiazdę Dawida. Czy mógł to być przyjaciel, o którym Adalyn pisała w dzienniku – ten, który zniknął z jej życia podczas obławy? A kim byli pozostali?

– Zobacz, jest opis – zauważył Paul.

Objaśnienie zdjęć napisano po angielsku i francusku, dzięki czemu Paul i ja czytaliśmy równocześnie:

TE FOTOGRAFIE ZROBIŁ W OGRODZIE LUKSEMBURSKIM PIERRE-HENRI BOUCHARD, MŁODY MIŁOŚNIK FOTOGRAFII I BOJOWNIK RUCHU OPORU. BOUCHARD W 1944 ROKU ZOSTAŁ ARESZTOWANY I WYWIEZIONY DO OBOZU KONCENTRACYJNEGO BUCHENWALD, GDZIE ZGINĄŁ. JEGO MŁODSZA SIOSTRA ODKRYŁA TE ZDJĘCIA JUŻ PO JEGO ŚMIERCI. PRZEDSTAWIONE NA NICH OSOBY POZOSTAJĄ NIEZIDENTYFIKOWANE, ALE UWAŻA SIĘ, ŻE WSPÓŁPRACOWAŁY Z BOUCHARDEM W RUCHU OPORU, ZANIM ZOSTAŁ POJMANY.

Fragment o obozie koncentracyjnym był zbyt okropny, by czytać go jeszcze raz, ale na ostatnie zdanie gapiłam się przez dłuższy czas, i to z otwartymi ustami. Paul wyglądał na równie oszołomionego.

– Więc... po tym wszystkim... należała do ruchu oporu?

Przycisnęłam sobie palce do skroni.

– To znaczy... może? Wciąż nie ma jednak wyjaśnienia tamtego zdjęcia z nazistami... i bywania w hotelu Belmont... No i jeśli Adalyn była wielką

bojowniczą ruchu oporu, dlaczego moja babcia nigdy o niej nie wspomniała? Z czegoś takiego na pewno byłaby dumna!

Zwinęłam sobie włosy w koczek, przyglądając się fotografiom w poszukiwaniu odpowiedzi, których tam oczywiście nie było. Dlaczego im więcej dowiadywałam się o przeszłości babci, tym dalej byłam od konkretnych wyjaśnień? Teraz zaczynałam wpadać w panikę. W Paryżu będę jeszcze tylko przez półtora tygodnia i przed wyjazdem mam podjąć decyzję, czy chcę sprzedać mieszkanie. A jeśli potrzebuję więcej czasu?

– Paul, co robić?

– Myślę, że powinniśmy powiedzieć pracownikom muzeum, że znamy osobę z tych zdjęć – odparł.

Nie bardzo umiałam myśleć logicznie, a ta propozycja brzmiała rozsądnie, zgodziłam się więc, żebyśmy wrócili do kasy biletowej. Paul bez najmniejszego wahania podszedł do bileterki i wyłuszczył jej sprawę po francusku, wskazując najpierw na mnie, a potem w stronę gabloty ze zdjęciami.

Kobieta słuchała cierpliwie i kiwała głową. Potem wzięła telefon i porozmawiała z kimś przyciszonym głosem.

– Dzwoni do kuratorki muzeum – wyjaśnił mi Paul.

Już po kilku minutach podeszła do nas inna kobieta, z krótko obciętymi, połyskliwie srebrzystymi włosami.

– Antoinette Richard – przywitała nas z ciepłym uśmiechem i uściśnięła nam dłonie.

Paul i ja przedstawiliśmy się, po czym okazało się, że Antoinette Richard bardzo dobrze mówi po angielsku. Zaprowadziła nas do swojego gabinetu – niewielkiego pokoju z pełnymi książek regałami na każdej ścianie.

– Słyszałam, że przypuszczalnie zidentyfikowaliście osobę na jednej z naszych fotografii – zagadnęła, kiedy usiedliśmy.

– Tak – odpowiedziałam. – To siostra mojej babci, Adalyn. Wygląda dokładnie jak ona.

– Czy macie jej zdjęcie?

– Nie... to znaczy nie przy sobie. Wszystkie są w jej starym mieszkaniu, które zachowało się nietknięte od czasów wojny.

Brwi pani Richard powędrowały tak wysoko, że całkiem zniknęły pod grzywką.

– Słucham?

Zerknęłam na Paula, a on lekkim skinieniem dodał mi zachęty. Zaczepnęłam głęboko powietrza i zreferowałam historię mieszkania babci oraz wszystko, czego się do tej pory dowiedziałam o Adalyn, włączając zarówno dobre, jak i złe wiadomości, a także znaki zapytania. Pani Richard słuchała zafascynowana, a kiedy jej pokazałam w telefonie fotki z mieszkania, wpadła w zachwyt. Przypuszczam, że dla kuratora muzeum było to jak Boże Narodzenie. Kiedy skończyłam wyjaśnianie, czułam się, jakbym przebiegła maraton.

– Co pani o tym myśli? – zapytałam bezsilnie. – Czy należała do ruchu oporu, czy raczej popierała nazistów?

Pani Richard, do tej pory wychylona do przodu podczas słuchania, usiadła wygodniej na krześle i skrzyżowała ramiona.

– Jako historyk nie lubię wyciągać wniosków, póki nie przeprowadzę badań naukowych – odparła stanowczo. – Muszę się zapoznać z dokumentacją. Bez tego, obawiam się, nie mogę rozstrzygnąć tej kwestii.

– Gdybyśmy przynieśli więcej zdjęć, czy zechciałaby pani na nie spojrzeć? – spytał Paul.

– Jak najbardziej – odrzekła.

– Przyniesiemy wszystko – obiecałam. Ale chciałam ją zapytać jeszcze o jedną rzecz. – Pani Richard, czy miałaby pani pomysł na to, jak mogłabym namierzyć moją krewną? Nie wiemy nawet, czy wciąż żyje, ale jeśli tak, chciałabym ją odnaleźć.

Ku mojemu zaskoczeniu pani Richard odparła:

– Mam pewien pomysł.

Otworzyła dolną szufladę szafki na dokumenty i przerzucała jej zawartość, aż znalazła czerwono-biało-niebieską ulotkę, którą następnie przesunęła w naszym kierunku po blacie biurka. Przeczytałam tytuł u góry.

– Projekt Geronte?

– Zapoczątkowała go moja znajoma, Corinne, której dziadek prowadził siatkę wywiadowczą z ośrodkiem w Paryżu. Ponieważ ich działalność musiała być ściśle tajna, trudno stwierdzić, kto dokładnie należał do siatki. Chodzi mi o to, żebyście zobaczyli, z jaką sytuacją mamy tu do czynienia. Projekt Geronte stawia sobie za cel jednoczenie tych wszystkich ludzi i ich rodzin w rodzaj wspólnoty. Spotykają się i dzielą wspomnieniami z tamtych lat, a my, jako historycy, prosimy, by je spisywali.

– Myśli pani, że ktoś z nich mógłby znać Adalyn?

– Tego nie wiem. Wyjęłam ulotkę, ponieważ ta grupa spotyka się w trzecią środę każdego miesiąca, a więc najbliższe spotkanie jest za tydzień. Mnie na nim nie będzie, jutro wylatuję do Kanady na wykłady gościnne, będę poza Paryżem przez półtora tygodnia. Ale ucieszyłabym się, gdybyście się skontaktowali z Corinne. Zdaje się, że ma prawie osiemdziesiąt lat, ale bez problemu posługuje się pocztą elektroniczną. Dam wam również kopie naszych zdjęć, mogą się przydać.

Paul i ja popatrzyliśmy na siebie, a potem na panią kustosz.

– Byłoby niesamowicie – powiedziałam do niej. – Bardzo pani dziękujemy.

– To dla mnie przyjemność – zapewniła, biorąc do ręki telefon. – Jeśli twoja krewna żyje i faktycznie była w ruchu oporu, musimy poznać jej historię, zanim będzie za późno.

Rozdział 14

Adalyn

Nieudolnie walczyłam z ostatnim guzikiem swojego żakietu. Zwyczajnie nie mogłam go przepchnąć przez dziurkę. Za każdym razem kiedy myślałam, że już trafiłam, przeklęty guzik wymykał mi się z powrotem. Zapewne dlatego, że ręce mi drżały.

Nareszcie się udało. Stałam przed lustrem w korytarzu i przyjrzałam się swojemu odbiciu: włosy zebrane na czubku głowy i miękko kręcące się wokół twarzy, usta pomalowane jaskrawo-czerwoną szminką, pasujący do niej kolorem rubin połyskujący u nasady szyi. Czy gdybym była najgorszym złoczyńcą na świecie, kupiłabym drinka takiej dziewczynie?

Tego nie wiedziałam. Nie miałam najmniejszego pojęcia, jak działa jego umysł. Przyświecała mi jednak taka nadzieja.

Skrzypnęła drewniana podłoga. Usłyszałam, że ktoś zbliża się korytarzem. Chloe. Pożegnałabym się z nią, ale wiedziałam, że mi nie odpowie. Zamiast się więc odzywać, patrzyłam w lustro, jak mija mnie w drodze do bawialni – tak blisko, że poczułam ruch powietrza. Właśnie w ten sposób teraz funkcjonowałyśmy, jak dwa statki przepływające obok siebie w ciemności. No to tyle. Lepiej już pójdę.

Restauracja, do której często zaglądał von Groth ze swoimi ludźmi, nazywała się Au Coq Blanc. Przynajmniej kiedyś tak brzmiała jej nazwa, póki nie została zmieniona na niemiecką. Mieściła się na rogu rue des Saussaies i rue Montalivet, w Ósmej Dzielnicy – niedaleko od apartamentu madame LaRoche i naprzeciwko siedziby gestapo. Normalnie nie odważyłabym się nawet zapuścić na tę ulicę. Teraz musiałam się skupić na zadaniu, nie myśleć o Francuzach osadzonych za kratami przy rue des Saussaies pod numerem 11, cierpiących Bóg wie jakie katusze z rozkazu

von Grotha. A jeśli sama do nich dołączę? Jeżeli ja też będę marzyła o tym, żeby szybko umrzeć, zamiast znosić kolejne nakazane przez niego tortury?

Znowu zadrżały mi ręce. Musiałam to jakoś powstrzymać. Von Groth nie jest głupi. Jeżeli zobaczy, że się denerwuję, to już po mnie.

Wziąwszy głęboki wdech, weszłam do restauracji. Lokal wyglądał wspaniale: oszłamiające wysokie sufity, lustra wysokością dorównujące wzrostowi trzech mężczyzn, ogromny żyrandol... Gdy moje oczy powędrowały niżej, oddech mi uwiązł w gardle – mimo trzech lat okupacji wciąż wytrącało mnie to z równowagi – w przestrzeni pod żyrandolem rozsiadło się kilku Niemców, wystawiając czarne, polerowane buty na obrus.

Geronte wcześniej pokazał mi zdjęcie von Grotha w gazecie, obok artykułu o jego awansie. Przede wszystkim rzucała się w oczy twarz przypominająca pysk rekina, z masywnym czołem i ciężkimi lukami brwiowymi, spod których spoglądały zimne szparki oczu. Policzki miał zapadnięte, a usta cienkie jak ostrze noża. Nie musiałam go długo szukać – właśnie z chirurgiczną precyzją odcinał porcję mięsa i przekładał ją na swój talerz.

Kiedy przestąpiłam próg, wyszedł mi naprzeciw kelner w białej marynarce z czarną muszką. Był łysy i miał cieniutkiego wąsika, który podwijał mu się na końcach. To pewnie ten, którego nazywają Boivin, kolejny człowiek Geronte'a. Mając taką pracę, mógł, nie rzucając się w oczy, obserwować, kto wchodzi do siedziby gestapo albo z niej wychodzi. To również od niego wiedzieliśmy, że von Groth ma zwyczaj po posiłku zagadywać siedzące przy barze samotne kobiety.

– Życzy sobie pani stolik? – odezwał się do mnie kelner.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam w umówiony sposób. – W zupełności wystarczy mi stółek przy barze.

Boivin poprowadził mnie obok stołu Niemców. Po drodze upuścił menu, a ja schyliłam się, żeby mu je podać. Jeden z nazistów zagwizdał z uznaniem na mój widok. Drugi głośno stuknął szklanką o stół. Zrobiło mi się niedobrze, ale przynajmniej jak na razie wszystko szło zgodnie z planem. Boivin, trzymając znów kartę, wskazał mi stółek barowy usytuowany dokładnie na linii wzroku von Grotha.

Idiota przy stole Niemców wciąż pogwizdywał, co nie było miłe, za to służyło mojej sprawie. Posłałam mu niby wstydlivy uśmiech, jakby jego

prostackie zachowanie mi schlebiało. W moim kierunku spojrzeli także inni i do nich też się uśmiechnęłam. Chciałam, żeby dostrzegli mnie wszyscy przy ich stole – mężczyźni rywalizują ze sobą w ten sposób.

Niech pan mnie zauważy, von Groth. Jestem tutaj.

Szef gestapo, jakby usłyszał moje myśli, odłożył widelec, otarł sobie kąciki ust serwetką i podniósł wzrok, by sprawdzić, czemu jego towarzysze pogwizdują.

Jego lodowato zimne spojrzenie sprawiło, że poczułam się jak na celowniku. Instynkt podpowiadał, że powinnam uciekać, chronić własne życie, ale przecież nie po to tu przyszłam. Zebrałam więc całą swoją odwagę. Przypomniałam sobie o wykolejeniu pociągu pod Limoges, do którego nie doszłoby, gdybym nie wyciągnęła informacji od Ulricha.

Skrzyżowałam spojrzenia z von Grothem. Uśmiechnęłam się do niego. Nawet pomachałam, czego nie zrobiłam dla żadnego z pozostałych mężczyzn siedzących przy stole.

Von Groth przedłużył nasz kontakt wzrokowy. Skinął głową prawie jakby na powitanie. Po czym wrócił do swojej poprzedniej rozmowy.

Sączyłam koniak, gawędząc z barmanem o jakichś błahostkach. Podczas gdy w moim kieliszku robiło się coraz bardziej pusto, zaczęłam się zastanawiać, czy się wystarczająco postarałam. Von Groth nadal do mnie nie podszedł... a jednak od czasu do czasu jeżyły mi się włoski na karku i kiedy zerkałam w jego stronę, widziałam, że patrzy w moim kierunku.

Pociągnęłam właśnie ostatni łyk drinka, kiedy przy stole Niemców zrobił się ruch. Von Groth wstał i teraz zmierzał prosto do baru, jak gdyby tylko na to czekał. Jego buty z wyraźnym celem stukały o posadzkę.

– Nowy drink dla młodej damy. I jeden dla mnie – rzucił do barmana. Głos miał ostry jak igła.

Nie zapytawszy, czy może na kogoś czekam, postawił stopę na poprzeczce sąsiedniego stołka i oparł się łokciem o kontuar. Trudno mi było nie zerkać na jego liczne medale i na niebieskawą stal pistoletu wiszącego u prawego biodra. Barman podał nam zamówione drinki i mimo że jeszcze kilka minut temu był taki rozmowny, teraz czmychnął niczym wystraszona mysz.

– Pani oczy zwróciły moją uwagę – rzekł do mnie von Groth. – Mają niespotykany wyraz.

– Pochlebia mi pan, pułkowniku.

– Podpułkowniku, obawiam się.

– Ojej, mój błąd. Widziałam pańskie zdjęcie w „Les Nouveaux Temps”. Gratuluję awansu. To bardzo imponujące.

– Doceniam pochwałę płynącą z ust francuskiej dziewczyny takiej jak pani. Zbyt wielu młodych ludzi nie okazuje nam należnego szacunku. – Jego oczy strzeliły w stronę ulicy, ku numerowi 11. – Napije się pani ze mną?

– Z przyjemnością.

Stuknął swoim szkłem o moje.

– Jestem Obersturmbannführer Walther von Groth. A pani jak się nazywa?

– Adalyn Bonhomme.

To przerażające, że podałam Waltherowi von Grothowi swoje prawdziwe imię i nazwisko. Czułam się obnażona. Ale Adalyn Bonhomme to dziewczyna często pokazywana w kronice towarzyskiej, dziewczyna przesiadująca w hotelu Belmont, co oznaczało, że Adalyn Bonhomme znów będzie moim najlepszym przebraniem.

– Co cię sprowadza do tej restauracji, i to w pojedynkę, panno Bonhomme?

Zmusiłam się do spłoszonego uśmiechu.

– Czy wojna powinna odbierać młodej kobiecie okazję do poznania miłego mężczyzny? – odpowiedziałam pytaniem.

Von Groth zachichotał.

– Mówisz po niemiecku?

– Niestety, nie – skłamałam.

– Nie szkodzi – stwierdził, wypinając pierś. – Ja znam biegle francuski, a także inne języki.

– Niech mnie pan nauczy mówić coś po niemiecku, podpułkowniku.

– Dobrze. Czego chciałabyś się nauczyć?

– Niech mnie pan nauczy, jak powiedzieć... „Podpułkownik wygląda bardzo dobrze w swoim mundurze”.

– *Der Obersturmbannführer sieht gut aus in seiner Uniform.*

– Ojej! Będę potrzebowała pańskiej pomocy, żeby to poprawnie wymówić. – Zdobyłam się na najgorszy możliwy akcent, przypominając sobie żalosne wysiłki moich byłych koleżanek z klasy. – Derr Ou-berr-szturmban-firr-rer...

– *Sieht gut aus...*

– *Ziijt gut ałs...*

– *In seiner...*

– In zaj-nerr...

– *Uniform.*

– U-ni-form.

Von Groth uniósł kieliszek.

– Mówisz jak prawdziwa Niemka.

Nie mogłam znieść jego uśmiechu, widoku ostrych jak u szczura zębów wystających spod górnej wargi.

– Teraz nauczę cię wymawiać coś innego, panno Bonhomme.

Dotknął mojego nadgarstka, a ja walczyłam z przemożnym instynktem, który kazał mi cofnąć rękę. Staralam się nie patrzeć na jego dłonie, ponieważ nie chciałam myśleć o tym, ile zła uczyniły.

– *Du bist wunderschön* – powiedział do mnie.

– Oo, a co to znaczy? – udałam naiwną, bo doskonale wiedziałam, co mówi.

– Jesteś przepiękna – przetłumaczył Von Groth, gładząc mnie teraz po przedramieniu.

– Dziękuję.

– Raczej powinnaś powiedzieć *danke* – poprawił mnie i mrugnął okiem.

W tym momencie podszedł do nas jeden z mężczyzn, którzy siedzieli przy stole z von Grothem. Zatrzymał się około półtora metra od nas, założył ręce za plecy i odchrząknął.

– Panie Obersturmbannführer, pański samochód czeka – oznajmił.

– Zaraz przyjdę – rzucił szorstko von Groth.

Oto miałam ostatnią szansę, by się upewnić, że się jeszcze spotkamy. Teraz to ja muskałam palcami jego nadgarstek.

– Mam nadzieję, że widzimy się nie po raz ostatni – zagadnęłam.

– W następną sobotę urządzam w tej restauracji lancz, by uczcić objęcie nowego stanowiska. Byłoby mi miło, gdybyś była moim gościem, o ile masz wolny czas.

– To będzie dla mnie zaszczyt.

– Zatem jesteśmy umówieni. Będę na ciebie czekał tu w południe.

Dopił drinka, po czym kurtuazyjnie pocałował mnie w rękę tymi swoimi strasznymi cienkimi ustami. Następnie wyszedł z restauracji, a razem z nim

cały jego orszak. O mój Boże, co ja właśnie zrobiłam?

– Życzy sobie pani jeszcze drinka? – zapytał barman. Jakby za sprawą magii pojawił się natychmiast, kiedy von Groth wyszedł.

– Nie, dziękuję – odpowiedziałam, przytrzymując się baru, żeby się nie osunąć.

Geronte był pod wrażeniem mojego działania. Ja też – muszę przyznać – kiedy już się otrząsnęłam z początkowego szoku. Von Groth niczego nie podejrzewał. Wierzył mi, gdy mu nadskakiwałam, wychwalając jego nową pozycję i mundur. Co będę mogła z niego wyciągnąć, kiedy spędzę z nim więcej czasu?



Wieczorem w przeddzień umówionego spotkania z von Grothem ćwiczyłam na pianinie w bawialni, podczas gdy *maman* i *papa* siedzieli w fotelach przy oknie, które miało szczelnie zasunięte zasłony, żeby nie wypuszczać światła na zewnątrz. Kiedy skończyłam grać etiudę, *maman* podniosła wzrok znad książki i spytała:

– Pójdziemy jutro razem na targ, Adalyn?

Przygryzłam wargę. Do tej pory nie poinformowałam rodziców o planowanym lanczu, ponieważ musiałam to przedstawić tak, aby pomyśleli, że chętnie przyjąłam zaproszenie. Jednak choć było to dla mnie bolesne, nie mogłam dłużej zwlekać. Wybrałam ruch oporu, a skoro miałam szpiegować, cel uświęcał środki. Pocieszało mnie tylko to, że w pokoju nie było w tej chwili Chloe. Całe dni spędzała w gabinecie taty, izolując się od nas, jak się dało.

– Jutro nie mogę – powiedziałam mamie. – Jestem zaproszona na lancz.

– O! Kto cię zaprosił, kochanie?

– To... nowy szef gestapo w Paryżu. Poznałam go w restauracji, do której wybrałam się z przyjaciółmi z uniwersytetu.

Nie odrywałam wzroku od rozłożonych przed sobą nut, ale usłyszałam miękki odgłos gwałtownego zamknięcia książki.

– Gestapo? – powtórzyła *maman* z wahaniem.

Mogłam się domyślić, co jej przemknęło przez głowę. Do tej pory znajdowała sposoby na to, by jakoś racjonalizować obracanie się

w towarzystwie Niemców na przyjęciach u madame Marbot i madame LaRoche. Nigdy jednak nie zjawiali się tam gestapowcy, funkcjonariusze tajnej policji Hitlera.

Wreszcie zdobyłam się na odwagę, by się odwrócić – i rzeczywiście, na twarzy mamy dostrzegłam niepokój. Jej oczy raz po raz przeskakiwały na tatę, szukała u niego wskazówki, ale on nie oderwał się od książki, jasno dając do zrozumienia, że nie chce się w to mieszać.

– To nic złego, mamó – zapewniłam ją. – Spróbuję przynieść dla nas coś do jedzenia. A poza tym... uważam, że nie zaszkodzi, żeby gestapo patrzyło na naszą rodzinę przychylnym okiem. Słyszysz się takie historie...

Maman westchnęła.

– Tak... w rzeczy samej, słyszysz się takie historie...

W pokoju zapadła ciężka cisza.

– Więc dobrze – odezwała się w końcu *maman*. – Jeśli zajrzysz do mojego pokoju rano, pomogę ci wybrać ubranie. Możemy przejrzeć zdjęcia z mojej szuflady, żeby poszukać inspiracji.

– Byłoby cudownie, mamó. – Własna dwulicowość przyprawiała mnie o mdłości. – Jeżeli pozwolisz, pójdę się już położyć.

Życzyłam rodzicom dobrej nocy i wycofałam się w zacisze swojej sypialni, gdzie zamknęłam za sobą drzwi i ukryłam twarz w poduszce. Ale gdy potem wyszłam na korytarz, zauważyłam na podłodze wąski trójkąt światła wydobywającego się z gabinetu taty. O, nie. Chloe zapewne nie zamknęła drzwi, możliwe więc, że słyszała naszą rozmowę prowadzoną w bawialni.

Wstrzymałam oddech, zbliżając się do gabinetu. Może przesadzałam z ostrożnością. Okazało się, że drzwi są przymknięte – na ile wyraźne muszą być dźwięki, żeby przeniknęły przez szparę? *Maman* i ja mówiłyśmy raczej cicho.

Jednak kiedy mijałam klin światła, usłyszałam, że Chloe rusza się na siedzeniu. To nic takiego – powiedziałam sobie. Zaraz potem ze szpary dobiegł mnie wyraźny jadowity syk siostry:

– Ale mi przynosisz wstyd.



Rano *maman* wystroiła mnie w cytrynową sukienkę i diamentowe kolczyki w kształcie łezki, a do ręki dała jedną ze swoich wytwornych kopertówek od Boucheron.

– Wyglądasz jak chodzący promyk słońca – zapewniła.

Jednak zmierzając na umówione spotkanie, bynajmniej nie czułam się promiennie. Zniewaga rzucona przez siostrę mocno mnie zraniła, poza tym bałam się znowu znaleźć w lodowatej obecności Walthera von Grotha i frustrowało mnie, że jedyne osoby wiedzące, kim naprawdę jestem, są gdzieś daleko, Bóg wie zresztą gdzie. Najbardziej tęskniłam za Lukiem, którego nie widziałam od tamtego popołudnia spędzonego nad rzeką. Geronte ani słowem nie zająknął się o miejscu jego pobytu. Skręcając w *rue des Saussaies*, przypomniałam sobie, co Luc powiedział, zanim mnie pocałował na pożegnanie: „Jeśli tylko oddycham, myślę o tobie”.

Proszę, myśl o mnie teraz, Luc.

Restaurację wypełniało morze szarozielonych mundurów. Istna szczyrza plaga. Stoliki przestawiono pod ściany, aby goście mieli przestrzeń do krążenia i raczenia się kanapkami, które podawano na srebrnych tacach. Zamówiony fotograf robił zdjęcia. Kelner Boivin przywitał mnie zamaszystym gestem ręki.

– Jest tam, po lewej – szepnął, kiedy go mijałam.

Znalazłam von Grotha w centrum kręgu wielbicieli. Gdy dostrzegł mnie w tłumie, rzucił polecenie dwóm ludziom, których miał u boku, a ci podprowadzili mnie do niego. Pocałował mnie w rękę zimnymi, twardymi ustami.

– Panno Bonhomme, jestem uszczęśliwiony, że dołączyłaś dziś do nas.

– To dla mnie zaszczyt, że tu jestem.

– Wyglądasz jeszcze piękniej niż ostatnim razem.

– Cóż, dziękuję.

Musieliśmy przerwać wymianę uprzejmości, ponieważ podeszli kolejni mężczyźni z gratulacjami. Mimo to cały czas trzymałam się boku von Grotha. Podpułkownik nie wiedział, że nasłuchuję i staram się zapamiętać wszystko, o czym rozmawia z innymi Niemcami.

Początkowo zarzucali go tylko pochlebstwami.

– Nikt nie zasługiwał na to bardziej.

– Kierownictwo ma szczęście, że się pojawiłeś.

– Nie mogę się doczekać współpracy z tobą.

Ale później, gdy towarzystwo się przerzedziło i mniej ważni goście stopniowo odpływali, von Groth z najbliższymi znajomymi rozsiadł się wokół jednego z dużych stołów.

– Usiądź z nami na drinka, zanim wyjdiesz, panno Bonhomme.

– Z przyjemnością.

Tak naprawdę zwymiotowałam, gdyby nie to, że zdradziłam się takim zachowaniem. Wszyscy siedzący przy tym stole mieli na ramieniu nazistowskie opaski. Mimo to wśliznęłam się na miejsce obok samego von Grotha i przyjął kieliszek koniaku. Najwidoczniej nikt nie przejmował się moją obecnością – naziści uwierzyli w dzielącą nas barierę językową. Nie byłam niczym innym jak kolejnym medalem przypiętym do piersi podpułkownika.

– Obersturmbannführer von Groth – odezwał się jeden z Niemców, który wyraźnie bardzo chciał zrobić dobre wrażenie – musi nam pan powiedzieć, jak się panu pracuje na tym nowym stanowisku.

– Bardzo dobrze, Richter – odparł zagadnięty. – Wie pan, że paryżanie to pod wieloma względami nikczemnicy, ale zdecydowanie ułatwiają nam pracę, kiedy donoszą jeden na drugiego. Oczywiście, wiele z tych donosów to bzdury i trzeba umieć odróżnić prawdę od fałszu, ale to odróżnienie przychodzi mi z największą łatwością.

Skwitowano to wspólnym przychylnym śmiechem.

– Niech nam pan powie coś o tych prawdziwych donosach – poprosił człowiek nazwany Richterem.

– W zeszłym tygodniu – zaczął von Groth – pewna dozorczyńca poinformowała nas, że młode małżeństwo zajmujące jedno z mieszkań w jej kamienicy gromadzi pod podłogą broń. Następnego dnia zrobiliśmy nalot na to mieszkanie i rzeczywiście znaleźliśmy sporo broni. Mężczyzna próbował nam wmówić, że jest po prostu kolekcjonerem.

– Gdzie są teraz? – zapytał ktoś inny.

– Kobieta we Fresnes – odparł von Groth. – Mężczyzna nie żyje.

Znowu śmiechy.

– Niech pan opowie coś jeszcze – dopraszał się Richter.

– Cóż, na jutro też mamy zaplanowany nalot.

Wszyscy przy stole nachylili się z uwagą – oprócz mnie, bo przecież udawałam, że nie mam pojęcia, o czym mowa. Nadstawiłam jednak uszu, łowiąc każde słowo spływające z ust szefa gestapo.

– Człowiek, który prowadzi księgarnię na rogu rue Chauveau Lagarde, poinformował nas, że kobieta z mieszkania na parterze po drugiej stronie ulicy ukrywa u siebie żydowskie robactwo. Rzecz jasna, to może być kłamstwo, ale tego rodzaju raporty należy traktować bardzo poważnie.

Pozostali zgodnie pokiwali głowami.

Starałam się w miarę spokojnie przyjąć tę straszną wiadomość, kiedy do stołu podszedł fotograf.

– Grupowe zdjęcie, zanim wyjdę? – zaproponował.

– Proszę – zgodził się von Groth.

Położył rękę na moich ramionach. Nie chciałam, żeby mnie dotykał, ale nie mogłam się od niego odsunąć, żeby się nie zdradzić. I kiedy pozostali mężczyźni otoczyli nas ciasniej, pozując do zdjęcia, zrobiłam, co należało.

Uśmiechnęłam się do obiektywu.

Kiedy nadeszła pora pożegnania, wyszłam na ulicę z von Grothem i jego ludźmi. Na chodniku wziął mnie na chwilę na bok.

– Żałuję, że nie mieliśmy czasu dłużej porozmawiać – rzekł. – Musiałem odpowiadać tylu osobom.

– Nic nie szkodzi – powiedziałam. – Cieszę się, że mnie pan w ogóle zaprosił.

– Niestety, przez najbliższe kilka miesięcy będę w rozjazdach – oznajmił. – Ale jeżeli zajrzysz tu jesienią, na pewno mnie znajdziesz, a ja bardzo chętnie postawię ci kolejnego drinka, panno Bonhomme. Będziemy mogli kontynuować nasze lekcje niemieckiego.

– Będę ich wyczekiwała. Bezpiecznej podróży, podpułkowniku.

Pozwoliłam, by jeszcze raz pocałował mnie w rękę – naprawdę obrzydliwe wrażenie – po czym ruszyłam przed siebie, zadowolona, że się od niego oddalam. Musiałam przyznać, że czułam zarówno rozczarowanie, jak i ulgę, wiedząc, że nie zobaczę tego człowieka przez najbliższe kilka miesięcy. Postanowiłam, że pójdę do domu i porządnie wyszoruję sobie rękę, najpierw jednak miałam coś jeszcze do załatwienia.

Rue Chauveau Lagarde była niezbyt daleko. To bardzo krótka ulica, na ile ją pamiętałam, i znajdowała się przy niej tylko jedna księgarnia. Podeszłam do kamienicy stojącej dokładnie naprzeciwko sklepu z książkami.

Sennej dozorczyńni powiedziałam, że jestem znajomą kobiety mieszkającą na parterze. Machnęła ręką, pozwalając mi przejść bez

dalszych pytań.

Zapukałam do drzwi jak najciszej, żeby nie usłyszeli sąsiedzi. Minęła minuta. Drzwi się uchyliły i przez szparę wyjrzała kobieta. Była bardzo szczupła i wyglądała na wyczerpaną, jak leśne zwierzątko nieustannie uciekające przed drapieżnikami.

– O co chodzi? – rzuciła oschle.

– Wiedzą – odparłam krótko. – Przyjdą jutro.

Widziałam, jak na jej twarz wypełza strach. Oczy jej się rozszerzyły, wokół tęczówek pokazały się białka.

– Kim jesteś? – zapytała.

– Nieważne – odrzekłam. – Po prostu znajdźcie inne bezpieczne miejsce.

Wszyscy.

Skrzyżowałyśmy spojrzenia na kilka pełnych udręki sekund – dwie przerażone kobiety naprzeciwko siebie. Tkwiliśmy w tym wszyscy małeńkie płomyki walczące o to, by nie zgasnąć w przytłaczającej ciemności. Nic już nie powiedziała. Skinęła mi głową i zamknęła drzwi. Popędziłam schodami w dół, modląc się w duchu, by się wydostali z opresji bez kłopotów.

Rozdział 15

Alice

Bylaam taka podenerwowana i podekscytowana perspektywą pójścia na spotkanie Projektu Geronte, że konieczność odczekania całego tygodnia wydawała mi się nie fair. Żeby przez ten czas zająć się czymś pożytecznym, Paul i ja analizowaliśmy strony dziennika Adalyn niczym dwoje archeologów zgłębiających pradawne historie. Niektóre fragmenty czytaliśmy po wielekroć, poszukując wskazówek ukrytych w drobnym pochyłym piśmie.

Pewnego dnia wczesnym popołudniem siedzieliśmy za jego biurkiem w La Librairie. W księgarni był senny dzień – w zasięgu wzroku żadnego klienta ani żadnych nowych dostaw do skatalogowania, oparłam więc głowę na ramieniu Paula, znowu razem z nim ślęcząc nad dziennikiem. Jednak w momencie gdy skończyła się jego zmiana, Paul zamknął notatnik i sięgnął po swój plecak.

– Idziemy – rzekł.

– Wszystko w porządku?

– Tak. Ale mam straszną ochotę cię pocałować, a tutaj nie mogę tego zrobić.

Jak najszybciej spakowałam swoje rzeczy. Paul wziął mnie za rękę i poprowadził do pobliskiego ogrodu Luksemburskiego. Podążyliśmy ścieżką na tył pałacu, mijając staw z fontanną pośrodku, i dotarliśmy do cienistego skrawka trawy między dwoma rzędami drzew o gałęziach i liściach przyciętych w idealne prostokąty.

Opadliśmy na trawę i natychmiast zaczęliśmy się całować, i to głęboko. Gdy dawniej wyobrażałam sobie francuski pocałunek, zawsze zakładałam, że to coś skomplikowanego, wymagającego tyle ruchu. Nigdy nie

pomyślałam, że przyjdzie tak naturalnie ani że będę się w ten sposób całować z Francuzem. Gdy jego język wsuwał się za moje zęby, nie obchodziło mnie nawet, że dokoła są ludzie. Uczucie było niesamowite. No i miałam w sobie tyle tłumionych emocji, które narosły z powodu ostatnich wydarzeń, że chciałam się po prostu zagubić w równomiernym rytmie naszych ust.

Jakoś tak bezwiednie z pozycji siedzącej przeszliśmy do leżenia obok siebie, twarzą w twarz. Jego ręka sunęła wolno po moim boku, aż spoczęła na nagiej skórze wystającej spod T-shirtu. Po całym moim ciele przeszły dreszcze szczęścia.

Potem nasze okulary stuknęły o siebie i obydwójce rozchichotaliśmy się na całego.

– Tak mi się zdawało, że do tego dojdzie – powiedział Paul.

– Zdejmę swoje, jeśli chcesz.

– Nie, jest w porządku. – Odsunął się odrobinę i przyglądał mi się na leżąco. – Wyglądasz w tej chwili tak pięknie.

Miałam wrażenie, że wybuchnę jak fajerwerk. Usiedliśmy i zaczerwienieni po uszy zaczęliśmy się otrzępywać ze strzępków roślin. Sięgnęłam do plecaka i wyjęłam dziennik Adalyn.

– Chyba trzeba wracać do roboty – westchnął Paul.

– To była dobra przerwa śródlekcyjna – zauważyłam.

Zanim wyszliśmy z księgarni, analizowaliśmy wpis z grudnia 1943 roku. Adalyn pisała o kolejnej surowej zimie, o tym, że brakuje im węgla do ogrzania mieszkania, że się nie może doczekać końca wojny. Zwróciłam szczególną uwagę na akapit pod koniec:

Jest tak strasznie zimno. Palce mi zgrabiały, a siedzę przykryta kołdrami. Lodowate noce byłyby znacznie znośniejsze, gdybym jak dawniej dzieliła łóżko z Chloe. Lecz ona nie przychodzi do mnie już od roku. Rzadko bywa w domu. A jeśli już jest, nie odzywa się do mnie. Nie patrzy też na mnie, kiedy się mijamy w korytarzu. Za każdym razem serce mi się kraje.

Opierając się na tym, doszliśmy do wniosku, że babcia i Adalyn przestały ze sobą rozmawiać pod koniec 1942 roku, wciąż jednak nie mogliśmy dojść do tego, co je poróżniło.

– Jeśli Adalyn była w ruchu oporu, dlaczego babcia tak się na nią wściekała? – zastanawiałam się na głos. – Przecież obie byłyby po tej samej stronie.

– Przyszło mi coś do głowy – odezwał się Paul. – A jeśli twoja babcia nie wiedziała?

– Nie wiedziała, że jej siostra działa w ruchu oporu?

– Tak – potwierdził w zamyśleniu. – Może to była tajna działalność.

– Ściśle tajna, skoro nie można o niej powiedzieć rodzinie.

– Właśnie.

– Chodzi mi o to, że przecież bardzo się przyjaźniły. Otworzyłam dziennik na ostatnim wpisie, z datą 30 maja 1944 roku. Dalsze kartki notatnika były puste, a ja próbowałam nie dać się ponieść wyobraźni w kwestii tego, czemu Adalyn przestała pisać. W 1944 roku robiła to rzadziej niż w poprzednich latach, najwyraźniej była zajęta czymś innym. Mimo to trudno się było nie martwić – teraz, kiedy wiedziałam, co jest w ostatnim wpisie.

Gdy Paul przeczytał go kilka dni temu, zmarszczył brwi, a okulary zjechały mu przy tym po nosie.

– To dziwna wiadomość – stwierdził.

– Co masz na myśli?

– Tajemnicza – mruknął. – Jakby napisana symbolami.

Po czym przetłumaczył ją dla mnie:

30 maja 1944 roku

To już prawie cztery lata. Cztery lata, odkąd zapalono płomień. A mój wciąż płonie.

Oto coś, co jest prawdą o ogniu: daje moc, lecz także sieje spustoszenie. Mój ogień napędził wiele zwycięstw, ale zniszczył to, co mnie łączyło z osobą, którą kochałam najbardziej na świecie.

Mój ogień sprowadził na mnie tyle bólu, że nie mogę już dłużej tego znieść. I nie chcę.

Jutro będzie najtrudniejszy dzień. Jestem przerażona. Drzę, kiedy to piszę. Jednak mój strach jest znacznie mniej ważny niż to, co trzeba zrobić.

Cokolwiek się stanie, zasną dzisiaj, wiedząc, że warto podjąć ryzyko.

Serce mi waliło, gdy znów patrzyłam na te słowa i miałam je przetłumaczone. Rozpaczliwie chciałam się dowiedzieć, co Adalyn planowała na 31 maja 1944 roku, a jednocześnie bałam się tego. Zanotowała, że następnego dnia ma się wydarzyć coś niebezpiecznego, po czym przerwała prowadzenie dziennika – to nie wróżyło dobrze. Paul jednak wciąż mi przypominał, że niczego jeszcze nie wiemy na pewno.

– Naprawdę wygląda na to, że działała w ruchu oporu – rozmyślałam znowu. – Jej ogień wciąż płonie. Charles de Gaulle mówił o „płomieniu francuskiego oporu”. Adalyn przytaczała wcześniej w dzienniku tę jego wypowiedź.

– I to by wyjaśniało, dlaczego wpis jest sformułowany tak niejasno – zauważył Paul. – Nie chciałyby otwarcie pisać o swoich planach, na wypadek gdyby ktoś znalazł notatnik.

– Wciąż jednak pozostaje jedno ważne pytanie.

– Jakie?

– Dlaczego zadawała się z nazistami?

– Och... no tak.

Jęknęłam przeciągle i opadłam na plecy, rozkładając szeroko ręce. Paul położył się obok mnie. Wtuliłam się w jego ciało, opierając policzek o miękkie miejsce tuż pod obojczykiem. Czułam się tak dobrze. Bezpiecznie.

– Wiem, że szanse są bardzo nikłe – powiedziałam – ale naprawdę mam nadzieję, że na spotkaniu Projektu Geronte znajdziemy kogoś, kto ją rozpozna.

– Nigdy nie wiadomo – odparł. – Może nawet będzie tam sama Adalyn.

Ukryłam twarz w jego koszulce.

– Teraz sprawiasz, że denerwuję się jeszcze bardziej!

– Przepraszam – mruknął. – Mogę spróbować skierować twoje myśli w inną stronę.

– Jak? – burknęłam.

Nastąpiło lekkie poruszenie, kiedy zdjął okulary i schował je do bocznej kieszonki plecaka. I zaraz Paul rozciągnął się obok mnie z powrotem i przysunął mnie bliżej. Mój mózg tak po prostu przełączył się na całkiem

inny bieg. Motyle trzepotały mi w piersi, kiedy uniosłam twarz do kolejnego pocałunku.



Spotkania Projektu Geronte odbywały się w zwykłym hotelu w Dziewiątej Dzielnicy, niedaleko od rue de Marquis. Powiedziałam sobie, że to dobry znak, choć tak naprawdę nic to nie oznaczało. Tak jak się umówiłam z Paulem, spotkaliśmy się na ulicy. Pod pachą miałam schowane w kopercie kopie zdjęć, które dostaliśmy od pani Richard. Drżałam ze zdenerwowania. Czułam się tak jak wtedy, gdy po raz pierwszy otwierałam drzwi mieszkania numer 5, zupełnie nieświadoma, co zastanę w środku.

Paul wyglądał świetnie w marynarce i ciemnych džinsach. Nigdy dotąd nie widziałam go w czymś innym niż T-shirt.

– Wystroiłeś się – zauważyłam.

– Cóż, a jeśli będzie tam Adalyn? Chciałem dobrze się prezentować, na wypadek gdybym miał poznać twoją rodzinę.

Trzepnęłam go żartobliwie kopertą.

– Na pewno jej tam nie będzie. – Ale gdy to mówiłam, serce mi dudniło. A jeśli jakimś dziwnym zrządzeniem losu jednak b e d z i e?

Paul zaoferował mi ramię, z czego skorzystałam. Mając go blisko u boku, czułam się spokojniejsza.

– Hej, Paul?

Jechaliśmy ruchomymi schodami na półpiętro, gdzie mieściła się sala bankietowa.

– Tak?

– Chciałam tylko powiedzieć... dzięki, że ze mną tu przyszedłeś. I że mi we wszystkim pomagasz. Sama nigdy nie zaszłabym tak daleko.

Teraz staliśmy przed podwójnymi drzwiami, na których wywieszono napis: „Projekt Geronte”. Zanim sięgnęliśmy do klamki, Paul ujął moją twarz w dłonie i pocałował mnie w czoło. To była najbardziej nieoczekiwana romantyczna rzecz, jaka trafiła mi się w życiu. Kolana się pode mną ugięły.

– To dla mnie przyjemność – zapewnił. – Czuję się szczęśliwy, że jestem z tobą, Alice.

Obok nas przecłapali trzech mężczyźni: jeden bardzo stary, wspomagany przed dwóch nieco młodszych, może po siedemdziesiątce lub osiemdziesiątce. Skierowali się do środka. Niewiarygodne – niektórzy z ludzi po drugiej stronie tych drzwi rzeczywiście należeli do francuskiego ruchu oporu ! Historia wplatała się w prawdziwe życie.

– Wejdziemy? – spytał Paul.

– Tak.

Otworzyliśmy drzwi i naszym oczom ukazała się sala wyłożona wykładziną dywanową z ustawionymi wzdłuż ścian krzesłami. Pośrodku kręcili się ludzie, wielu z nich w takim słusznym wieku jak tamci mężczyźni, którzy nas właśnie minęli. Rozbrzmiewała niegłośna muzyka z lat czterdziestych – zapewne po to przyciszona, żeby goście mogli się bez problemu słyszeć. Na długim stole wyłożono różne przedmioty: egzemplarze starych gazet, plakaty, jakieś zardzewiałe części wiekowej broni, a na drugim stole czekał poczęstunek: wino, ser, chleb.

Czyjaś silna ręka chwyciła mnie za ramię.

– Alice? Paul?

Odwróciłam się pośpiesznie. To pewnie była nasza gospodyni, ale wyglądała na mniej niż osiemdziesiąt lat. Dałabym jej może sześćdziesiąt pięć. Krótkie białe włosy miała tak ułożone, że z przodu sterczały jak igiełki, a ubrana była w skrojony na miarę spodnium.

– Tak, to my – powiedziałam. – Czy pani Corinne?

– *Oui*. Miło mi was poznać. – Mówiła znośnie po angielsku. Przywitała się z nami mocnym uściskiem ręki. – Antoinette opowiedziała mi waszą historię. Cieszę się, że przyszliście.

– A my cieszymy się, że nas pani zaprosiła! A więc... pani dziadek prowadził siatkę ruchu oporu?

– Zgadza się.

– Nie wiem, czy rozpoznałaby pani na zdjęciach kogoś, kto z nim pracował, ale może...

Wyjęłam z koperty czarno-białe zdjęcia, które dała nam pani Richard. Corinne przyjrzała się im uważnie, przysuwając je blisko do twarzy, po czym oddała fotki, potrząsając głową.

– Mój dziadek podczas wojny pracował z wieloma ludźmi. Niektórzy byli młodzi jak ci na tych zdjęciach. Nie rozpoznaję ich, ale śmiało rozpytujcie wśród osób w tej sali. Widzę dziś nowe twarze. Nigdy nic nie

wiadomo. O, proszę... poznajcie moją przyjaciółkę Micheline. – Corinne dotknęła ramienia kruchej kobiety idącej w stronę stołu z napojami.

Tamta wyglądała na zakłopotaną, ale uśmiechnęła się do nas ciepło. Corinne zadała jej po francusku pytanie i wskazała fotografie w mojej ręce. Brwi Micheline powędrowały do góry. Skinęła na mnie, bym jej pokazała zdjęcia. Serce przyśpieszyło mi z nadzieją, kiedy wręczałam fotki. Patrzyła na nie przez minutę, zmarszczki na jej twarzy pogłębiły się, a potem stwierdziła po prostu:

– *Non*.

– *Merci beaucoup* – odpowiedział Paul, podczas gdy Micheline dreptała już w swoją stronę.

Corinne oddaliła się, żeby powitać nowych gości. Ogarnęło mnie rozczarowanie.

– Chciałam, żeby ją rozpoznała – wyznałam.

– Ale to dopiero pierwsza osoba, do jakiej się zwróciliśmy – przypomniał Paul, poklepując mnie po plecach. – Chodź, spróbujemy z tamtą parą tam dalej. Ja będę mówił, w razie gdyby nie znali angielskiego.

Podeszliśmy do starszych państwa, którzy stali sami przy oknie.

– *Excusez-moi* – zagadnął ich Paul – *pouvons-nous vous poser une question?*

Powtórzyliśmy to samo co przed chwilą, pokazując zdjęcia i z zapartym tchem czekając, aż je dokładnie obejrzą. I tak jak poprzednio odpowiedzią było potrząśnięcie głową oraz krótkie:

– *Non, désolé*.

Słowa: *Non, désolé*, „Nie, przykro mi”, stały się mantrą tego wieczoru. Nikt nie rozpoznawał Adalyn ani żadnego z chłopców. Niektórzy traktowali nasze pytanie jako zachętę do snucia opowieści o własnych wojennych wyczynach. Nieraz zupełnie zatracaliśmy się w ich niewiarygodnych historiach, zanim któreś z nas przypomniało sobie, że powinniśmy zwrócić się też do innych gości.

Pewna starsza pani, potrząsnąwszy przecząco głową nad zdjęciem Adalyn, pokazała nam czarno-białą fotografię siebie samej w 1942 roku. Pierwsze, co mi się rzuciło w oczy, to jej fryzura na zdjęciu, ponieważ wyglądała śmiesznie. Z przodu sterczała wielka wyniosłość, wysoka chyba na trzydzieści centymetrów, może nawet wyższa od samej głowy. Pośmialiśmy się wspólnie z tego uczesania, po czym zerknęłam uważniej

na fotkę i dostrzegłam gwiazdę na ubraniu dziewczyny. Pośrodku było wyszyte słowo *zazou*.

– Zdaje się, że moja babcia nosiła taką samą gwiazdę – powiedziałam do starszej pani, przypominając sobie fioletową sukienkę rozłożoną na łóżku babci. – Nazywała się Chloe Bonhomme. Nie znała jej pani przypadkiem?

Znów potrząsnęła głową.

– To było tyle lat temu – odparła lekko chrapliwym głosem. – Pamięć działa w zabawny sposób. Są drobnostki, których nigdy nie zapomnę, jak smak namiastki kawy, którą przyrządzała moja mama... albo zapach wysychającej jodyny, którą smarowała sobie nogi, żeby wyglądały, jakby miała włożone jedwabne pończochy, a na nie oczywiście nie mogliśmy sobie pozwolić. Ale inne rzeczy zniknęły! – Żartobliwie postukała się knykiami w głowę.

– Dlaczego na gwieździe jest słowo *zazou*?

Uśmiechnęła się chytrze.

– Tak się nazywaliśmy – rzekła. – Byliśmy małymi buntownikami! Robiliśmy coś przeciwnego, niż chciał od nas Pétain i jego rząd Vichy. Życzył sobie, żeby dziewczęta siedziały w domach i zostawały matkami, więc oczywiście stroiliśmy się ekstrawagancko i chodziłyśmy do klubów jazzowych. To były czasy!

Pomimo minionych lat w jej oczach zajaśniała iskra.

Kiedy staruszka poczłapała w swoim chodziku, żeby się przywitać z Micheline, serce nabrzmiało mi dumą. Babcia była buntowniczką! W sumie właśnie tego się po niej spodziewałam. Pozostała taka do końca życia, uparcie odrzucając ponawiane przez moich rodziców sugestie, żeby wynajęła pełnoetatową opiekunkę.

– Skoro więc babcia była jedną z tych *zazous* – zwróciłam się do Paula – na pewno nie cieszyła się z tego, że jej mama co drugi tydzień bywa w hotelu Belmont. No i jeżeli odkryła, że Adalyn zadaje się z nazistami, cokolwiek z nimi robiła...

– Musiała się naprawdę wściec. – Paul dokończył moją myśl. – Do tego stopnia, że przestała się do niej odzywać.

– A nie zapominaj, jak bliskie były sobie przedtem, na początku dziennika.

– To tak jakby Vivi zaczęła się obracać wśród nazistów – stwierdził. – Nie wiem, czybym umiał jeszcze się do niej odezwać.

Zawędrowaliśmy w kąt sali i stąd rozejrzeliśmy się wśród gości. Zdjęcia Adalyn zdążyły już się wytrzeć i sfatygować, przez tyle rąk przeszły tego wieczora.

– Kto następny? – spytał Paul.

Nie dostrzegałam nikogo nowego.

– Chyba już przepytaliśmy prawie wszystkich – powiedziałam z rozpaczą.

– A tamten gość?

Podążyłam za wzrokiem Paula i spojrzałam w przeciwległy kąt sali. Chodziło mu o tego stareńkiego pana, który wraz z dwoma pomocnikami minął nas wtedy przed wejściem. Prawdę powiedziawszy, ten mężczyzna przyprawiał mnie o ciarki. Zauważyłam, że gapi się na mnie od samego początku.

– Wygląda na dziwaka – mruknęłam. – Spróbujmy lepiej z tamtymi paniami przy pistoletach.

Paul się zgodził. Jednakże panie przy pistoletach okazały się kolejnym niewypałem. Podobnie kobieta na wózku inwalidzkim z przyczepionymi małymi flagami narodowymi Francji, a także drobny staruszek w czarnym berecie. Teraz zebrani powoli zmierzali już do wyjścia. Kątem oka złowiłam Corinne ściskającą kolejnych ludzi na do widzenia. Serce znowu mi zadudniło. Oto nasza ostatnia szansa, by znaleźć kogoś – kogokolwiek – kto powiedziałaby nam coś o mojej zaginionej krewnej.

Tamten starszy pan wciąż siedział w swoim kącie, dopijając kieliszek czerwonego wina. I faktycznie ciągle się na mnie gapił.

Musiałam to jednak zrobić.

Uprzejmie przerwałam Paulowi rozmowę ze staruszką w berecie.

– Ludzie zaczynają wychodzić – szepnęłam. – Powinniśmy zagadnąć tamtego gościa w kącie.

Paul skinął głową. Pożegnaliśmy się z jego nowym przyjacielem – popędził do stołu, żeby zgarnąć ostatni kawałek bagietki, a my podeszliśmy do człowieka mającego u boku dwóch wiernych pomocników. Wpatrywał się we mnie przez cały czas – to jasne – lecz teraz wszyscy trzej patrzyli na nas wyczekująco. Paul odchrząknął.

– *Pouvons-nous vous poser une question?*

Najstarszy z nich skinął głową z taką żarliwością, jakby się nie mógł tego doczekać, przy czym jego oczy ani na chwilę nie oderwały się od

mojej twarzy, mimo że mówił do niego Paul, nie ja. Wymienili kilka krótkich zdań po francusku, z których wyłowiłam słowo *appartement* – oznaczające „mieszkanie” – po czym Paul oznajmił, że mogę pokazać zdjęcia.

Staruszek przysunął je sobie bardzo blisko twarzy, przed sam nos. Domyśliłam się, że dwaj pozostali będą musieli poczekać na swoją kolej. Trzymał je tak przez dłuższy czas – może nawet całą minutę. Paul i ja posłaliśmy sobie porozumiewawcze spojrzenia. Na co ten człowiek tak patrzy? Szuka dawno wyblakłych wspomnień?

I nagle stało się coś dziwnego. Ręka starszego mężczyzny zaczęła drżeć. Ścisnął papier tak mocno, aż bałam się, że go podrze. Jeden z młodszych towarzyszy położył mu dłoń na ramieniu.

– *Quel est le problème?* – spytał z troską.

Staruszek w końcu opuścił zdjęcia, a ja osłupiałam, widząc, że oczy ma pełne łez. Cała grupka głośno wciągnęła powietrze. Potem starszy pan spojrzał mi prosto w oczy i coś do mnie powiedział. Paul wyraźnie się zmieszał.

– Przykro mi, nie za bardzo rozumiem po francusku – odpowiedziałam.

– Powiedziałem, że wyglądasz jak ona – wyjaśnił roztrzęsionym głosem.

– Dostrzegłem to od razu, kiedy weszłaś.

Teraz mój głos też już drżał.

– Znał pan siostrę mojej babci, Adalyn?

Po jego policzku popłynęła łza. Skinął głową. Trzęsącym się palcem wskazał na fotografii rozczochranego chłopaka siedzącego na trawie obok Adalyn.

– Ten chłopak to ja.

Rozdział 16

Adalyn

Nauczyłam się wyłączać samą siebie. Z zewnątrz nie było widać różnicy. Nadal mówiłam, śmiałam się i uśmiechałam jak normalna dziewiętnastolatka, która niewiele wie o życiu. W środku jednak byłam pusta. Prawdziwa Adalyn ulatniała się z tej powłoki. Dzięki temu patrząc w jego zimne oczy, nie dopuszczałam do tego, żeby mnie poniosła rozpalona furia. Gdy kładł rękę na mojej nodze, nawet nie drgałam.

Ta sprytna technika pozwoliła mi przetrwać jesień i zimę z 1943 na 1944 rok, kiedy von Groth wrócił do Paryża na dłużej. Spotykaliśmy się mniej więcej raz na dwa tygodnie w tej samej restauracji naprzeciwko siedziby gestapo. Staralam się pojawiać pod koniec jego posiłku i czekałam na niego przy barze. Zawsze do mnie podchodził.

Tamtego wieczoru pod koniec stycznia porywisty wiatr siekł drobinami lodu w okna. Nie minęła nawet minuta, gdy usłyszałam charakterystyczny odgłos stąpania butów von Grotha po posadzce. Barman już bez pytania podał nam dwa kieliszki koniaku – nasze spotkania zdążyły nabrać rutyny.

Zaraz miało się zacząć, więc się przezornie wyłączyłam.

– Panno Bonhomme – odezwał się von Groth – czy mówiłem ci, jaką radość przynosi mi widok twojej twarzy po ciężkim dniu?

Zachichotałam.

– Powtarzasz mi to za każdym razem, Waltherze!

– Cóż, bo to prawda. Im gorszy mam dzień, tym lepiej się czuję, gdy cię widzę. – Pociągnął długi łyk koniaku.

– Co sprawiło, że dzisiejszy dzień był taki trudny?

Zacisnął usta w cieniutką jak brzytwa linię.

– Ludzie, którzy nie robią tego, co im każą.

Czasami gdy któraś z zatrzymanych przez gestapo osób jakimś cudem została wypuszczona, dowiadaliśmy się od niej, w jaki sposób von Groth traktuje więźniów odmawiających składania zeznań. Wśród członków ruchu oporu rozchodziły się informacje o okrutnym biciu, moczeniu w lodowatej wodzie i podtapianiu, o butelce wciskanej ludziom do ust tak mocno, żeby je rozerwać. Udawałam, że o niczym takim nie wiem, jak zawsze tłumiąc w sobie zacieklą nienawiść do tego człowieka.

– Ja nigdy nie okazałabym braku szacunku podpułkownikowi – wymruczałam w odpowiedzi.

– Wiem o tym – zapewnił szef gestapo. – Lecz niestety nie wszyscy Francuzi są tacy jak ty, panno Bonhomme.

Położył dłoń na moim udzie. Umiałam to znieść, nic przy tym nie czułam. Czasem, jeśli miałam na sobie jedną z dzielonych spódnic, tych do jazdy na rowerze, wsuwał palce pomiędzy guziki i masował mi gołą skórę. To też umiałam znieść, bo kiedy mnie obmacywał, chyba się uspokajał, a kiedy był spokojny, zwykle zdradzał więcej tajemnic. On wydobywał z więźniów informacje okrucieństwem, ja otrzymywałam je, zaspokajając jego ego.

Pogłaskałam go po ramieniu.

– Czy jutro znów będziesz musiał zajmować się tymi nieposłusznymi ludźmi?

– Nie – warknął. – Zajmuję się nimi od tygodni. Nie chcę ich więcej widzieć. Pojutrze pojedą do Pithiviers.

Na czwartek zapowiadał się więc transport więźniów z Paryża do obozu dla internowanych w Pithiviers. Zanotowałam to sobie w głowie.

Podszedł do nas mężczyzna od stołu von Grotha i odchrząknął.

– Muszę się zbierać – oznajmił podpułkownikowi po niemiecku.

Jak zawsze słuchałam, udając, że nie rozumiem.

– A, Goehr. – Von Groth złożył dłonie przed sobą i zwrócił się do podkomendnego. – Tak szybko wracasz do Tuluzy?

– Obawiam się, że tak – odpowiedział człowiek nazwany Goehrem. – Ich ruch oporu sprawia mi więcej kłopotów, niżbym sobie życzył... Coraz częściej napadają na pociągi i najwyraźniej alianci zrzucają im z samolotów coraz więcej broni...

– Trzeba ich wystrzelać – wysyczał szef gestapo. – Zdławić wreszcie ten opór.

Goehr krótko skinął głową.

– Więc zobaczę się tutaj z tobą na naszej następnej kolacji? Zaplanowana jest na maj, tak?

– Trzydziestego pierwszego maja – odparł von Groth.

– Na pewno się stawię.

A więc 31 maja odbędzie się zlot gestapowców. To również zanotowałam sobie w głowie.

Mężczyźni uścisnęli sobie ręce i Goehr wyszedł z restauracji. Von Groth i ja gawędziliśmy jeszcze przez chwilę – głównie o jego rodzinie, którą teraz znałam z jego opowiadań. Wiedziałam, że jego żona, Erna, mieszka ze swoją siostrą w Berlinie. Ich jedyny syn, Klaus, zginął z rąk aliantów w Belgii. W końcu oświadczyłam von Grothowi, że muszę już wracać do domu, ponieważ czekają na mnie rodzice. Jak zawsze on ze smutkiem odprowadził mnie wzrokiem do drzwi, a ja poczułam ulgę.

Kiedy wróciłam do mieszkania, *maman* wyłożyła dla mnie na talerz kielbasę i ser, które kupiła na czarnym rynku. Potem usiadła ze mną przy stole, trzymając w obu dłoniach szklankę wody.

– Znowu spotkałaś się z tym podpułkownikiem? – zagadnęła głosem nieco bardziej podniesionym niż zwykle. Próbowwała ukryć zaniepokojenie, ale widziałam, że się martwi.

– Tak, mamo. Nie musisz się denerwować. Wszystko mam pod kontrolą – zapewniłam.

– Cóż... jestem tego pewna, kochanie. Zależy mi tylko, żebyś była bezpieczna.

– Jestem bezpieczna, mamo. Daję słowo.

Pochłonięłam kolację jak najszybciej, żeby uniknąć dalszych pytań. Im mniej będziemy musiały o tym rozmawiać, tym mniej będę ją okłamywać. Kiedy skończyłam, podziękowałam jej za posiłek i ruszyłam do swojej sypialni, mijając w korytarzu drzwi pokoju siostry, które – tak się złożyło – były otwarte. Chloe siedziała na łóżku i podniosła wzrok na odgłos kroków – niczym zwierzę wykrywające dźwięk – lecz widząc, że to ja, rzuciła mi gniewne spojrzenie i wróciła do książki, którą trzymała na kolanach.

Wśliznęłam się pod stos koców, żałując, że Chloe nie przyjdzie do mnie jak dawniej, i marząc o tym, by nie darzyła mnie nienawiścią.

Następnego dnia, kiedy już miałam za sobą nużące zakupy na targu, owinęłam się po uszy szalikiem przed ostrym wiatrem i pośpiesznie poczłapałam do domu w śliskich, niewygodnych drewniakach. Geronte kazał mi przyjść dzisiaj po południu, powiedziałam więc rodzicom, że się wybieram do biblioteki w związku z nauką.

Zapukałam do drzwi umówionego mieszkania i zaraz pojawiła się w nich pobrużdżona twarz staruszka. Otworzył szerzej i dostrzegłam, że w pokoju jest z nim ktoś jeszcze – Luc. Nie widziałam go od czasu, kiedy zeszłej wiosny pożegnaliśmy się na mojej ulicy. Podbiegłam do niego i rzuciłam mu się w ramiona. Wtuliłam twarz w jego potargane ubranie i wdychałam zapach trawy i ziemi. Geronte stał obok nas, nie odważyłam się więc pocałować Luca, ale każde włókienko mojego jestestwa pragnęło znowu poczuć dotyk jego ust.

– Co tutaj robisz? – spytałam z niedowierzaniem. Przesunęłam dłońmi po jego ciele, zupełnie nie mogąc uwierzyć, że po tych wszystkich miesiącach rozłąki znów mam go przed sobą.

– Przyjechałem z wiadomościami od kilku łączników na południu – odparł. – Nie mogę się zatrzymać zbyt długo, ale przenocować chyba nie zawadzi.

Zauważyłam zaschniętą krew i rozcięcie nad jego lewym okiem.

– Co to jest? – Delikatnie dotknęłam zasklepionej rany palcami.

– Nie martw się, wygląda brzydko, ale to tylko draśnięcie – rzekł. – Mieliśmy starcie z milicją.

Milicją nazywano działające na południu Francji zbrojne oddziały porządkowe wywodzące się ze zwolenników Pétaina, które czynnie zwalczały ruch oporu i ścigały Żydów.

– Na pewno nic ci nie jest? Co się stało?

– Na pewno. Raphael wygarnął do nich, zanim się pochowaliśmy, i rozpętała się strzelanina. Sam oberwał w ramię. Musiałem go odciągnąć z linii ognia. Kula drasnęła mnie w czoło. Nic mi nie jest, on też się wyliże, ale mało brakowało... Tak czy inaczej, cieszę się, że cię widzę.

Znów mocno go przytuliłam, wdzięczna za to, że żyje.

– To ja bardzo się cieszę, że ciebie widzę.

– Ekhem. – Geronte odchrząknął szczególnie głośno. Już prawie zapomniałam, że tu stoi. – Porozmawiajmy, bo niedługo muszę się zbierać.

Usiedliśmy przy tym samym stole, wokół którego ostatniej wiosny razem z Marcellem, Pierre-Henrim i Raphaellem zebraliśmy się, żeby uczcić wysadzenie pociągu pod Limoges. Geronte plasnął dłonią w stół przede mną.

– Dobrze więc, Bonhomme – burknął. – Powiedz nam, co z niego wyciągnęłaś.

– Jutro wyrusza transport więźniów do Pithiviers.

Geronte skinął głową.

– Luc, przekażesz tę wiadomość na południu. Może uda się wam ich odbić. Coś jeszcze?

– Tak, jeszcze jedna rzecz – odpowiedziałam. – Von Groth wspomniał o kolacji z innymi gestapowcami, zaplanowanej na trzydziestego pierwszego maja w tej samej restauracji, w której zawsze się z nim spotykam.

– Interesujące – mruknął Geronte. – Wiesz o tym coś więcej?

Dlaczego tak się dzisiaj niecierpliwił? Wróciłam myślami do krótkiej rozmowy von Grotha z Goehrem. Nie wdawali się w szczegóły... choć może coś mi umykało.

– Jeden z gości stacjonuje w Tuluzie – przypomniałam sobie. – Jeśli przyjedzie do Paryża specjalnie na tę kolację, to musi być coś szczególnie ważnego, prawda?

– Interesujące – powtórzył Geronte.

– Zapewne bez problemu dostanę od von Grotha zaproszenie, a wtedy będę mogła pójść i posłuchać, o czym rozmawiają. Nadal nie wiedzą, że znam niemiecki.

W tym momencie Luc wymamrotał coś tak cicho, że nie rozróżniłam ani słowa. Głowę miał przy tym spuszczoną, jakby mówił do siebie.

– Powiedz to głośno, chłopcze – polecił mu Geronte.

Na twarzy Luca odmalowało się zaskoczenie, jakby w ogóle nie zdawał sobie sprawy, że wyrwało mu się coś na głos. Przygryzł wargę.

– Powiedziałem, że... powinniśmy tam podłożyć bombę.

Przez chwilę żadne z nas się nie odzywało. Panowała zupełna cisza, jeśli nie liczyć dudnienia krwi w moich uszach. Jakie to wszystko dziwne. Cztery lata temu moje życie obracało się wokół szkoły, lekcji pianina i proszonych kolacji z przyjaciółkami. Teraz uczestniczyłam w planach odbierania ludziom życia.

Jeszcze dziwniejsze było, że chciałam to robić. Chciałam brać udział w zamachach, takich jak wysadzenie pociągu pod Limoges. Wiedziałam, że będzie niebezpiecznie, i to nadzwyczajnie. Jakikolwiek zamach na Niemców to duże ryzyko, ale podłożenie bomby tuż naprzeciwko siedziby gestapo będzie oznaczać, że prosimy się o śmieć, jeśli cokolwiek pójdzie nie tak. Jednak jeżeli się uda, zabijemy Walthera von Grotha i kto wie ilu jego ludzi.

Widziałam, że Geronte rozważa tę sprawę – wyglądał, jakby przeżuwał informację.

– Najprawdopodobniej zginiecie, ale poza tym to dobry pomysł – oświadczył w końcu. – Potrzebuję trochę czasu, żeby przemyśleć akcję. Mogę się zająć logistyką, ale to wy będziecie musieli podłożyć materiały wybuchowe.

– Jestem pewien, że damy radę – rzekł Luc.

– Dobrze. Porozmawiam o tym z Boivinem. Dopóki nie dostaniecie ode mnie sygnału, nie wspominajcie o tej sprawie nikomu. – Krzesło Geronte'a zazgrzytało o podłogę, kiedy się podnosił od stołu. – Muszę już iść. Mam coś ważnego do załatwienia.

– Możemy w czymś pomóc? – zaoferowałam się.

– Tym razem nie. To nie ma nic wspólnego z naszą działalnością – odparł. Po czym twarz złagodniała mu w taki sposób, jakiego nigdy u niego nie widziałam. – Moja córka właśnie urodziła córeczkę – wyjaśnił. – Idę się z nimi zobaczyć, to moja pierwsza wnuczka.

Odprowadziłam staruszka wzrokiem i serce mi wezbrało ze szczęścia, którym się z nami podzielił. Potem przypomniałam sobie, że nawet nie znam jego prawdziwego imienia i nazwiska. Gdy drzwi się za nim zamknęły, nagle poczułam dziwny smutek, jakbym się zaraz miała rozpłakać.

– Czasami zapominam, że jesteśmy prawdziwymi ludźmi z prawdziwym życiem – powiedziałam do Luca.

– Doskonale wiem, co masz na myśli – odparł.

– Wiesz?

– Jasne, że tak. Nie widziałem się ze swoją rodziną od ponad roku. Wciąż się ukrywam. Rozmawiam głównie szyfrem.

Zostaliśmy we dwoje sami w bezpiecznym mieszkaniu, teraz już pozbawionym prawie wszystkich mebli. Luc wstał, obszedł stół, wziął mnie

za ręce i pociągnął w górę, żebym się podniosła.

– Przez większość czasu nie mam poczucia, kim naprawdę jestem – szepnął. Jego spojrzenie było intensywne niczym burza z piorunami. – Ale kiedy znów cię widzę, przypominam sobie.

Nie mogłam się już dłużej powstrzymać. Pocałowałam go i chłonełam ten pocałunek całą sobą, jak gdyby Luc był tlenem potrzebnym mi do oddychania. Po raz pierwszy od niepamiętnego czasu nie wyłączyłam się. Wplotłam palce w jego włosy, podczas gdy jego ręce błądziły po moim ciele, od piersi po biodra. Jego dotyk nie odrzucał mnie, wręcz przeciwnie – pragnęłam go. Chciałam, żeby jego dłonie dotarły wszędzie, i sama też najchętniej robiłabym to samo.

Przerwałam na chwilę, żeby go poprowadzić korytarzem do pokoju, do którego zachodzące słońce zapuszczało przez okno purpurowe promienie. Nie było tu nic oprócz nas i gasnącego światła. Luc na szczęście znalazł w szafie jakieś koce i rozścielił je na podłodze. Kiedy rozebraliśmy się nawzajem, owinęliśmy się nimi razem jak kokonem. Nigdy dotąd nie byłam z nikim tak blisko. Początkowo, kiedy to się działo, byłam zaskoczona pełnią tego uczucia. Zapomniałam, jak się oddycha, ale przypomniałam sobie w ułamku sekundy. I zapragnęłam więcej. Więcej Luca; więcej naszej bliskości; więcej tego prawdziwego, pięknego życia.

Zanim skończyliśmy, niebo z różowego zrobiło się czarne. Było po godzinie policyjnej – za późno, by wracać do domu. Pod szarymi kocami, w pustym mieszkaniu, w mieście opanowanym przez szczury Luc i ja zasnęliśmy w swoich objęciach, pamiętając, kim jesteśmy.



Ponownie zobaczyliśmy się dopiero ponad miesiąc później. W chłodny, prawie wiosenny poranek nasza piątka znów zgromadziła się przy stole w bezpiecznym mieszkaniu: ja, Luc, Marcel, Pierre-Henri i Raphael. Czekaliśmy na Geronte'a, który miał nam wyłuszczyć plan, a tymczasem w pokoju trzeszczała nerwowa energia. Luc raz po raz przesuwał sobie rękami po długich włosach, Raphael (ramię mu się goiło, lecz wciąż było sztywne) bębnił palcami o blat stołu, a Marcel rzucał puste uwagi o pogodzie, na które nikt mu nie odpowiadał. Zdaje się, że wszyscy

myśleliśmy o tym samym: to, co robimy, jest tak niebezpieczne i tak potężne, że wydaje się prawie nierealne.

Do drzwi zapukano w umówiony sposób i Pierre-Henri pośpieszył, by otworzyć. Geronte wpadł do mieszkania jak burza. Wszyscy spojrzeli na niego wyczekująco, może nawet ze strachem w oczach.

– Właśnie się widziałem z Boivinem – rzekł. – Plan jest ustalony.

Uścisnęłam pod stołem kolano Luca. Położył dłoń na mojej i odpowiedział uściskiem.

– Najpierw zastrzeżenie – zaczął Geronte i popatrzył na mnie jakoś szczególnie. – Bonhomme, ty trzymaj się od tego z daleka.

– Dlaczego? – oburzyłam się. – Nadaję się tak jak oni.

– Nikt nie wątpi, że się nadajesz lepiej niż ktokolwiek. Ale materiały wybuchowe będą w walizce, a tę walizkę podłóży się w jadalni już podczas tej wystawnej kolacji. Jeśli tam będziesz jako towarzyszka von Grotha, usmażysz się z nimi. A jeżeli...

– A jeżeli to ja dostarczę ładunek, rozpozna mnie – zrozumiałam. Miałam się więc trzymać na odległość i modlić, by wszystko przebiegło zgodnie z planem.

Przez następne pół godziny Geronte wykladał szczegóły akcji, a chłopcy na ochotnika obejmowali w niej różne role. Raphael, który najwyraźniej chciał się wykazać po tamtym nieszczęsnym starciu z milicją, zadeklarował, że dostarczy bombę do Boivina w restauracji. W duchu odczułam ulgę, ponieważ to oznaczało, że Luc będzie tylko stał na czatach. Marcel i Pierre-Henri również dostali pozycje na czujkach na zewnątrz budynku.

Kiedy nasze spotkanie dobiegło końca, zaczęłam niecierpliwie wypatrywać ostatniego dnia maja. Chciałam, żeby von Groth cierpiał; chciałam go ukarać za to, co robił innym ludziom. Do tego czasu jednak musiałam udawać, że jestem mu przychylna, a w związku z tym czekał mnie z nim kolejny lancz, tym razem w pobliskiej wiosce Auvers-sur-Oise.



Jechałam z von Grothem na tylnym siedzeniu niemieckiego samochodu oficerskiego. Podpułkownik dziś był wyraźnie inny: spięty, a zarazem

wycofany. Normalnie wyciągnąłby rękę i obmacywał mnie, żeby się rozluźnić, lecz dzisiaj patrzył tylko przed siebie z dłońmi staranie złożonymi na kolanach. Wokół zaciśniętej szczęki uwydatniały się napięte mięśnie. W takim nastroju wyglądał jeszcze bardziej przerażająco.

– Dziś w nocy znowu zbombardowano Berlin – odezwał się, przerywając ciężką ciszę, podczas gdy wóz toczył się po kamienistej drodze. – Dostałem wiadomość, że mój dom został zniszczony. Mój dom, który należał do mojej rodziny od ponad stu lat.

Ani trochę nie obchodził mnie jego dom, nieważne, jak stary. Mimo to zapewniłam go, że jestem zdruzgotana.

– To okropna wiadomość, Waltherze. Mam nadzieję, że twojej rodzinie nic się nie stało.

– Moja rodzina jest bezpieczna. Lecz wy, Francuzi... nie macie pojęcia, jakie spotkało was szczęście. Mogliśmy zniszczyć Paryż, gdybyśmy chcieli, lecz tego nie zrobiliśmy.

Owszem, zrobiliście. I wkrótce za to zapłacicie.

– Tak mi przykro, Waltherze.

– Przekłęci alianci nie spoczną – rzekł gorzko, jakby mnie w ogóle nie słyszał. – Bombardują Pas-de-Calais i słyszeliśmy, że w czerwcu mogą zaatakować tę część Francji.

Serce we mnie zamarło na myśl o możliwym lądowaniu aliantów we Francji. Geronte był pewien, że to niedługo nastąpi, słyszał jednak, że alianci zwodzą Niemców co do celu planowanej inwazji.

– Jak myślisz, Waltherze, co się wydarzy?

Spodziewałam się, że będzie wychwalał niemiecką przewagę wojskową, jak to zwykle czynił w rozmowach ze swymi ludźmi, lecz on westchnął tylko i zapatrzył się w horyzont.

– Nie wiem, panno Bonhomme – odparł. Przez jakiś czas spoglądał w bok, chyba przez całą minutę. Potem powtórzył: – Nie wiem.

– Ale zawsze byłeś taki pewny siebie. Podziwiam to w tobie.

– Coś ci wyznam, panno Bonhomme – odezwał się po dłuższej chwili.

Zabrzmiało to tak cicho, że chrzęst kamieni pod kołami niemal zupełnie zagłuszył jego słowa. Musiałam się do niego nachylić, by zrozumieć, co mówi, zwłaszcza że miał przy tym spuszczoną głowę.

– Martwię się o ojczyznę – mruknął prawie niedosłyszalnie.

Duży wybój na drodze wytrącił go z melancholii. Von Groth wyprostował ramiona i plecy, jakby chciał zneutralizować wyznanie, które mu się wymknęło.

– A, to pewnie ta wioska. – Wskazał odległe skupisko średniowiecznych budynków. – Oby mieli tam dla nas suty poczęstunek. Jestem głodny jak wilk.

Był koniec kwietnia, zbliżał się maj, a ładna pogoda pozwalała zjeść na świeżym powietrzu. Kilku Niemców również przywiozło z sobą Francuzki do towarzystwa. Usiedliśmy przy paru stołach ustawionych na podwórku jakiegoś zwyczajnego gospodarstwa – nie był to publiczny budynek, lecz czyjeś domostwo. Tuż obok znajdował się ogród warzywny, a nieco dalej na sznurku suszyło się pranie.

– Kwaterujesz tu, Essig? – zwrócił się von Groth do barczystego mężczyzny przy naszym stole.

– Tak, tutaj mnie przydzielono – odparł człowiek nazwany Essigiem. Nie miał damy do towarzystwa. – Nie bardzo jest o czym pisać do domu, ale miejsce ma swoje uroki.

Ruchem głowy wskazał dom, z którego jakaś kobieta z trudem taszczyła przez drzwi duży półmisek z mięsem i ziemniakami. Z dwudziestu kilku zgromadzonych na podwórku mężczyzn żaden nie pośpieszył jej z pomocą. Sama chciałam to zrobić, lecz nie mogłam. To coś, co pasowało do prawdziwej Adalyn, ale nie tej, którą tu udawałam.

Kobieta najpierw obsłużyła nasz stół. Z daleka zdawała się w wieku mojej mamy, z bliska jednak dostrzegłam, że jest młoda, tylko przedwcześnie postarzyły ją lata wojny. Była bardzo szczupła. Szare, nijakie ubrania wisiały na niej o dwa rozmiary za duże, choć zapewne kiedyś były w sam raz. Gdy wyciągnęła rękę, by położyć ziemniaka na moim talerzu, dostrzegłam, że dołek za obojczykiem ma głęboki jak studnia. Rozpoznałam wyraz jej twarzy. Była wyczerpana i pełna gniewu, ale starała się odepchnąć to od siebie.

– Chodź, kochanie, usiądź mi na kolanach – warknął do niej Essig po francusku. – Pozwolę ci coś zjeść.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała spokojnie.

Mężczyźni skwitowali to śmiechem, gdy przeszła do następnego stołu.

Nie chciałam ani kęsa z tego, co Niemcy najwyraźniej wymusili na tej gospodyni, by dla nich ugotowała. I tak odżywiałam się za dobrze jak na

czas wojny, i to było widać. Zachowałam figurę. Ale wiele rodzin miało do dyspozycji tylko skąpe racje wydzielone kartkami i całe dni mijały im bez porządnego posiłku. Wolałabym, by kobieta wzięła mój talerz dla siebie, ale gdybym go jej oddała, wzbudziłabym podejrzenia. Dręczona wyrzutami sumienia wbiłam nóż w okrągłego ziemniaka pokrytego warstwą cennego masła.

Naprzeciwko mnie siedziała wychudzona dziewczyna, która towarzyszyła jednemu z ludzi von Grotha. Kiedy usiedliśmy, sposób, w jaki nadszła swojemu Niemcowi, wzbudził we mnie pogardę – mówiła mu, że jego medale pięknie błyszczą w słońcu i tak dalej. Teraz ją jednak zrozumiałam. Pochłonęła swoją porcję, gdy tylko znalazła się na jej talerzu, po czym zerknęła na moją. Jeżeli głoduje, czy mogę ją osądzać za to, że przyjęła zaproszenie na niemiecki poczęstunek? Gdzie wytyczyć granicę pomiędzy właściwym postępowaniem a zwykłą próbą przetrwania?

Jeden z mężczyzn rzucił resztkę swojego mięsa bezpańskiemu psu wałęsającemu się na skraju podwórka. Wychudzona dziewczyna patrzyła na to, jakby się miała rozpłakać.

Po półgodzinie wysłuchiwania rozmów von Grotha poczułam, że muszę skorzystać z ubikacji. Zwlekałam, jak długo się dało, ponieważ nie chciałam wchodzić do domu, w którym na pewno nie byłabym mile widziana, lecz teraz sytuacja była już krytyczna. Przeprosiłam towarzystwo przy stole i podeszłam do drzwi domostwa.

Wkroczyłam niepewnie do głównej izby, w której było ciemno w porównaniu z jasnym słońcem na zewnątrz. Dostrzegłam kominek i niewiele ponadto; najwyraźniej Niemcy zarekwirowali meble. Zrobiło mi się niedobrze na myśl o tym, że ta biedna kobieta musi tu żyć sama z takim mężczyzną jak Essig.

Zastałam ją w kuchni przy zmywaniu. Stała tyłem do mnie. Szorowała garnek z niepotrzebną zaciekłością. A może z potrzebną.

– Przepraszam, że panią niepokoję. Czy mogłabym skorzystać z ubikacji?

Przestała szorować.

– Na końcu korytarza po prawej.

Idąc do łazienki i z powrotem, widziałam oprawioną w ramki fotografię ślubną gospodyni i jej męża. Gdzie on teraz przebywa? Możliwe, że nie

żyje. Albo cierpi udręki w niemieckim obozie jenieckim, podczas gdy inny mężczyzna panoszy się w jego domu i rozkazuje jego żonie.

Musiałam przejść obok kuchni, by wrócić na zewnątrz, co oznaczało, że jeszcze raz minęłam kobietę, która już chowała umyte naczynia. Szłam ze spuszczoną głową.

– Ohydna niemiecka dziwka. – Wypluła te słowa jak serię z karabinu maszynowego.

Nie zatrzymałam się. Pędziłam do drzwi, czując się, jakby mi przestrelono serce. O, gdyby znała o mnie prawdę... Gdyby wiedziała, co planuję...

Przez resztę popołudnia towarzystwo von Grotha było dla mnie nie do zniesienia, ale zachowywałam uśmiechniętą fasadę. Gdzieś tam ktoś konstruuje bombę mieszczącą się w walizce, która przejdzie w ręce pozornie nieszkodliwego kelnera, a ten wieczorem 31 maja podłoży ją pod stół von Grotha. Ta myśl pomagała mi wytrwać, podczas gdy serce wyrywało się, by ratować tę biedną kobietę – pocieszałam się, że za kilka tygodni Walther von Groth będzie martwy.

Rozdział 17

Alice

To pan?

Nie mogłam uwierzyć w to, co powiedział ten człowiek. Okazało się, że jest ogniwem prowadzącym do Adalyn. Serce zabiło mi mocno, aż pomyślałam, że zemdleję. Paul przyniósł mi krzesło w samą porę, żebym się na nie osunęła.

– Tak – szepnął staruszek. – To ja. – Gdy mówił, poruszała się poszarpana blizna na jego szczęce.

Od czego zacząć? O co zapytać najpierw? Byłam tak skołowana, że zachichotałam. Co było ze mną nie tak? Paul rzucił mi z ukosa spojrzenie uprzejmie sugerujące, że powinnam wziąć się w garść. Fiu, fiu. Wow. To się działo naprawdę.

– Jak się pan nazywa?

– Luc Pelletier.

– Jestem Alice Prewitt.

Sama miałam wrażenie, że lada chwila eksploduję z podekscytowania, ale trudno mi było stwierdzić, co czuje ten starszy pan. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale raczej nie tego. Nie wyciągnął ręki na powitanie. Właściwie nawet już na mnie nie patrzył – nie odrywał wzroku od zdjęcia.

– Przepraszam – odezwał się wreszcie mocnym, chrapliwym głosem. Zadrzała mu dolna warga. – Muszę na chwilę wyjść.

– Chcesz, żeby ci pomóc znaleźć łazienkę? – zapytał jeden z jego towarzyszy.

– Nie.

Twarz Luca wykrzywiła się w dziwnym wyrazie. Wstał i nieco chwiejnie ruszył do wyjścia. Drugi mężczyzna zerwał się, by z nim iść, Luc jednak

opędził się od niego machnięciem ręki. Tamten cofnął się ze zmarszczonymi brwiami.

– Bardzo przepraszam – rzekł. – Nigdy dotąd nie byliśmy na żadnym z tych spotkań. Luc nie chciał przyjść. Nie wiem dlaczego.

– A jak go panowie poznaliście? – zagadnął Paul.

Starszy mężczyzna wziął fotografię, którą Luc zostawił na krześle. Wskazał chłopca z gwiazdą na piersi i motylem siedzącym na palcu.

– To nasz starszy brat Arnaud.

– Naprawdę? – Poczulałam się, jakbym znowu traciła przytomność.

– Tak – potwierdził. – Jestem Eugene Michnik.

– A ja mam na imię Ruben – dodał drugi.

Przypomniałam sobie wpis z dziennika Adalyn o jej żydowskim przyjacielu zabranym do Vel' d'Hiv.

– Wasz brat... czy on...?

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim nasz brat razem z rodzicami i trzynastoma tysiącami innych Żydów znalazł się w obławie – powiedział poważnym tonem Ruben. – Zabrano ich na zamknięty stadion kolarski, a potem do Auschwitz. Nie przeżyli.

– Tak mi przykro. – Paul i ja powiedzieliśmy to równocześnie.

– Sytuacja Żydów pogarszała się coraz bardziej – ciągnął opowieść Ruben. – Nasz ojciec nie mógł już pracować. Nie mieliśmy rachunku w banku, nie wolno nam było przebywać w określonych miejscach publicznych. No i oczywiście musieliśmy nosić na ubraniu żółtą gwiazdę. Pewien lekarz, znajomy naszego ojca, zaproponował, że ukryje nas w swoim mieszkaniu. On i jego żona mieli tajny schowek za szafą, na tyle duży, żeby zmieścić dwóch małych chłopców, ale już nikogo więcej. Nasi rodzice odprowadzili nas pod ich drzwi, uściskali na pożegnanie i powiedzieli, że wkrótce się znów zobaczymy. Dwa dni później była obława.

– Sądzimy, że wiedzieli, że czeka ich coś okropnego – wtrącił Eugene. – Inaczej nigdy by się z nami nie rozdzielili.

– Jakiś miesiąc później – opowiadał dalej Ruben – zabrano nas do tajnego domu dla żydowskich dzieci we Francji Vichy. Dostaliśmy sfałszowane dokumenty, żebyśmy mogli przekroczyć granicę. Mieszkaliśmy tam do końca wojny z innymi dziećmi, niektóre zostały wykradzione z obozów przejściowych. Byli tam ludzie, którzy uczyli nas

muzyki, matematyki i angielskiego, a czasami, kiedy było bezpiecznie, wypuszczali nas, żebyśmy się bawili na zewnątrz.

– Wow. – To słowo zdecydowanie nie wystarczało jako reakcja na historię braci, lecz nic innego nie przychodziło mi na myśl. Byłam oszołomiona.

– Po wojnie wysłano nas do rodziny zastępczej w Paryżu – mówi Ruben. – Pewnego dnia zaszedłem na targ i zobaczyłem Luca. Był bardzo chudy, tak chorobliwie, ale go rozpoznałem, był przyjacielem Arnauda... i odtąd pozostawaliśmy w kontakcie. Kiedy skończyłem osiemnaście lat, a Eugene miał szesnaście, wprowadziliśmy się do Luca. Mieszkaliśmy z nim, aż się pożeniśmy.

– A Luc? Czy się kiedyś ożenił?

– Nie – odparł Ruben. – To my jesteśmy jego rodziną, w dużym stopniu.

– Nie powiedziałbym, że Luc był przez całe życie nieszczęśliwy – dodał Eugene. – Ale jest... udręczony wspomnieniami. To, co działo się podczas wojny, nigdy go całkiem nie opuściło. Od lat próbowaliśmy go namówić, żeby przyjść na któreś z tych spotkań, ale się wzbraniał. Nigdy nie chce rozmawiać o wojnie. Dziś musieliśmy go wręcz przyciągnąć i oczywiście cieszę się, że to zrobiliśmy.

– A skoro mowa o Lucu – rzekł Ruben – gdzie on jest?

Rozejrzeliśmy się po sali, ale nie było go wśród ostatnich gości Projektu Geronte. Spotkanie wyraźnie dobiegało końca; Corinne zbierała jednorazowe naczynia i wrzucała je do worka na śmieci.

– Sprawdź, co u niego – zaoferował się Eugene. – Może potrzebować pomocy w łazience.

Kiedy Eugene odszedł, reszta z nas przeniosła się do stołu, żeby pomóc w sprzątanii. Opowiedzieliśmy Corinne o niezwykłym odkryciu, którego dokonaliśmy, a jej twarz rozjaśniła się szczęściem. Zostawiła wszystko, co miała w rękach, i zamknęła nas troje w uścisku.

– Ruben! – Do sali wpadł Eugene i łapiąc brata za ramię, przerwał naszą chwilę radości. Na jego twarzy malowała się troska. – *Il est parti.*

– *Quoi?*

– *Il n'est pas aux toilettes.*

Ruben też się zaniepokoił. Corinne miała zdezorientowaną winę. Zwróciłam się do Paula o wyjaśnienie.

– Luca nie ma w łazience – przetłumaczył – Zniknął.

Rozdział 18

Adalyn

Jeszcze tylko jedna noc. Tyle mnie dzieliło od 31 maja. Równie dobrze mogłaby to być wieczność. Nie mogłam zasnąć, choć się bardzo starałam. Za każdym razem kiedy zamykałam oczy, powieki podnosiły się, trzepocząc jak skrzydła motyli. Byłam zbyt podenerwowana, żeby po prostu leżeć i gapić się w sufit, wzięłam więc dziennik, wspięłam się na parapet i siedziałam z kolanami wetkniętymi pod nocną koszulę.

Oparłam głowę o chłodną szybę, przypominając sobie, jak bardzo kiedyś tęskniłam za widokiem rozświetlonego nocą Paryża. Teraz ledwie umiałam przywołać z pamięci tamten obraz. Pewnie przyzwyczałam się do ciemności.

W srebrzystoniebieskiej poświacie księżyca otworzyłam pamiętnik i przeczytałam pierwszy wpis, z 30 maja 1940 roku. Dokładnie cztery lata temu, co do dnia. Zapomniałam, że natknęłam się na ten notatnik, gdy szukałam bandażu. O, jak strasznie bolały wtedy mnie pocierane nogi! I jaka byłam wstrząśnięta po tym, co widziałam po drodze. Gdybym wówczas wiedziała, o ile gorsze rzeczy nas czekają... Jedynym jasnym punktem było to, że poznałam Luca.

Przeczytałam wszystkie wpisy z całych czterech lat. Sceny ożywały mi przed oczyma jak film. Za każdym razem gdy widziałam imię Chloe, w gardle rosła mi gęła, a kiedy dotarłam do obławy z 1942 roku, na papier poleciały łzy. Wytarłam je rękawem, żeby zapiski się nie zamazały. Na tych stronach zamieściłam tyle strasznych wspomnień... Jutro dopilnujemy, żeby to wszystko nie działo się na próżno. Musiałam o tym pamiętać, bo byłam też okropnie przerażona.

Nie potrafiłam opanować drżenia ręki, ale dodałam kolejny wpis. Nareszcie poczułam przypływ zmęczenia. Kiedy skończyłam, włożyłam dziennik do szuflady biurka, pomiędzy ołówki, drobne monety i wsuwki do włosów. Potem wśliznęłam się z powrotem do łóżka i w końcu zasnęłam.



Według własnego planu miałam wyjść w stronę bezpiecznego mieszkania o piątej, by się zobaczyć z chłopakami, nim wyruszą. Przez cały dzień byłam roztrzęsiona. Wsiadając na rower, straciłam równowagę i koszyk z zakupami gruchnął na chodnik. Schyliłam się i zajrzałam pod kratkowany kocyk, by sprawdzić szkody. O, nie – rozbiłam jedyne jajko, jakie udało mi się dostać na targu. Żółtko rozlało się po wszystkim dookoła, w tym po moich palcach.

W mieszkaniu, w kuchni, *maman* pomogła mi oczyścić zakupy i koszyk.

– Przepraszam, że rozbiłam jajko – kajałam się.

– Nie szkodzi, kochanie. Zdarzyło się i trudno. Poradzimy sobie.

Czy jajko może być złym znakiem? Nie, nie wierzyłam w takie rzeczy. Niedobre przeczucie nie opuszczało mnie jednak i pogarszało się z sekundy na sekundę.

– Mamo? – Staralam się mówić opanowanym głosem.

– Tak?

– Moja znajoma ze studiów zaprzyjaźniła się blisko z pewnym niemieckim oficerem, a on zaproponował, że zabierze naszą grupę na Riwierę, żeby uczcić koniec roku akademickiego. Nie wiem, jak długo dokładnie potrwa ta wycieczka ani kiedy się rozpocznie, ale jeżeli się wybiorę, możliwe, że nie będzie mnie przez jakiś czas. Czy ty i *papa* nie mielibyście nic przeciwko temu?

– Cóż, będę za tobą tęsknić, kochanie – odpowiedziała *maman*. – Ale jak słyszę, zapowiadają się urocze wakacje. Zasługujesz na nie po tych wszystkich godzinach, które w tym roku spędziłaś w bibliotece.

– Dziękuję, mamo. – Pocałowałam ją w policzek. – Może się do nich przyłączę. Zobaczymy.

Przypuszczalnie nie było potrzeby jej okłamywać, ale zrobiłam to na wypadek, gdyby coś poszło nie tak – wtedy musielibyśmy zejść do

podziemia, ukrywać się... Ale tak się nie zdarzy. Roztrząsałam w głowie najgorsze możliwe scenariusze, zupełnie nieprawdopodobne przebiegi wydarzeń. Powinnam myśleć pozytywnie.

Poszłam do siebie, by się położyć i uspokoić rozpedzone serce, ale leżenie nic mi nie pomogło. Moje myśli błądziły po przerażających miejscach. A jeśli chłopcy zostaną złapani, zanim podłożą bombę? Nie dadzą się złapać. Wysadzili pociąg pod Limoges. A jeżeli gestapo dostanie ich w swoje łapy? Wiedziałam, że choćby ich wzięto na tortury, nikogo nie sypną. Ale jeśli zginą? Nie wolno ci tak myśleć, Adalyn.

Nie wierzyłam w przeczucia, lecz w tym konkretnym wypadku było coś tak wyraźnego jak czarne chmury zbierające się na horyzoncie. Musiałam coś zrobić, zanim wyjdę. Dokładniej: coś powiedzieć, w razie gdybym nie miała już na to więcej szansy. Chloe ostatnio rzadko bywała w domu – zazwyczaj spędzała czas z przyjaciółmi – ale wcześniej po południu, kiedy zmywałam naczynia, słyszałam, jak wchodzi do mieszkania i tupie w korytarzu. Była u siebie, za ścianą mojej sypialni. Serce waliło mi tak mocno, że czułam je za oczami. Zerwałam się z łóżka i wypadłam na korytarz.

– Chloe. – Zabębniłam w jej drzwi. Bez odpowiedzi. – Chloe, otwórz mi.

Nadal cisza, wiedziałam jednak, że tam jest, ponieważ zanim zapukałam, słyszałam, że się rusza w pokoju.

– Chloe, pozwolisz, żebym z tobą porozmawiała? To ważne. – Dalej cisza. Zapukałam znowu, jakby to mogło coś zmienić. – Chloe, proszę.

Nacisnęłam klamkę. Było zamknięte na klucz. A mnie zostało jeszcze tylko kilka minut, potem musiałam iść. Co ona teraz robi? Czeką, aż sobie pójde i dam jej spokój? Czy dopuszcza choćby możliwość, że wysłucha tego, co mam jej do powiedzenia?

– Chloe, jeżeli teraz otworzysz drzwi, wszystko ci wyjaśnię.

Byłam już zdesperowana. Nie zamierzałam zdradzić jej ważnych szczegółów, ale chciałam, żeby wiedziała, że przez cały czas byłam po tej samej stronie co ona. Koniecznie musiałam jej to przekazać. Tak na wszelki wypadek. Lecz ona nie podeszła do drzwi. W ogóle się do mnie nie odezwała. To beznadziejne. Walnęłam w drzwi z całych sił, aż zadygotała drewniana rama.

– Chloe, na litość boską, wysłuchasz mnie wreszcie?!

Zegar w korytarzu wybił piątą. Jeśli chciałam zobaczyć Luca, musiałam wyjść w tej chwili.

– Chloe – powiedziałam po raz ostatni, z policzkiem przyciśniętym do drzwi. – Wszystko, co cię tak denerwowało... to nie tak, jak myślisz. Przysięgam.

Nie wykryłam żadnego ruchu w jej pokoju. Miałam tylko nadzieję, że mnie usłyszała.



Bomba to śmierć opakowana tak niepozornie, że człowiek nawet by się nią nie zainteresował. Skonstruował ją dla nas jeden ze znajomych Luca. Z zewnątrz wyglądała jak zwyczajna walizeczka – czarna, skórzana, ze srebrnymi sprzączkami – taka, jakie biznesmeni noszą do pracy. W środku zamieszczono materiał wybuchowy będący w stanie wysadzić całą restaurację włącznie z Waltherem von Grothem. Nasza szóstka stała wokół stołu, niemal zbyt przerażona, by podejść bliżej.

Na czoło Raphaela wystąpiły krople potu, gdy zapinał na sobie trenz. Pod spodem miał kelnerski strój dostarczony przez Boivina. W tym ubraniu wyglądał jak każdy inny kelner z tej restauracji, tyle że będzie miał przy sobie śmiertcionośny ładunek.

– Lepiej już idźcie – powiedział Geronte, zerkając na zegarek kieszonkowy.

Wszyscy jednocześnie zaczerpnęliśmy powietrza.

– Powtórzmy jeszcze raz cały plan – poprosiłam, czując, jak w piersi kłębi mi się strach.

– My będziemy stać na warcie i pilnować, żeby nikt nie wyszedł z restauracji. – Pierre-Henri wskazał na siebie i Marcela, który posłał nam pewny siebie uśmiech.

– Boivin wpuści mnie tylnymi drzwiami. Wejdę do sali jadalnianej i podłożę walizkę – powiedział Raphael.

– Lepiej obetrzyj się z potu, bo cię zaraz zdradzi – burknął do niego Geronte. – Ci ludzie są jak rekiny. Wyczuwają jedną cząstkę krwi na milion cząsteczek wody.

Raphael otarł sobie czoło.

– Ja będę czekał na końcu ulicy z tyłu restauracji i ubezpieczał go, żeby się wy dostał bez szwanku – rzekł Luc. – Kiedy Raph do mnie dołączy, wrócimy prosto tutaj.

Uścisnął mi rękę i wciąż ją trzymał, gdy po kolei wychodziliśmy z bezpiecznego mieszkania: najpierw Marcel i Pierre-Henri, potem Raphael z walizką, a wreszcie Luc i ja. Postanowiłam podejść trzy czwarte drogi dzielącej nas od restauracji i czekać – na tyle daleko, żeby mnie nikt nie widział, a zarazem dość blisko, żeby usłyszeć wybuch.

– Powiedz mi coś, żebym oderwał myśli o tego, co mamy zaraz zrobić – poprosił Luc, gdy szliśmy w stronę restauracji.

Trzymaliśmy się za ręce w taki sposób, że stykaliśmy się nadgarstkami, wyczuwałam więc jego puls. Był bardzo przyśpieszony.

– Pamiętasz, jak się poznaliśmy? Tak się denerwowałam przed spotkaniem, byłam wręcz pewna, że zapomnę hasła.

– Jasne, że pamiętam. W porządku? Dotarłaś bez przeszkód?

– Pociągi kursują planowo.

Oboje zaśmialiśmy się nerwowo.

– Dzisiaj tworzymy historię – zauważyłam.

– Opowiedz coś jeszcze.

– Myślę, że wojna zmierza ku końcowi.

– Mów dalej.

– Niemcy nie są już tacy silni jak kiedyś. Nieustannie obrywają od aliantów. Przegrywają na froncie wschodnim. Lada dzień alianci wylądują we Francji. A ruch oporu pod wodzą de Gaulle’a jest jeszcze lepiej zorganizowany niż przedtem. Luc, von Groth wyznał mi, że się niepokoi.

– Mój Boże, mam nadzieję – odpowiedział Luc. – Oczywiście to dobrze dla Francji, ale też dla nas. Tak bardzo chciałbym być z tobą, Adalyn. Jak dwoje normalnych ludzi, którzy nie muszą się wciąż ukrywać.

– Ja też tego chcę, Luc.

Zatrzymaliśmy się. Byliśmy już na skrzyżowaniu, gdzie miałam zostać i czekać. Stała tutaj ławeczka i nie kręcili się Niemcy, przynajmniej nie w tej chwili.

Stanęliśmy naprzeciwko siebie. Mimo naszej rozmowy wciąż miałam wrażenie, że tuż nad moją głową wiszą czarne chmury. Luc pocałował mnie szybko w policzek. Musiałam mu powiedzieć; musiałam mu powiedzieć to,

co wiedziałam od tamtej nocy, którą spędziliśmy razem na podłodze w pustym mieszkaniu. Wiedziałam, że on na pewno czuje to samo do mnie.

– Luc, ja...

– Powiesz mi, kiedy wrócę – poprosił. – Już i tak nie mogę znieść, że muszę się odwrócić i odejść.

Powstrzymałam więc to, co miałam na końcu języka, i pocałowałam go tylko w policzek.

– Dobrze. Powodzenia, Luc. Zobaczymy się wkrótce.

– Właśnie. Widzimy się wkrótce.

Luc oddalił się ulicą, a ja usiadłam na ławce, by czekać. Panika sprawiała, że trudno mi było określić, czy minęła zaledwie minuta, czy cała godzina. Czy Boivin wpuścił już Raphaëla do restauracji? Czy Raph podłożył walizkę? Słońce, w tej chwili moja jedyna miara czasu, zniknęło za dachami budynków, pozostał tylko mglisty różowawy półmrok. Nad Paryżem zapadała kolejna ciemna noc.

Obok mnie na ławce przysiadł motyl, cichy jak samo powietrze. Rozpostarł i złożył pomarańczowo-brązowe skrzydełka, ujawniając magiczny jasnoniebieski obrąbek wokół ciała. Ilekroć widziałam motyle, myślałam o Arnaudzie. Dziś na pewno chciałby być częścią naszego planu. To dla ciebie, Arnaud. Delikatnie przesunęłam palec po desce, by sprawdzić, czy owad zechce na nim usiąść, lecz on w ostatnim momencie zatrzepotał skrzydełkami i rozpląnął się w mroku.

I wtedy to usłyszałam. Wybuch nawet z takiej odległości odczuwało się tak, jakby Ziemia się rozpadła na pół – donośny, niski grzmot zagrzecotał moimi żebrami i zaparł mi dech w piersi. To odgłos niebezpieczeństwa – nie, gorzej. Odgłos samej śmierci. Zabrzęczały szyby. Ktoś krzychał. Zatupotały ciężkie buty, jakby każdy niemiecki żołnierz w okolicy pędził w stronę eksplozji. Dwóch z nich przemknęło obok mnie tak szybko, że musnął mnie pęd powietrza.

Za późno, chłopcy.

W głowie mi wirowało, serce waliło mocno. Pośpieszyłam z powrotem do bezpiecznego mieszkania. Pierwsza część się powiodła – von Groth i jego ludzie nie żyli. Teraz oby tylko wszyscy moi przyjaciele wrócili bezpiecznie na miejsce zbiórki. Nic im nie będzie, wiedziałam. Najtrudniej było przemyścić bombę do restauracji i zdetonować ładunek. Reszta pójdzie gładko.

Proszę, niech wrócą szczęśliwie.

Otworzył mi Pierre-Henri – zadyszany i uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Zabiliśmy nazistów – wysapał triumfalnie i uściskał mnie z całych sił.

– Wiesz, zawsze chciałem to zrobić.

Przy stole siedzieli Marcel i Geronte. Z ukłuciem paniki spostrzegłam, że Luc i Raphael jeszcze nie wrócili.

– Gdzie mogą być pozostali? – spytałam.

– Powinni tu przyjść lada chwila – odparł Geronte.

Marcel nie odrywał oczu od zegarka.

Nie mogłam tu zostać, roznosiła mnie nerwowa energia. Potrzebowałam przestrzeni. Poszłam korytarzem do pustego pokoju i usiadłam po turecku na kocu, który zostawiliśmy na podłodze. Wracaj, Luc. Proszę, wróć już.

Nie miałam zegarka, ale wiedziałam, że upłynęło więcej niż kilka minut. Słyszałam, jak w kuchni chłopcy mówią przyciszonymi głosami, i zalała mnie fala mdłości. Czy coś poszło źle? Złapali ich? Z trwogi oddychałam szybko i płytko. Pewnie Luc wpadł w kłopoty – ranili go albo aresztowali, albo i jedno, i drugie. Jeżeli zabrali Luca, nigdy sobie nie wybaczę, że mu nie powiedziałam, co do niego czuję – że nie wykrzyczałam tego na środku ulicy, kiedy miałam szansę, gdy go trzymałam za rękę... Położyłam się na plecach, żeby nie zemdleć. Stało się najgorsze. Straciłam drugą z najbliższych mi dwóch osób na świecie.

Czy to odgłos drzwi? Zerwałam się na równe nogi, czujna jak pies myśliwski. Może mi się zdawało. Nie wiedziałam, czy mózg nie płata mi figla. I zaraz usłyszałam jego głos:

– Gdzie ona jest?

Szukał mnie. Wrócił. Luc. Mój Luc. Wypadłam na korytarz i zatrzymałam się ślizgiem, widząc go po drugiej stronie pomieszczenia.

Popędziliśmy do siebie i zderzyliśmy się pośrodku, tworząc plątaninę kończyn, włosów i oddechów. Miałam wrażenie, że się unoszę nad miastem na skrzydłach, które mi właśnie wyrosły, i widzę, że w dole wszystkie światła Paryża rozbłysły jednocześnie. Udało się! Udało! Udało!

Teraz musiałam mu powiedzieć, co czuję do niego od długiego czasu, od tamtego popołudnia nad rzeką, a nawet jeszcze dłużej. Może zaczęło się już w momencie, kiedy go poznałam.

– Kocham cię, Luc!

Ujął moją twarz w dłonie i oparł czoło o moje.

– Ja też cię kocham, Adalyn.

Nic na tym świecie nie było już pewne, ale co do jednego nie miałam wątpliwości: nigdy nie byłam szczęśliwsza niż w tej chwili.

– Dlaczego przyszedłeś tak późno? Strasznie się o ciebie bałam!

Odsunął mnie i dopiero teraz przyjrzałam mu się dokładniej.

Nie uśmiechał się tak jak ja. Mój własny uśmiech zgasł.

– Luc, o co chodzi? – spytałam.

– Zatrzymałem się dłużej, bo czekałem na Raphaela – odrzekł. – Nie dotarł do mnie, wcale.

– Nie.

Z powagą skinął głową.

– Czy wiemy na pewno, że... że on...

– Nie na pewno – powiedział Luc, ale głos mu drżał. – Ja... cóż, przypuszczam, że pobiegł w złą stronę i zgubił się, ale...

Nie musiał kończyć ponurego zdania. Oboje doskonale wiedzieliśmy, że Raph by się tak po prostu nie zgubił – bądź co bądź, Luc nie stał daleko od restauracji. Jeżeli Raphael nie dotarł na wyznaczone miejsce spotkania, możliwe, że nie udało mu się wydostać z lokalu. Nie znałam go tak dobrze jak pozostałych, ale to przecież przyjaciel. Okropna sprawa.

Luc wziął mnie za rękę i poprowadził do kuchni, gdzie panowała napięta atmosfera. Pierre-Henri chodził dookoła z rękami za głową jak jeniec. Geronte siedział u szczytu pustego stołu, bębniąc palcami po blacie i spoglądając na kieszonkowy zegarek. Tylko Marcel zdawał się zachowywać odrobinę prawdziwego optymizmu – stał przy wejściowych drzwiach i na każdy najśłabszy dźwięk dobiegający z zewnątrz przykładał oko do wizjera.

– Naprawdę nie wydaje mi się, żeby miał wrócić – powiedział Luc do Marcela.

– Nie wiadomo – odpowiedział Marcel. – Może jeszcze przyjdzie.

Luc i ja dosiedliśmy się do Geronte'a przy stole. Pierre-Henri też do nas podszedł. Nie byliśmy pewni, czy cieszyć się z osiągnięcia, czy opłakiwać stratę Raphaela.

– Wiedział, w co wchodzi – odezwał się wreszcie Geronte. – Wszyscy znaliście ryzyko i uznaliście, że jest tego warte. – Powiódł po nas wzrokiem i wszyscy po kolei przytaknęliśmy. – Nie muszę chyba mówić, że nie takiego obrotu sprawy życzyliśmy sobie, ale nie wolno nam zapominać, że

osiągnęliśmy już niemożliwe. Niemcy zaciskają nam rękę na gardle coraz słabiej, a właśnie odcięliśmy im kolejny palec.

Miał rację. Zgłosiliśmy się do tej roboty, ponieważ oddalibyśmy wszystko – w tym własne życie – by bronić swojego kraju przed złem. Teraz dręczył mnie smutek, ale może kiedyś będę wspominać ten wieczór z dumą.

Wtem rozległo się ostre pukanie do drzwi. Zupełnie inne od naszego umówionego kodu. Żołądek obrócił mi się w kamień. Ujrzałam, że krew odpływa z twarzy Luca. Wszyscy zamarli – wszyscy z wyjątkiem Marcela, który tak rozpaczliwie wypatrywał Raphaela. Marcel, wieczny optymista, nie tak bystry jak pozostali. Na dźwięk pukania twarz mu się rozjaśniła, podskoczył do klamki.

– Marcel, nie! – krzyknęłam.

Lecz drzwi były już otwarte i jakiś mężczyzna rzucał Marcelem o ścianę. Do pokoju wdarli się przemocą ludzie w długich czarnych płaszczach, z karabinami w pogotowiu.

Oddech się we mnie zaciął, tyle że jakimś cudem wrzeszczałam. Luc... gdzie Luc? Trzyma mnie za nadgarstek. Trzeba się stąd wydostać, Luc, do korytarza. Możemy uciec przez sąsiedni pokój. Ten z purpurowym zachodem słońca. Tam jest okno. Próbowałam pociągnąć go w tamtą stronę, ale daleko nie zaszłam. Napastników wciąż przybywało. Zapędzili nas w ślepy zaułek.

Słyszałam głos Luca. Brzmiał niczym echo.

– Trzymam cię – mówił. – Trzymam cię, Adalyn.

Jeden z Niemców trzasnął Geronte'a w twarz kolbą karabinu. Chlusnęła krew. Była wszędzie. Potem złapali Pierre-Henriego. Krzyczał.

Byli coraz bliżej nas.

– Trzymaj się mnie, Adalyn.

Wtem kolba karabinu uderzyła Luca z boku w twarz. Strzaskała mu szczękę, tę piękną szczękę, której zarys miałam wyryty w pamięci na zawsze. I już nie mogłam się go trzymać, ponieważ wlekli go w stronę drzwi.

Ręka zaciśnięta na moim nadgarstku nie należała już do Luca. Próbowałam się wyrwać, ale ten ktoś wykręcił mi nadgarstek, aż miałam wrażenie, że go zaraz złamię. Nie pozostało mi nic innego, jak iść z nim do sieni i na korytarz. Moje krzyki odbijały się echem od ścian.

A wykrzykiwałam imię Luca – wciąż i wciąż od nowa. Ten, który mnie trzymał, wymierzył mi policzek. I jeszcze raz. I jeszcze.

Po czym usłyszałam głos Luca.

– Tu jestem, Adalyn!

Wywlekli nas przez korytarz na zewnątrz. W ciemności popłynęły ku nam dwa niebieskawe światła, jak ślepie rekina. Samochód zatrzymał się, otworzyły się drzwi od strony pasażera i zaraz zatrzęsły. Mężczyzna, który wysiadł, miał zakrwawioną twarz, ale rozpoznałabym go wszędzie. Usta jak rozcięcie w papierze. Jak to możliwe? Skąd się wziął? Przeżył zamach?

Rzucał rozkazy swoim ludziom. Marcela, Pierre-Henriego i Geronte’a władowano na tył samochodu. Nie rozumiałam. Bomba przecież wypaliła. Słyszałam wybuch.

Von Groth odwrócił się. Na jego twarzy malował się triumf. I wtem jego spojrzenie skrzyżowało się z moim. Dokoła było ciemno. Może mnie nie rozpozna. Ale rozpoznał. Widziałam to – w głębi jego oczu zapłonął ogień i triumf przerodził się w furję.

– Ty – warknął podpułkownik.

Ogłuszająco gruchnęło. Nie był to huk, raczej trzask. Ktoś pchnął mnie mocno w pierś. Noc rozdarł ścinający krew w żyłach wrzask. Nie mój – Luca. Luc wrzeszczał. Dlaczego? Poczuałam w tułowi gorąco. Paliło. Jakby mi ktoś wetknął między żebra rozpalony pogrzebacz.

– Adalyn! – krzyczał Luc. – Adalyn, nic ci nie jest, w porządku?!

Czy nic mi nie jest? Nie wiedziałam. Nie miałam pojęcia, co się dzieje. Nagle poczułam coś mokrego. Spojrzałam w dół. I zobaczyłam krew.

Nikt mnie nie popchnął. Von Groth do mnie strzelił.

Czerń.

Osunęłam się na ziemię. W ustach czułam krew.

– ADALYN!

Gwiazdy wyglądały tego wieczoru tak pięknie. Jak nocne światła. Te, których tak mi brakowało w widoku Paryża.

– ADALYN, BĘDZIE W PORZĄDKU!

W porządku?

Luc pytał, czy ze mną w porządku.

W porządku? Dotarłaś bez przeszkód?

O to mnie wtedy zapytał.

W porządku? Dotarłaś bez przeszkód?

A ja tak się denerwowałam!

W porządku? Dotarłaś bez przeszkód?

Pociągi kursują planowo, Luc.

Pociągi kursują planowo.

Rozdział 19

Alice

Zniknął. Luc Pelletier, jedyna osoba w świecie, która mogła mi opowiedzieć o Adalyn, ulotnił się.

– Pomożemy wam go znaleźć – zaproponowałam Eugeneowi i Rubenowi.

– Dziękuję – odparł Eugene. – Pewnie nie zaszedł daleko.

Wcisnęłam zdjęcia do plecaka, a tymczasem bracia wyjaśniali, w czym problem, bardzo zatroskanej Corinne, która stała między nami obok stołu. Błyskawicznie otrząsnęła się ze zdumienia i zaoferowała pomoc.

Paul i ja pośpieszyliśmy do drzwi z trójką nowych znajomych. Corinne, Eugene i Ruben okazali się zaskakująco sprawni w działaniu. Obeszliśmy całe półpiętro w ciągu kilku minut. Nigdzie nie było ani śladu Luca. Skierowaliśmy się więc do ruchomych schodów i wcisnęliśmy się po dwie osoby na jeden stopień.

– Zdaje się, że właśnie o to mu chodziło, kiedy odmawiał przyjscia na spotkania – rzekł Eugene.

Na dole w holu rozdzieliliśmy się. Eugene i Ruben poszli zajrzeć do toalety, Corinne miała sprawdzić na zewnątrz od frontu, a Paul i ja, jako poruszający się najszybciej, wzięliśmy na siebie pozostałą część parteru. Luca nie było w kawiarni ani w sklepie z pamiątkami.

– Zobacz, mają tu na tyłach ogród – zauważył Paul i pokazał mi podwieszony u sufitu znak ze strzałką.

Popędziliśmy w tamtą stronę po dywanowym chodniku i dotarliśmy do podwójnych przeszklonych drzwi wychodzących na trawiasty dziedziniec. Przeszukałam wzrokiem zieleniec i wreszcie dostrzegłam Luca – siedział na ławce w odległym kącie, na wpół ukryty za wysokim kwitnącym krzewem.

- Podejdz do niego – szepnął Paul. – Ja sprowadzę pozostałych.
- Myślę, że to ja go tak zezłościłam – odszepnęłam.
- Może wcale się nie zezłościł, ale wzruszył.
- Paul...

Ale on już się wycofał i zostałam sama, a raczej z Lukiem, który jeszcze nie wiedział, że tu jestem. Okej. Zrobię to. Dla babci i Adalyn. Pchnęłam drzwi, wyszłam na trawnik i zbliżając się do kwitnącego krzewu, zawczasu dałam o sobie znać, żeby nie wystraszyć staruszka.

- Pan Luc? To ja, Alice.

Bałam się, że jeśli spojrzę mu w oczy, zdenerwuje się jeszcze bardziej, dlatego bezwiednie wlepiłam wzrok w szramę na jego szczęce. Poruszyła się.

- Alice. Przepraszam, że wyszedłem. Trudno mi mówić o tych sprawach.

Zdobyłam się na odwagę i nawiązałam kontakt wzrokowy. Paul jak zwykle miał rację. Na szczupłej twarzy starszego pana nie było złości czy gniewu. Tylko smutek. Widziałam też jednak, że Luc jest gotów ze mną pomówić. I chociaż nie byłam dobra w rozmawianiu o emocjach, postanowiłam, że się postaram, jak umiem. Co by w tej chwili powiedziała Vivi?

– Cóż... wiem, że nie chciał pan tu przychodzić, ale naprawdę się cieszę, że się pan pojawił. I... ee... mimo że to niełatwe, bardzo bym chciała zadać panu kilka pytań o moją krewną. Od jakiegoś czasu starałam się dociec, co się z nią stało.

Usta mu drgnęły, zdradzając, że to dla niego kłopotliwe. Chyba znowu próbował zapanować nad drżeniem wargi. Usiadłam obok niego; moje krótkie dzinsowe spodni i trampki ostro kontrastowały z jego spodniami w kolorze khaki i brązowymi mokasynami. Położyłam dłoń na jego ręce. Siedzieliśmy w milczeniu przez kilka sekund, aż wreszcie wziął rozedrgany wdech.

- Ona nie żyje – rzekł.

Byłam na to przygotowania. Ale i tak przygnębiła mnie ta wiadomość, podana tak... oficjalnie.

- Kiedy to się stało? – spytałam.

– Trzydziestego pierwszego maja tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.

Dzień wcześniej zostawiła w dzienniku ostatni wpis. Otworzyłam usta, by zadać kolejne pytanie, ale je natychmiast zamknęłam, ponieważ Luc wyjął rękę spod mojej, ukrył twarz w dłoniach i zaczął szlochać. Nie wiedziałam, co robić. Jak go miałam pocieszyć? Nie wzięłam nawet ze sobą zapasowych chusteczek higienicznych.

– Co się wydarzyło tego dnia? – zapytałam łagodnie.

– Zastrzelił ją – załkał Luc. – Umarła na ulicy. Tuż przede mną. Nie mogłem jej pomóc.

– Kto ją zastrzelił?

– Nazista. Nieważne.

– Dlaczego nieważne?

Jego ramionami wstrząsnął jeszcze mocniejszy szloch.

– Ponieważ to moja wina.

W tym momencie z rozmachem otworzyły się podwójne drzwi i na dziedzińcu pojawił się Paul, a za nim Eugene, Ruben i Corinne. Wyglądali, jakby mieli do nas podbiec, dlatego uniosłam rękę i dałam im znak, żeby się nie śpieszyli, tak aby Luc miał czas na odzyskanie równowagi. Żałowałam nawet, że Paul tak szybko zgromadził pozostałych. Gdyby przyszli później, Luc mógłby mi powiedzieć więcej. „Moja wina”? Co by to mogło oznaczać?

Gdy dostrzegł, że czekają przy drzwiach, otarł sobie oczy wierzchem dłoni. Skinęłam na Paula, a on postarał się o krzesła i ustawił je tak, byśmy siedzieli mniej więcej w kręgu. Zanim wszyscy zajęli miejsca, Luc zdążył się uporać ze łzami. Wciąż jednak wyglądał na niepocieszonego.

– Pan Luc właśnie mi powiedział, co się stało z Adalyn – wyjaśniłam. – Cóż... ee... – Zerknęłam na niego, niepewna, czy mi pozwoli powtórzyć to, co właśnie usłyszałam. Skinął mi lekko głową. – Zginęła. Trzydziestego pierwszego maja czterdziestego czwartego roku zastrzelił ją nazista.

Wszystkim rozszerzyły się oczy, lecz nikt nie przebił Corinne.

– Tego samego dnia aresztowano mojego dziadka – oznajmiła. – Brał udział w zamachu bombowym, kiedy wysadzono restaurację pełną gestapowców.

Siedzący obok mnie staruszek poruszył się. Zwrócił się do Corinne i wziął kolejny rozedrgany wdech.

– Ja też brałem w tym udział – rzekł. – I Adalyn.

Chyba wszyscy poczuliśmy ten sam dreszcz.

– Geronte nami dowodził – ciągnął Luc. – Był niewiarygodnym człowiekiem.

Ruben podsunął Corinne chusteczkę, by sobie osuszyła oczy.

– To prawda – potwierdziła i wymieniła z Lukiem porozumiewawcze spojrzenia. Pozostałym wyjaśniła: – Kiedy dziadka aresztowano, nie chciał niczego ujawnić, dlatego strasznie go torturowali. Był już starszy i jego ciało tego nie wytrzymało. Zmarł w areszcie gestapo, ale nie wydał nikogo ze swej siatki.

– A pozostałe osoby z tego zdjęcia... – zagadnęłam Luca – też brały w tym udział?

– Tak. Pierre-Henri i Marcel, i... był jeszcze Raphael. To on nas wydał.

Chciałam dowiedzieć się wszystkiego, co się wydarzyło w związku z zamachem, włącznie z tym, kim był ten Raphael, ale o jedną rzecz musiałam spytać w pierwszej kolejności – zadać pytanie, które nurtowało mnie od początku lata.

– Nie wie pan, dlaczego Adalyn bawiła się na przyjęciach z nazistami? Znalazłam takie zdjęcie w jej mieszkaniu...

– Nie bawiła się z nimi – zaprzeczył natychmiast. – Szpiegowała ich.

– Szpiegowała?

– Tak. – Głos mu się załamał. – Była najdzielniejszą osobą, jaką znałem. Oniemiałam, nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

– Luc, może byś zaczął od początku i opowiedział nam wszystko – zasugerował Eugene, a pozostali zgodnie pokiwali głowami.

On jednak potrząsnął głową.

– Nie mogę – wyznał. – To zbyt bolesne.

Spojrzałam w opuchnięte od łez oczy staruszka. Straszne musiało być dla niego wywlekanie wspomnień, które przez kilkadziesiąt lat trzymał głęboko schowane. Śmierć Adalyn najwyraźniej wciąż była otwartą raną, a ja chciałam mu pomóc w zagojeniu jej. Położyłam dłoń obok jego ręki na ławce.

– Powiedział pan, że Adalyn była najdzielniejszą osobą, jaką pan znał, ale jeśli nam pan o niej nie opowie, nikt nie pozna jej historii. I jej spuścizna nie przetrwa.

Coś zmieniło się w jego oczach. Wyprostował się na siedzeniu. Położył dłoń na mojej.

I zaczął opowieść.



Zanim dotarł do końca swej historii, zrobiło się późno, na dziedzińcu zapalono nastrojowe światełka. W ciągu ostatniej godziny tyle razy się popłakałam, że całkiem pogmiotłam koszulkę, ocierając jej rąbkiem okulary. Okazało się, że Adalyn od początku okupacji zajmowała się różnymi rzeczami w ramach ruchu oporu. Zaczęła od rozprowadzania patriotycznych ulotek i dostarczania tajnych wiadomości, po czym przeszła do szpiegowania nazistów, którzy nie mieli pojęcia, że ta dziewczyna rozumie, co przy niej mówią. Nie pochwaliła się tym nikomu z rodziny, nawet siostrze.

Nie umiałam sobie tego wyobrazić.

Luc właśnie opowiadał o zamachu, który wspólnie zaplanowali. Informacje o dokładnym przebiegu zdarzeń ironicznym zrzędzeniem losu dostawał po kawałku od samego von Grotha, ponieważ nazista chełpił się, torturując Luca w areszcie.

A przebieg zdarzeń był następujący: von Groth najwidoczniej zorientował się, że Raphael wygląda podejrzanie, już w momencie gdy ten wszedł do sali. Chłopak pocił się obficie, a wieczór nie należał do szczególnie ciepłych. Kiedy podłożył walizkę, von Groth wstał i poszedł za nim do kuchni, a następnie tylnymi drzwiami na zewnątrz. Raphael próbował się wymknąć, ale nazista go złapał. I wtedy wybuchła bomba, ale von Groth znajdował się na podwórku, nie w samej restauracji. Przystawił chłopakowi pistolet do głowy, a ten wydał mu sekrety grupy, włącznie z adresem bezpiecznego mieszkania.

– Raphael zawsze się przechwalał – wymamrotał Luc – ale załamał się pod presją.

Kiedy von Groth ujrzał Adalyn i uświadomił sobie, że go zwodziła, tak się wściekł, że strzelił jej prosto w pierś. Wszystkich pozostałych gestapowcy aresztowali. Geronte zmarł w celi w lochach siedziby gestapo. Luc, Marcel, Pierre-Henri i Raphael po długich torturach zostali wywiezieni do obozu koncentracyjnego o nazwie Buchenwald. Kiedy w kwietniu 1945 roku obóz został wyzwolony przez aliantów, z czwórki przyjaciół pozostał przy życiu tylko Luc, ale i on ledwie żył.

Opowiadając o pobycie w obozie, wolał pominąć szczegóły i nikt nie miał mu tego za złe.

– A więc gestapo nie dotarło do waszych rodzin po zamachu? – zapytałam.

– Nie – odparł. – Na szczęście Niemcy mieli już coś innego na głowie.

– Ale co?

– Lądowanie w Normandii. Tydzień później alianci rozpoczęli walki we Francji i zaczęli ją wyzwalać.

No oczywiście. Czytałam gdzieś o tym, że nasze wojska wylądowały na północnym wybrzeżu Francji w miejscu, gdzie Niemcy najmniej się ich spodziewali. Wcześniej sojusznicy dawali nazistom do zrozumienia, że uderzą gdzieś indziej, dlatego bombardowali północny skrawek Francji zwany Pas-de-Calais.

– Czy próbował pan odnaleźć rodzinę Adalyn, kiedy pan wrócił do Paryża? – zapytałam Luca.

– Owszem, próbowałem – przytaknął. Wyraźnie łatwiej mu się rozmawiało, gdy zrzucił już z piersi ciężar. – Pamiętałem, gdzie mieszkali, ponieważ pewnego dnia odprowadziłem ją prawie pod sam dom. Poszedłem do tamtej kamienicy, ale sąsiadka, niejaka Emmeline Blanchard, powiedziała mi, że już tutaj nie mieszkają.

Paul i ja zerknęliśmy na siebie w tym samym momencie i byłam pewna, że oboje pomyśleliśmy to samo.

Mieszkanie.

– Czy Emmeline wiedziała, co się wydarzyło? – zagadnął Paul.

Luc potarł sobie podbródek.

– Tak, powiedziała mi, że krótko po lądowaniu aliantów w Normandii rodzice Adalyn opuścili Paryż, żeby się ukryć u rodziny na południu Francji. To był okres, kiedy się odwróciły karty i Francuzi ścigali wszystkich możliwych kolaborantów, w tym kobiety, które chodziły na takie przyjęcia jak Adalyn i jej matka. Sąsiadka spodziewała się, że powrócą do Paryża, ale trafili na aliancki nalot i nie przeżyli.

Zrobiło mi się ich żal, zwłaszcza że zginęli, nie znając prawdy o swojej córce.

– A nie mówiła nic o siostrze Adalyn, Chloe?

– Wspomniała o niej. Z nią też się minąłem. Latem w czterdziestym czwartym poznała alianckiego żołnierza i zakochali się w sobie. Po prostu

z nim uciekła.

Więc w taki sposób ich dom opustoszał. Adalyn zginęła od kuli nazisty... *Maman* i *papa* wymknęli się z Paryża z zamiarem powrotu, lecz im się nie udało... A babcia najwyraźniej wyrzekła się rodziny, poznała żołnierza zza oceanu – dziadka – i wyniosła się do Ameryki, by zacząć z nim nowe życie. Teraz to wszystko miało sens. Z jednym wyjątkiem...

– Czy rodziców Adalyn nie zastanowiło, że ich starsza córka tak po prostu zniknęła? – spytałam.

Luc zaśmiał się smutno.

– Sąsiadka przypomniała sobie, że Adalyn podobno wyjechała z koleżankami ze studiów na wakacje – wyjaśnił. – Wiedziałem, że to nieprawda. Podejrzewam, że Adalyn podrzuciła rodzicom to kłamstwo na wypadek, gdyby coś poszło nie tak, a oni jej uwierzyli. Kochała ich. Nie chciałyby, żeby się martwili.

Potrzebowałam chwili, żeby przetrwać zasłyszane nowiny. Sprawdziałam w myślach wszystko, czego się chciałam dowiedzieć o Adalyn, zaglądałam w głowie do każdej przegródki, żeby mieć pewność, że niczego nie pominęłam. Informacje pasowały do siebie, ale wciąż brakowało mi kawałka układanki.

– Panie Lucu – zagadnęłam najdelikatniej, jak umiałam. – Powiedział pan wcześniej, że śmierć Adalyn to pana wina. Dlaczego tak pan uważa?

Przeciagle, powoli wypuścił powietrze z płuc i zwiesił głowę.

– Ponieważ ten zamach był moim pomysłem – powiedział żałośnie. – Gdybym się z nim nie wyrwał, Adalyn by żyła.

– Tego nie wiesz – zaproponowała Corinne. – Coś podobnego mogło się zdarzyć przy innej okazji. Wykonywała niebezpieczne zadania. Wszyscy mieliście taką robotę, Luc. Nie możesz się o to obwiniać.

– Wiem – mruknął, wydmuchując nos.

Wtem przyszła mi do głowy pewna myśl. Otworzyłam plecak, pogmerałam w nim i na samym dnie, pod zdjęciami i bluzą, znalazłam notatnik.

– Sądzę, że powinien pan przeczytać, co napisała w dzień przed zamachem – oświadczyłam, podając mu dziennik Adalyn.

Jej pismo okazało się zbyt drobne, żeby starszerek sobie z nim poradził, dlatego Paul przeczytał wpis na głos, dla całej grupy. Poprosiłam go, żeby

ostatnią linijkę powtórzył ze szczególnym naciskiem: „Cokolwiek się stanie, zasnę dzisiaj, wiedząc, że warto podjąć ryzyko”.

– Widzi pan – powiedziałam miękko. – Nie ponosi pan za nic odpowiedzialności. Adalyn знаła ryzyko i chciała je podjąć. Uważała, że cokolwiek się zdarzy, warto ryzykować.

Pozostali dodawali swoje słowa zachęty i poklepywali Luca po kolanie. Tak bardzo chciałam, by zaakceptował prawdę i pogodził się z nią. Przez tyle lat nosił w sercu poczucie winy, a przecież wcale nie musiał się tak zadrećcać.

– Mogę to zatrzymać? – zapytał, wskazując dziennik.

– Oczywiście – odparłam.

Podaliśmy mu notatnik.

Przycisnął go sobie do serca.

I wreszcie się uśmiechnął.

Rozdział 20

Alice

Mamo! Tato!
Wpadłam do naszego wynajmowanego mieszkania z rozwianym włosiem, przekrzywiony plecak dyndał mi na ramionach i co najmniej jedna sznurówka była rozwiązana.

Po tym jak Paul i ja wymieniliśmy się informacjami z naszymi nowymi przyjaciółmi i pożegnaliśmy się z nimi, obiecując sobie, że wkrótce porozmawiamy znowu, popędziłam do rodziców, żeby im opowiedzieć o wszystkim, zanim pójdą spać.

– W porządku? – zapytał tata z kanapy, na której razem z mamą oglądali jakąś komedię na Netflixie.

– Tak, tak, nic mi nie jest. Właściwie czuję się cudownie. – Opuściłam plecak na podłogę i stanęłam na dywaniku pomiędzy rodzicami a telewizorem. – Mam wam tyle do powiedzenia, że nawet nie wiem, od czego zacząć.

– Odetchnij, Alice – zaproponował tata.

Spięłam sobie włosy w koński ogon, żeby gorąco odparowało mi z pleców. Potem wzięłam głęboki wdech.

– Wiem, co się przydarzyło rodzinie babci. Wiem, dlaczego mieszkanie zostało opuszczone! I wiem o siostrze babci, Adalyn. Nie uwierzycie! Szpiegowała Niemców dla francuskiego ruchu oporu!

Mama zachowała kamienną twarz. Wiedziałam, że nie spodoba jej się rozmowa o mieszkaniu, ale nie było szansy, żebym utrzymywała swoje odkrycia w sekrecie. Tata sięgnął po pilota, by ściszyć głos.

– Przepraszam, chwileczkę – mruknął.

Nie mogłam czekać. Wyrzucałam z siebie zdania jak karabin maszynowy i nie umiałam zwolnić.

– Nareszcie znalazłam kogoś, kto znał Adalyn. Opowiedział mi ich historię. To nie do uwierzenia. Na początku roznosiła antynazistowskie ulotki, a potem...

– Wstrzymaj się na momencik, muszę to zapauzować. – Tata walczył z pilotem.

Dlaczego oboje zachowywali się tak, jakbym im przeszkadzała w czymś ważnym?

Gdy wreszcie zatrzymał film, a mama z namaszczeniem udrapowała sobie na kolanach koc, tata dał mi znak, że mogę kontynuować. Zdążyłam uświadomić sobie, że aby moja opowieść miała sens, powinnam ją zacząć od wcześniejszych zdarzeń – powiedzieć rodzicom o swoich poszukiwaniach. Zapewne do tej pory sądzili, że przez cały ten czas Paul i ja uganiamy się po Paryżu, zajmując się tym, co normalnie robią nastolatki. Chyba nie podejrzewali, że zaczytujemy się książkami o niemieckiej okupacji.

Streściłam im więc całą historię, od znalezienia dziennika, w którym przeczytałam, jak rodzina babci uciekła z Paryża, przez gazetowe wycinki wskazujące na to, że Adalyn sympatyzowała z nazistami, po odkrycie tego, co ją naprawdę łączyło z Ulrichem Beckerem III. Potem zreferowałam wszystko, czego się dowiedziałam od Luca. Pokazałam rodzicom zdjęcia z Muzeum Narodowego Ruchu Oporu i przedstawiłam z imienia przyjaciół Adalyn. Opowiedziałam o zamachu na gestapowców i o tym, jak zamachowcy za to zapłacili. Wyjaśniłam dokładnie każdy szczegół, włącznie z tym, dlaczego opuszczone mieszkanie stało się kapsułą czasu.

Kiedy skończyłam, znowu przetałam koszulką zaparowane okulary, ale rodzice jakoś nie podzielali moich emocji. Mama tylko podciągała sobie koc coraz wyżej, aż pod brodę, a tata w napięciu strzelał oczami ode mnie do mamy i z powrotem.

Zrozumiałam, że nie spodoba im się to, co zamierzałam teraz oświadczyć.

– Przemyślałam sprawę i nie chcę wystawić mieszkania na sprzedaż – rzekłam w końcu. – Chcę je zatrzymać. To część mojej historii... n a s z e j historii.

Tata wypuścił powietrze przez zesnurowane usta. Nie był to dobry znak.

– Alice, mama i ja doceniamy pracę, jaką włożyłaś w te poszukiwania – oznajmił, pomimo że nie zamienił z mamą ani słowa. – Jednakże ... wszystkie te rzeczy wydarzyły się bardzo, bardzo dawno temu i myślę, że warto, abyśmy dziś zostawili ten trudny, miniony czas za sobą i całą trójką ruszyli do przodu, zaczęli od nowa.

Rozdziawiłam i zamknęłam usta niczym złota rybka, szukając słów, ale ich nie znajdując. Nie mogłam uwierzyć w to, co słyszę.

Chociaż nie, właściwie mogłam uwierzyć, ponieważ tak właśnie funkcjonowała moja rodzina. Zawsze tak było, odkąd sięgałam pamięcią. Nie zajmowaliśmy się swoimi rzeczywistymi problemami. Zamiataliśmy je pod dywan – zakrywaliśmy czymś, bo tak było łatwiej. Patrząc jednak na mamę, ukrytą właśnie pod kocem, doszłam do wniosku, że tak wcale nie jest łatwiej.

– To nie zadziała! – wypaliłam. – Nie uda się nam zacząć do nowa! Jak mamy ruszyć do przodu, jeżeli wciąż ciągnie nas ten wielki... ten ogromny... ciężar uwiązany u nóg?

– Alice, o czym ty mówisz? – zniecierpliwiał się tata. – Jaki znowu ciężar?

– MÓWIĘ O MAMIE!

Oboje byli wyraźnie zszokowani. W pokoju zapadła martwa cisza, którą nagle przerwały śmiech i oklaski dobiegające z telewizora.

– Przepraszam – bąknął tata. – Tak się dzieje, jeśli się zatrzymuje na pół godziny... Zaraz to zapauzuję...

– A MOŻE PO PROSTU WYŁĄCZ, TATO?

Ostro wciągnął powietrze, po czym wypuścił je przez nos. Wyłączył guzik sieciowy i ekran telewizora zgasł. Otoczyła nas ciemność.

– Dobrze, Alice. – Przybrał swój rzadko stosowany ton: „Nie nadużywaj mojej cierpliwości”. – Co właśnie powiedziałaś o swojej matce?

– Mówię, mamo – zwróciłam się do niej – że zdecydowanie nie jest z tobą w porządku i nie sądzę, żeby nasze starania w czymkolwiek ci pomagały!

W tym momencie mama zasłoniła sobie kocem twarz i usłyszeliśmy, jak pod nim chlipie. Tata miał spanikowaną minę. Sfrustrowany wyrzucił w górę ręce.

– Alice, to najwyraźniej również nie pomaga! – krzyknął.

Chciał, żebym się poddała. Żebyśmy wrócili do naszego ugrzecznionego, udawanego życia. Nic z tego. Wcisnęłam się w wąską przestrzeń między nimi, usiadłam i otoczyłam ramieniem miękkie zawiniątko, które było moją mamą. Czułam, że płacze. Jej ciało zeszywniało na chwilę i przygotowałam się na to, że mama zechce się wyplątać z objęcia, ona jednak ku mojemu zaskoczeniu wtuliła się w mój bok. Oparła głowę na moim ramieniu.

– Mamo – powiedziałam łagodnie – słyszysz mnie?

Ruch na ramieniu – zapewne skinienie głową. Nadeszła pora. Gdy tylko wróciliśmy do mieszkania po tamtym okropnym wieczorze w restauracji, zaczęłam szukać sposobu, w jaki mogłabym z mamą pogadać. Zupełnie nie miałam pojęcia, jak to zrobić. Wpisałam jej objawy do wyszukiwarki – wszystko, co zapamiętałam, jeszcze od czasów dzieciństwa – i wszystkie znalezione strony internetowe odpowiedziały mi tak samo: depresja. Wyczerpująco wyjaśniały mroczne fazy mamy. Najwyraźniej niektórzy ludzie całymi latami czują się świetnie, po czym nieoczekiwanie znów dopadają ich objawy – niekiedy tak po prostu, a niekiedy pod wpływem specyficznej sytuacji. Na przykład śmierci kogoś bliskiego.

Przeczytałam, jak należy rozmawiać z kimś dotkniętym depresją oraz co się powinno i czego nie powinno się mówić. To ostatnie, zdaje się, odnosiło się do mnie i taty. Tym razem zamiast pisać wiersze i wpychać je do szuflady, napisałam mowę, którą chciałam wygłosić do mamy. I od tamtej pory ćwiczyłam, powtarzając ją w głowie.

Mówiłam głośno i wyraźnie, żeby tata też słyszał.

– Mamo, bardzo cię kocham i nie mogę znieść tego, że cierpisz. Chcę zrozumieć twoje uczucia i chcę ci pomóc przez nie przejść. Cokolwiek to jest, to normalne. I chcę, żebyś wiedziała, że nie jesteś sama... dobrze?

Błagałam w myślach, żeby to do niej dotarło. Ramiona mamy stopniowo przestały drżeć, zsunęła sobie koc z twarzy. Przechyliła głowę i popatrzyła na mnie przekrwionymi oczyma – tym razem popatrzyła tak naprawdę. Już nie siedziała pod swoim szklanym kloszem. Po raz pierwszy od wielu miesięcy ujrzałam tę mamę, którą znałam.

Otarła sobie oczy.

– Dobrze – odpowiedziała.

Rozdział 21

Alice

Język ojczysty mojej rodziny to układna rozmowa o błahostkach. Nie jest łatwo nauczyć się nowego języka, jeśli w stary sposób rozmawiało się przez całe życie, ale nad tym pracujemy. Byłam w siódmym niebie, gdy w końcu otworzyliśmy się dla siebie nawzajem, mimo że przychodziło nam to z trudem. Pożałowałam tego jednak w pewnym momencie – gdy siedziałam z tyłu wynajętego samochodu, a tata bombardował Paula pytaniami, zerkając na niego we wstecznym lusterku.

– Bardzo jestem ciekaw, jak określilibyście status waszego związku. Jako „oficjalny”, jak to się mówi w tych czasach?

O mój Boże. Czy nie moglibyśmy wrócić do nic nieznaczących uprzejmości? Mógłby go zapytać o sport czy cokolwiek innego ! Żałowałam, że nie ma w tym samochodzie guzika, który wystrzeliłby mnie na zewnątrz, tyle że wtedy wylądowałabym sama na nieznanym mi francuskim przedmieściu, ubrana w koktajlową sukienkę. A był grudzień. Kiepski pomysł.

– Tak, panie Prewitt, jesteśmy z sobą oficjalnie – odparł Paul ze śmiechem. Bardzo dobrze radził sobie z tą rozmową. – Mam wielkie szczęście, że jestem chłopakiem Alice.

Mój Boże, miałam ochotę zapaść się pod siedzenie. To było bardzo miłe, ale czułam się zawstydzona. Wbiłam paznokcie w tapicerkę, a tymczasem z przodu odwróciła się do nas mama i powiedziała bezgłośnie: „Przepraszam za niego”. Wszyscy oprócz taty rozchichotaliśmy się, ale on też do nas zaraz dołączył.

W sierpniu, kiedy wróciliśmy z Paryża, wzięłam sprawy w swoje ręce i zapisałam nas na rodzinną terapię. Oprócz tego mama zaczęła znowu chodzić na własną terapię. „Znowu”, ponieważ na jednej z naszych rodzinnych sesji okazało się, że kiedy byłam w pierwszej klasie, mama podjęła próbę samobójczą. Przez cały ten czas nic o tym nie wiedziałam, ale to wyjaśniało, dlaczego tak często odwiedzała lekarzy, a ja siedziałam po szkole u babci. Tamte spotkania pomagały jej, ale potem ich zaprzestała, ponieważ były dla niej zbyt wstydlive, a poza tym czuła się znacznie lepiej. Tata nie naciskał. Najwyraźniej uznał, że sprawa została załatwiona raz na zawsze.

Kiedy depresja mamy wróciła, tata unikał rozmawiania o tym, bo nie chciał jej bardziej przygnębić, a ja poszłam jego śladem. W ten sposób problemy zostawały w rodzinie. Aż do zeszłego lata, gdy śmierć babci spowodowała na mamę taki napad depresji, jakiego od dawna nie miała, a ja uświadomiłam sobie, że chodzimy na paluszkach wokół prawdy, z którą należy się zmierzyć. Mama potrzebowała pomocy. Nadal jej potrzebuje. Jak my wszyscy.

Ośnieżone drzewa przesuwają się za oknem zamazaną czarno-białą wstęgą. Co jakiś czas w przerwie pomiędzy pniami było widać usianą kawałkami lodu rzekę Marne, która płynęła wzdłuż szosy. Kiedy ostatnim razem wybraliśmy się tu na wycieczkę, Paul i ja nie mieliśmy pojęcia, co znajdziemy. Tym razem znacznie lepiej wiedziałam, czego się spodziewać. Rozmawialiśmy o tym z panią Richard od miesiący, a w minionym tygodniu dostarczyliśmy ważne eksponaty na nową wystawę. Dzisiaj mieliśmy ją zobaczyć po raz pierwszy.

Tata zaparkował samochód i ruszyliśmy odśnieżonym chodnikiem do frontowego wejścia Muzeum Narodowego Ruchu Oporu w Champigny-sur-Marne. Na drzwiach wywieszono kartkę z napisem: *Fermé pour un événement privé*, „Zamknięte, impreza prywatna”. W tym semestrze zapisałam się na dodatkowe zajęcia z francuskiego i chyba radziłam sobie coraz lepiej.

Weszliśmy do środka.

W holu trafiliśmy na panią Richard, niosła tacę szampanówek. Zaraz postawiła ją na biurku recepcji, po czym uściskała każde z nas po kolei.

– Przyjechaliście pierwsi – oznajmiła. – Chcecie rzucić okiem?

– Tak, chętnie – powiedzieliśmy jednocześnie, nawet mama.

Poszliśmy za panią kustosz przez puste korytarze do tego zakamarka w muzeum, gdzie wystawiono zdjęcia zrobione przez Pierre-Henriego. Nadal wisiały na miejscu, ale stały się częścią dużej wystawy poświęconej Adalyn i jej grupie oporu. Na ścianach powieszono chronologicznie powiększone reprodukcje stron z jej dziennika, zaprezentowane wraz z fotografiami i innymi przedmiotami z tamtego okresu. Było między innymi zdjęcie przedstawiające Adalyn w otoczeniu nazistów. Jednym z nich – teraz to wiedziałam – był Walther von Groth. Kiedy odkryłam tę fotkę w czerwcu, zrobiło mi się niedobrze. Teraz patrzyłam na nią i pękałam z dumy.

Pani Richard dokonała nie lada wyczynu, łącząc to wszystko w całość – rezultat przeszedł moje wyobrażenia. Na moją prośbę zgodziła się dołączyć do wystawy fioletową suknię babci z żółtą gwiazdą *zazou*. Nie byłam pewna, czy wierzyć w życie pozagrobowe, ale jeśli takie istnieje, miałam nadzieję, że babcia i jej siostra patrzą na nas i widzą, że obie zawsze były po tej samej stronie.

Gdy spoglądałam na sukienkę babci, podszedł do mnie Paul. Wzięłam go za rękę i razem podziwialiśmy ten zabytkowy przedmiot.

– Myślę, że miała przeczucie – odezwałam się.

– Kto?

– Babcia. Myślę, że gdzieś tam w głębi duszy wciąż zastanawiała się nad Adalyn. Pewnie dlatego trzymała to mieszkanie aż do śmierci, ale nigdy o nim nie wspominała. Nie chciała rozgrzebywać przeszłości, bo było to dla niej zbyt bolesne... ale nie chciała też całkiem zamykać drzwi. Tak na wszelki wypadek.

– Cieszę się, że nie odpuściła.

– Ja też.

Podczas gdy podziwialiśmy wystawę, zaczęli przybywać pozostali goście. Vivi o mało nas nie przewróciła, rzucając się nam w ramiona. Po niej znacznie spokojniejszym krokiem podeszli Theo, Claudette i Lucie. Następnie pojawili się rodzice Paula, których poznałam wczoraj, kiedy przyjechali z Lyonu. Jego mama wręczyła mi bukiet kwiatów, po czym oboje zaczęli rozmawiać z moimi rodzicami. Dołączyli do nas Eugene z żoną, Sylvie, oraz Ruben ze swoją, Isabelle. Tyły zamykał Luc, wsparty na ramieniu Corinne i mający na głowie przekrzywiony czarny beret. Przyjrząwszy się wystawie, powiedział po prostu:

– *C'est parfait.*

„Doskonale”.

I rzeczywiście – to był doskonały wieczór. Gdy wszyscy obejrzeliby wystawę, przeszliśmy na górę, by usiąść do kolacji z widokiem na rzekę. Cudownie wyglądały złote światła biegnące wężykiem wzdłuż brzegu. Podczas posiłku dużo rozmawiano o Adalyn, a ja z ulgą zauważyłam, że Luc najwyraźniej odzyskał spokój ducha. Nie mówił wiele, zachowywał powagę, ale sądzę, że taką już miał osobowość. Kiedy skończyliśmy deser, pani Richard zapytała go, czy byłby zainteresowany wygłoszeniem cyklicznych wykładów w muzeum. Po krótkim wahaniu – i słowach zachęty ze strony przyjaciół – zgodził się.

Już myślałam, że nie może być lepiej, lecz okazało się, że owszem. Sprzątnięto talerze ze stołu i niektórzy częstowali się jeszcze drinkami, a ja podeszłam do okna, żeby się dokładniej przyjrzeć światłom nad brzegiem Marny. Po kilku sekundach poczułam czyjaś rękę na plecach. Paul pocałował mnie w policzek.

– Mam dla ciebie wczesny bożonarodzeniowy prezent – oznajmił, sięgając do kieszeni na piersi marynarki.

Szturchnęłam go żartobliwie w ramię.

– Chyba uzgodniliśmy, że wybieramy się po prostu na kolację.

Wyjął złożony kawałek papieru i podał mi go. Rozłożyłam kartkę i zobaczyłam wydruk mejla wysłanego przez Uniwersytet Nowego Jorku. O mój Boże. Serce mi podskoczyło.

– Paul, co to jest? – spytałam, choć doskonale znałam odpowiedź. Byłam zbyt rozemocjonowana, żeby budować spójne zdania.

– Przyjęli mnie do programu wymiany studenckiej – wyjaśnił, gładząc mnie po plecach. – Będę w Nowym Jorku od stycznia do maja z możliwością przedłużenia pobytu w lecie, jeśli zechcę.

– O mój Boże. Jestem taka podekscytowana, chyba się rozpłaczę.

Roześmiał się i otoczył mnie ramionami. Po tak długiej rozłące tęskniłam za jego zapachem. Przez ostatnie miesiące jakoś radziliśmy sobie dzięki FaceTime'owi, ale brakowało nam prawdziwej bliskości. A od przyszłego miesiąca będzie nas dzielić zaledwie godzinna jazda samochodem – może nawet krótsza, zależnie od ruchu na drodze. Będziemy mogli spotykać się w weekendy.

Oparłam głowę o jego pierś i razem spoglądaliśmy w okno. Może snułam zbyt dalekosiężne plany, ale pomyślałam, że Paul mógłby u nas spędzić wiosenne ferie. Dostałby osobny pokój, gdyby miało to uspokoić mamę i tatę.

Postanowiłam, że z nimi o tym porozmawiam, bo właśnie to teraz robiliśmy albo przynajmniej próbowaliśmy. Przez długie lata staliśmy na brzegu rzeki, bojąc się zamoczyć w niej choćby palce stóp – jak więc mieliśmy się dostać na drugą stronę? Był na to tylko jeden sposób i wreszcie się do niego przekonaliśmy. Trzeba się wziąć za ręce i razem wejść na głęboką wodę.

Podziękowania

Z całego serca dziękuję wszystkim ludziom, którzy pracowali nad tą książką i wspierali mnie podczas jej tworzenia. A są to...
Moja redaktor wydawnicza Catherine Wallace, która wraz ze mną weszła na mętną głęboką wodę dzielącą dobro od zła. Jesteś wspaniałą, a nadawanie tej książce życia z Twoim wsparciem było prawdziwą radością.

Moja agentka Danielle Burby – to wielkie szczęście, że mam Ciebie jako agentkę, a jeszcze większe, że jesteś też moją przyjaciółką. Dziękuję za pisarskie randki, wieczory panięskie i pomoc w realizowaniu marzenia o własnej książce.

Zespół wydawnictwa HarperCollins, które zaprojektowało tę książkę, wyprodukowało ją i rozprowadziło po świecie: Renée Cabero, Mark Rifkin, Jessie Gang, Shannon Cox, Aubrey Churchward i Erin Wallace. Jestem ogromnie wdzięczna za Waszą pracę.

Moi rodzice Lisa i David, mój brat Russell oraz rodzina ze strony męża: Carol, Bob i Hilary. Wasz entuzjazm i zachęta były dla mnie wszystkim. Kocham Was!

I wreszcie mój mąż Tim. Moja miłość. Dziękuję, że zwiedzałeś ze mną Paryż, dziękuję za Twoją niezmierną wiedzę o historii wojskowości, za to, że czytałeś i słuchałeś tej powieści tysiące razy, i za to, że trwasz u mojego boku, zawsze.

TERAZ


Alice spędza lato w Paryżu, ale nie przyjechała z New Jersey, by jeść croissanty i spacerować nad Sekwaną. Zmarła babcia zapisała jej w spadku paryskie mieszkanie, o którego istnieniu do tej pory nikt w rodzinie nie wiedział. Jak się okazało, apartament pozostawał zamknięty przez ponad siedemdziesiąt lat. Alice postanawia ustalić, dlaczego jej babcia opuściła Paryż podczas niemieckiej okupacji i nigdy nie opowiadała bliskim, co zostawiła za sobą, przenosząc się do Ameryki. Dziewczyna odnajduje pisany podczas II wojny światowej dziennik Adalyn, siostry swojej babci. Im dłużej draży tajemnicze sprawy z przeszłości, tym bardziej uświadamia sobie, że również obecnie jej rodzina ma sekrety, o których nie chce rozmawiać.

WTEDY

Adalyn nie rozpoznaje już swojego ukochanego Paryża. Gdziekolwiek spojrzeć, panoszą się naziści, a każdy dzień okupacji przynosi nową groźbę. Kiedy dziewczyna poznaje Luca – przywódcę małej grupy partyzanckiej – czuje, że wreszcie ma szansę przeciwstawić się okupantom. Jednak udawanie bywalczyń salonów, by działać w ruchu oporu, okazuje się bardziej skomplikowane, niż sobie wyobrażała. Adalyn coraz więcej ryzykuje – naraża własne bezpieczeństwo, reputację, a także relacje z ukochanymi osobami.

Patroni medialni

KSIAZKI

 [lubimy czytać.pl](http://lubimy czytac.pl)

MONITOR

www.iuvi.pl

DOBRE KSIĄŻKI

dla studenta.pl

LUBIĘ
CZYTAĆ

Opłnacy
w Paryżu

KULTURALNY
{ opętani }
czytaniem

WP

Cena 34,90 zł (w tym VAT 5%)
ISBN 978-83-7966-066-7

